

Nora Roberts

Czarna Róża

Prolog

*Memphis, Tennessee
Grudzień 1892*

Ubrała się bardzo starannie, przywiązując wielką wagę do szczegółów wyglądu, czego nie robiła już od miesiący. Jej pokojówka uciekła kilka tygodni temu, a Amelia nie miała dość woli ani siły, żeby zatrudnić następną. Spędziła więc ponad godzinę ze szczypcami do anglezów w rękę, cierpliwie zwijając i upinając świeżo umyte włosy - jak to czyniła, zanim została luksusową metresą. Straciły wiele ze swojego złocistego blasku w czasie tych długich, pełnych rozpaczy jesiennych miesięcy, ale ona wiedziała, które olejki i eliksiry zastosować, żeby przywrócić swoim lokom urodę, jakich użyć barwiczek, by nadać policzkom i ustom żywy kolor.

Znała wszystkie sztuczki i tajniki tego zawodu. Jakże inaczej zdołałaby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny pokroju Reginalda Harpera? Jakże inaczej udałoby się jej go uwieść i sprawić, by uczynił ją swoją utrzymanką?

Teraz ponownie odwoła się do wszystkich swoich sekretów, żeby zniewolnić go raz jeszcze i nakłonić do energicznego działania w najważniejszej dla niej sprawie.

Przez te wszystkie miesiące nie odwiedził jej ani razu. Toteż w końcu zaczęła wysyłać mu liściki, w których błagała, żeby się pojawił. Reginald jednak uporczywie ją ignorował. Ignorował - po tym, kim dla niego była i co utraciła! Cóż jej w takim razie pozostało? Musiała słać kolejne prośby i to tym razem do domu - do majestatycznego, wspaniałego Harper House, w którym rezydowała blada żona Reginalda. I gdzie nigdy nie mogłaby postać stopa kochanki.

Czyż nie dała mu wszystkiego, czego pragnął, wszystkiego, o co tylko poprosił? Przehandlowała własne ciało za luksusowy dom, służbę oraz rozliczne błyskotki, jak te wielkie perłowe kolczyki w kształcie łez, które właśnie wpinała w uszy.

Dla mężczyzny o fortunie Reginalda były to drobne, nieznaczające wydatki, ale Amelia nie oczekiwała niczego więcej. Liczyło się tylko to, co mężczyzna mógł jej ofiarować w wymiarze materialnym. On jednak niespodziewanie podarował jej o wiele więcej – choć dla nich obojga stało się to zaskoczeniem. Utrata tego daru była nie do zniesienia, przyprawiała o niewymowne cierpienie.

Czemu ani razu się nie pojawił, by ukoić jej ból? By razem z nią przeżywać żalobę?

Czy kiedykolwiek na cokolwiek się uskarżała? Czy kiedykolwiek nie przyjęła go do swojego łóżka? Czy choć raz wypomniała inne utrzymanki? Oddała mu swoją urodę i młodość. A na dodatek, jak się wydawało, również zdrowie.

Czyżby po tym wszystkim zamierzał ją opuścić? Odwrócić się od matki swego dziecka i pozostawić ją na pastwę losu?

Powiedzieli jej, że dziecko urodziło się martwe. Że maleńka dziewczynka nie zdołała przetrwać w jej łonie.

Ale przecież... przecież...

Do ostatnich chwil czuła ruchy i zabawne kopnięcia maleństwa. Czuła, jak rośnie pod jej sercem. Jak wrasta w jej serce. Dziecko, którego z początku nie chciała, stało się jej światem. Jej życiem. I w końcu liczył się tylko rozwijający się w niej synek.

Synek, synek, myślała obsesyjnie, gdy niewprawnymi palcami zapinała guziki sukni. „Synek, synek” - szeptały bezgłośnie mocno ukarminowane usta.

Zaraz po porodzie słyszała jego kwilenie. Tego była absolutnie pewna. Do tej pory nawiedzał ją ów płacz, zazwyczaj w nocy, wzywający, by przyszła i utuliła swoje dziecko w ramionach.

Kiedy jednak biegła do pokoju dzieciennego i zaglądała do kołyski - zawsze była pusta. Równie pusta jak teraz jej łono.

Wszyscy wokół utrzymywali, że postradała zmysły. O, dobrze słyszała, co po kątach szeptała służba, doskonale widziała ich szczególne spojrzenia. Ale wcale nie popadła w szaleństwo.

Nie jestem obłąkana, nie jestem, powtarzała w duchu, nerwowo spacerując po sypialni, którą swego czasu uważała za pałac zmysłowości.

Teraz natomiast rzadko zmieniano tu pościel, zasłony zaś zawsze pozostawały zaciągnięte, gdyż Amelia chciała się odciąć od widoku miasta. Poginę-ło też wiele cennych przedmiotów. Służący okazali się najzwyczajniejszymi złodziejami. Dobrze wiedziała, że wszyscy są wyjątkowymi szubrawcami. A do tego szpiegami i zdrajcami.

Wciąż ją obserwowali i przyciszonymi głosami szeptali coś między sobą, knując intrygi.

Pewnej nocy zamordują ją we własnym łóżku. Pewnej, już nieodległej nocy.

Strach przed gwałtowną śmiercią nie pozwalał jej zasnąć. Nie pozwalał zmrużyć oka rozpaczliwy płacz synka rozbrzmiewający w głowie. Przywoływał, prosił, by się zjawiała.

Kiedy ogarniał ją najgorszy lęk, przypominała sobie, że przecież całkiem niedawno poszła do królowej wudu. Udała się tam po ochronę i wiedzę. Zapłaciła bransoletką z rubinów, którą swego czasu dostała od Reginalda. Kamienie wyglądały jak krwawiące sercu otoczone wianuszkami lodowato połyskujących brylantów.

Za tę cenę dostała dwa potężne afrykańskie amulety: jeden trzymała pod poduszką, a drugi nosiła na sercu w jedwabnym woreczku. Dzięki ich mocy i kilku zaklęciom miała nadzieję odzyskać dziecko, ale jak do tej pory czary zawodziły.

Nie miała jednak wątpliwości, że jej synek żyje. O tym zapewniła ją królowa wudu, a ta wiedza była warta tysiąca rubinów.

Skoro jej skarb żył, musiała go odzyskać. Sprowadzić tu, do tego domu, gdzie było jego miejsce.

Reginald zaś musi jej pomóc w poszukiwaniach, zapłacić każdy ewentualny okup.

Spokojnie, spokojnie, napominała się w duchu, gdy poczuła, że w gardle gotuje jej się krzyk. Reginald uwierzy jej tylko wtedy, gdy będzie opanowana. I gdy Amelia zachwyci go swoją urodą.

Piękność zniewala mężczyzn. Powabem i nieskazitelnością rysów kobieta zawsze zdoła usidlić mężczyznę.

Amelia zerknęła w lustro i ujrzała dokładnie to, co chciała zobaczyć: urok, zmysłowość, wdzięk. Nie zauważyła, że jej blada cera nabrała chorobliwego żółtego odcienia, a szkarłatna suknia zwisa smętnie na piersiach i jest za luźna w okolicy bioder. W rzeczywistości odbicie ukazywało splątane włosy, błyszczące gorączką oczy i zbyt mocno uróżowane policzki, ale Amelia miała jedynie przed oczami swój obraz sprzed wielu miesięcy.

Kobiety pięknej, tryskającej młodzieńczą energią, przebiegłej i rozpalającej żądzę.

Zeszła na dół, by tam czekać na kochanka. Jednocześnie cały czas nuciała pod nosem:

„Błękitna lawenda, fa-la-la. Lawenda zielona...”.

W salonie paliły się wszystkie gazowe kinkiety i kandelabry, w kominku płonął ogień. A więc służba postanowiła się postarać, pomyślała Amelia. Wiedzieli, że przychodzi pan i władca, że to on ściska w dłoniach rzemyki sakiewki.

Nic im to jednak nie pomoże. Amelia powie Reginaldowi, że ma odprawić wszystkich - co do jednego - a na ich miejsce zatrudnić nowych ludzi.

Chciała również, by zaangażował nianię do jej synka - do Jamesa - gdy wreszcie zostanie jej zwrócony. Najlepiej jakąś irlandzką dziewczynę. Były

zazwyczaj pogodne. A Amelia pragnęła, by chłopczyk miał przy sobie tylko radosne twarze.

Z utęsknieniem spojrzała na butelkę whisky stojącą na kredensie, naląła sobie jednak kieliszek wina.

Wraz z upływem długich minut nerwy zaczęły ją zawodzić. Naląła więc sobie kolejną porcję trunku, potem jeszcze następną. A gdy ujrzała powóz zatrzymujący się przed domem, natychmiast zapomniała, że ma być opanowana i zrównowazona, i pobiegła do drzwi.

- Reginaldzie! Reginaldzie!

Rozpacz i desperacja wyostały się nagle na powierzchni jak kłębowisko wijących się węży. Amelia rzuciła się w objęcia kochanka.

- Panuj nad sobą, Amelio. Zaciśnął ręce na jej kościstych ramionach i siłą wepchnął Ją do wnętrza domu. - Pomyśl tylko, co powiedzą sąsiedzi?

Szybko zatrzaskał drzwi i lodowatym spojrzeniem dał do zrozumienia przyczajonemu w pobliżu służącemu, że ma zabrać kapelusz i laskę.

- Nic mnie to nie obchodzi! Och, czemu nie przyszedłeś wcześniej? Tak bardzo cię potrzebowałam. Z pewnością nie dostałeś moich listów? Ci służący - wszyscy bez wyjątku - są kłamcami i zdrajcami. Na pewno nie wysyłali moich wiadomości. Jestem więźniem we własnym domu!

- Nie bądź śmieszna. - Przez twarz Reginalda przebiegł cień odrazy. Uchylił się od kolejnego uścisku Amelii. - Poza tym raz na zawsze ustaliliśmy, że nigdy nie będziesz, w takiej czy innej formie, nagabywać mnie w moim domu.

- Nie przychodziłeś. Czułam się samotna, więc...

- Byłem bardzo zajęty. Ale dość o tym. Chodźmy. Powinnaś usiąść i nieco ochłonać.

Kiedy przechodzili do salonu, wciąż kurczowo trzymała go za ramię.

- Reginaldzie... Dziecko... Moje maleństwo...

- Tak, tak. - Wyplątał ramię z uścisku i stanowczo pchnął Amelię w stronę fotela. - To doprawdy wyjątkowo niefortunne zrządzenie losu. - Podeszedł do kredensu i nalał sobie szklaneczkę whisky. - Lekarz powiedział mi, że nic nie można było zrobić, a ty potrzebujesz wypoczynku i spokoju. Oznajmił, że jesteś niezdrowa.

- To kłamstwa. Wierutne kłamstwa.

Odwrócił się w jej stronę i powiódł wzrokiem po bladej twarzy i dużo za luźnej sukni.

- Sam widzę, że nie czujesz się dobrze, Amelio. Myślę, że w obecnej sytuacji najlepiej zrobiłoby ci morskie powietrze. - Oparł się o półkę kominka i rozciągnął usta w zimnym, bezdusznym uśmiechu. - Co byś powiedziała na podróż za ocean? Jestem przekonany, że to ukołoby twoje nerwy i przywróciło ci siły.

- Jedyne, czego chcę, to odzyskać moje dziecko. Niczego innego mi nie potrzeba.

- Twoje dziecko odeszło.

- Nie, nie, nie! - Poderwała się z fotela i kurczowo chwyciła za klapę jego surduta. - Moje dziecko zostało porwane, Reginaldzie. Ukradli mi go, ale on żyje. Nasz syn nie umarł. To sprawka tego doktora i położnej. To oni uknuli intrygę, zaplanowali porwanie. Teraz już to wiem, wszystko w końcu pojęłam. Musisz iść na policję, Reginaldzie. Ciebie wysłuchają. A potem musisz zapłacić każdy okup, jakiego zażądają porywacze.

- To czyste szaleństwo, Amelio. - Oderwał jej dłoń od klapy surduta, po czym zaczął starannie wygładzać zgnieciony materiał. - W żadnym razie nie zamierzam mieszać do tej sprawy policji.

- W takim razie ja to zrobię. Jutro z samego rana zawiadomię władze.

Lodowaty uśmiech zniknął z twarzy Reginalda, a jego twarz zastygła w kamienną maskę gniewu.

- Nic zrobisz nic podobnego, Wybierzesz się w podróż do Ku ropy i dostaniesz dziesięć tysięcy na urządzenie się w Anglii. To będzie dla ciebie mój pożegnalny podarunek.
 - Pożegnalny? - Zacisnęła kurczowo dłoń na poręczy i bezwładnie opadła na fotel. - Zamierzasz... zamierzasz mnie teraz porzucić?
 - Między nami wszystko skończone. Zadbam o twoje bezpieczeństwo materialne i wierzę, że podróż morska przywróci ci zdrowie. W Londynie szybko znajdziesz nowego opiekuna.
 - Jakże mogłabym wyjechać do Londynu, kiedy mój syn...
 - Pojedziesz tam - przerwał jej bezceremonialnie, po czym pociągnął spory łyk whisky. - Albo zostaniesz bez grosza. I pamiętaj, że nie masz żadnego syna. Nie masz i nie będziesz miała niczego ponad to, co ci podaruję. Dom i rzeczy, które się w nim znajdują - łącznie z biżuterią i tym, co nosisz na grzbiecie - należą do mnie, i tylko do mnie. Radzę, byś dobrze zapamiętała, że w każdej chwili mogę ci wszystko odebrać.
 - Odebrać... - Kątem oka pochwyciła szczególny wyraz jego twarzy i wówczas przez pokłady rozpaczycy dotarła do niej przerażająca prawda. - Chcesz się mnie pozbyć, bo... to ty. To ty zabrałaś moje dziecko!
- Dokończył drinka i spojrzał na nią przeciągle, po czym odstawił szklanekę na półkę kominka.
- Czy doprawdy przypuszczałaś, że pozwoliłbym, aby kobieta twojego pokroju wychowywała mojego syna?
 - To mój syn! - Poderwała się z fotela z palcami wygiętymi niczym szpony. Otrzeźwił ją siarczasty policzek. Przez te dwa lata, w czasie których Reginald był jej kochankiem, nigdy jeszcze nie podniósł na nią ręki.
 - Posłuchaj mnie i to posłuchaj uważnie. Nie dopuszczę, żeby mój syn był bękartem, owocem związku z najzwyczajszą ladaczną. Będzie dorastał w Harper House jako mój prawowity potomek i dziedzic.
 - Ale twoja żona...

- Zawsze robi to, co jej każe. I ty też tak postąpisz, Amelio.
- Pójdę na policję.
- I co im powiesz? Lekarz i położna, którzy odbierali poród, zeznają, że wydałaś na świat martwą dziewczynkę, inny zaś, wielce szacowny doktor zaświadczy, że moja żona urodziła zdrowego chłopca. Z twoją reputacją, Amelio, nie zdziałasz nic przeciwko mnie ani owym lekarzom. No i twoi służący przysięgną, że od dłuższego czasu zachowujesz się co najmniej dziwnie.
- Jak możesz mi to robić?
- Potrzebuję syna. Czy doprawdy sądzisz, że wybierając cię na utrzymanie, kierowałem się jakimikolwiek uczuciami? Jesteś młoda i zdrowa -a w każdym razie byłaś. Za swoje usługi zostałaś sownie wynagrodzona. Teraz też oferuję ci stosowną rekompensatę.
- Nie zdołasz mnie z nim rozdzielić. On jest mój!
- Nic nie jest twoje, o ile ja tak nie zdecyduję. Gdybyś tylko mogła, pozbyłabyś się go dawno temu. Zapamiętaj więc dobrze: nigdy się z nim nie zobaczysz, ani teraz, ani w przyszłości. Za trzy tygodnie wyruszysz w długi rejs. Na twoim koncie zostanie złożony depozyt w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Do owej chwili będę nadal regulował wszystkie rachunki. Na nic więcej nie możesz liczyć.
- Zabiję cię! - wykrzyknęła, gdy zaczął zbierać się do wyjścia. Po raz pierwszy tego dnia zdawał się szczerze rozbawiony.
- Jesteś żalosna. To zresztą typowe dla dziwki. Zapewniam cię jednak, Amelio, że jeżeli zbliżysz się do mnie czy kogokolwiek z mojej rodziny, postaram się, byś została aresztowana i zamknięta w domu dla obłąkanych. - Skinął na służącego, żeby podał mu kapelusz i laskę. - A wierz mi, owo miejsce nie przypadłoby ci do gustu.

Amelia wyła i krzyczała, rwała włosy z głowy, szarpała na sobie ubranie i własne ciało, aż z głębokich zadrapań zaczęła płynąć krew.

A potem nagle jakby jej umysł się wyłączył. W podartej sukni ruszyła schodami na górę, nucać pod nosem ulubioną kołysankę.

1

*Harper House
Grudzień 2004*

Świt, obietnica budzącego się dnia, był jej ulubioną porą na bieganie. Jogging traktowała jak każdą inną powinność i sumiennie wywiązywała się z niej trzy razy w tygodniu - Rosalind Harper bowiem nigdy nie uchylała się od żadnych obowiązków.

Biegała dla zdrowia. Kobieta, która niedawno obchodziła czterdzieste piąte urodziny, powinna dbać o kondycję. Rosalind uprawiała jogging, by mieć sporo fizycznej siły, bo właśnie siły potrzebowała i pragnęła najbardziej. Choć w grę także wchodziła próżność. Jej ciało nigdy już nie będzie takie jak wtedy, gdy miała dwadzieścia czy nawet trzydzieści lat, ale - na Boga - postanowiła, że będzie najlepsze, na jakie ją stać.

Nie miała męża ani kochanka, ale musiała dbać o swój wizerunek. Pochodziła z rodu Harperów, a Harperowie zawsze odznaczyli się dumą.

Niemniej utrzymanie ciała w odpowiedniej formie było istną torturą.

Włożyła dres, by chronił ją przed chłodem świtu, i przez drzwi na taras wyszła z sypialni. Dom wciąż jeszcze był pogrążony we śnie - jej dom, niegdyś tak pusty, a teraz pełen ludzi, w którym rzadko można było liczyć na chwilę kompletnej ciszy.

Przede wszystkim mieszkał tu David, jej przyszywany syn, zarządzający rezydencją. Zabawiał Roz, gdy akurat miała na to ochotę, i schodził jej z drogi, jeśli potrzebowała samotności.

Nikt nie umiał tak świetnie rozszyfrować jej nastrojów jak David.

Do tego Stella i jej dwóch słodkich synków. To był szczęśliwy dzień, uznała Rosalind, rozciągając na tarasie mięśnie przed biegiem, gdy zatrudniła Stellę, by zarządzała firmą.

Oczywiście Stella niedługo się wyprowadzi i zabierze ze sobą tych dwóch uroczych chłopczków. Na szczęście, gdy zostanie żoną Logana - czyż nie stanowili wyjątkowo dobranej pary? - będą mieszkali zaledwie kilka kilometrów stąd.

Na razie z pewnością pozostanie Hayley, wnosząca do domu wiele młodzieńczej energii. To dzięki kolejnemu szczęśliwemu zrządzeniu losu i dalekim koligacjom rodzinnym ta dziewczyna, wówczas w szóstym miesiącu ciąży, wylądowała na progu Harper House. W Hayley Rosalind odnalazła córkę, za która zawsze w sekrecie tęskniła; a teraz na dodatek mogła pełnić funkcję babci wobec maleńkiej, najdroższej Lily.

Roz nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czuła się samotna, dopóki te kobiety nie pojawiły się w jej życiu i nie wypełniły wielkiej pustki. Od czasu gdy jej dwaj synowie wyjechali z Memphis, dom zdawał się zbyt wielki i zbyt cichy. Niekiedy Rosalind ogarniało przerażenie na myśl, że pewnego dnia Harper - jej pierworodny, jej opoka - także wyniesie się z domku gościnnego stojącego zaledwie o rzut kamieniem od rezydencji.

Takie jednak było życie. Nikt nie wiedział lepiej od osoby zajmującej się uprawą roślin, że życie nie toleruje stagnacji. Bez naprzemiennych cykli nie byłoby wzrostu, rozkwitu i owoców.

Lekkim truchtem zbiegła po schodach, zachwycając się widokiem ukochanego ogrodu spowitego wilgotnym, zimowym oparem. Jakże pięknie wyglądał kobierzec czyściców ze srebrzystymi liśćmi pokrytymi kropelkami rosy.

Jak bogato połyskiwały owoce - wciąż jeszcze niezjedzone przez ptaki - na krzewie czerwonolistnej aronii.

Roz energicznym krokiem skręciła za róg i znalazła się przed frontem domu, a potem ruszyła przez podjazd. Była wysoką, smukłą kobietą z krótko przystrzyżonymi, czarnymi włosami, a jej brązowozłociste oczy miały odcień najlepszej, długo leżakowanej whisky. Biegając, z przyjemnością wodziła wzrokiem po ukochanym ogrodzie - wysokich magnoliach, delikatnych dereśniach i innych dekoracyjnych krzewach oraz powodzi bratków zasadzonych zaledwie parę tygodni temu.

W opinii Rosalind nie było żadnego ogrodu w zachodnim Tennessee, który mógłby urodą dorównać otoczeniu Harper House. Ani żadnego równie pięknego, wyrafinowanego w rysunku domu.

Na końcu podjazdu odwróciła się z przyzwyczajenia i truchtając w miejscu, spojrzała na swoją rezydencję wyłaniającą się z połyskującego perłowo oparu. Stała wyniosła, prezentując śmiałe połączenie stylu klasycystycznego i neogotyku, a ciepła żółć piaskowca pięknie harmonizowała z białymi trymowaniami wykuszy i zwieńczeń. Biegające po obu stronach schody prowadziły do ciągnącego się przez całą szerokość pierwszego piętra balkonu, stanowiącego oryginalne zwieńczenie frontowego ganku.

Rosalind uwielbiała wysokie okna, koronkową drewnianą poręcz drugiego piętra, a także swobodną przestrzeń i dziedzictwo pokoleń uosabiane przez ten dom.

Pieczołowicie też dbała o spuściznę przodków od chwili, gdy zamieszkała tu po śmierci rodziców. To właśnie w Harper House wychowała swoich synów i rozpaczała po przedwczesnej śmierci pierwszego męża.

Pewnego dnia przekaże to wszystko Harperowi z pełnym przeświadczeniem - za co w duchu gorąco dziękowała Bogu - że jej chłopiec będzie dbał o rodzinne gniazdo z równą miłością jak ona.

Mogła godzinami patrzeć na ten dom z poczuciem dumy i radości, jeśli jednak miała przebiec zwykły dystans, czas było ruszać w drogę. Rosalind skierowała się na zachód, trzymając się blisko pobocza, mimo że o tej porze nie należało się spodziewać szczególnego ruchu.

Żeby oderwać myśli od monotonnej i męczącej aktywności fizycznej, zaczęła powtarzać w duchu listę zadań, jakie wyznaczyła sobie na dzisiejszy dzień.

Przede wszystkim musiała się zająć roślinami, które właśnie wykiełkowały - usunąć liścienie, sprawdzić wilgotność gleby. Niektóre z siewek z pewnością już się nadawały do pikowania.

Poza tym - jak właśnie sobie przypomniała - Stella prosiła o więcej amarylisów i innych roślin bulwiastych, a także poinsecji i świątecznych wieńców. Wieńcami z powodzeniem zajmie się Hayley - ta dziewczyna ma zdolności artystyczne i zręczne palce.

Poza tym całe jedno pole zajmowały bożonarodzeniowe drzewka oraz ostrokrzew. Na szczęście ten sektor można powierzyć Loganowi.

Powinna też koniecznie porozumieć się z Harperem - sprawdzić, czy szczepione przez niego specjalne świąteczne kaktusy są już gotowe do sprzedaży. Tym bardziej że kilka z nich Roz chciała wziąć do domu.

Rozmyślając o obowiązkach dnia, zbliżyła się do „Edenu” i jak zwykle ogarnęła ją pokusa, żeby zboczyć z drogi, skręcić w kamienną bramę i przebiec się samotnie po królestwie, które samodzielnie zbudowała od podstaw.

Stella już przygotowała świąteczną oprawę, pomyślała z zadowoleniem Roz - z zielonych, czerwonych, białych i różowych poinsecji ustawiła piękne kompozycje przed niewielkim domkiem z nisko zadaszonym gankiem, gdzie znajdowało się wejście do punktu sprzedaży detalicznej. Na drzwiach zawiesiła wieniec ozdobiony niewielkimi białymi lampkami, a po obu stronach ganku ustawiła doniczki z karłowatymi sosenkami również udekorowanymi skrzącymi się światełkami.

Do tego misy obsadzone białymi bratkami, srebrzystą szałwią i ostrokrzewem o błyszczących liściach dodatkowo wabiły klientów.

Roz ostatnim wysiłkiem woli oparła się pokusie i pobiegła przed siebie. Będzie musiała wykroić trochę czasu - jeśli nie dziś, to na pewno jeszcze w tym tygodniu - by dokonać świątecznych zakupów. Została zaproszona w kilka miejsc, sama też zamierzała wyprawić wielkie przyjęcie. Minęło już sporo lat od chwili, gdy po raz ostatni gościła w domu liczne towarzystwo.

W dużej mierze z powodu rozwodu. Nie miała ochoty na imprezy towarzyskie, gdy czuła się dotknięta, oszukana i upokorzona, że dała się wmanewrować w idiotyczny, na szczęście krótki, związek z kłamcą i łajdakiem.

Wreszcie jednak nadszedł czas, by wyrzucić przykre wspomnienia z pamięci - tak jak z życia wyrzuciła Bryce'a Clerka, swojego drugiego męża. Teraz zaś, gdy powrócił do Memphis, powinna tym bardziej się postarać, żeby prowadzić życie prywatne i towarzyskie tak, jak miała na to ochotę.

Gdy przebiegła ponad dwa kilometry - dystans znaczony starym, rozszczepionym przez błyskawicę drzewem hikorowym - zawróciła w stronę domu. Mgła pokryła wilgocią jej włosy i dres, ale mięśnie były przyjemnie rozgrzane i rozluźnione. Niech to szlag - musiała przyznać, że wszystko, co mówiono o wysiłku fizycznym, rzeczywiście się sprawdzało.

Między drzewami ujrzała łanię, już w zimowej szacie, czujnymi oczami obserwującą świat.

Jesteś cudowna, pomyślała lekko zdyszana Roz. Tylko, do cholery, trzymaj się z dala od mojego ogrodu. Zanotowała w duchu, że musi rozsypać na obrzeżach posiadłości więcej środka odstraszającego jelenie, zanim ta piękność wraz ze swoją kompanią zdecyduje się wpaść do Harper House na przekąskę.

Ledwo wbiegła na podjazd, usłyszała przytłumione kroki i ujrzała jakąś sylwetkę zmierzającą w jej stronę. Nawet mimo gęstej mgły nie miała trudności z rozpoznaniem kolejnego rannego ptaszka.

Przystanęła i truchtając w miejscu, uśmiechnęła się ciepło do syna.

- Postanowiłeś osobiście powitać świt?
- Zdecydowałem, że wstanę dość wcześnie, żeby się spotkać z tobą na trasie. - Przeciągnął dłonią po gęstych, ciemnych włosach. - Najpierw to obżarstwo w Święto Dziękczynienia, potem twoje urodziny - uznałem, że muszę zrzucić nadwyżkę przed Bożym Narodzeniem.
- Przecież nie przytyłeś ani grama. Co skądinąd działa na mnie przygnębiająco.
- Ale tak jakoś sflaczałem. - Przewrócił oczami, które były dokładnie w takim samym odcieniu jak jej, i wybuchnął śmiechem. - Poza tym muszę dorównać swojej mamie.

Był do niej uderzająco podobny - wszyscy zwracali na to uwagę. Lecz kiedy się uśmiechał, na jego twarzy dostrzegało się również odbicie rysów ojca.

- Może dziś właśnie nadszedł ten dzień. Jak długo zamierzasz biegać?
- A ile ty przebiegłaś?
- Ponad cztery kilometry. Uśmiechnął się szeroko.
- W takim razie ja przebiegnę sześć - rzucił od niechcienia i poklepawszy matkę lekko po policzku, puścił się biegiem przed siebie.

Powinnam powiedzieć, że pięć, zachichotała pod nosem Roz i już spokojnym, rytmicznym marszem ruszyła w stronę rezydencji. Chwilę później skręciła za róg, kierując się ku tym samym tarasowym drzwiom, którymi wcześniej wybiegła.

Dom był pogrążony w głębokiej ciszy. Cudowny. Kojący. I nawiedzany przez tajemniczą zjawę.

Roz wzięła prysznic, po czym przebrała się w strój do pracy. I dopiero kiedy schodziła na parter centralnymi schodami, dzielącymi budynek na dwa skrzydła, usłyszała pierwsze odgłosy budzenia się domostwa do życia.

Chłopcy Stelli szykowali się do szkoły. Małeńka Lily energicznie domagała się nakarmienia. Co za piękne dźwięki. Ciepłe. Prawdziwie rodzinne. Jakże bardzo do niedawna odczuwała ich brak.

Kilka tygodni temu dom jeszcze intensywniej tętnił życiem, bo na Święto Dziękczynienia i urodziny Rosalind stawili się wszyscy chłopcy. Austin i Mason zjadą znowu na Boże Narodzenie. Dla matki dorosłych synów to i tak wielkie szczęście.

Bóg świadkiem, że gdy dorastali, wielokrotnie tęskniła do ciszy i samotności. Marzyła choćby o godzinie absolutnego spokoju, którą mogłaby poświęcić na coś równie ekstrawaganckiego jak wylegiwanie się w gorącej kąpieli.

Potem zaś miała aż zbyt dużo czasu dla siebie. Za wiele długich dni, naczynych pustką. W końcu więc, żeby ją zabić, poślubiła tego gładkiego sukina, on zaś bez żenady szastał jej pieniędzmi, aby wyrzucić piorunujące, wrażenie na bezmózgich panienkach, z którymi ją ciągle zdradzał.

To już prehistoria, napomniała się w duchu Roz. Nie ma sensu bezproduktywnie rozwodzić się nad zamierzchłą przeszłością.

Raźnym krokiem wkroczyła do kuchni, gdzie David ubijał coś apetycznego w sporej misce, a powietrze przesycał uwodzicielski aromat świeżo zaparzonej kawy.

- Witaj, moja piękna. Jak się miewasz dzisiaj rana?
- Rześka i pełna energii. - Roz podeszła do szafki i wyjęła kubek. - A co ty powiesz o swojej wczorajszej randce?
- Rozwojowa. Facet lubi drinki na bazie martini i jest fanem filmów Johna Watersa. W ten weekend szykujemy się na powtórkę. Ty tymczasem siadaj za stołem. Właśnie przygotowuję francuskie tosty.
- Francuskie tosty? - Jej ulubione śniadanie. - Do diabła, Davidzie, to ja biegam ponad cztery kilometry, żeby tyłek nie opadł mi do kolan, a ty zaraz potem proponujesz mi francuskie tosty?
- Masz piękny tyłek. I ani trochę nieobwiśnięty.
- Jak na razie - mruknęła, ale posłusznie opadła na krzesło. - Na podjeździe minęłam się z Harperem. Gdy tylko zwęszy te zapachy, zaczniesz skomleć pod kuchennymi drzwiami.

- Robię taką porcję, że dla nikogo nie zabraknie.

Roz drobnymi łykami popijała kawę, a tymczasem David zaczął rozgrzewać patelnię.

Miał urodę gwiazdora filmowego, był zaledwie rok starszy od Harpera i Rosalind kochała go niemal tak samo jak własnych synów. W dzieciństwie większość czasu spędzał w tym domu, a teraz nim zarządzał.

- Davidzie... dzisiejszego ranka aż dwa razy przyłapałam się na myślach o Brysie. Jak sądzisz, co to może oznaczać?
- Że na gwałt potrzebujesz francuskiego tosta - odparł, mocząc grube kromki chleba w swoim wspaniałym cieście. - I że najprawdopodobniej dopadł cię świąteczny blues.
- Wykopałam łobuza tuż przed Bożym Narodzeniem. Zapewne stąd te wspomnienia.
- Właśnie dlatego, że wykopałaś tego sukinsyna, były to jedne z najpiękniejszych świąt w tym domu - zdecydował David. - Żałuję tylko, że nie było wówczas siarczystych mrozów - i że gdy już znalazł się za progiem, nie nawiedziła naszego rejonu zamieć śnieżna do spółki ze wszystkimi plagami egipskimi.
- Słuchaj, chciałabym cię zapytać o coś, o czym z tobą nie rozmawiałam, gdy jeszcze trwała la farsa. Czemu nigdy słowem nie wspomniałaś, jak bardzo go nie cierpisz?
- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty nigdy nie przyznałaś, że nie znosiłaś tego bezrobotnego aktora, nieudolnie naśladowującego brytyjską wymowę, gdy ja tak za nim szalałam parę lat temu. Bo cię kocham, Roz.
- To wyjątkowo dobry powód.

David rozpalił ogień w kominku i Rosalind nachyliła się w stronę bijącego od płomieni ciepła. Ogarnęło ją kojące poczucie bezpieczeństwa.

- Wiesz, gdybyś nagle się postarzał o dwadzieścia lat i stał hetero, z największą przyjemnością żyłabym z tobą w grzechu.

- Moja słodka. -Wrzucił kromkę otoczonego w cieście pieczywa na patelnię. - Jesteś jedyną dziewczyną, która mogłaby mnie do tego nakłonić.

Roz w zamyśleniu oparła brodę na dłoni.

- Słońce zaczyna przebijać przez chmury - zauważyła po chwili. - Czekaj nas piękny, pogodny dzień.

W centrum ogrodniczym pogodny dzień w pierwszej połowie grudnia oznaczał przede wszystkim „wyjątkowo pracowity”. Roz dwoiła się i troiła, w końcu więc dziękowała losowi, że David wcisnął w nią tak obfite śniadanie, bo ostatecznie, z powodu nawału zajęć, musiała zrezygnować z lunchu.

W cieplarni czekał na nią długi stół zastawiony kuwetami z siewkami. W pierwszej kolejności oznakowała rośliny zbyt młode do pikowania. A zaraz potem zajęła się już do tego dojrzałymi.

Rozstawiła przed sobą małe skrzynki, doniczki oraz kostki torfu. Uwielbiała to zajęcie - nawet bardziej od wysiewu nasion; nic jej tak nie cieszyło, jak przesadzanie młodych, silnych i zdrowych roślin.

Dopóki nie trafią do klientów, będą należały tylko do niej.

Przez cały rok Roz pracowała też nad stworzeniem własnej mieszanki ziemi. Eksperymentowała z różnymi składnikami i wreszcie uznała, że znalazła idealną recepturę zarówno do ogrodów jak i dla roślin doniczkowych. Receptura do ogrodów powinna się również doskonale sprawdzić w szklarniach.

Z torby zawierającej nową mieszankę napełniła doniczki, po czym starannie sprawdziła wilgotność gleby. Ostrożnie wyjęła z ziemi młode siewki, trzymając je za liście. Przesadzając, pilnowała, by ziemia sięgała do tej samej wysokości łodyżki, CO w kuwecie do kiełkowania, potem zaś starannie docisnęła korzonki.

Cierpliwie obsadzała doniczkę po doniczce, każdą z nich znakowała, jednocześnie podśpiewując pod nosem do muzyki Enyi, płynącej z przenośnego odtwarzacza - zdaniem Roz niezbędnego urządzenia w szklarni.

Na koniec podlała wszystkie rozcieńczonym roztworem nawozu.

Zadowolona z rezultatów pracy, przeszła do sektora z roślinami wieloletnimi. Przejrzała starannie wszystkie stoły - te ze świeżo wsadzonymi do ziemi pędami, jak i sadzonki pielęgnowane już od ponad roku, za parę miesięcy mające iść do sprzedaży. Oporządziła i podlała je starannie, po czym Ubrała się do pobierania nowego materiału. Kończyła właśnie kuwetę z anemonami, gdy do szklarni weszła Stella.

- Widzę, że nie próżnowałaś powiedziała od progu. Rude, gęsie, kręcone włosy miała tego dnia ściągnięte w koński ogon. - Odwaliłaś kawał roboty.
- Jestem pełna optymizmu. Poprzedni sezon był fantastyczny. Mam nadzieję, że i w tym roku osiągniemy taki sukces. O ile matka natura nam nie dokopie.
- Pomyślałam, że zechcesz rzucić okiem na nowe wieńce. Hayley pracowała nad nimi przez cały ranek. Tym razem wprost przeszła samą siebie.
- Zerknę na nie przed wyjściem.
- Zwolnię ją dzisiaj wcześniej niż zwykle. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wciąż jeszcze czuje się nieswojo, zostawiając Lily z opiekunką, nawet gdy ta opiekunka jest stałą klientką i mieszka zaledwie dwa kilometry stąd.
- Nie ma problemu. - Roz przeszła do kupidynków. - Przecież wiesz, że nie musisz konsultować ze mną każdej decyzji, Stello. Rządzisz tu już prawie od roku.
- To był jedynie drobny pretekst, żeby przyjść do szklarni. Roz zastygła w bezruchu.
- Czy coś się stało?
- Skąd. Chciałam tylko zapytać... to znaczy, wiem, że to twoje królestwo... czy jednak - kiedy tuż po świętach zmaleje ruch - mogłabym poświęcić nieco czasu na pracę w szklarni? Bardzo mi tego brakuje.
- Oczywiście.

W niebieskich oczach Stelli pojawił się szelmowski błysk.

- Boisz się, że będę chciała zaprowadzać tu nowe porządki! - Wybuchnęła śmiechem. - I wszystko organizować po swojemu. Obiecuję, że tego nie zrobię. W ogóle nie będę ci wchodzić w drogę.
- Gdybyś tylko spróbowała, natychmiast wyleciałabyś za drzwi.
- Przyjęłam do wiadomości i zastosuję się.
- A tak na marginesie - ja też chciałam z tobą zamienić kilka słów. Potrzebuję dostawcy porządnych tanich worków. W trzech wielkościach na początek.
- A po co? - Stella szybko wyjęła z kieszeni notes i ołówek.
- Zamierzam przygotowywać i sprzedawać swoją specjalną mieszankę ziemi pod własnym nazwiskiem.
- Doskonały pomysł. Przyniesie spory zysk. Klienci będą zachwyceni, mogą skorzystać z sekretnej formuły Rosalind Harper. Musimy jednak rozważyć kilka związanych z tym problemów.
- Większość już przemyślałam. Zacznę na niewielką skalę. - Powalaną ziemią ręką podniosła butelkę z wodą mineralną, po czym - machinalnie ocierając dłoń o koszulę - odkręciła zakrętkę. - Personel zajmie się porcjowaniem mieszanki, ale jej receptura pozostanie ściśle strzeżoną tajemnicą. Podam ją tylko tobie i Harperowi, nikt inny jej nie pozna. Na razie zajmujemy się porcjowaniem w magazynie ogólnym. Jeżeli produkt okaże się hitem - zbudujemy dodatkowe pomieszczenie.
- Normy rządowe...
- Dokładnie je przestudiowałam. Nie będziemy używać pestycydów, a zawartość wszelkich nawozów nie przekroczy przepisowych ustaleń. - Stella pilnie zapisywała w notesie, Roz tymczasem wypila potężny łyk wody. - Już wystąpiłam o licencję na produkcję i sprzedaż mojej mieszanki.
- Nic mi o tym nie wspominałaś.
- Nie bierz sobie tego do serca. - Zanurzyła uciętą odnóżkę w roztworze przyspieszającym ukorzenie. - Nie byłam pewna, czy się zdecyduję na to przedsięwzięcie. I tylko na wszelki wypadek postanowiłam załatwić sprawy

papierkowe. Już od dłuższego czasu chciałam opracować taką szczególną mieszankę, sprawdzam ją od paru miesięcy. Jak na razie jestem zadowolona z rezultatów. Hoduję w tej ziemi różne rodzaje roślin i jeśli nadal wszystko będzie przebiegało jak dotąd, zaczniemy sprzedaż detaliczną. Chcę więc wiedzieć, ile wówczas wydamy na opakowania. Zależy mi na gustownym wyglądzie i eleganckim logo. Zajmij się tym, Stello. Świetnie idzie ci projektowanie podobnych rzeczy. „Eden” zasługuje na coś szczególnego.

- Oczywiście.
- Wiesz, co podobałoby mi się najbardziej? - rzuciła Roz po namyśle. - Brązowe torby z materiału przypominającego jutę. Staroświeckie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Jakbyśmy chcieli powiedzieć: to ziemia naszego Południa, tradycyjna receptura. A w nadruku powinien się znaleźć motyw prostych, wiejskich kwiatów.
- Bo nasza mieszanka jest prosta w użyciu, a po jej zastosowaniu łatwo będzie utrzymać ogród w idealnym stanie. Popracuję nad tym.
- Mogę liczyć, że oszacujesz dla mnie koszty i zyski oraz opracujesz strategię marketingową?
- Jestem do usług.
- Doskonale. A teraz muszę szybko skończyć z tymi sadzonkami i też uciec wcześniej niż zazwyczaj - o ile nie wyniknie nic pilnego. Chcę się wybrać na zakupy.
- Roz, dochodzi już piąta.
- Piąta? To niemożliwe. - Ze zmarszczonym czołem zerknęła na zegarek. - Jasna cholera! Zupełnie nie wiem, kiedy minęły te godziny. Posłuchaj, w takim razie jutro zniknę już około południa. Gdybym zapomniała, masz mnie wypchnąć na siłę.
- Zrobię to z pewnością. Teraz natomiast też wracam do pracy. Do zobaczenia w domu.

Kiedy Roz podjechała pod dom, powitał ją blask światełek rozpiętych na balkonach, piękne wieńce na wszystkich drzwiach i świece płonące w oknach. Przy wejściu stały donice z dwiema karłowatymi sosenkami przystrojonymi skrzącymi się lampkami.

Wewnątrz także czuło się atmosferę Bożego Narodzenia.

Wokół balustrad wiły się białe lampki i czerwona, szeroka wstążka, a u podnóża i na podestach schodów stały białe poinsecje w karminowych donicach.

W wielkiej srebrnej misie, odziedziczonej po prababce, piętrzyły się błyszczące, rumiane jabłka.

W salonie, na tle frontowych okien, stał ponadtrzymetrowy norweski świerk - z jej własnej uprawy - a na półce kominka przystrojonego świeżą jedliną i ostrokrzewem tłoczyły się drewniane Święte Mikołaje, które Roz zaczęła zbierać, gdy była w ciąży z Harperem.

Stella i jej synowie siedzieli po turecku obok choinki i wpatrywali się w drzewko szeroko otwartymi oczami.

- Wspaniale, prawda? - zachwyciła się Hayley, trzymając małą Lily na biodrze. - Po prostu zapiera dech.
- David strasznie się naharował.
- My pomagaliśmy! - wykrzyknęli równocześnie chłopcy.
- Zaraz po szkole zakładaliśmy z Davidem lampki - poinformował młodszy, Lukę. - A za chwilę zaczniemy pomagać przy świątecznych ciasteczkach - w ich dekorowaniu i w ogóle.
- Na górze też mamy choinkę - wtrącił Gavin, zerkając na wielki świerk.
- Chociaż nie taką dużą, jak tutaj. Pomogliśmy Davidowi wnieść ją po schodach, a po kolacji sami ją będziemy mogli ubrać po swojemu... - Gavin urwał i spojrzał na Roz, szukając aprobaty, dobrze bowiem wiedział, kto naprawdę rządzi w tym domu. - To znaczy David tak powiedział - dorzucił niepewnie.
- W takim razie to musi być prawda.

- David właśnie szykuje w kuchni jakiś specjalny zimny bufet, by uczcić przyniesienie drzewek. - Stella podeszła do Roz, by popatrzeć na świerk z jej perspektywy. - Znosi się na poważne przyjęcie. Logan i Harper dostali przykazanie, żeby stawić się tutaj punkt siódma.
- No to muszę się przebrać. Ale najpierw dajcie mi to maleństwo. - Roz wyciągnęła ręce po Lily i zaczęła pocierać policzkiem o policzek dziecka. -W tym roku mamy takie wielkie drzewo, że wszyscy będziemy musieli zabrać się do jego ubierania. A co ty sądzisz o swojej pierwszej choince, moja małeńka?
- Ile razy sadzam ją na podłodze, natychmiast pełźnie w tamtą stronę. Już nie mogę się doczekać, jak zareaguje, gdy zobaczy bożonarodzeniowe drzewko w pełnej krasie.
- A więc muszę się spieszyć - zdecydowała Roz. Pocałowała Lily i oddała Hayley. - Jest tu jeszcze dość ciepło, ale myślę, że powinniśmy rozpalić ogień w kominku. I niech ktoś powie Davidowi, żeby zmroził szampana. Niedługo zejdę z powrotem.

Minęło wiele lat od chwili, gdy dzieci świętowały Gwiazdkę w tym domu, pomyślała Roz, biegnąc na górę. I do diabła, ich obecność sprawiła, że niespodziewanie sama poczuła się jak dziecko.

Nazajutrz, wciąż w świątecznym nastroju, Roz wybrała się na zakupy. Ostatecznie interes się nie zawali, jeśli ona zniknie na pół dnia. Prawdę powiedziawszy teraz, gdy „Edenem” zarządzała Stella, wszystko funkcjonowałoby gładko i sprawnie, nawet gdyby Rosalind nie pokazała się w firmie przez ty-

dzień. Jeśli więc tylko miałyby ochotę, mogłaby wyjechać na prawdziwe wakacje, pierwsze - od ilu to? - od ponad trzech lat.

Roz jednak nie ciągnęło do żadnego wyjazdu.

Najszcześniejsza czuła się w domu, czemu więc miałyby zawracać sobie głowę pakowaniem, narażać się na stres podróży tylko po to, by wylądować z dala od miejsca, które kochała najbardziej?

Kiedy synowie byli jeszcze mali, co roku gdzieś ich zabierała. Do Disneylandu, nad Wielki Kanion, do Waszyngtonu i Bar Harbor. Pokazywała im Amerykę - czasami spontanicznie, pod wpływem chwili, czasami wyprawiając się na pieczołowicie zaplanowane wycieczki.

Kiedyś pojechali na trzy tygodnie do Europy. Ależ pysznie się wówczas bawili!

Podróżowanie z trzema rozdokazywanymi chłopcami było przedsięwzięciem męczącym, niekiedy szaleńczym, przyprawiającym o obłąd, jednak Roz nie żałowała ani chwili.

Doskonale pamiętała, jak Austin zachwycał się wielorybami w Maine, jak Mason uparł się, by w paryskiej restauracji zamówić ślimaki, a Harper zgubił się w Disneylandzie.

I za nic nie oddałaby tych wspomnień.

Teraz natomiast, zamiast wyruszać na wakacje, skoncentruje się na „Edenie”. Może nadszedł już czas, żeby zorganizować niewielki punkt florystyczny? Aranżacje ze świeżo ciętych kwiatów i roślin. Dostawa na obszar Memphis. Oczywiście to oznaczałoby postawienie nowego budynku, zwiększony asortyment roślin i zatrudnienie nowych pracowników. Jednak za rok czy dwa dobrze byłoby się o to pokusić.

Musi dokonać odpowiednich kalkulacji - sprawdzić, czy „Eden” wytrzyma dodatkowe obciążenie.

Poświęciła lwią część odziedziczonych pieniędzy na stworzenie tego przedsiębiorstwa. Wówczas jednak mogła już postawić wszystko na jedną kartę.

Wcześniej przede wszystkim koncentrowała się na chłopcach – na stworzeniu im bezpiecznego, dostatniego domu, I na ochronie Harper House - pilnowaniu, by posiadłość była zadbana i pozostała w rękach rodziny.

Wypełniła wszystkie te zadania. Choć niekiedy wymagało to sporo twórczej ekwilibrystyki i kosztowało wiele nieprzespanych nocy. Nie cierpiała niedostatku - jak wiele samotnych matek - miała jednak problemy finansowe. „Eden”, wbrew temu, co sądziło wiele osób, nie był kaprysem bogatej dziedziczki. Rosalind potrzebowała dopływu gotówki i by ją zdobyć, podjęła wysokie ryzyko.

Roz nie obchodziło, czy ludzie uważali ją za milionerkę, czy za mysz kościelną. Tak naprawdę nie była ani jedną, ani drugą. Zdołała zbudować dobre, wygodne życie dla siebie i dzieci, korzystając ze środków, które miała do dyspozycji.

Więc teraz, jeśli poczuła ochotę, aby zabawić się w szalonego Świętego Mikołaja, nikt nie mógł jej mieć tego za złe.

Wpadła jak burza do centrum handlowego, po czym tak zapamiętała się w zakupach, że musiała aż dwukrotnie transportować pakunki do samochodu. Nie widziała jednak powodu, dla którego miałyby na tym poprzestać, skierowała się więc do Wal-Martu, by starannie przeczesać tamtejszy dział z zabawkami.

Jak zwykle, gdy tylko weszła do hipermarketu, od razu pomyślała o tysiącu rzeczy, z których mogłaby zrobić dobry użytek. Zanim więc dotarła do zabawek, miała już wózek załadowany do połowy.

Pięć minut później zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinna wziąć kolejnego. Na stercie zakupów balansowały niebezpiecznie dwa olbrzymie pudła, bardzo utrudniające manewrowanie.

Roz skręciła w kolejną alejkę i... zderzyła się czołowo z wózkiem innego klienta.

- Bardzo przepraszam. W żadnym razie nie chciałam... O, witaj.

Minęło wiele tygodni od jej ostatniego spotkania z doktorem Mitchellem Carnegie - genealogiem, którego zatrudniła, by zbadał pewną tajemnicę jej rodziny. Tak jakby zatrudniła - bo do tej pory odbyli jedynie kilka krótkich rozmów telefonicznych, wymienili parę formalnych mejli i tylko raz czy dwa widzieli się osobiście od owej nocy, gdy Mitchell przyszedł do Harper House na kolację i zetknął się oko w oko z duchem Oblubienicy.

Roz uważała go za interesującego mężczyznę. Poza tym spodobało jej się, że nie odzegał się od sprawy po wydarzeniach, jakich był świadkiem minionej wiosny.

Uchodził za wybitną osobistość w swojej dziedzinie i miał otwarty umysł. A najlepsze było to, że nie zdążył jej jeszcze zanudzić wypytywaniem o przodków i opowieściami o żmudnym ustalaniu tożsamości od dawna nieżyjącej kobiety.

W tej chwili wyglądał tak, jakby nie golił się od kilku dobrych dni - jego twarz pokrywał ciemny cień zarostu. W intensywnie zielonych oczach wyraźnie widać było zmęczenie, a brązowe włosy aż prosiły się o fryzjera.

Ubrany był mniej więcej tak samo jak przy ich pierwszym spotkaniu - w stare dżinsy i wyblakłą, bawełnianą bluzę. W odróżnieniu od Roz nie włożył jeszcze nic do wózka.

- Pomóż mi! - jęknął tonem nieszczęśnika wiszącego nad urwiskiem.
- Słucham?
- Sześćioletnia dziewczynka. Urodziny. Skrajna desperacja.
- Ach. - Roz po raz kolejny uznała, że bardzo podoba jej się ten niski, ciepły głos, nawet gdy pobrzmiwa w nim nuta paniki. - Co cię z nią łączy? - spytała rzeczowo.
- To moja siostrzenica. Jej pojawienie się na tym świecie było dla wszystkich pewną niespodzianką. Siostra na szczęście miała dość przyzwoitości, by na długo przed nią urodzić dwóch chłopców. Z chłopcami radzę sobie całkiem nieźle.
- Czy lubi wszystko, co typowo dziewczęce?

Mitchell wydał z siebie ochrypy jęk - jakby ktoś łamał grubą gałąź.

- No dobrze, już dobrze. - Roz kiwnęła na niego ręką i porzucając własny wózek, skrzyła w kolejną alejkę. - Oszczędziłbyś sobie sporo stresu, gdybyś porozumiał się z jej matką.
- Moja siostra jest na mnie wściekła, bo zapomniałem o jej urodzinach. Były w zeszłym miesiącu.
- Ach, tak.
- Słuchaj, w zeszłym miesiącu zapomniałem o wszystkim - kilka razy nawet nie pamiętałem, jak się nazywam. Mówiłem ci, że kończę pracę nad książką. Gonił mnie termin. A ona, na Boga, ma czterdzieści trzy lata. Albo czterdzieści jeden. Może dwa. - Wyczerpany, przesunął dłońmi po twarzy. - Czy wy, kobiety, przypadkiem nie przestajecie obchodzić urodzin, gdy stuknie wam czterdziestka?
- Przestajemy liczyć lata, doktorze Carnegie, co nie oznacza, że z takiej okazji nie oczekujemy odpowiedniego prezentu.
- Dobitnie powiedziane - odparł, podczas gdy Roz zaczęła uważnie przeglądać półki. - A skoro odezwałaś się do mnie per „doktorze Carnegie”, zaryzykuję stwierdzenie, że solidaryzujesz się z moją siostrą. Wysłałem jej jednak kwiaty - dorzucił tak komicznie bolesnym tonem, że Roz z trudem stłumiła śmiech. - OK, trochę się spóźniłem, ale wysłałem. Dwa tuziny róż. Ale i tak nie zdjęła mnie z haka. - Wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni i skrzywił się na widok Malibu Barbie. - Nie mogłem pojechać do Charlotte na Święto Dziękczynienia. Czy to czyni ze mnie potwora z piekła rodem?
- Mam wrażenie, że siostra bardzo cię kocha.
- Z rozkoszą zacznij planować moje szybkie zejście z tego świata, jeśli dziś nie kupię tego prezentu i jutro z samego rana nie wyślę pocztą kurierską.
- Roz wzięła w rękę jedną z lalek, by po chwili odłożyć ją z powrotem.
- Rozumiem więc, że urodziny siostrzenicy są właśnie jutro i że z kupnem prezentu czekałaś do za pięć dwunasta.

Przez chwilę milczał, po czym położył dłoń na jej ramieniu.

- Rosalind, czy naprawdę chcesz mojej śmierci?
- Nie czułabym się za nią w najmniejszym stopniu odpowiedzialna. Ale nie przejmuj się. Zaraz coś znajdziemy, a potem ładnie to zapakujesz i wyekspedujesz do miejsca przeznaczenia.
- O rany, to ma być jeszcze opakowane?
- Oczywiście. Poza tym musisz dołączyć jakąś uroczą okolicznościową kartkę, odpowiednią do wieku siostrzenicy. Hmm. To mi się podoba. - Roz poklepała wielkie pudło.
- Co to takiego?
- Domek dla lalek, złożony z wielu elementów, które można dowolnie łączyć. Do tego są mebelki, lalki i mały piesek. Zabawka sprawiająca wiele radości, a jednocześnie o pewnych walorach edukacyjnych. Upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu.
- Świetnie. Wspaniale. Rewelacja. Zawdzięczam ci życie.
- Czy nie znalazłeś się przypadkiem w obcych dla siebie rejonach? - spytała Roz, gdy Mitchell zdejmował pudło z półki. - Mieszkasz przecież w środku miasta. Tam jest mnóstwo najróżniejszych sklepów.
- W tym właśnie rzecz. Jest ich zbyt wiele. A centra handlowe? To jakiś straszny labirynt - piekielna, handlowa czeluść. Budzi we mnie przerażenie. Pomyślałem więc, że pojedę do Wal-Martu. Tu przynajmniej wszystko jest pod jednym dachem. Mogę kupić zabawkę dla dziecka, a poza tym... co to, do cholery, było? Proszek do prania. Tak, potrzebny mi proszek do prania, ale i coś jeszcze. Mam to na liście... - Sięgnął do kieszeni i wyjął elektroniczny notes. - Zaraz sprawdzę.
- W takim razie zostawiam cię z twoimi zakupami. Nie zapomnij o ładnym papierze do pakowania, wstążce, kokardzie i odpowiedniej kartce.

- Czekaj. Chwileczkę. - Powiódł specjalnym rysikiem po ekranie i dopisał kolejne pozycje. - Kokarda. Teraz zdaje się można je kupić gotowe, samo-przylepne i tylko przyklepać do pudła?
- Rzeczywiście. A więc powodzenia.
- Nie, nie. Nie odchodź. - Schował notes i spojrzał na Roz zdecydowanie przytomniej i uważniej. -Właśnie zamierzałem się z tobą skontaktować. Czy już kupiłaś wszystko, co chciałaś?
- Niezupełnie.
- Dobrze. W takim razie ja też złapię to, czego mi potrzeba, i za kilka minut spotkamy się przy kasach. Pomogę ci zapakować samochód, a potem porwę cię na lunch.
- Mitchell, właśnie dochodzi czwarta. Pora lunchu już dawno minęła.
- Doprawdy? - Machinalnie zerknął na zegarek. - Zdaje się, że w miejscach takich jak to wpada się w swoistą pętlę czasu - nie mając świadomości jego upływu można wędrować bez celu między półkami już do końca swoich dni. W takim razie zapraszam cię na drinka. Naprawdę chciałbym porozmawiać na temat naszego wspólnego przedsięwzięcia.
- Dobrze więc. Po drugiej stronie ulicy jest niewielka knajpka „U Rose”.

Mitchell jednak Cierpliwie czekał na nią przy kasach. Potem zaś uparł się, by pomóc Roz w zapakowaniu wszystkiego do samochodu. Gdy zerknął na pakunki już leżące na tylnym siedzeniu jej auta, jęknął głośno:

- Matko święta...
- Nie wybieram się często na zakupy, więc jak już dotrę do sklepów, nawet nie staram się ograniczać.
- Właśnie widzę.
- Ostatecznie do Bożego Narodzenia pozostało mniej niż trzy tygodnie.
- Muszę cię poprosić, żebyś więcej już nie wspominała na ten temat. -Mitch wtaszczył ostatnie wielkie pudło do bagażnika. - Zaparkowałem w tamtym

sektorze. - Machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku. -Spotkamy się na miejscu.

- Świetnie. Dzięki za pomoc.

Kiedy patrzyła, jak wędrował wśród rzędów samochodów, odniosła wrażenie, że tak naprawdę nie miał pojęcia, gdzie zostawił auto. Powinien zapisać jego lokalizację w tym swoim wymyślnym notesie, pomyślała Roz i parsknęła śmiechem.

Osobiście nie miała nic przeciwko roztargnieniu. W jej przekonaniu oznaczało to jedynie, że ktoś ma wiele ważnych spraw na głowie i potrzebuje odrobinę więcej czasu niż inni, by powrócić do prozaicznej rzeczywistości. Poza tym nie wynajęła go na chybił trafił. Dokładnie prześledziła dokonania doktora Mitchella Carnegie, zasięgnęła języka wśród znajomych, przeczytała lub przejrzała większość napisanych przez niego książek. Był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, pochodził z Południa i choć jego usługi nie należały do tanich, nie wzdragał się przed tak dziwacznym zadaniem, jak odkrycie tożsamości rodzinnej zjawy.

Roz zaparkowała przed kawiarnią i weszła do środka. W pierwszym odruchu chciała zamówić mrożoną herbatę lub filiżankę kawy, ale potem pomyślała: do diabła z tym wszystkim! - po tak wyczerpującej i zwieńczonej sukcesem wyprawie zasługiwała na kieliszek dobrego wina.

Czekając na Mitcha, zadzwoniła z komórki do „Edenu”, by zawiadomić, że tego dnia nie wróci już do pracy - o ile, oczywiście, nie wydarzyło się nic nagłego.

- U nas wszystko w porządku - zameldowała Hayley. - Ty zaś już chyba zdążyłaś wykupić całe centrum.

- Niemalże. A potem, w Wal-Marcie, przypadkiem natknęłam się na doktora Carnegie...

- Na tego nieprzytomnie seksownego genealoga? Czemu ja nigdy nie wpadam w Wal-Marcie na takich oszałamiających przystojniaków?

- Przyszłość przed tobą, wierz mi na słowo. W każdym razie wybieramy się na drinka, żeby omówić moje zlecenie.
- Super. Powinnaś przeciągnąć tę dyskusję jeszcze na kolację, Roz.
- Słuchaj, to nie jest randka, a jedynie przypadkowe, nieformalne spotkanie. Więc jeżeli cokolwiek się wydarzy w „Edenie”, natychmiast do mnie dzwońcie. Ja zaś, tak czy owak, mniej więcej za godzinę zjadę do domu.
- Nic zwracaj sobie nami głowy. Natomiast skoro oboje wkrótce powinniście coś zjeść, najlepiej będzie, jeśli...
- Wybacz, Hayley, ale właśnie nadchodzi doktor Carnegie. Porozmawiamy później.

Mitch wśliznął się na siedzenie naprzeciwko.

- Przyjemne miejsce. Czego się napijesz?

Roz zamówiła kieliszek wina, on zaś czarną kawę. Chwilę później jednak chwycił menu i poprosił jeszcze o talerz zimnych przekąsek.

- Musisz się posilić po tym handlowym safari - zdecydował. - Co u ciebie słychać?
- Wszystko w porządku. A u ciebie?
- Teraz, gdy już wyekspediowałem książkę do wydawnictwa, mam się jak najlepiej.
- Właśnie sobie uświadomiłam, że przez ten cały czas nie zapytałam, czego dotyczyła twoja ostatnia praca.
- To biografia Charles'a-Pierre'a Baudelaire'a. - Zawiesił głos, gdy jednak ujrzał pytające uniesienie brwi, podjął temat. - Dziewiętnastowiecznego poety z Paryża. Był nieokiełznaną duszą - a poza tym narkomanem i bardzo kontrowersyjną postacią, wiódł życie pełne dramatycznych zwrotów. Został skazany za obrazę moralności publicznej oraz bluźnierstwo. Do tego przehulał rodzinny majątek, przetłumaczył na francuski większość wierszy Edgara Poe i napisał kilka mrocznych poematów, a kilkadziesiąt lat po śmierci - spowodowanej zresztą chorobą weneryczną - liczna rzesza wielbi-

cieli uznała go za pierwszego modernistycznego poetę, inni zaś - za zboczonego sukinsyna.

- A który z obozów jest bliższy twojemu sercu? - spytała z uśmiechem Roz.
- Uważam, że był genialny i perwersyjny zarazem. Poza tym, chyba nie chciałabyś, żebym zaczął się rozwodzić na jego temat, dlatego powiem jedynie, że był to fascynujący, a jednocześnie frustrujący temat badań.
- Czy jesteś zadowolony z rezultatów swojej pracy?
- Tak. Ale najbardziej się cieszę, że już nie będę musiał żyć z Baude-laire'em dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- To trochę przypomina obcowanie z duchem.
- Jakże płynne przejście do meritum. - Uniósł filiżankę kawy w geście toastu. - Po pierwsze, pozwól, że podziękuję ci za cierpliwość. Miałem zamiar oddać tę książkę wiele tygodni temu, ale ciągle coś wyskakiwało.
- Przecież już na wstępie oznajmiłeś, że przez parę miesięcy nie będziesz miał dla mnie czasu.
- Nie sądziłem jednak, że potrwa to aż tak długo. Niemniej w drobnych przerwach w pracy rozmyślałem i nad twoim problemem. Co w gruncie rzeczy było całkiem naturalne po wydarzeniach minionej wiosny.
- Przyznaję, nie przypuszczałam, że aż tak blisko przyjdzie ci się zapoznać z Oblubienicą.
- Mówiłaś, że od tamtej pory wydaje się... mocno przygaszona.
- Wciąż jeszcze śpiewa chłopcom i małej Lily. Jednak alki z nas, dorosłych, nie widział jej od owej pamiętnej nocy. Natomiast jeśli mam być szczerą, to z mojej strony nie można mówić o cierpliwości, raczej o zabieganiu. Praca, dom, zbliżający się ślub Stelli, nowo narodzone dziecko Hayley. Poza tym po tamtym wieczorze uznałam, że wszystkim nam należy się chwila wytchnienia.
- Ja z kolei chciałbym teraz już poważnie zabrać się do pracy nad twoją sprawą - oczywiście, o ile wciąż jesteś zainteresowana.

- A więc zapewne nasze spotkanie należy uznać za niezwykle zrządzenie losu, bo już od jakiegoś czasu o niczym innym nie myślałam. Czego potrzebujesz do swoich badań?
- Przydatny będzie każdy materiał, jakim dysponujesz. Wszystkie prywatne zapiski, oficjalne dokumenty, pamiętniki, listy, opowieści rodzinne -nawet jeśli ich wymowa jest niejasna. Chętnie też obejrzę wszelkie możliwe zdjęcia i rękopisy - to pomaga wczuć się w atmosferę i utożsamić z bohaterami wydarzeń.
- Nie ma problemu.
- Do tej pory, w ramach oddechu od Baudelaire'a, poczyniłem też pierwsze niezbędne kroki. Zacząłem opracowywać drzewo genealogiczne twojej rodziny.
- Za które zapłacę z największą ochotą, bez względu na dalszy rozwój wydarzeń.
- Zastanawiałem się, czy w twoim domu nie znalazłoby się dla mnie nieco miejsca. Lwią część pracy wykonam u siebie, ale przydałby mi się kąt w Harper House, bo ten dom odgrywa bardzo ważną rolę w całej historii.
- Z miejscem nie będzie najmniejszego problemu.
- Jeżeli zaś chodzi o samą Amelię, dobrze byłoby, gdybyś sporządziła listę osób, które mogłyby cokolwiek wiedzieć na jej temat. Chciałbym z nimi porozmawiać.
- Dobrze.
- No i, oczywiście, potrzebna mi twoja pisemna zgoda - o której już wcześniej wspominaliśmy - na dostęp do wszelkich dokumentów spoczywających w urzędach stanowych, to znaczy do aktów urodzenia, zgonu, zawarcia małżeństwa, a także umów handlowych i tym podobnych.
- Dostaniesz taką zgodę.
- Oraz pozwolenie na dowolne dysponowanie rezultatami moich badań -na przykład ogłoszenie ich w formie publikacji książkowej.

Roz skinęła głową.

- Wcześniej jednak będę musiała zaaprobować jej treść. Mitch uśmiechnął się czarująco.
- W żadnym razie.
- Ależ, doprawdy...
- Chętnie podaruję ci egzemplarz książki, jeżeli zostanie wydana, nie ma jednak mowy o żadnej aprobacie. - Z szerokiego naczynia wyjął grissini i podał Roz niczym gałązkę oliwną. - To, co odkryję, będzie również moją intelektualną własnością. Jeśli opublikuję swoje odkrycia, nie zapłacisz mi ani centa za pracę.
- A jeżeli ich nie opublikujesz?
- Powrócimy do warunków ustalonych przy pierwszym spotkaniu. Trzydzieści godzin gratis, każda następna po pięćdziesiąt dolarów plus koszty. Możemy spisać formalny kontrakt, jeśli zechcesz.
- Uważam, że tak będzie najrozsądniej.

Kiedy pojawiły się przekąski, Roz zrezygnowała z kolejnego kieliszka wina, ale machinalnie sięgnęła po oliwkę.

- Czy w razie publikacji nie będziesz przypadkiem potrzebował zgody osób, z którymi przeprowadzisz wywiady i rozmowy?
- To już mój problem. Natomiast chętnie bym się dowiedział, czemu wcześniej nie zabrałaś się do rozwikłania tej tajemnicy? Niemal całe życie mieszkasz w Harper House, a nigdy nie próbowałaś zidentyfikować ducha, który pojawia się w twoim domu. A tak nawiasem mówiąc, nawet po moich wiosennych doświadczeniach wciąż nie mogę uwierzyć, że wypowiedziałem podobne zdanie.
- Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, czemu wcześniej o tym nie pomyślałam. Może byłam zbyt zajęta, a może po prostu już się przyzwyczyłam do obecności Oblubienicy. Nikt z mojej rodziny nigdy nie zawracał sobie nią głowy. Mogłabym przytoczyć wiele anegdot rodzinnych, opowiedzieć

o prześmiesznych dziwactwach różnych moich przodków, ale gdy chodzi o Amelię - nikt nic nie wiedział albo nie chciał zadać sobie trudu, by się dowiedzieć. Łącznie ze mną.

- Teraz jednak zmieniłaś zdanie.
- Im bardziej uświadamiałam sobie, jaką jestem ignorantką - tym silniejsza ogarniała mnie pokusa, żeby odkryć prawdę. A gdy owej czerwcowej nocy znowu zobaczyłam Oblubienicę, doszłam do wniosku, że muszę się dowiedzieć, kim była.
- Widywałaś ją dużo wcześniej, jak jeszcze byłaś dzieckiem.
- Tak. Przychodziła do mojego pokoju i śpiewała mi do snu. I nigdy nie budziła we mnie strachu. Ale, jak w wypadku wszystkich dzieci wychowywanych w Harper House, przestała mnie nawiedzać, gdy skończyłam dwanaście lat.
- W twoim wypadku nie skończyło się na dzieciństwie.

Szczególony wyraz jego oczu zdradził jej natychmiast, że teraz najbardziej tęsknił do swojego laptopa, a przynajmniej magnetofonu. Niespodziewanie stwierdziła, że ta intensywność spojrzenia jest niezwykle seksowna.

- Rzeczywiście. Przychodziła do mnie za każdym razem, gdy byłam w ciąży. Wówczas często wyczuwałam jej obecność. Zawsze wiedziała, kiedy w domu pojawi się kolejne dziecko. Pokazywała się i przy innych okazjach, ale zapewne miałbyś ochotę o tym porozmawiać w sposób bardziej formalny.
- Niekoniecznie bardziej formalny, chciałbym natomiast nagrywać nasze rozmowy. Zacznę, oczywiście, od podstaw. Stella powiedziała, że zobaczyła na szybie napisane imię Amelia. Sprawdzę więc dokumenty rodzinne - poszukam kobiety o tym imieniu.
- Już to zrobiłam. - Roz wzruszyła ramionami. - Uznałam, że sama mogę się zająć czymś tak prostym. Przejrzałam wszystkie akty urodzenia, ślubu, zgonu znajdujące się w moim archiwum, ale nie znalazłam żadnej Amelii.

- Przebadam jeszcze raz wszelkie dostępne dokumenty, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Rób, co uważasz za konieczne. Na pewno będziesz dokładniejszy ode mnie.
- Gdy już złapię trop, Rosalind, jestem nieustępliwy jak ogar. Zanim to wszystko się skończy, będziesz mnie miała po dziurki w nosie.
- Ja natomiast jestem trudną kobietą o zmiennych nastrojach, Mitchellu. Powiedziałabym więc, że też zdążę ci obrzydnąć.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zapomniałem, jaka jesteś piękna.
- Doprawdy?

Teraz już wybuchnął śmiechem. Powiedziała to tak konwencjonalnie uprzejmym tonem!

- To tylko pokazuje, jak bardzo pochłonał mnie Baudelaire. Zazwyczaj nie zapominam takich rzeczy. Z drugiej strony, nasz francuski poeta nie miał nic dobrego do powiedzenia na temat piękna.
- Nie? A jak się o nim wyrażał?
- „Jam piękna, o śmiertelni, niby sen z granitu... króluję wśród lazurów jak Sfinks niezbadany, lód serca łączę z śniegiem łabędziego puchu; niszczącego harmonię nienawidzę ruchu; i łyzy są obce, i śmiech nieznan”. To fragment jego słynnego poematu „Kwiaty zła”.
- Widać był strasznie smutnym człowiekiem.
- Skomplikowanym. I przerażającym egoistą. Na szczęście ty nie masz w sobie niczego kamiennego ani lodowatego.
- Musiałbyś porozmawiać z kilkoma moimi dostawcami. - Lub z moim eksmężem, dorzuciła w duchu. - A więc każę przygotować stosowną umowę i sporządzą na piśmie wszystkie upoważnienia, potrzebne do badania dokumentów. Jeśli zaś chodzi o miejsce do pracy, myślę, że do twoich celów najlepsza będzie biblioteka. W razie potrzeby znajdziesz mnie pod jednym z nu-

merów, które ci podałam. Gdyby to zawiodło, zawsze możesz się skontaktować z Harperem, Davidem, Stellą lub Hayley.

- Chciałbym rozpocząć za kilka dni.
- Będziemy gotowi. A teraz już naprawdę powinnam zbierać się do domu. Dziękuję za drinka.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem ci winien znacznie więcej za pomoc w wyborze prezentu. Wybawiłaś mnie z nie lada kłopotu.
- Jestem pewna, że w oczach tej dziewczynki staniesz się najprawdziwszym bohaterem.

Mitch położył na stole kilka banknotów, a potem podał rękę Roz, zanim zdążyła sama wysunąć się z łoży.

- Czy w domu będzie ktoś, kto pomoże ci wtaszczyć te łupy do środka?
- Własnoręcznie przenosiłam już o wiele większe ciężary, ale tak, na miejscu będę miała Davida.

Odprowadził ją do samochodu.

- Wkrótce się z tobą skontaktuję - obiecał, otwierając przed nią drzwi.
- Będzie mi bardzo miło. Zadzwoń i powiedz, co zamierzasz kupić siostrze na Gwiazdkę.

Mitch wykrzywił twarz w komicznym wyrazie cierpienia.

- Do diabła, musiałaś wszystko popsuć?

Roz ze śmiechem zatrzasnęła drzwi, ale otworzyła okno.

- U Dillarda mają fantastyczne kaszmirowe sweterki. Każdy brat, który podaruje siostrze coś podobnego pod choinkę, dostanie natychmiast rozgrzeszenie za wszelkie uprzednie luki w pamięci.
- Czy jesteś pewna? To jakaś kobieca reguła?
- Prezent od męża lub kochanka powinien rzucać skry, od brata najlepszy jest kaszmir. Możesz wierzyć mi na słowo.
- U Dillarda?

- Owszem - odrzekła Roz i uruchomiła silnik. - A więc do zobaczenia. Oddalając się, zerknęła we wsteczne lusterko. Mitch stał z rękami w kieszeniach, kołysząc się na obcasach.

Hayley miała rację. Ten mężczyzna jest nieprzytomnie seksowny.

Roz zatrzymała auto przed domem, wyniosła pierwszą porcję pakunków i skierowała się prosto do swojego skrzydła domu. Po krótkiej wewnętrznej debacie postanowiła złożyć wszystko w swoim saloniku. Następnie ruszyła w dół po resztę zakupów.

Z kuchni dobiegały głosy chłopców raczących Davida szczegółową opowieścią o przebiegu dnia. Doskonale się składa - będzie mogła sama zanieść wszystko na górę i ukryć przed ciekawskimi oczami, zanim ktoś się zorientuje, że już wróciła do domu.

Kiedy zakupy wreszcie znalazły się w saloniku, Roz stanęła pośrodku pokoju i wbiła pełen niedowierzania wzrok w pudła i paczki.

Najwyraźniej kompletnie zwariowała. Gdy patrzyła na te sterty, zrozumiała, czemu Mitch miał taki dziwny wyraz twarzy. Szaleństwo jednego popołudnia sprawiło, że teraz mogłaby otworzyć własny sklep z różnościami.

Jak, do diabła, zdoła zapakować te wszystkie prezenty?

Później się nad tym zastanowie, zdecydowała w duchu, przesuwając palcami po włosach. Później.

Teraz natomiast zadzwoni do swojego prawnika i ustali z nim warunki kontraktu dla Mitcha.

Jej adwokatem był kolega ze szkoły średniej, więc miała przywilej telefonowania do niego do domu. A ponieważ był to właśnie kolega ze szkoły średniej, rozmowa trwała dwa razy dłużej, niż powinna. Stąd, zanim Roz odłożyła słuchawkę, przywróciła jaki taki porządek w saloniku i zeszła na dół -w domu panował już spokój.

Hayley zapewne kołysała Lily. Stella szykowała chłopców do snu. David natomiast - jak się dowiedziała z notatki leżącej na kuchennym stole - wybrał się do siłowni.

Roz skubnęła nieco zostawionej dla niej potrawki, po czym zdecydowała się na spacer po ogrodzie. W chatce Harpera paliło się światło. David na pewno dał znać przyjacielowi, że ugotował jedną z jego ulubionych potraw. Jeżeli chłopak zgłodnieje, będzie wiedział, gdzie ją znaleźć.

Roz wróciła do domu, naląła sobie kieliszek wina i z utęsknieniem zaczęła myśleć o długiej, gorącej kąpieli.

Kiedy znalazła się ponownie na górze, kątem oka pochwyciła jakiś ruch w swoim saloniku. W pierwszej chwili zastygła w bezruchu, ale po sekundzie wahania zdecydowanie podeszła do drzwi. Ku swojej wielkiej uldze ujrzała Stellę.

- Napędziłaś mi stracha - powiedziała.

Stella podskoczyła i odwróciła się z ręką przyciśniętą do piersi.

- Rany boskie! Wprost trudno uwierzyć, że po wszystkich przeżyciach w tym domu wciąż jeszcze serce podchodzi nam do gardła. Myślałam, że cię tu zastanę. Przyszłam przedstawić ci cotygodniowy raport i zobaczyłam to... - Wskazała ręką w stronę pudeł, paczek i toreb stojących wzdłuż całej ściany. - Roz, czyżbyś wykupiła całe centrum handlowe?

- Niezupełnie. Choć mocno je przetrzebiłam. I właśnie z tego powodu nie jestem w nastroju do omawiania jakiegokolwiek raportu. Teraz marzę wyłącznie o winie i gorącej, relaksującej kąpieli.

- W pełni na nią zasłużyłaś. W takim razie popracujemy jutro. A gdybyś potrzebowała mojej pomocy w zapakowaniu tego wszystkiego...

- Zgoda!

- Zapukaj do moich drzwi dowolnego wieczoru, gdy dzieci już znajdą się w łóżkach. A tak przy okazji, Hayley wspomniała, że wybrałaś się na drinka z Mitchem Carnegie.

- Uhm. Wpadliśmy na siebie - jakżeby inaczej - w Wal-Marcie. Wcześniej czy później każdego się tam spotka. Mitch skończył właśnie książkę i chyba aż się pali do naszego projektu. Będzie chciał również porozmawiać z tobą i Hayley. Nie masz nic przeciwko temu?
- Skądże. Prawdę mówiąc, też nie mogę się już doczekać. Teraz jednak pozwolę ci wreszcie na tę kąpiel. A więc do zobaczenia rano.
- Dobranoc.

Roz zamknęła za sobą drzwi łazienki. Nalała do wanny pachnącego, cudownie pianistego płynu, zapaliła dużo świeczek. Postanowiła, że tym razem nie będzie czytać w kąpeli żadnej fachowej literatury. Po prostu się odpręży i poleży beczynnio w gorącej, wonnej pianie.

W migotliwym blasku świec weszła do wanny i wydała przeciągłe, pełne ulgi westchnienie. Pociągnęła łyk wina, a potem zanurzyła się aż po brodę. Czemu, do diabła, częściej nie sprawiała sobie tej przyjemności?

Wyciągnęła rękę z piany i poddała drobiazgowym oględzinom. Długa, wąska dłoń mocno stwardniała od fizycznej pracy. Paznokcie - krótkie, niepomalowane. Pokrywanie ich lakierem nie miało najmniejszego sensu, jeśli cały dzień tkwiły w ziemi. Były (o silne ręce, nawykłe do roboty. Roz nie widziała wcale potrzeby, by ozdabiać je jakimikolwiek błyskotkami.

Potem uniosła stopy i mimowolnie uśmiechnęła się szeroko. Jeśli chodzi o paznokcie u nóg, pozwalała sobie na szaleństwo. W tym tygodniu pomalowała je metalicznym lakierem w odcieniu fiołkowym. Nie przeszkadzało jej, że całymi dniami były ukryte w grubych, wełnianych skarpetach lub ciężkich, znoszonych butach. Roz dobrze wiedziała, że ma seksowne stopy. A ich upiększanie było drobną słabostką przypominającą, że przecież jest kobietą.

Piersi nie sterczały już tak powabnie jak za młodych lat. Na szczęście były drobne, więc nie opadły zbyt dramatycznie. Przynajmniej na razie.

O ile nieszczególnie przejmowała się stanem swoich dłoni - ostatecznie traktowała je głównie jako narzędzie pracy - o tyle bardzo dbała o cerę. Nie

mogła całkiem powstrzymać zmarszczek, ale dopieszczała skórę, kiedy tylko mogła.

Pilnowała również, by we włosach nie pojawiały się nitki siwizny. Owszem, nieuchronnie zbliżała się do pięćdziesiątki - nie oznaczało to jednak, że powinna zapomnieć o wyglądzie i zaprzestać walki z niszczącymi skutkami upływającego czasu.

Kiedyś była bardzo piękną kobietą. Młodziutką oblubienicą promieniejącą świeżością i szczęściem. Na Boga, gdy patrzyła na swoje zdjęcia z owego okresu, niekiedy mogłaby przysiąc, że patrzy na nieznaną sobie osobę.

Minęło już niemal trzydzieści lat, pomyślała z nostalgią. Trzydzieści lat, które przeminęły prawie w okamgnieniu.

A ile czasu minęło od chwili, gdy jakiś mężczyzna powiedział jej, że jest piękna? Bryce, oczywiście, często to powtarzał, ale to, co mówił, zazwyczaj okazywało się kłamstwem.

Natomiast Mitch rzucił tę uwagę niemal od niechcienia, niezwykle naturalnie. Co przydawało jego słowom szczególnej wiarygodności.

Czemu jednak miałyby tym sobie w ogóle zawracać głowę?

Mężczyźni! Otrząsnęła rękę z piany i wypła kolejny łyk wina. Czemu w ogóle zaczęła myśleć o mężczyznach?

Pewnie dlatego, zdała sobie sprawę ze śmiechem, że nie było wokół nikogo, kto mógłby zachwycać się jej seksownymi stopami. Nikogo, kto dotykałby jej tak, jak lubiła najbardziej. Nikogo, kto by ją rozpałał, trzymał w nocy w ramionach.

Przez lata obywatła się bez tych przyjemności i była bardzo zadowolona z życia. Jednak od czasu do czasu brakowało jej kogoś u boku. I może dziś odczuła to silniej niż zazwyczaj, bo spędziła popołudnie w towarzystwie wyjątkowo atrakcyjnego mężczyzny.

Kiedy woda stała się ledwie letnia, Roz wyszła z wanny. Podśpiewując pod nosem, wytarła się starannie, po czym zaczęła wcierać w ciało nawilżające

emulsje i kremy. Potem owinęła się szczelnie w ciepły, flanelowy szlafrok i przeszła do sypialni.

Poczuła dziwny chłód, jeszcze zanim ujrzała zarys sylwetki na tle tarasowych drzwi.

Tym razem jednak nie była to Stella. Od nocnego nieba wyraźnie odcinały się blond loki i jasnoszara suknia Oblubienicy. Roz delikatnie odchrząknęła.

- Minęło wiele czasu od chwili, gdy odwiedziłaś mnie po raz ostatni - rzuciła lekkim tonem. - Wiem, że nie jestem w ciąży, więc tym razem musi chodzić o coś zupełnie innego. Amelia... Czy tak właśnie brzmi twoje imię?

Zgodnie z oczekiwaniami odpowiedziało jej milczenie. Oblubienica jednak uśmiechnęła się nieznacznie, by po chwili rozpląnąć się w powietrzu.

- No cóż - westchnęła Roz, masując dla rozgrzewki ramiona - mam nadzieję, że w ten sposób dajesz do zrozumienia, iż apróbujesz nasze poszukiwania.

Przeszła do saloniku, wzięła stojący na biurku kalendarz i pod dzienną datą zanotowała pojawienie się Oblubienicy.

Doktorowi Carnegie zapewne spodoba się taka skrupulatność.

3

Nie miał pojęcia o ogrodnictwie i pielęgnacji roślin. Ale przecież to rozumiałe, bo niemal całe życie spędził w mieście i nigdy nie miał ogrodu. Niemniej bardzo lubił oglądać rośliny i kwiaty i podziwiał ludzi, którzy wiedzieli, jak się z nimi należy obchodzić.

Rosalind Harper bez wątpienia była jedną z nich.

W czerwcu miał okazję obejrzeć ogrody otaczające jej rezydencję, choć ich niezwykle piękno zbladło w jego pamięci po niesamowitym spotkaniu z Oblubienicą. Mitch zawsze wierzył w coś takiego jak dusza czy energetyczny

ślad osobowości. Jakże inaczej mogłyby go aż tak fascynować stare historie rodzinne i drzewa genealogiczne? Wierzył, że ów szczególny byt astralny mógł wpływać na potomnych - nawet przez wieki.

Ale w żadnym razie Mitch nie przyjmował do wiadomości, że ów duch mógłby się objawiać w jakiegokolwiek materialnej formie.

Minionej wiosny musiał zweryfikować swoje poglądy.

Dla człowieka o tak analitycznym, akademickim umyśle była to sytuacja trudna do zaakceptowania. Nie można jednak było zanegować zaistniałych faktów.

Nic więc dziwnego, że wciągnęła go ta niezwykła historia. Dlatego teraz, gdy książka o Baudelaire spoczywała już w wydawnictwie, nie mógł się doczekać, by skierować całą swoją energię, czas i umiejętności na zidentyfikowanie zjawy, która od ponad wieku krążyła po Harper House.

Przed nim jeszcze tylko kilka drobnych przeszkód prawnych, a gdy już je pokona, będzie mógł pełną parą zabrać się do pracy.

Z tą myślą skręcił na parking przy „Edenie”.

Z miejsca uderzyło go, że centrum ogrodnicze - które, wedle jego wyobrażeń, mogło być atrakcyjne tylko wiosną i na początku lata - prezentowało się aż tak pięknie u schyłku grudnia.

Niebo - co typowe dla tej pory roku - zasnuwały ciężkie, ołowiane chmury grożące lodowatym deszczem. Mimo to wokół było mnóstwo roślin. Mitch nie miał pojęcia, jakie nosiły nazwy, musiał jednak przyznać, że wyglądały pięknie. Krzewy o rdzawoczerwonych gałęziach, krzewy zimozielone, grubo-listne, obwieszane połyskliwymi jagodami, rośliny o srebrzystych, jakby puchem pokrytych liściach oraz wielobarwne, delikatne bratki - jedyne z wystawionych tu okazów, które rozpoznał na pierwszy rzut oka.

Po drugiej stronie dojrzał skład materiałów budowlanych, zapewne potrzebnych do zakładania ogrodów, a stojących zaś w pobliżu długich stołach

znajdowały się rozmaite drzewka i krzewy, które - jak przypuszczał - były dość wytrzymałe, by bez szwanku znieść zimowe temperatury.

Nad parkingiem górował parterowy długi budynek o nisko zadaszonym ganku, przystrojony donicami z poinsecjami oraz karłowatymi sosenkami obwieszonymi bożonarodzeniowymi światełkami.

To miejsce tętniło życiem. Sądząc po licznie zaparkowanych samochodach, po terenie kręciło się wielu klientów. Dwóch mężczyzn ładowało na ciężarówkę wielki świerk z korzeniami oblepionymi ściółką, a kilka kobiet wytaczało ze sklepu czerwone wózki załadowane świątecznymi roślinami i plastikowymi torbami.

Mitch ruszył przed siebie i wkrótce znalazł się w punkcie sprzedaży.

Zdumiała go różnorodność asortymentu. Donice, doniczki, skrzynki, pięknie przybrane małe bożonarodzeniowe drzewka na biurko, poradniki, albumy, narzędzia i mnóstwo torebek z nasionami. Część produktów już opakowano tak, by od razu mogły się stać eleganckim prezentem.

Cóż za błyskotliwy pomysł!

Mitch zapomniał nagle, że jak najszybciej zamierzał odnaleźć Roz, i zapuścił się w labirynt alejek. Kiedy ktoś z obsługi zapytał, czy można mu pomóc, jedynie z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

Trzeba było wiele siły woli i determinacji, by założyć i doprowadzić do rozkwitu podobne przedsięwzięcie - pomyślał, patrząc na półki z różnymi mieszankami wzbogacającymi glebę, nawozami w pastylkach - uwalniającymi w miarę upływu czasu czynne substancje - oraz ziołami odstraszającymi insekty i zwierzęta. Tak jest - to wymagało wiele pracy, wiedzy i odwagi.

Nie było to błahe hobby arystokratki z Południa, ale poważny interes, ukazujący, jak wiele twarzy ma ta niezwykła kobieta.

Piękna, enigmatyczna, pewna siebie i stanowcza Rosalind Harper. Jakież mężczyzna nie miałby ochoty przedrzeć się przez te wszystkie wcielenia i dotrzeć do istoty jej osobowości?

W gruncie rzeczy powinien gorąco podziękować swojej siostrze i siostrzenicy, bo to przez nie wybrał się na wielką wyprawę do hipermarketu. Zderzenie z Roz, spędzenie z nią godziny na zakupach, a potem godziny w kawiarni były najbardziej intrygującym przeżyciem, jakiego doznał od wielu miesięcy.

Trudno się więc dziwić, że pragnął je powtórzyć i że właściwie przyjechał do „Edenu” tylko po to, by odkryć kolejną stronę osobowości tej kobiety. Przechodząc przez następne szklane drzwi, poznawał nowe dla siebie światy - tutaj paprociowate i bluszczowate rośliny zwieszały się z półek bądź wysokich postumentów.

W końcu kolejne alejki zaprowadziły go do szklarni zastawionej długimi, drewnianymi stołami. Stało tam kilka skrzynek z bratkami oraz innymi, nieznanymi mu roślinami - oznakowanymi specjalnymi naklejkami z nic niemówiącymi nazwami. Ale w większości blaty świeciły pustkami.

Kiedy się zastanawiał, czy powinien iść dalej, czy może zawrócić, ujrzał przed sobą Harpera, który właśnie wszedł z ogrodu.

- Dzień dobry. Czy mogę w czymś pomóc? - Chłopak podszedł bliżej i twarz rozjaśnił mu uśmiech. - O! Witam, doktorze Carnegie.
- Mów mi Mitch. Miło cię znów widzieć, Harperze. - Wyciągnął przed siebie dłoń.
- Pana również. Ten zeszłotygodniowy mecz przeciw Little Rock był absolutną rewelacją.
- To fakt. Obejrzałeś go na żywo?
- Nie zdążyłem na pierwszą kwartę, ale reszta zwała mnie z nóg. Josh praktycznie rządził na boisku.
- Fakt, rozegrał świetny mecz. - Mitcha rozpierała duma z syna. - W tym tygodniu grają przeciw Missouri. Tym razem jednak będę musiał się zadowolić transmisją w telewizji.

- Jak ja. Ale kiedy zobaczysz syna, powiedz mu, że ten rzut za trzy punkty w ostatnich pięciu minutach był super.
- Zrobię to na pewno.
- A wracając do rzeczywistości. Szukasz czegoś lub kogoś?
- Prawdę mówiąc, twojej mamy. - Kobiety, po której odziedziczyłeś oczy, usta i koloryt, przemknęło mu przez głowę. -Wcześniej jednak postanowiłem rozejrzeć się po jej królestwie. To doprawdy imponujące przedsięwzięcie.
- Kosztowało nas wszystkich wiele pracy. Jeśli zaś chodzi o Roz, znajdziesz ją w cieplarni. Zaprowadzę cię.
- Dzięki. Prawdę mówiąc, jestem zdumiony, że firma ogrodnicza tak tętni życiem w środku zimy.
- Jak hoduje się rośliny, zawsze ma się ręce pełne roboty. - Harper powiódł wzrokiem dookoła. - Z okazji świąt zatrudniliśmy więcej pracowników, poza tym już się zajmujemy roślinami wiosennymi.

Wyszli na zewnątrz i Mitch znowu przystanął, żeby się rozejrzeć. Ujrzał dwie następne duże, niskie szklarnie, oddzielone od siebie szeroką aleją, gdzie pod wiatami stały kolejne drewniane stoły. Stąd także widział miejsce, z którego ktoś potężną maszyną wykopywał właśnie dorodną sosnę - a może świerk lub jodłę? Czym właściwie różniły się od siebie?

Dalej znajdowały się staw i strumień, a potem zagajnik oddzielający Harper House od centrum.

- To robi wielkie wrażenie - zwrócił się do Harpera. - Nie przypuszczałem, że wasze przedsiębiorstwo jest aż tak imponujące.
- Mama zawsze idzie na całość, nie uznaje półśrodków. Zaczynaliśmy na nieco mniejszą skalę, wkrótce jednak dobudowaliśmy dwie szklarnie i powiększyliśmy punkt sprzedaży detalicznej.

To coś więcej niż tylko biznes, pomyślał Mitch. To sposób na życie.

- Musieliście włożyć w to mnóstwo wysiłku.
- Fakt. Ale przede wszystkim trzeba kochać tę pracę.

- A ty ją kochasz?
- Jasne. Oto moje królestwo. W tej niewielkiej szklarni zajmuję się szczepkami. Chociaż w okresie świątecznym głównie pomagam przy drzewkach. Właśnie szedłem do szkółki, gdy się spotkaliśmy.

Zaczął siąpić chłodny deszcz i Harper skinął głową w stronę pobliskiej cieplarni.

- Tam właśnie znajdziesz mamę. Odkąd mamy Stellę, spędza większość czasu na rozmnażaniu roślin.
- Teraz na pewno trafię. Ruszaj do swoich zajęć. Już i tak zająłem ci mnóstwo czasu.
- Wracam więc do choinek. - Harper naciągnął daszek czapki na czoło, bo padało coraz mocniej. - Przeniosę je pod dach, zanim deszcz na dobre przepłoszy klientów. A ty idź do mamy. Do zobaczenia.

Harper ruszył energicznie przed siebie i już miał skręcać do szkółki, gdy dojrzał Hayley nadbiegającą z przeciwka.

- Harper! Poczekaj! Zatrzymaj się na chwilę.

Stanął i podciągnął wyżej daszek, by popatrzeć na dziewczynę. Miała na sobie czerwoną dzinsową kurtkę oraz baseballówkę z logo „Edenu”. Swego czasu Stella zamówiła takie czapki dla wszystkich pracowników.

- Jezu, Hayley, uciekaj do środka. Za chwilę lunie jak z cebra.
- Czy to był doktor Carnegie?
- Tak. Szukał szefowej.
- I ty zaprowadziłeś go do cieplarni?! -W głosie dziewczyny pobrzmiwały irytacja i niedowierzenie. - Jak mogłeś być tak głupi?
- O co ci chodzi? Szukał mamy, która siedzi w cieplarni. Wiedziałem, że tam jest, bo wyszedłem od niej pięć minut wcześniej.
- I tak po prostu go do niej zabrałeś? - Wymachiwała gwałtownie rękami przed jego nosem. - Nie dając jej wcześniej znać?
- Znać? Ale o czym?

- Że przyszedł doktor Carnegie, na Boga! Tylko z mety zaprowadziłeś go do cieplarni - gdzie Roz pracuje brudna, spocona, bez makijażu i w swoich najgorszych ciuchach. Nie mogłeś, do diabła, zatrzymać go na pięć minut i jakoś ostrzec mamę?
- Ostrzec? Ale przed czym? Przecież wygląda tak jak co dzień. Co to, do cholery, ma za znaczenie?
- Jeżeli nie pojmujesz, to naprawdę jesteś głupi. Ale teraz już za późno, by naprawić sytuację. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że może pewnego dnia, Harperze Ashby, uda ci się zrobić użytek ze swojego męskiego, ograniczonego rozumu.
- To jakieś kompletne wariactwo - mruknął zrzędlawie tuż po tym, jak Hayley uderzyła go pięścią w ramię i zniknęła w głębi sklepu.

Mitch wszedł do cieplarni. Już sekcja roślin doniczkowych wydała mu się egzotyczna, ale nagle okazała się niczym w porównaniu z tym, co tu zobaczył. W gorącym, przesyconym wilgocią powietrzu bujnie rozrastały się liczne rośliny w najprzeróżniejszych stadiach rozwoju. Deszcz uderzający o szklany dach, razem z tym widokiem, sprawił, że Mitch poczuł się, jakby wkroczył do zaczarowanej jaskini.

Wokół unosił się zapach świeżych liści i ziemi, a do tego brzmiały łagodne dźwięki muzyki. Nie klasycznej, jak zauważył. Nie było to również New Age, tylko coś pociągająco łączącego oba te gatunki.

Na stołach znajdowały się rozmaite narzędzia ogrodnicze, wiaderka i torebki oraz płytkie czarne pojemniki pełne świeżych, delikatnych listków.

W końcu pomieszczenia dojrzał zwróconą do niego plecami Roz, pochłoniętą pracą.

Ta kobieta ma przepiękną szyję, przemknęło mu przez głowę. I natychmiast poczuł się dość głupio. Z drugiej strony, to niezaprzeczalny fakt. Pewnie krótkie strzyżenie uwydatniało ową elegancką, smukłą linię.

Nawiasem mówiąc, wszystko w tej kobiecie było piękne i smukłe. Ramiona, nogi, tułów. Teraz co prawda to intrygujące ciało kryło się pod powypychanymi spodniami i bezkształtną, bawełnianą bluzą o podwiniętych rękawach, Mitch jednak doskonale pamiętał porywającą figurę Roz.

Jej oczy też były niespotykanie podłużne, w ciepłym kolorze głębokiego bursztynu. W tym właśnie momencie ich spojrzenie skupiło się na nim.

- Przepraszam, że przeszkadzam.
- Nic nie szkodzi. Choć nie spodziewałam się zobaczyć cię w tym miejscu.
- Dostałem dokumenty, o których mówiliśmy, postanowiłem więc przyjechać, aby osobiście cię powiadomić, że podpisana umowa jest już w drodze do twojego prawnika. Dzięki temu miałem też okazję obejrzeć twoje królestwo. Zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Chociaż nie mam zielonego pojęcia o roślinach, jestem pełen podziwu.
- Dziękuję.

Mitch zerknął na stół. Stały tam niewielkie doniczki, niektóre puste, niektóre z zasadzonymi już w ziemi małymi, zielonymi listkami.

- Co właściwie robisz? - zapytał.
- Przesadzam do doniczek młodziutkie siewki. To akurat są celozje.
- Nie mam pojęcia, co to jest.
- Z pewnością widziałeś celozję. - Odruchowo potarła dłonią twarz, zostawiając cieniutką smużkę ziemi na policzku. - Gdy kwitnie, przypomina małe miotełki z piór do usuwania kurzu w bardzo jaskrawych kolorach. Czerwone cieszą się największą popularnością.
- Rozumiem. A ty wsadzasz te listki do małych doniczek, ponieważ...?
- Ponieważ gdy celozja na dobre wykształci korzenie, nie lubi być ruszana z miejsca. Dlatego póki roślinki są jeszcze bardzo młode, dostają własne pojemniki i w nich zaczynają kwitnąć, czekając na wiosennych klientów. Potem przed nimi jeszcze tylko jedno przesadzanie - do ogrodu. Tyle są w stanie znieść. Nie wydaje mi się jednak, by fascynował cię ten temat.

- Sam bym się o to nie podejrzewał, ale dzisiaj właśnie odkryłem nowy wspaniały świat. Co masz tutaj?

Zdziwiona, uniosła brwi.

- Dobrze, niech ci będzie. To jest lewkonia. Ma piękny, bardzo intensywny zapach. A widzisz te żółtawozielone listki? To jej odmiana wielopędowa. Pięknie i obficie kwitnie już od wczesnej wiosny. Zawsze staram się zaoferować moim klientom jak największy wybór gatunków i kolorów. Teraz jesteśmy w sekcji roślin jednorocznych. Wieloletnie znajdują się z tyłu.
- To dar Hoży czy lala pilnych studiów? Skąd wiesz, jak postępować i jak odróżnić, hm... celozję od lewkonii, kiedy są jeszcze takie małe?
- Jedno i drugie, a w dodatku zamiłowanie do tej pracy oraz doświadczenie. Zajmuję się roślinami praktycznie od dzieciństwa. Pamiętam moją babkę ze strony Harperów, gdy przyciskała palce do moich dłoni, pokazując, jak należy ubić ziemię wokół świeżo zasadzonej rośliny. Gdy o niej myślę, zawsze widzę ją w ogrodach Harper House.
- Elizabeth McKinnon Harper, żona Reginalda Harpera juniora.
- Masz doskonałą pamięć.
- Ostatnio przeglądałem twoje drzewo genealogiczne. Jaka ona była? Na wspomnienie o babce twarz Roz złagodniała i pojawił się na niej wyraz nostalgii.
- Dobra, cierpliwa, chyba że porządnie załazło się jej za skórę. Wówczas potrafiła być przerażająca. Wszyscy mówili do niej Lizzie lub Lizzibeth. Zazwyczaj paradowała w męskich spodniach, spłowiełej błękitnej koszuli i dziwnym słomkowym kapeluszu. Na Południu kobiety po osiągnięciu pewnego wieku zawsze do prac w ogrodzie wkładają takie śmieszne kapelusze. To żelazna zasada. Pachniała eukaliptusem i miętą, z której robiła specjalny wyciąg do odstraszania insektów. Jej recepturę stosuję do dzisiaj.

Podniosła kolejną doniczkę.

- Chociaż zmarła trzydzieści lat temu, wciąż bardzo mi jej brakuje. Zasnęła w bujanym fotelu w ogrodzie pewnego upalnego lipcowego dnia. Ogławiła różę, przysiadła na chwilę, by odpocząć. Już więcej się nie obudziła. Myślę, że to bardzo przyjemny sposób rozstania się z tym światem.
- Ile miała wówczas lat?
- Utrzymywała, że siedemdziesiąt sześć, ale zgodnie z metryką - osiemdziesiąt cztery. W dość późnym wieku urodziła tatę, ja zresztą też byłam spóźnionym dzieckiem moich rodziców. Sama jednak złamałam tradycję Harperów i swoich synów urodziłam bardzo młodo.
- Czy babcia kiedykolwiek opowiadała ci o Oblubienicy?
- Owszem. - Roz ani przez chwilę nie odrywała się od pracy. - Była z domu McKinnon, więc oczywiście nie wychowywała się w Harper House. Twierdziła jednak, że widywała Oblubienicę, gdy zamieszkała w rezydencji po śmierci mojego pradziadka. Mój dziadek Harper naturalnie wychowywał się w tym domu i jeżeli dobrze umiejscowiliśmy Amelię w czasie, musiał być maleńkim dzieckiem, jak zakończyła życie. On sam zmarł, gdy ja miałam osiem lat i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wspominał o zjawie.
- A twoi rodzice i inni krewni?
- Czy włączył pan już licznik, doktorze?
- Przepraszam.
- Nie przepraszaj. Nie mam nic przeciwko temu. - Oznakowała świeżo przesadzoną roślinę i sięgnęła po następną doniczkę. - Właśnie zdałam sobie sprawę, że mój ojciec nigdy nie mówił wiele o sprawach rodzinnych. Może to cecha mężczyzn z rodu Harperów, a może mężczyzn w ogóle. Moja matka bez przerwy narzekała, że jej życie to jeden wielki dramat. Utrzymywała, że Oblubienica często jej się objawia, przyprawiając ją o palpacje. Ale mamę zawsze coś przyprawiało o rozstrój nerwowy.
- Czy ona lub twoja babka prowadziły pamiętnik?

- Obie prowadziły zapiski. To kolejna piękna tradycja, którą całkowicie zarzuciłam. Kiedy mój ojciec się ożenił i sprowadził żonę do domu, babcia przeniosła się do domku gościnnego. Gdy umarła, tato porządkował po niej rzeczy. Zapytałam go o pamiętniki, ale powiedział, że zniknęły. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Mam natomiast zapiski mojej matki. Chętnie ci je udostępnię, chociaż obawiam się, że nie znajdziesz tam niczego, co mogłoby pomóc ci w pracy.
- Niemniej chętnie je przejrzę. A co z ciotkami, wujami, kuzynami?
- Mam ich mnóstwo. Przede wszystkim żyje siostra mojej matki. Kilka lat temu wyszła za jakiegoś angielskiego lorda czy earla - nawiasem mówiąc, to jej trzecie małżeństwo. Obecnie mieszka w Sussex i rzadko się widzimy. Ma dzieci z pierwszego i drugiego małżeństwa, a te dzieci również mają dzieci. Mój ojciec był jedynakiem. Ale jego ojciec - mój dziadek - miał cztery siostry, córki Reginalda.
- Tak. Umieściłem je na swojej liście.
- Nie pamiętam ich. Każda jednak miała potomstwo. Niech się zastanowię... To moi kuzyni Frank i Esther, oboje już dawno umarli, choć oczywiście nadal żyją ich dzieci. Do tego Lucernę, Bobby i Miranda. Bobby zginął w czasie drugiej wojny światowej, Miranda i Lucernę już także zeszły z tego świata. Wszyscy mieli dzieci, które także miały dzieci. Następnie Owen, Yancy i... hm... Marylou. Marylou mieszka w Biloxi. Cierpi na zaawansowaną demencję i jest pod opieką dzieci. O losie Yancy'ego nic mi nie wiadomo. W młodości uciekł z domu, by zabawić się w czasie karnawału, i słuch po nim zaginął. Gdy ostatni raz słyszałam o Owenie, był srogim kaznodzieją w Macon, w Georgii. Zapewniam, że nie rozmawiałby z tobą na temat duchów.
- Nigdy nie wiadomo.

Roz mruknęła coś niewyraźnie pod nosem.

- No i mamy jeszcze kuzynkę Clarise - podjęła po chwili. - Nigdy nie wyszła za mąż i dożyła późnego wieku. Wyjątkowo zgryźliwa kobieta. Mieszka w osiedlu dla seniorów po drugiej stronie miasta. Od dawna ze mną nie rozmawia.
- Dlaczego?
- Rzeczywiście jesteś dociekliwy.
- Na tym między innymi polega moja praca.
- Dokładnie nie pamiętam, czemu przestała się do mnie odzywać. Była bardzo niezadowolona, że dziadkowie pozostawili cały majątek mnie i mojemu ojcu. Chociaż przecież on był ich rodzonym dzieckiem, a ona tylko kuzynką. Gdy moi chłopcy byli mali, niekiedy mnie odwiedzała. To jakoś w tamtym okresie zerwała ze mną stosunki. A może raczej obie nie mogłyśmy już na siebie patrzeć. Nie podobał jej się sposób, w jaki wychowywałam synów, a ja nie miałam ochoty dłużej wysłuchiwać krytycznych uwag p«xl Ich czy moim adresem.
- Zanim wasze drogi się rozeszły, czy wspominała kiedykolwiek o Oblubienicy?
- Nie. Nie sędzę. Kuzynka Rissy ograniczała się do utyskiwań lub drobnych złościwości. Na dodatek kradła różne drobiazgi z domu. Dlatego nie mogę powiedzieć, abym żałowała, że nie utrzymujemy kontaktów.
- Czy zechce ze mną porozmawiać?

Roz odwróciła się ku niemu w zamyśleniu i z uwagą spojrzała mu w oczy.

- To niewykluczone. Szczególnie jeżeli będzie przekonana, że ja sobie tego nie życzę. Jak zdecydujesz się odwiedzić tę starą wiedźmę, nie zapomnij o kwiatkach i czekoladkach, najlepiej belgijskich, aby wyrzeć na niej odpowiednie wrażenie. A potem wykorzystaj cały swój urok osobisty. Pamiętaj, by zwracać się do niej per „panno Harper”, jeżeli nie każe ci mówić inaczej. Od wielu lat używa jedynie nazwiska rodzowego matki i jest szalenie oficjalna. Z pewnością zapyta cię o pochodzenie. Jeżeli masz jakichś przodków,

którzy walczyli w wojnie z Północą, koniecznie o nich wspomnij. Pomijaj natomiast wszelkich możliwych Jankesów.

Mitch nie mógł już dłużej powstrzymać śmiechu.

- Mam wiekową ciotkę zupełnie w tym samym typie.

Roz sięgnęła do chłodziarki i wyjęła dwie butelki wody mineralnej.

- Wyglądasz na bardzo zgrzanego. Ja już tak przywykłam do cieplarni, że w ogóle nie czuję tropikalnej temperatury.

- Zapewne dzięki pracy w takiej wilgoci masz niezwykle piękną cerę. Prawdziwa angielska róża. - Machinalnie wyciągnął rękę i przesunął palcem po policzku Roz. Kiedy w zdumieniu uniosła brwi, odsunął się na krok. - Wybacz. Miałaś odrobinę ziemi...

- Do tego też już przywykłam.

- A więc... - upomniał się w duchu, żeby trzymać ręce przy sobie - ...sądząc po tym, co widziałem przed paroma dniami, jesteś już gotowa do świąt.

- Prawie gotowa. A ty?

- Ani trochę. Choć raz jeszcze muszę ci podziękować za pomoc - z prezentem dla siostry trafiłaś w dziesiątkę.

- A więc zdecydowałaś się na kaszmir?

- Na coś, co sprzedawczyni nazwała bliźniakiem. Dodała jeszcze, że żadna kobieta nie może mieć ich za dużo.

- Święta prawda.

- W najbliższych dniach zajmę się w takim razie przygotowaniem do Bożego Narodzenia. Wyjmę choinkę i powalczę z lampkami.

- Wyjmiesz? - Na twarzy Roz pojawił się wyraz, który mógł być zarówno współczuciem, jak i politowaniem. - Rozumiem więc, że mówisz o sztucznym drzewku.

Mitch wsunął ręce do kieszeni i powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

- Tak jest najprościej, gdy się mieszka w apartamencie.

- I sądząc po stanie diffenbachii, zapewne najlepiej.

- Po sianie czego?
- Rośliny, którą powoli mordowałeś. Tej, którą ci zabrałam, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.
- Ach. No tak. - Wówczas przysłała do niego w eleganckiej garsonce i na szpilkach sprawiających, że jej nogi zdawały się sięgać nieba. - Jak ona się teraz miewa?
- Całkiem dobrze. Ale z pewnością nie dostaniesz jej z powrotem.
- Może mógłbym ją przynajmniej odwiedzić?
- To chyba uda się zorganizować. W przyszłą sobotę urządzamy świąteczne przyjęcie. O dziewiątej. Serdecznie zapraszam. Oczywiście możesz przyprowadzić osobę towarzyszącą.
- Dziękuję, chętnie przyjdę. Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym teraz wpadł do Harper House i rozejrzał się po bibliotece? Przygotowałbym sobie grunt do pracy.
- W żadnym razie. Zadzwońię do Davida i uprzedzę, że się zjawisz.
- Doskonale. A więc już się zbieram. Dzięki, że poświęciłaś mi tak dużo czasu.
- Czas to coś, czego mi nigdy nie brakuje. Zupełnie nie pojmowałam, jakim cudem.
- Zadzwońię do ciebie w najbliższym czasie. Masz piękne rośliny, Rosalind.
- To prawda.

Kiedy wyszedł, chwyciła za butelkę z wodą i pociągnęła kilka solidnych łyków. Nie była płochą nastolatką, której krew uderza do głowy, jak mężczyzna dotyka jej twarzy. Poczowała się jednak bardzo miło, gdy Mitch musnął jej policzek palcami i spojrzał na nią szczególnym wzrokiem.

Angielska róża! Na tę myśl parsknęła śmiechem. Kiedyś, dawno temu, może była delikatna i słodka. Zerknęła na jedną ze swoich wyrosniętych roślin. Teraz jednak bardziej przypominała właśnie taką roślinę - była równie silna i zahartowana.

I dzięki Bogu, uznała w duchu, z powrotem zabierając się do pracy.

Pomimo deszczu Mitch raz jeszcze przeszedł się po królestwie Roz. Im więcej widział, tym więcej nabierał respektu dla Roz i dla tego, co samodzielnie stworzyła. Pieniądze Harperów zapewne jej w tym pomogły, ale trzeba było czegoś więcej niż funduszy, by zbudować coś podobnego.

Wymagało to siły woli, twórczej wizji i wiele ciężkiej pracy.

Czyż doprawdy uraczył ją wyświechtanym komunałem, gdy mówił o jej cerze? Angielska róża, pomyślał i z desperacją pokręcił głową. Ciekawe, ile razy już słyszała coś podobnego?

Na dodatek to wcale nie było trafne porównanie. Ta kobieta nie przypominała delikatnej angielskiej róży. Jeżeli już, to różę czarną - wysoką, smukłą i egzotyczną. Nieco wyniosłą i niezwykle seksowną.

Z tej krótkiej rozmowy dowiedział się wiele o jej życiu. W dzieciństwie straciła kogoś bardzo drogiego jej sercu - babcię. Z rodzicami nie łączyło ją szczególnie silne uczucie, Oni zresztą takie umiali, gdy była jeszcze bardzo młoda. Miała jakichś dalekich krewnych, ale nie utrzymywała z nimi bliższych kontaktów.

Jedynymi ważnymi osobami w jej życiu byli synowie.

Po śmierci męża mogła polegać jedynie na sobie i musiała samotnie borykać się z kłopotami związanymi z wychowaniem trzech małych chłopców. Nie było w niej jednak żalu czy goryczy. I ani cienia słabości.

Kobieta niezależna, bezpośrednia i silna. Ale również odznaczająca się poczuciem humoru i dobrym sercem. Czyż nie pomogła mu w zakupie zabawki dla małej dziewczynki? I czyż nie była rozbawiona jego śmiesznym dylematem? Im lepiej ją poznawał, tym więcej chciał się dowiedzieć.

Co to na przykład była za historia z tym drugim mężem i rozwodem? To, oczywiście, nie jego sprawa, ale chętnie zaspokoiłby ciekawość. I zapewne nie będzie miał z tym kłopotu. Ludzie uwielbiali opowiadać o bliźnich.

Wystarczyło tylko zadać odpowiednie pytania.

Machinalnie wszedł z powrotem do sklepu. Wciąż jeszcze wielu klientów nachylało się nad poinsecjami i roślinami podobnymi do kaktusów obsypanych różowymi kwiatami. Mitch rozejrzył się bezradnie i ledwo zdążył przejechać dłonią po mokrych włosach, a już Hayley wystrzeliła w jego stronę.

- Doktorze Carnegie! Cóż za miła niespodzianka!
- Proszę, mów mi Mitch. Jak się miewasz, Hayley? I jak tam twoja córeczka?
- Obie mamy się doskonale. Ty natomiast jesteś kompletnie przemoknięty. Przynieść ci ręcznik?
- Nie, dziękuję. Nie mogłem się powstrzymać, by raz jeszcze nie przejść się po tym miejscu.
- Ach, tak. - Posłała mu niewinne spojrzenie wielkich, niebieskich oczu. - Szukałeś pewnie Roz?
- I nawet znalazłem. Teraz natomiast jadę do Harper House, obejrzeć moje miejsce do pracy. Pomyślałem jednak, że może przedtem wezmę jedno z tych bożonarodzeniowych drzewek na biurko. Już przystrojone.
- Czyż nie są przeurocze? Idealne do niewielkiego mieszkania lub biura.
- W każdym razie dużo ładniejsze od tego sztucznego monstium, z którego złożeniem walczę co roku.
- Poza tym pięknie pachną. - Podprowadziła go do stołu. - Czy któreś jakoś szczególnie wpadło ci w oko?
- Uch... Może to...
- Cudne czerwone kokardki i przesłodkie maleńkie Mikołaje. Zaraz znajdę odpowiednie pudło do zapakowania.
- Dzięki. A co to za rośliny?
- Bożonarodzeniowe kaktusy. Rewelacja, prawda? To hybrydy stworzone przez Harpera. Obiecał, że mi pokaże, jak je wyhodować. Myślę, że powinienś sobie sprawić takiego kaktusa. Są niezwykle dekoracyjne. Kwitną na Boże Narodzenie i na Wielkanoc.
- Nie najlepiej radzę sobie z roślinami.

- Te w zasadzie nie wymagają żadnej opieki. - Ponownie spojrzała mu prosto w oczy. - Mieszkasz w niewielkim mieszkaniu, prawda? Jeżeli weźmiesz to drzewko, kaktusa i kilka poinsecji, będziesz miał pięknie ozdobiony dom na święta. Twój goście to docenią.
- Nie sądzę, by Josh jakoś szczególnie zachwycił się kaktusem. Dziewczyna uśmiechnęła się uroczo.
- Josh może nie, ale z pewnością zaprosił jakąś damę na świątecznego drinka.
- Uch... Przez kilka miesięcy byłem zbyt pochłonięty pracą nad książką...
- Taki przystojny, wolny mężczyzna jak ty z pewnością nie może opędzić się od kobiet.
- Nie ostatnimi czasy. Hm...
- Powinieneś kupić także wieniec na drzwi.
- Wieniec?!

Mitcha ogarnęła lekka panika, gdy Hayley chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę kolejnego stołu.

- Pokażę ci, co mamy obecnie w sprzedaży. Część z nich zrobiłam własnoręcznie. Tylko popatrz. I powąchaj te sosnowe gałązki. Czym jest Boże Narodzenie bez wieńca na drzwiach?

Mitch wiedział, kiedy należy skapitulować.

- Jesteś naprawdę dobra w swojej pracy.
- To fakt - odparła ze śmiechem i zaczęła wybierać wieniec. - Ten idealnie pasuje do twojego drzewka.

Zanim zdołał się zorientować, namówiła go na kupno poinsecji, kaktusa i wieńca. Mitch z rozbawieniem przyglądał się, jak szybko nabijała ceny na kasę i sprawnie pakowała jego nabytki.

Gdy tylko zniknął za drzwiami, Hayley popędziła do biura Stelli.

- Mitch Carnegie nikogo nie widuje - oznajmiła od progu.
- Czyżby poraziła go nagła ślepotą?

- Daj spokój, Stello. Dobrze wiesz, o czym mówię. Mitch nie spotyka się z żadną kobietą. - Zerwała baseballówkę z głowy i przeczesła palcami swoje brązowe włosy, już dostatecznie długie, by mogła zbierać je w mały kucyk. - Zanim przyszedł kupić drzewko, spędził dobre pół godziny w cieplarni z Roz. Harper go tam zaprowadził, nie uprzedzając mamy, że będzie miała gościa. Wyobrażasz to sobie? Mitch wszedł tam, gdy była pochłonięta pracą i nie miała nawet chwili, żeby pociągnąć szminką usta.
- Harper go tam tak po prostu zabrał? Czy on już kompletnie zgłupiał?
- To samo mu powiedziałam, znaczy się, Harperowi. Tak czy owak potem Mitch przyszedł do sklepu, cały przemoczony, bo w deszczu oglądał nasze centrum. A teraz pojechał na chwilę do Harper House.

Stella odwróciła wzrok od komputera.

- Hayley, co ty znowu knujesz?
- Nic. Ja tylko patrzę i analizuję. Mitch się z nikim nie spotyka, Roz się z nikim nie spotyka. Dziewczyna uniosła dłonie i powoli zetknęła ze sobą wskazujące palce. – Teraz jednak będą często się widywać. A Mitch jest nie tylko supersexy, ale i wyjątkowo słodki. Nie dość, że kupił drzewko, to dał się jeszcze namówić na wieniec, trzy małe poinsecje i bożonarodzeniowego kaktusa.
- Rany, Hayley!
- Rzecz w tym, że nie umiał powiedzieć „nie”. To właśnie jest w nim takie słodkie. Jeżeli Roz go nie zechce, może złowię go dla siebie. Tylko żartowałam - rzuciła szybko, gdy dojrzała surową minę Stelli. - Mógłby być moim ojcem, i tak dalej, jednak dla Roz jest wprost wymarzony. Mówię ci, ja się na tym znam. Czy nie miałam racji co do ciebie i Logana?

Stella z westchnieniem spojrzała na swój pierścionek zaręczynowy z okazałym akwamarynem.

- Nie przeczę, ale zdecydowanie uważam, że powinniśmy ograniczyć się jedynie do patrzenia i analizowania. Choć nie mogę zaprzeczyć, że możemy mieć przy tym niezłą zabawę.

4

Kiedy Mitch był pochłonięty pracą, zajmował się drobnymi porządkami w domu tylko wtedy, kiedy nie miał już na czym usiąść bądź zabrakło mu czystej filiżanki do kawy. W przerwach między badaniami nieco bardziej przykładał się do odgruzowania mieszkania, a przynajmniej przesuwania bałaganu z miejsca na miejsce.

Zatrudniał firmy sprząające. Nawet regularnie. Żadna z nich jednak nie wytrzymała długo i jak zawsze uczciwie przyznawał - wyłącznie z jego winy. Zapominał, na jaki dzień się umówił, i akurat wtedy wychodził do biblioteki, na drobne zakupy czy pograć w kosza ze swoim synem. Prawdopodobnie Freud miałby coś do powiedzenia w tej sprawie, Mitch jednak wolał się nad tym głębiej nie zastanawiać.

A gdy już pamiętał, że zamówił sprząanie, ekipa wkraczała do środka, po czym wybałuszała oczy, patrząc na czekającą ich pracę. I więcej się już nie pokazywała.

Mężczyzna jednak powinien włożyć nieco wysiłku w przygotowania świąteczne. Stąd cały boży dzień Mitch spędził na segregowaniu, wyrzucaniu, szorowaniu, zmiataniu i w końcu musiał przyznać, że gdyby miał zrobić to u kogoś za pieniądze, też by zrezygnował z tej roboty.

Jak już jednak przebrnął przez najgorsze, doszedł do wniosku, że miło znowu zobaczyć blaty stołów i siedzenia kanap. I chociaż nie żywił wielkich

nadziei, że uda mu się długo utrzymać przy życiu rośliny, na które namówiła go Hayley, w tej chwili przydawały domowi ciepłej, świątecznej atmosfery.

A zakup małego drzewka był wprost genialnym posunięciem. Teraz nie musiał już wyciągać pudła z piwnicy, dbać o odpowiednie połączenie gałązek, kłać przy rozplątywaniu światełek, by na koniec stwierdzić, że połowa z nich i tak nie działa. Wystarczyło, że ustawił pachnącą, uroczą przystrojoną choinkę na stoliku Happlewhite'a znajdującym się między oknami salonu i wsunął wtyczkę od lampek do kontaktu.

Potem zawiesił wieniec na drzwiach, umieścił kwitnącego kaktusa na niskim stoliku przy kanapach, a trzy małe poinsecje w łazience. Jak dla niego - po prostu idealnie.

Ledwo wziął prysznic, wciągnął dzinsy i koszulę, rozległo się pukanie do drzwi.

Boso, z wilgotnymi włosami, przeszedł energicznie przez salon i uśmiechnął się szeroko na widok jedynej osoby, klon; kochał bezgraniczną i bezwarunkową miłością.

- Zapomniałeś klucza?
- Chciałem się upewnić, że nie pomyliłem adresu. - Joshua Carnegie powiódł palcem po przybranej kokardami sośninie. - Ty i wieniec na drzwiach?
- Przecież zbliża się Boże Narodzenie.
- Do mnie też dotarły te pogłoski.

Chłopak wszedł do środka i ze zdumienia szeroko otworzył oczy w tym samym kolorze intensywnej zieleni, co u jego ojca.

Był wyższy od Mitcha o dobre trzy centymetry, ale tej samej szczupłej budowy. Miał ciemne, lekko potargane włosy. Nie dlatego, że jak ojciec zapominał odwiedzić fryzjera - tylko że tak właśnie chciał.

Tego wieczoru miał na sobie szarą bawełnianą bluzę z kapturem i workowate dzinsy.

- Rety! Znalazłeś nową ekipę do sprzątanania? Zapłaciłeś im stawkę zarezerwowaną dla komandosów na czas wojny?
 - Niestety. Obawiam się, że zraziłem do siebie już wszystkie firmy porządkowe w zachodnim Tennessee.
 - Sam posprzątałeś? - Josh zaczął obchodzić wokół salon. - A do tego masz roślinę - i to z kwiatami na czubku.
 - Zabierzesz ją do siebie.
 - Naprawdę?
 - Ja bym ją zamordował. Na moje ucho, już ledwo dyszy. Nie można mnie obarczać tak poważną odpowiedzialnością.
 - Jasne. - Josh machinalnie zaczął pocierać ucho. - Doda czadu naszemu dormitorium. Hej! Kupiłeś też przystrojone, żywe drzewko! I zapaliłeś świece.
 - Zbliżają się święta - powtórzył Mitch, tymczasem Josh pochylił się nad świeczką i pociągnął nosem.
 - Zapachowa. Poza tym, o ile wzrok mnie nie myli, odkurzyłeś dywany. - Zmrużonymi oczami spojrzał uważnie na ojca. - Masz kobietę.
 - Niestety. Bardzo żałuję. Chcesz colę?
 - Aha. - Potrząsając głową, Josh ruszył w stronę łazienki. - Muszę się wysikać. Zamawiamy pizzę?
 - Co tylko zechcesz.
 - A więc pizza! - wykrzyknął Josh. - Z pepperoni, kielbasą i podwójnym serem.
 - Na sam dźwięk tych słów zapychają mi się tętnice - stwierdził Mitch, wyciągając z lodówki dwie puszki coli. Dobrze wiedział, że jego syn mógł codziennie wsuwać największą pizzę i wciąż był chudy jak wyścigowy chart. Ach, gdyby tak znowu mieć dwadzieścia lat!
- Sięgnął po telefon, zamówił dużą pizzę dla syna, a dla siebie średnią, wegetariańską.

Kiedy się odwrócił, ujrzał Josha opartego o futrynę.

- Ustawiłeś kwiaty w kiblu.
- Poinsecje. Boże Narodzenie. Wielkie mi halo.
- Masz kobietę. Jeżeli jeszcze nie wyblagałeś jej łask, to masz ją już na celowniku. Puszczaj farbę.
- Nie mam żadnej kobiety. - Rzucił puszkę Joshowi. - Po prostu posprzątałem mieszkanie i wprowadziłem kilka świątecznych akcentów.
- Wiesz, że umiem cię zmusić do gadania. Gdzie ją spotkałeś? Czy nieźla z niej sztuka?
- Nic nie powiem. - Mitch roześmiał się i otworzył puszkę.
- Wyduszę to z ciebie.
- Nie ma nic do wyduszania. Przynajmniej na razie.
- A-ha! - Josh powędrował za ojcem do salonu, opadł na sofę i położył nogi na stole.
- Powtarzam: nie powiem ani słowa. A twoje „a-ha!” jest zdecydowanie przedwcześnie. Jestem po prostu w nastroju do świętowania. Skończyłem książkę, co oznacza, że wkrótce wyjmę ze skrzynki czek na okrągłą kwotę. Zaczynam nowe, interesujące przedsięwzięcie...
- Tak od razu? Bez żadnej dekompresji?
- Ta praca czeka już na mnie od jakiegoś czasu, a teraz chciałbym się do niej zabrać pełną parą. To lepsze niż rozmyślanie o świątecznych zakupach.
- A po co miałbyś o nich rozmyślać? Do Gwiazdki pozostały jeszcze całe dwa tygodnie.
- Moja krew! - Mitch wznosił puszkę w geście toastu. - A jak się miewają twoja mama i Keith?
- Doskonale. - Josh pociągnął długi łyk coli. - Strasznie ją kręcą te święta. Wiesz, jak to jest.
- Wiem. - Klepnął syna lekko po kolanie. - Nie ma problemu, Josh. Mama chce cię mieć przy sobie w czasie Bożego Narodzenia. Tak być powinno.

- Też mógłbyś ze mną pojechać. Dobrze o tym wiesz.
- Wiem i jestem bardzo wdzięczny. Ale będzie lepiej, jak tu zostanę. Urządzimy sobie świąteczne spotkanie tuż przed twoim wyjazdem. Dla twojej matki to ważne, abyś się zjawił na Boże Narodzenie. Ma do tego prawo. I ty też.
- Nie chcę, żebyś siedział sam.
- Talerz mamałygi dotrzyma mi towarzystwa. - To zawsze bolało, ale sam był sobie winien.
- Mógłbyś pojechać do babci.
- Prooszę cię! - jęknął Mitch, teatralnie wykrzywając twarz. - Czemu chcesz mnie skazać na katusze?

Josh poczęstował ojca przewrotnym uśmiechem.

- Miałbyś okazję włożyć ten sweter w renifery, który dostałeś dwa lata temu.
- Przykro mi, w nadchodzące święta będzie w nim paradować jakiś miły bezdomny. Kiedy wyjeżdżasz?
- Dwudziestego trzeciego.
- W takim razie moglibyśmy się umówić na dwudziestego drugiego, jeśli nie masz żadnych innych planów.
- Jasne. Sprawdzę jeszcze tylko, co dokładnie planuje Julie. Pojedzie albo do Ohio, do maiki, albo do LA., do ojca. Strasznie pokręcona historia, Oboje okropnie na nią naciskają - grają na poczuciu winy lub na poczuciu obowiązku, tymczasem ona faktycznie nie ma ochoty oglądać Żadnego z nich. W efekcie albo płacze, albo się wścieka, albo jedno i drugie naraz.
- My, rodzice, potrafimy nieźle spieprzyć życie naszym dzieciom.
- Ty nie spieprzyłeś mojego. - Josh pociągnął kolejny łyk i zaczął obracać w dłoniach puszkę. - Nie chcę tu odstawiać żadnego show w rodzaju Oprah, ale z ręką na sercu muszę przyznać, że nigdy nie wykorzystywaliście mnie do swoich rozgrywek. Zacząłem o tym myśleć, gdy zobaczyłem, w jakim bagnie tkwi Julie. I to po uszy. Wy mi nigdy nie fundowaliście podobnego syfu. Nie

kazaliście wybierać między sobą, nie nastawialiście przeciwko sobie. To, co ma w domu Julie, to wyjątkowe świństwo. Wyjątkowe.

- Fakt.
- Pamiętam, jak to było, zanim się rozeszliście. Nieźle się czasami szarpaliście. Ale mnie zostawialiście w spokoju. Teraz, gdy patrzę na to, co się dzieje z Julie, uświadamiam sobie, jak wiele miałem szczęścia. Chciałem, żebyś wiedział.
- Cieszę się... cieszę, że mi to powiedziałaś.
- No dobra, a teraz gdy już mamy za sobą tę scenę jak z taniego melodramatu, idę po następną colę. Zaraz zacznie się wprowadzenie do meczu.
- Dobra myśl. - Mitch chwycił za pilota i zaczął się zastanawiać, czym sobie zasłużył na tak kapitalnego syna.
- Hej! Kupiłeś chipsy!

Trzask rozrywanej torebki zbiegł się z pukaniem do drzwi. Mitch uśmiechnął się szeroko i sięgnął po portfel, żeby zapłacić za pizzę.

- Ja po prostu tego nie pojmuję. Nie pojmuję! - Hayley nerwowo spacerowała po pokoju Stelli, podczas gdy chłopcy chlapali się w wannie w przyległej łazience.
- Seksowne czarne szpilki, które zmasakrują mi nogi, czy wygodne eleganckie czółenka?

Stella stała z innym butem na każdej stopie i Hayley zatrzymała się, by ocenić efekt.

- Seksowne - rzuciła stanowczo.
- Tego właśnie się obawiałam.

Stella schowała niepotrzebną parę do szafy. Jej suknia na wieczór była rozłożona starannie na łóżku, a biżuteria - posegregowana na toaletce.

Teraz musiała tylko wpakować chłopców do łóżek, ubrać się, uczesać, zrobić makijaż. Potem zaś...

Nerwowe kroki i mamrotanie Hayley w końcu wybiły ją z rytmu, odwróciła się więc w stronę dziewczyny.

- O co ci chodzi? Czemu jesteś taka niespokojna? Zaprosiłaś jakiegoś faceta na dzisiejszy wieczór i zapomniałaś mi o tym powiedzieć?
- Nie. Ale rzeczywiście myślę o facetach. Czemu Roz powiedziała Mitchowi, żeby przyprowadził ze sobą osobę towarzyszącą? Teraz on najprawdopodobniej lak zrobi, bo uzna, że jeżeli pokaże się sam, wyjdzie na ostatniego frajera. I oboje stracą cudowną okazję.
- Czegoś tu nie pojmuję. - Stella wsunęła w uszy kolczyki i sprawdziła efekt w lustrze. - Skąd wiesz, że Roz powiedziała mu coś takiego? Jakim cudem trafiają do ciebie podobne informacje?
- Mam szczególny dar. Do diabła, co w nią wstąpiło? Ma przed sobą oszalamiającego, wolnego faceta i zaprasza go na przyjęcie - doskonale, punkt dla niej. Ale zaraz potem mówi mu, żeby przyprowadził jakąś babę. Jeezu!
- Po prostu uznała, że tak wypada, jak sędzę.
- Na Boga jedyne! W walce o mężczyznę nie można kierować się dobrymi manierami! - gniewnie zachnęła się Hayley i przysiadła na łóżku. Potem wyciągnęła przed siebie nogi i zaczęła kontemplować własne buty. - Ostatecznie słowo „randka” jest rodzaju żeńskiego. Żeńskiego, Stello. Co oznacza, że kontrola i inicjatywa powinny być po naszej stronie.

Stella, jeszcze bez makijażu, przycisnęła palce do oczu.

- Skąd? Skąd ci przychodzą podobne koncepty do głowy? Nikt inny by o tym nie pomyślał.
- Pewnie dlatego, że przez wiele lat pracowałam w księgarni i bardzo dużo czytałam. Tak czy owak Roz wyprawia wielkie przyjęcie w swoim domu. Wiesz, że będzie wyglądała zabójczo. A tymczasem on gotów przyjść z jakąś kobietą i wszystko się spieszy.
- Jak na razie nie ma jeszcze między nimi nic do spieszenia.

- Ale mogłoby być. Jestem tego pewna. Tylko przyjrzyj się im dzisiejszego wieczoru, a sama zobaczysz, że są dla siebie stworzeni.
- W porządku. Będę się przyglądać. Teraz jednak muszę wyciągnąć dzieci z wanny i wpakować do łóżek. Potem muszę się ubrać i wcisnąć stopy w te seksowne szpilki tylko po to, żeby rozpalic Logana do białości.
- Pomóc ci? To znaczy z dziećmi, nie w rozpalaniu Logana. Lily już śpi jak aniołek.
- Nie, dziękuję. Pomocysz się i wygnieciesz. Rany, jak żałuję, że fatalnie wyglądam w tym odcieniu czerwieni. To dopiero jest seksowny kolor.

Hayley zerknęła na swoją szkarłatną, krótką sukienkę.

- Czy nie sądzisz, że jest za bardzo...
- W żadnym razie. Jest idealna.
- No, dobra. W takim razie zejść na dół. Sprawdź, jak David radzi sobie z firmą cateringową. Zapytam przy okazji, co sądzi o moim stroju. Nikt nie ma lepszego gustu i wyczucia w sprawach mody.

Roz już od jakiegoś czasu urzędowała na dole, doglądając różnych szczegółów. Może powinna była otworzyć salę balową na drugim piętrze i tam wyprawić przyjęcie? To takie przestronne, eleganckie miejsce. Z drugiej strony, ciąg pokoi na parterze, z ogniem płonącym w dużych kominkach, stwarzał cieplejszą, bardziej przyjazną atmosferę.

Miejsca na pewno nie zabraknie, zdecydowała, sprawdzając ustawienie stołów, krzeseł, lamp i świeczników. Cieszyła się, że ludzie będą wędrować po pokojach, podziwiając dom, który tak bardzo kochała.

Noc była pogodna, więc niektórzy goście na pewno wyjdą na tarasy. Tam również rozstawiono stoły i fotele. Pozapalano świąteczne lampki rozpięte wśród gałęzi drzew oraz ogrodowe reflektory rozmieszczone wzdłuż ścieżek.

Na Boga! Gdyby ktoś na nią teraz spojrział, pomyślałby, że po raz pierwszy w życiu wydawała duże przyjęcie!

Chociaż faktem jest, że minęło już kilka ładnych lat od czasu, kiedy ostatni raz urządziła w swoim domu coś na tak dużą skalę. Zapewne więc z tego powodu bardzo niewielu gości wymówiło się od przyjscia. Harper House będzie dzisiaj pękać w szwach.

Unikając pracowników firmy cateringowej i zatrudnionych dodatkowo kelnerów, Roz wymknęła się do ogrodu. Tak, oświetlenie na zewnątrz było piękne. Spodobała jej się również szczególna choinka, którą tworzyło wiele białych poinsecji.

Roz odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi. W jej stronę szedł David z dwoma wysmukłymi kieliszkami w dłoni.

- Witaj, moja piękna. Dasz się namówić na szampana?
- Oczywiście. Choć tak naprawdę powinnam iść do środka i ogarnąć to szaleństwo.
- Kontroluję sytuację. - Lekko stuknął kieliszkiem w jej kieliszek. - Jeszcze drobne dwadzieścia minut i wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. I tylko spójrz na nas! Czyż nie wyglądamy szalowo?

Roz parsknęła śmiechem i chwyciła Davida za rękę.

- Ty zawsze tak wyglądasz.
- Ty również, mój skarbie. - Nie puszczać jej dłoni, odszedł na krok do tyłu.
- A dziś jesteś olśniewająca.

Na ten wieczór wybrała długą, prostą suknię w kolorze matowego srebra, z dekoltem odsłaniającym ramiona, stanowiącym idealną oprawę dla ciężkiego naszyjnika po prababce.

Roz musnęła palcami wielkie kamienie osadzone w platynie.

- Nie mam wiele okazji do obnoszenia rubinów Harperów. Uznałam, że to odpowiedni dla nich wieczór.
- A dodatkowo uczta dla oczu. Fantastycznie podkreślają twoją linię szyi.

Wiesz co, moja najpiękniejsza? Ucieknijmy razem do Belize.

Szampan i David - idealna kombinacja na szybką poprawę humoru.

- Wydawało mi się, że to miało być Rio.
- Nie przed rozpoczęciem karnawału. To będzie świetne przyjęcie, Roz, więc wyrzuć wszystkie idiotyczne myśli z głowy.
- Potrafisz mnie rozgryźć, co? - Spojrzała w głąb ogrodu i pociągnęła kolejny łyk szampana. - Pamiętasz, co się stało, gdy ostatnim razem wydawałam wielkie świąteczne przyjęcie? Musiałam zmienić bransoletkę, bo zepsuło się zapięcie. Poszłam na górę i kogo zastałam w sypialni? Mojego męża - bynajmniej nie raczącego się tartinką, ale wdziękami jednej z zaproszonych kobiet. To był najbardziej upokarzający moment w moim życiu.
- Do diabła z nim. Przecież idealnie załatwiłaś sprawę. Choć do dziś nie potrafię pojąć, jak zdołałaś zostawić ich tam w spokoju, przebrnąć przez całe przyjęcie, poczekać, aż ostatni goście opuszczą dom, i dopiero wtedy wykopałaś tego sukinsyna. - W głosie Davida pobrzmiwała furia. - Jesteś cholernie twarda, Roz - dodał po chwili. -1 to w jak najlepszym znaczeniu tego słowa.
- To nie była z mojej strony żadna odwaga, tylko mechanizm obronny. - Wzruszyła ramionami. - Nic nie mogłoby być bardziej dla mnie poniżające niż wywołanie sceny w domu pełnym gości.
- Ja na twoim miejscu najpierw wydrapałbym im obojgu oczy, a potem przepędził z domu, korzystając z jednego z tych muszkietów twojego pra, nie wiedzieć ile razy pra, pradziadka.

Roz westchnęła cicho i ponownie łyknęła szampana.

- Bardzo żałuję, że nie chwyciłam za muszkiet tuż po tym, jak już wyszli wszyscy goście. Ale co tam! Nie dopuściliśmy, żeby ów śmieć zepsuł nam tamto przyjęcie, nie pozwolimy też, żeby zepsuł dzisiejsze. - Opróżniła kieliszek i odwróciła się do Davida z determinacją kobiety gotowej do bitwy. - Zapalmy teraz wszystkie świece i nastawmy muzykę. Mam ochotę na zabawę.

Tak. Miło było ponownie otworzyć dom dla gości. Mieć wokół przyjaciół. Raczyć ich doskonałym winem, wykwintnym jedzeniem i muzyką. Przechodząc z pokoju do pokoju, Roz łowiła uchem fragmenty plotek, politycznych debat, dyskusji na temat sportu i sztuki.

Chwilę później chwyciła pod ramię jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, Willa Dooleya, ojca Stelli, mającego wkrótce zostać teściem Logana.

- Nie zauważyłam, kiedy przyszliście.
- Bo zjawiliśmy się dopiero przed chwilą. - Will musnął ustami jej policzek. - Jolene nie mogła się zdecydować, jakie włożyć buty. Teraz poszła z Hayley na górę obejrzeć małą.
- Wkrótce ich poszukam. Zgubiłeś narzeczoną, Loganie?
- Ciągle gdzieś znika. - Wzruszył ramionami i łyknął pilsnera. - Ta kobieta się nie wyluzuje, póki osobiście nie sprawdzi każdego szczegółu. Niezłe przyjęcie, Roz.
- Daj spokój. Dobrze wiem, że nie znosisz spędów.

Przez twarz Logana przebiegł szelmowski uśmiech, dodający niezwykłego uroku jego kanciastym, męskim rysom.

- Rzeczywiście, masa ludzi. Za to jedzenie pierwsza klasa i idealnie schłodzone piwo. Na dodatek moją towarzyszką tego wieczoru jest najpiękniejsza kobieta na świecie. Nie mogę więc narzekać. Nie mów jej ojcu, ale za jakiś czas zamierzam wywabić ją do ogrodu i tam oddać się igraszkom. - Mrugnął w stronę Willa, po czym powiódł wzrokiem po sali. - Właśnie zjawił się twój doktor Carnegie, Roz. Zdaje się, że cię szuka...
- Doprawdy?

Roz odwróciła się i ujrzała Mitcha. Miał na sobie szary garnitur, doskonale podkreślający jego smukłą sylwetkę. Od ich ostatniego spotkania wybrał się do fryzjera i teraz wyglądał bardziej jak mężczyzna z okładki „GQ” niż jak roztargniony naukowiec.

Minio to wydawał się nieco onieśmielony tłumem, a kiedy podszedł do niego kelner z tacą pełną kieliszków szampana, zdecydowanie pokręcił głową.

- Przepraszam was na chwilę - zwróciła się Roz do Willa i Logana.

Ruszyła przez pokój, zatrzymała się jednak, gdy Mitch zwrócił na nią wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

Patrzył na nią z tak niezwykłą intensywnością i zachwytem, że nagle odniosła wrażenie, iż jest jedyną osobą w zatłoczonym, gwarnym pokoju. Doskonała sztuczka, choć nieco wytrącająca z równowagi.

Udało jej się jednak zachować swobodny wyraz twarzy, gdy ponownie ruszyła w jego stronę.

- Bardzo się cieszę, że udało ci się przyjść.

- Widzę, że jak wydajesz przyjęcie, to już na całego. Dostrzegłem światła Harper House już na milę od domu. Chyba nie znasz osobiście wszystkich tych ludzi?

- Widzę ich pierwszy raz w życiu. Czego byś się napił?

- Wody sodowej z limonką.

- Tam jest bar. - Chwyciła go pod ramię i pociągnęła w odpowiednią stronę. - Zaraz dostaniesz swoją wodę.

- Dzięki. Słuchaj, Roz, mam dla ciebie drobny prezent.

Gdy podchodzili do baru, sięgnął do kieszeni i wyjął niewielkie, elegancko opakowane pudełko.

- To bardzo pięknie z twojej strony, ale niczym sobie nie zasłużyłam na prezenty.

- Chcę ci w ten sposób podziękować za wybawienie z poważnych tarapatów. Bez ciebie nie miałbym pojęcia, co kupić siostrzenicy. - Zwrócił się do barmana i zamówił swoją wodę. - Wiesz, wyglądasz... zjawiskowo. To pierwsze słowo, które przychodzi mi na myśl. Drugie to: oszałamiająco.

- Dziękuję.

- Od czubka głowy... - powędrował wzrokiem po jej sylwetce i zatrzymał się na rubinowych paznokciach u stóp - ...po czubki palców.
- Mama zawsze powtarzała, że kobieta nigdy nie będzie w pełni zadbana, jeśli nie pomaluje paznokci u stóp. To jedna z nielicznych jej uwag, które wzięłam sobie do serca. Mogę od razu otworzyć?

Ledwo spojrzał na rubiny, choć na pierwszy rzut oka dostrzegł, że to stara biżuteria. Nie mógł natomiast oderwać wzroku od jej stóp. Były wyjątkowo piękne.

- Co takiego?
- Mój prezent - odparła Roz z uśmiechem. Mile jej pochlebiało, że Mitch był tak zachwycony jej stopami. - Mogę go otworzyć tu i teraz?
- O, nie. Nie rób tego. Jeżeli rozpakujesz go później i dojdiesz do wniosku, że ci się nie podoba, zdążysz wymyślić jakieś uprzejme kłamstwo.
- Nie bądź śmieszny.

Pociągnęła za wstążkę i uniosła wieczko. Wewnątrz znajdował się miniaturowy zegar w srebrnej, filigranowej kasetce.

- Jest cudowny. Naprawdę zachwycający.
- Antyki to moje małe hobby. Co zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę mój zawód. Ale tak naprawdę uwiodła mnie inskrypcja na odwrocie.

Roz odwróciła zegar. „L, liczę godziny, N.”.

- Jakże romantyczne. Wspaniały prezent, Mitch. Ale zdecydowanie zbyt wyszukany, jak na podziękowanie za pomoc w wybraniu zabawki.
- Kiedy ujrzałem ten zegar, natychmiast ty stanęłaś mi przed oczami. -Roz uniosła głowę i popatrzyła mu w twarz. Mitch tylko pokręcił głową. - Widzę w tym spojrzeniu sceptycyzm pomieszany z sarkazmem. Ale taka jest prawda. Zobaczyłem go i od razu pomyślałem o tobie.
- Czy często ci się to zdarza?
- Myśleć o tobie?
- Na myśl o jakiejś kobiecie kupować dla niej urocze prezenty.

- Niekiedy. Ale nie od jakiegoś czasu. Czy tobie się to zdarza?
- Nie od jakiegoś czasu - odparła z nieznacznym uśmiechem. - Bardzo ci dziękuję, Mitch. Pozwolisz, że zaniosę to cacko na górę. Najpierw jednak przedstawię cię... O! A oto i Stella. Nikt lepiej nie wprowadzi cię w atmosferę przyjęcia.
- Mitch! - Stella wyciągnęła rękę. - Jakże miło znów cię widzieć.
- Ciebie również. Wyglądasz kwitnąco. To musi być miłość.
- Nie przeczę.
- A jak tam twoi chłopcy?
- Doskonale. Spacyfikowani na górze... och! - westchnęła na widok miniaturowego zegara. - Ależ piękna rzecz!
- Uroczy, prawda? - zgodziła się ochoczo Roz. - To prezent od Mitcha za wyjątkowo drobną przysługę.
- Nie nazywałabyś jej drobną, gdybyś słyszała, co przez telefon miała mi do powiedzenia siostra i jej córka. Nie tylko wybaczone mi wszystkie grzechy, ale teraz cieszę się statusem ulubionego brata i wujka.
- W takim razie rzeczywiście zasłużyłam sobie na podarunek. Stello, zajmij się Mitchem, dobrze? Muszę zanieść mój zegar na górę.
- Oczywiście.

Stella zauważyła, jak Mitch odprowadza Roz wzrokiem.

- Jedno pytanie, zanim ruszymy na obchód. Czy ona się z kimś spotyka? -Nie. Uśmiechnął się szeroko i chwycił Stellę pod rękę.
- To doskonale.

Roz tymczasem ruszyła w górę po schodach. Przypomniła sobie natychmiast, jak szła tymi samymi schodami w czasie innego świątecznego przyjęcia, zostawiając za sobą gwar rozmów i muzykę. Wówczas doprowadziło ją to do zakończenia związku.

Nie należała do naiwnych. Dobrze wiedziała, że tym prezentem Mitch zapytywał, czy byłaby zainteresowana związkiem z nim, i jednocześnie robił

wszystko, żeby wzbudzić w niej zainteresowanie. Dziwiło ją natomiast, że z miejsca mu nic odmówiła. Że właściwie lama nic wiedziała, co chciałaby mu odpowiedzieć.

Weszła do sypialni i ustawiła filigranowy zegar na toaletce. Z uśmiechem powiodła palcem po kasetce. Bardzo piękny prezent i bardzo przemyślnie wybrany, zauważyła cynicznie. Ale ostatecznie to naturalne, że kobieta, która przeszła już dwa małżeństwa, miała w sobie pewną dozę zdrowego cynizmu.

Związek z Mitchem mógłby być interesujący, może nawet gorący - a Bóg jeden wie, że brakowało jej namiętności w życiu. Ale jednocześnie byłby na pewno skomplikowany. I potencjalnie niebezpieczny, biorąc pod uwagę pracę, jaką mu zleciła.

Zgodziła się, żeby napisał książkę o historii jej rodziny, a więc w pewnym sensie i o niej. Czy miała ochotę wiązać się z mężczyzną, który w razie rozstania mógłby ze zwykłej mściwości przedstawić ją i wszystkich Harperów w niekorzystnym świetle?

Doświadczenia z Bryce'em nauczyły ją, że po mężczyznach można się spodziewać wszystkiego najgorszego.

Muszę się nad tym wszystkim spokojnie zastanowić, pomyślała i zerknęła w lustro.

Oprócz odbicia własnej twarzy dojrzała również bladą sylwetkę za swoimi plecami.

Serce podeszło jej do gardła, ale stała spokojnie. Nawet się nie obejrzała. Tkwiła niewzruszona, spoglądając w lustrze prosto w oczy Amelii.

- Co za zaszczyt - dwukrotne odwiedziny w ciągu zaledwie paru tygodni - powiedziała cicho. - Ty zapewne poradziłabyś mi, żebym natychmiast go odprawiła. Nie lubisz mężczyzn, prawda, Amelio? Uwielbiasz chłopców i dzieci w ogóle, ale mężczyźni to zupełnie co innego. Wiem, że nikt tak jak mężczyzna nie potrafi doprowadzić kobiety do furii. Czy ktoś z moich krewnych wzbudził w tobie ten wielki gniew?

Zgodnie z przewidywaniami odpowiedziało jej milczenie.

- Na zakończenie tej jednostronnej konwersacji chcę ci powiedzieć, abyś pamiętała, że zawsze samodzielnie decyduję o własnym życiu. Jeżeli pozwolę, by Mitch stał się jego częścią, to ja i tylko ja poniosę tego konsekwencje - czy to dobre, czy złe. Obiecuję ci natomiast jedno. Bez względu na to, co postanowię w sprawach osobistych, nie ustane w poszukiwaniu twojej tożsamości.

Postać zaczęła blaknąć i Roz poczuła, że coś otarło się o jej włosy - jakby pogłaskały ją niewidzialne palce, zimne, a jednocześnie przyjemnie rozgrzewające skórę.

Miała miękkie kolana i musiała podeprzeć się rękami o krawędź toaletki. Gdy po chwili doszła do siebie, starannie pociągnęła usta szminką i spryskała się perfumami, gotowa, by ponownie znaleźć się wśród gości.

Była przekonana, że pieszczotliwy gest zjawy będzie jedynym szokiem tego wieczoru. Ale kiedy doszła do szczytu schodów, okazało się, że czekał ją kolejny, znacznie gorszy wstrząs.

W holu stał Bryce Clerk.

Roz poczuła, że wzbiera w niej furia. Oczami duszy ujrzała, jak dopada sukinsyna, i z najgorszymi wyzwiskami na ustach zasypuje go gradem ciosów, po czym bezceremonialnie wyrzuca za drzwi. Ta wizja była tak wyraźna, tak ostra, że przez chwilę świat wokół niej zbladł i zniknął. Jedynym dźwiękiem, jaki do niej dochodził, było walenie jej własnego serca.

Bryce tymczasem uśmiechnął się do niej promiennie, pomagając zdjąć futro kobiecie, którą знаła z klubu ogrodniczego. Roz zacisnęła dłoń na poręczy, czekając, aż opadną z niej pierwsze emocje, i ogromnym wysiłkiem panując nad sobą, by nie rzucić się na byłego męża z pięściami.

W końcu pokonała ostatni stopień.

- Mandy - powiedziała spokojnym głosem.

- Och, Roz! - zaszczebiotała Amanda Overfield, cmokając ją w oba policzki. Była głupią, nieszkodliwą, bogatą dziewczyną w wieku Harpera. Minionego lata, tuż po rozwodzie, przeniosła się z powrotem do Memphis. - Twój dom jest wprost zachwycający. Przepraszam, że się tak skandalicznie spóźniliśmy, ale musieliśmy... - Zniosła się piskliwym chichotem, wyjątkowo działającym Roz na nerwy. - Zresztą nieważne. Tak bardzo się cieszę, że mnie zaprosiłaś. Od dawna marzyłam, żeby obejrzeć Harper House. Ale chwilę... gdzie się podziały moje maniery. Pozwól, że ci przedstawię mojego przyjaciela. Roz, oto Bryce Clerk.

- My się znamy.

- Roz, wyglądasz jak zwykle olśniewająco.

Zaczął się nachylać, by pocałować ją w policzek. Roz tymczasem zdała sobie sprawę, że rozmowy gwałtownie ucichły, a ludzie przyglądają się całej scenie, nadstawiają ucha. Czekają, co teraz nastąpi.

Odezwała się więc bardzo cicho:

- Tylko mnie dotknij, a jednym kopniakiem wepchnę ci jaja do gardła.

- Ależ Roz, przecież jestem gościem w twoim domu - odparł gładko i na tyle donośnie, żeby jego słowa dotarły do wszystkich zainteresowanych rozmową. Na jego twarzy malowały się szok i rozżalenie. - Impertynencja zupełnie do ciebie nie pasuje.

- Nic nie rozumiem. - Mandy, z zaciśniętymi rękami, wodziła wzrokiem od Roz do Bryce'a i z powrotem. - Zupełnie nie pojmuję, o co chodzi.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Mandy. Może więc ty i twój przyjaciel wyjdziecie ze mną na chwilę na zewnątrz.

W tym samym momencie zza pleców dobiegło ją siarczyste przekleństwo i z trudem się powstrzymała, żeby nie zacisnąć powiek. Odwróciła się i cichym głosem powiedziała:

- Nie, Harper. Bardzo cię proszę.

Zastąpiła drogę synowi i wówczas Harper przeniósł wzrok z Bryce'a na matkę.

- Załatwię to wreszcie raz na zawsze.
- Ja sama się tym zajmę. Proszę cię. - Poglaskała syna po ramieniu i poczuła, że naprężył mięśnie. - Proszę cię, Harperze.
- Nie zostaniesz z nim sama.

5

Przyjęcie dobiegło końca, goście rozjechali się do domów, a Roz wciąż nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie było sensu iść na górę. Spacerowałyby tylko nerwowo po sypialni, odtwarzając w myślach szczegóły publicznego upokorzenia.

Nalała sobie pełen kubek mocnej kawy i wyszła na patio, by cieszyć się chłodem i samotnością. Światelka między drzewami wciąż były pozapalane, usiadła więc na fotelu i zapatrzyła się w głąb ogrodu.

Wiedziała, że Harper jest na nią zły. Jest zły, ponieważ nie pozwoliła, by wyrzucił Bryce'a z domu. Był jeszcze na tyle młody, aby wierzyć, że brutalną siłą można rozwiązać ten szczególny problem. Kochał ją jednak tak mocno, że wziął się w karby, gdy go o to poprosiła.

Przynajmniej tym razem zdołał zapanować nad emocjami.

Kilka lat temu, gdy Bryce próbował wejść do Harper House nieproszony, była zbyt zaskoczona, żeby powściągnąć temperament syna. Czy Davida. Obaj bez pardonu wyrzucili za próg tego oszusta i kłamcę, ona zaś, wiedzioną niskimi instynktami, czuła dumę, że jej chłopiec tak obcesowo obszedł się z sukinsynem. Czy jednak cokolwiek tym załatwili?

Bryce'owi udało się wówczas osiągnąć to samo, co dzisiaj. Zburzył jej spokój.

Jak długo jeszcze? Jak długo jeszcze, do diabła, przyjdzie jej płacić za jeden idiotyczny życiowy błąd?

Kiedy usłyszała, że otwierają się tarasowe drzwi, zeszywniała. Nie miała ochoty na roztrząsanie wydarzeń w towarzystwie Harpera czy Davida. Nie chciała, żeby jakikolwiek mężczyzna głaskał ją po głowie i tłumaczył, że nie ma się czym przejmować.

Chciała jedynie posiedzieć w samotności i poużalać się nad własnym losem.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na kawałek czekolady. Zdumiona zobaczyła Stellę, która właśnie stawiała tacę na stoliku.
- Myślałam, że już dawno poszłaś spać.
- Po dużych przyjęciach zawsze muszę trochę ochłonąć. A kiedy weszłam do kuchni, zobaczyłam te trufle i nie mogłam się oprzeć pokusie.

Na tacy znajdowała się również herbata i Roz natychmiast przypomniała sobie, że Stella nigdy wieczorem nie piła kawy. Natomiast na eleganckim talerzyku pięknie poukładała pozostałe po przyjęciu czekoladowe trufle.

- Harley też jeszcze siedziałyby na dole, ale Lily niespodziewanie się obudziła. Chyba wyrzyna jej się ząb, bo jest wyjątkowo marudna. Jaki piękny mamy dzisiaj wieczór, prawda? Wprost trudno uwierzyć, że to połowa grudnia. W ogóle nie czuje się chłodu.

- Czy szykując się do tej przemowy, zdecydowałaś, że zaczniesz od pogody?

Swego czasu tak wyniosły ton Roz natychmiast spłoszyłby Stellę. Te dni jednak dawno minęły.

- Zawsze uważałam, że pogoda to miły wstęp do konwersacji, szczególnie między dwiema miłośniczkami roślin i ogrodów. Miałam jeszcze zamiar napomknąć, że tegoroczne poinsecje są wyjątkowej urody. Myślę jednak, że podaruję sobie tę uwagę.

Chwyciła za czekoladkę i odgryzła spory kęs.

- Rany! Ktokolwiek wymyślił coś tak pysznego, powinien zostać kanonizowany.
- Porozmawiaj z Hayley. Jeśli nie będzie wiedziała, kto pierwszy zrobił trufle czekoladowe, na pewno wkrótce się dowie.

Skoro jednak leżały w zasięgu ręki, Roz nie widziała powodu, żeby się nie poczęstować.

- Pracuję z tobą już niemal od roku - odezwała się po chwili Stella.
- Czy to wstęp do rozmowy na temat podwyżki?
- Nie, ale muszę zapamiętać ten tekst, by wykorzystać go w przyszłości. A więc pracuję z tobą niemal od roku i przez cały ten czas mieszkam w tym domu. Choć przyznaję, że nie miałam zamiaru tak długo nadużywać twojej gościnności.
- Nie ma sensu, żebyś gdzieś się wyprowadzała, a potem przenosiła tu z powrotem po ślubie z Loganem.
- Rzeczywiście i jestem ci bardzo wdzięczna, że dzięki tobie nie musiałam wyrywać chłopców ze środowiska, w którym czują się najlepiej. Co więcej, chociaż cieszę się, że wkrótce wyjdę za Logana i zamieszkać w jego domu, szczególnie teraz, gdy zajmuję się jego urządzaniem - i ja, i chłopcy będziemy tęsknić za Harper House.
- Miło mi to słyszeć.
- Nawet po wydarzeniach minionej wiosny - a może w pewnym sensie właśnie z tego powodu - czuję się emocjonalnie związana z tym miejscem. I z tobą, Roz.
- To również miło słyszeć. Masz zimny, analityczny umysł, ale gorące serce, Stello.
- - Dzięki. - Stella z filiżanką herbaty w dłoniach rozsiadła się wygodniej w fotelu, po czym spojrzała Roz prosto w oczy. - Ponieważ od tyłu miesiące spędzamy wspólnie bardzo wiele czasu, zdołałam cię nieco poznać. Wiem, że pomimo niezwyklej gościnności i wielkoduszności bardzo chronisz swoją

prywatność. I zdaję sobie sprawę, że tę prywatność naruszę, mówiąc, jak bardzo mi przykro z powodu wydarzeń dzisiejszego wieczoru. Jestem zmartwiona, wściekła i poniekąd zaszokowana, że jakiś drań ośmielił się nieproszony wtargnąć do twojego domu tylko po to, żeby wprowadzić cię w zażenowanie.

Roz milczała. Stella wzięła głęboki oddech.

- Wiec jeśli miałabyś ochoty, pogryzając trufle, obrzucić najgorszym błotem tego sukinsyna, z największą ochotą cię wysłucham. Jeżeli jednak wolisz zostać sama i pozwolić, by zżerała cię złość, zabiorę swoją herbatę oraz połowę tych czekoladek i pójdę na górę.

Przez dłuższą chwilę Roz bez słowa popijała kawę. W końcu jednak pomyślała: niech się dzieje, co chce - i sięgnęła po kolejną czekoladkę.

- Mieszkam w tym mieście od urodzenia. Mam kilkoro przyjaciół i mnóstwo, nazwijmy to, znajomych. Ale nigdy nie miałam żadnej przyjaciółki od serca - kogoś, kto byłby mi rzeczywiście bliski i dla mnie ważny. Jest ku temu określony powód...

Widząc, że Stella zamierza wejść jej w zdanie, Roz ostrzegawczo uniosła dłoń.

- Przede wszystkim w pewnym momencie świadomie dokonałam takiego wyboru, a był on logiczną konsekwencją mojego wczesnego wdowieństwa. Po śmierci Johna część kobiet z mojego towarzystwa poczuła się zagrożona. Byłam młoda, atrakcyjna, zamożna i - co najważniejsze - do wzięcia. A przynajmniej tak im się wydawało. Pozostałe czuły nieodpartą potrzebę wyswatania mnie w jak najszybszym tempie. Wydania za znajomego, brata, kuzyna - kogokolwiek. Oba obozy w równym stopniu działały mi na nerwy. W rezultacie zapomniałam, czym jest przyjaźń z kobietą. Nie potrafię jej należycie pielęgnować. Ale wiedz, że ciebie uważam za przyjaciółkę - najlepszą, jaką miałam w życiu.
- Ponieważ ja czuję dokładnie to samo, chciałabym, żebyś pozwoliła sobie pomóc. Nawet jeśli miałyby się to sprowadzić do wysłuchania kilku ostrych

uwag pod adresem tego skurwysyna Bryce'a Clerka i wmuszenia w siebie kilku czekoladek.

- Rety, Stello! - Głos Roz wprost ociekał słodyczą. - O ile się nie mylę, pierwszy raz od roku z twoich ust padło tak niecenzuralne słowo.

Twarz przyjaciółki oblał ciemny rumieniec - przekleństwo rudowłosych.

- Podobnie mocne słowa rezerwuję na szczególne okazje.
- Ta z pewnością do takich się zalicza. - Roz odchyliła głowę i zapatrzyła się w rozgwieżdżone niebo. - Tak naprawdę on nie zrobił tego, żeby mnie wprowadzić w zażenowanie. To był jedynie miły bonus.
- A więc dlaczego? Czyżby był na tyle głupi, by uwierzyć, że go wpuścisz i pozwolisz mu zostać na przyjęciu?
- Mógł dojść do wniosku, że tak właśnie postąpię, by uniknąć skandalu. A gdyby już się znalazł wśród gości, postarałby się ich odpowiednio oczarować i dobrze sobie przygotować grunt dla przyszłych machlojek.
- Jeżeli tak bardzo cię nie docenił, to znaczy, że cię w ogóle nie zna.
- Zna na tyle, żeby osiągnąć to, co osiągnął dzisiaj wieczoru. Ta młoda kobieta, z którą tu przyszedł, jest wyjątkowo bezmyślna i bardzo bogata. Zapewne po naszej konfrontacji serdecznie mu współczuje i jest na mnie głęboko oburzona.
- W takim razie nie jest bezmyślna, tylko przerażająco głupia.
- Być może. Bryce jednak należy do wyjątkowo gładkich oszustów. Ja nie jestem ani bezmyślna, ani głupia, a jednak dałam mu się omotać.
- Kochałaś go, więc...
- Wcale go nie kochałam, skarbie. Za to przynajmniej mogę dziękować Bogu.
- Roz wzdrygnęła się na samą myśl. - Sprawiały mi przyjemność jego pochlebstwa i adoracja - przynajmniej na początku - a także romantyczne gesty i seks. Poza tym akurat cierpiałam na ostry napad syndromu pustego gniazda, byłam więc łatwym łupem. Mogę tylko mieć pretensje do samej siebie, że

zgodziłam się wyjść za niego za mąż, zamiast jedynie z nim sypiać, póki mi się nie znudzi lub póki nie zobaczę, co się kryje za tą atrakcyjną powłoką.

- Sama nie wiem, czy tak byłoby lepiej czy gorzej - mruknęła Stella po chwili zastanowienia.
- Ja też. Ale teraz już nic nie mogę zmienić. Tak czy owak przychodząc tutaj, Bryce chciał mi o sobie przypomnieć i uświadomić, że obracamy się mniej więcej w tych samych kręgach. Przede wszystkim jednak zamierzał zepsuć mi samopoczucie i zmusić mnie, abym o nim myślała. I osiągnął sukces. Poza tym jest obsesyjnym egocentrykiem - na niczym mu tak nie zależy, jak na skupianiu na sobie uwagi. Najdotkliwszą karą dla niego jest obojętność - a ja go konsekwentnie ignoruję od chwili, gdy powrócił do Memphis. Dzisiaj podjął bardzo sprytną próbę przypomnienia mi, że istnieje - w moim własnym domu, w obecności moich znajomych i przyjaciół.
- Żałuję, że wcześniej nie znalazłam się w holu. Kiedy dotarły do mnie pierwsze pomruki burzy, byłam praktycznie na drugim końcu domu. Zupełnie nie pojmuję, jak ktoś może czerpać satysfakcję z faktu, że publicznie został wyproszony z cudzego domu.
- Nie znasz Bryce'a. Przez najbliższych kilka tygodni będzie publicznie roztrząsał szczegóły dzisiejszego incydentu i umiejętnie je dyskutował. Przebiegle i gładko uczyni z siebie centrum uwagi tak zwanego towarzystwa. Zanim skończy, wszyscy uznają go za pokrzywdzonego nieszczęśnika. Bo przecież chciał jedynie naprawić nasze stosunki i życzyć mi wszystkiego najlepszego - ostatecznie Boże Narodzenie to czas pojednania i pokoju. Ja tymczasem naplułam w jego wyciągniętą dłoń i publicznie upokorzyłam towarzyszącą mu damę, zaproszoną osobiście przeze mnie. - Roz zamilkła, tłumiąc w sobie narastający gniew.
- Co więc ludzie powiedzą? - podjęła po chwili. - Wielkie nieba, ależ ona jest zimna, bezwzględna, arogancka i małostkowa.
- W takim razie to idioci.

- To prawda. I właśnie dlatego tak rzadko uczestniczę w życiu towarzyskim. I także z tego powodu wyjątkowo starannie dobieram bliskich znajomych. Tym bardziej cieszę się, że o tej późnej porze siedzi przy mnie przyjazna dusza, zajada ze mną czekoladowe trufle i słucha, jak użalam się nad sobą. - Odetchnęła ciężko. - Ale, do diabła, dzięki temu bardzo mi ulżyło. Zbierajmy się więc na górę. Należy nam się kilka godzin snu. Jutro czeka nas pracowity dzień, bo oprócz klientów zjawiają się również łowcy sensacji.

Niektórzy uważali jej postawę za ucieczkę w pracę; Roz nazywała to wypełnianiem obowiązków i oddawała się im z największą przyjemnością. Uwielbiała rutynę zimowych zajęć, godziny spędzone w cieplarni, poświęcone tworzeniu i pielęgnowaniu nowego życia - siewek i młodych roślinek. Kochała zapach wilgoci i płynu do ukorzenia sadzonek.

Musiała walczyć z pasożytami i chorobami - tak samo jak w życiu. Gdy tylko dostrzegła pierwsze oznaki pleśni lub rdzy, natychmiast usuwała zainfekowane listki i opryskiwała wszystkie rośliny. Starannie sprawdzała cyrkulację powietrza, kontrolowała temperaturę.

Praca działała na nią kojąco. Nawet jeśli trzeba było usunąć roślinę z powodu wirusowej infekcji. Na tej samej zasadzie Roz wyrzuciła ze swojego życia Bryce'a - on też okazał się groźnym pasożytem. Zapewne nie zrobiła tego dość szybko, zapewne nie wykazała się należyłą czujnością, dlatego teraz musiała mieć się na baczności.

Była jednak bardzo silną kobietą i sama zbudowała trwałe podstawy swojej egzystencji, którymi nie mogły wstrząsnąć drobne incydenty.

Z tą myślą zakończyła pracę na ten dzień i wyruszyła na poszukiwanie Harpera.

Weszła do jego szklarni. Wiedziała, że syn nie usłyszy kroków, bo ich odgłos nie przebije się przez głośne dźwięki Beethovena - puszczonego roślinom - oraz huk jakiejś innej muzyki w słuchawkach Harpera.

Przez chwilę, zdjęta czułością, przyglądała się swojemu chłopcu przy pracy. Tego dnia miał na sobie starą bluzę, jeszcze starsze džinsy i zabłocone buty - nieomylny znak, że część dnia spędził na zewnątrz.

Niedawno odwiedził wreszcie fryzjera, więc jego czarne, błyszczące włosy były teraz starannie wycieniowane. Ciekawe, jak długo to potrwa? O ile znała swojego syna - a znała go bardzo dobrze - minie wiele tygodni, zanim Harper zdecyduje ponownie coś zrobić ze swoją fryzurą, więc wkrótce zacznie związywać przydługie włosy kawałkiem rafii.

Był niezwykle twórczym, zdolnym ogrodnikiem. Każdy z jej synów miał jakiś talent, każdy zyskał możliwość rozwijania swych uzdolnień - już Rosalind się o to postarała - ale jedynie Harper odziedziczył jej wielką miłość do roślin.

Przeszła między stolami zastawionymi nowymi hybrydami, mieszankami ziemi oraz narzędziami i zaczęła się przyglądać, jak Harper szczepi miniaturową różę.

Kiedy skończył i sięgnął po puszkę z colą, którą zawsze trzymał pod ręką, Roz stanęła na linii jego wzroku.

- Idealnie - pochwaliła. - Szkoda, że tak rzadko zajmujesz się różami.
- To drobny eksperyment. Pomyślałem, że moglibyśmy stworzyć sekcję z miniaturowymi do hodowania w doniczkach. Pracuję między innymi nad pnącymi gatunkami. Chcesz coli?
- Nie, dzięki. - Był taki do niej podobny. Ileż razy sama używała tego chłodnego, uprzejmego tonu, gdy coś ją irytowało. - Wiem, że jesteś na mnie zły, Harperze.
- Nie ma powodu, żebym się na ciebie złościł.
- Nie w tym rzecz, czy są powody, prawda?

Miała ochotę pogłaskać go po ramieniu, potrząsnąć policzkiem o jego policzek, ale gdy wyciągnęła rękę, zeszywniał - tak samo, jak ona by zeszywniała, gdyby ktoś chciał jej dotknąć wbrew jej woli.

- Jesteś zły, że tak a nie inaczej postąpiłam wczorajszego wieczoru. Że nie pozwoliłam ci wkroczyć do akcji.

- Twój wybór. - Wzruszył ramionami. - A tak przy okazji - wcale nie jestem na ciebie wkurzony. Rozczarowałaś mnie - to wszystko.

Gdyby chwycił leżący na stole nóż i dźgnął ją w serce, nie poczułaby większego bólu.

- Harper!

- Musiałaś być tak cholernie uprzejma? Czy nie mogłaś pozwolić, żebym dał mu wreszcie porządną nauczkę, zamiast odpychać mnie i załatwiać sprawy przed domem?

- Co dobrego...

- Mam to gdzieś, mam. - W jego oczach pojawiły się gwałtowne błyski, oznaka słynnej porywczosci Harperów. - Zasłużył na to, żeby mu z miejsca dołożyć. Powinnaś była pozwolić, żebym wystąpił w twojej obronie. Ale jak zawsze ty musiałaś odesłać mnie do kąta i sama wszystkim się zająć. O czym więc mamy rozmawiać?

Miała ochotę się odwrócić i wyjść, by przez chwilę ochłonać. Ale jej syn zasługiwał na coś więcej, musiała stanąć do konfrontacji z nim.

- Nikt na świecie nie jest w stanie tak mnie zranić jak ty.

- Ja nie próbuję cię zranić.

- Wiem. Nigdy nie zrobiłbyś tego umyślnie. Dlatego wiem, że musisz być na mnie bardzo zły. Być może popełniłam błąd. - Potarła dłońmi twarz. - Ale tylko w ten sposób umiem postępować. Musiałam wyprowadzić go z domu. Chcę, żebyś zrozumiał, że musiałam to zrobić jak najszybciej, zanim znowu skala Harper House.

Oderwała dłonie od twarzy, na której malował się teraz wyraz szczerzego żalu.

- To ja wpuściłam go do naszego życia, Harperze. Nie ty, ale ja.

- Co nie znaczy, na Boga, że bez przerwy musisz się za to obwiniać lub radzić sobie sama w podobnych sytuacjach. Jeżeli nie możesz na mnie polegać, nie pozwolisz mi cię bronić...
- O, Harperze, co za ironia losu. Siedzisz tu i podejrzewasz, że nie jesteś mi potrzebny w życiu, podczas gdy ja niemal bez przerwy się zadrezczam, że za bardzo na tobie polegam - i tym samym wyrządzam ci krzywdę. Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła. Bardzo nie chcę kłócić się z tobą z powodu takiego zera jak Bryce. - Przycisnęła z całej siły palce do oczu. - To kawał drania.
- Ale ja już nie jestem małym chłopcem, którego musisz bronić przed draniami, mamó. Jestem dorosłym mężczyzną i chronienie ciebie to mój obowiązek. Czy tego, do diabła, chcesz czy nie.

Spojrzała na niego, i trudem tłumiąc uśmiech.

- Nieźle mi nagadałeś.
- W każdym razie jeżeli on jeszcze kiedykolwiek zjawi się w naszym domu, nie uda ci się mnie powstrzymać.

Roz westchnęła ciężko i ujęła twarz syna w dłoń.

- Doskonale wiem, że jesteś już mężczyzną. Chociaż czasami ciężko mi się z tym pogodzić, wiem, że jesteś już bardzo dorosły, masz własne życie i własne sposoby radzenia sobie z problemami. Nie wątpię, że jeśli tylko poproszę, zawsze staniesz u mojego boku, mimo że osobiście wolałbyś iść w awangardzie i brać na siebie wszystkie ciosy.

Zdawała sobie sprawę, że Harper jeszcze do końca jej nie przebaczył, mimo to mocno ucałowała go w czoło.

- Idę popracować w ogrodzie. Nie wkurzaj się na mnie zbyt długo.
- Postaram się.
- Od wczoraj została pieczona szynka i mnóstwo różnych przystawek. Można z tego skomponować niezłą kolację, jeżeli miałbyś ochotę wpaść.
- Może wpadnę.

- To na razie. Jakby co, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Rozległe ogrody otaczające Harper House przez cały rok wymagały starannej pielęgnacji. Roz czuła potrzebę ciężkiej, fizycznej pracy, przerzuciła więc stertę ściółki, sprawdziła stan kompostu, zajęła się roślinami, które hodowała na własny użytek w małej szklarni na terenie rezydencji.

W końcu wzięła grube rękawice i potężny sekator, by poprzycinać gałęzie kilku drzew i krzewów.

Kiedy znalazł ją Mitch, akurat wpychała drobne gałązki do niewielkiej rozdrabniarki, żarłocznie pożerającej drewno i wydającej charczące odgłosy. Roz - w brązowej znoszonej kurtce, czarnej baseballówce i zniszczonych butach wyglądała bardzo profesjonalnie. Miała na nosie ciemne okulary i Mitch zastanawiał się, czy włożyła je, aby chronić oczy przed mdłym słońcem, czy też raczej przed fruującymi wokół drobnymi kawałkami drewna. Zdawał sobie sprawę, że z powodu huku maszyny nie słyszała jego nadejścia, przez chwilę więc otwarcie ją obserwował, próbując nałożyć wspomnienie olśniewającej kobiety w naszyjniku z rubinów na obraz tej zapracowanej ogrodniczki w spłowiałych dżinsach.

Potem przypomniał sobie zasadniczą bizneswoman w eleganckim kostiumie, która pojawiła się w jego mieszkaniu. I Roz w cieplarni, ze smugą ziemi na policzku. A także przyjazną, bezpośrednią Roz, która z zapalem pomagała mu wybrać zabawkę dla małej dziewczynki.

Ta kobieta miała wiele twarzy - zapewne więcej niż do tej pory udało mu się zobaczyć. A co najdziwniejsze, każda z nich wydawała się pociągająca.

Wsunął ręce do kieszeni skórzanej kurtki i przesunął się tak, żeby Roz mogła go zobaczyć. Zerknęła spod daszka czapki, po czym wyłączyła rozdrabniarkę.

- Nie musisz przerywać z mojego powodu - zapewnił ją. - A tak na marginesie, po raz pierwszy oglądam na żywo w akcji podobną maszynę. Wcześniej widziałem coś takiego tylko w „Fargo”.

- Ta jest za mała, żeby przepuścić przez nią ludzkie zwłoki, jednak doskonale radzi sobie z odpadami ogrodowymi.

A więc widziała „Fargo”, ucieszył się w duchu, choć nie umiałby wytłumaczyć, czemu sprawiło mu to taką przyjemność. Pewnie dlatego, że dostrzegł w tym pewne powinowactwo intelektualne.

- Ach, tak. - Patrzył, jak spora gałąź znika w trzewiach maszyny. -To znaczy wpychasz różne rzeczy do środka i w rezultacie dostajesz te grube wióry.
- Mniej więcej.
- A co z nimi robisz?
- Stanowią doskonałą ściółkę.
- Sprytne. Hm... nie chciałem ci przeszkadzać, ale David mi powiedział, gdzie cię szukać. Wpadłem, żeby popracować parę godzin w bibliotece.
- Nie przypuszczałam, że znajdziesz na to czas jeszcze przed świętami.
- Teraz mam mnóstwo czasu. Właśnie czekam na kopie dokumentów, ale zanim się do nich zabiorę, chciałbym wynotować parę rzeczy z waszej rodzinnej Biblii. Uporządkować warsztat pracy przed rozpoczęciem właściwego śledztwa.
- Świetnie.

Powinien już iść, ale Roz pachniała tak zniewalająco, że nie miał ochoty ruszyć się z miejsca. Przez woń świeżo ciętego drewna przebijał jakiś tajemniczy, kobiecy aromat.

- To zabawne, nigdy nie przypuszczałem, że zimą można pracować w ogrodzie.
- W ogrodzie praca trwa przez cały rok.
- A ja cię zatrzymuję. Słuchaj, Roz, tak naprawdę chciałem sprawdzić, jak się miewasz.
- Doskonale. Doprawdy świetnie.
- Nie będę ukrywał, że doszły do mnie wczoraj różne pogłoski, zrozumiałem więc, co kryło się za tamtą sceną. A może raczej za tym, co mogłoby się

przekształcić w scenę, gdybyś nie załatwiła sprawy... z takim taktem i zręcznością.

- W miarę możliwości staram się załatwiać wszystko w taki właśnie sposób.
- Jeżeli będziesz się zasłaniać konwenansami, ilekroć rozmowa między nami zejdzie na tematy osobiste, zbadanie historii twojej rodziny może okazać się wyjątkowo trudne.

Ponieważ przyglądał jej się bardzo uważnie, ponieważ powoli uczył się odczytywać jej uczucia, spostrzegł, że zanim zdążyła się opanować, przez jej twarz przebiegł cień gniewu.

- Wczorajszy wieczór nie miał nic wspólnego z historią mojej rodziny.
- Jestem innego zdania. Ten incydent dotyczył ciebie osobiście, podobnie jak... jak to, co się dzieje w twoim domu.

Mogłaby go stąd wyrzucić z ... równym taktem i zręcznością jak Bryce'a Clerka, tyle że w tym wypadku zrobiłaby to dlatego, że ktoś był wobec niej uczciwy i otwarty.

- Zamierzam wtykać nos w wasze prywatne sprawy, Roz. Po to właśnie mnie zatrudniłaś, a ostrzegam, nie zawsze robię to delikatnie. Więc jeżeli chcesz, żebym przyjął twoje zlecenie i doprowadził sprawę do końca, musisz do tego przywyknąć.
- Nadal jednak nie pojmuję, co moje żalosne, szczęśliwie krótkie małżeństwo może mieć wspólnego z Oblubienicą Harperów.

Nie musiał spoglądać w oczy Roz, by wiedzieć, że pojawił się w nich lodowaty błysk. Wyczuł to w tonie jej głosu.

- Oblubienica... Czy nią była, czy też nie, jako taka przeszła do rodzinnej legendy. Kiedy... hm... objawiła się tej wiosny - i to w wyjątkowo spektakularny sposób - powiedziałaś, że gdy spotykałaś się z mężczyznami lub gdy byłaś mężatką, nigdy nie zaatakowała cię tak ostro i brutalnie, jak Stellę.
- Synowie Stelli są jeszcze mali. Moi już dorośli.
- Co nie zmienia faktu, że nadal są twoimi synami.

Roz schyliła się po mniejsze gałązki i wepchnęła je w paszczę rozdrabniarki.

- Nie. Oczywiście, że nie zmienia.
- Możemy więc stąd wysnuć następujące wnioski. Oblubienica nie czuła się zagrożona przez Bryce'a. A tak przy okazji, cóż to za idiotyczne imię? Lub też uznała, że dopełniłaś matczynych obowiązków i nie zamierzała ingerować w twoje życie erotyczne. Ewentualnie po pewnym czasie przestaje się ukazywać mieszkańcom domu.
- Trzecia opcja odpada. Niedawno ją widziałam.
- Po majowych wydarzeniach?
- Zaledwie kilka dni temu. I wczorajszego wieczoru.
- Bardzo interesujące. Co wówczas robiłaś i jak ona się zachowywała?
- To nie było nic szczególnego. Pokazała się, a potem zniknęła. Nie oczekuję, że odkryjesz, dlaczego ta zjawia ukazuje się w określonym czasie i określonym osobom. Chcę jedynie, żebyś ustalił jej tożsamość.
- Te zagadnienia są ze sobą powiązane. Musimy dłużej o tym porozmawiać. Może zjemy razem kolację w twój pierwszy wolny wieczór.
- Nie musisz stawiać mi kolacji, żeby przeprowadzić ze mną rozmowę na temat moich przodków.
- Kolacja w twoim towarzystwie sprawiłaby mi wielką przyjemność. Jeżeli jednak jesteś przeciwna mieszanii spraw zawodowych z towarzyskimi, z przykrością będę musiał poczekać z zaproszeniem do czasu, aż skończę to zlecenie.
- Ja już nie umawiam się na randki, Mitch. Ten etap mam zdecydowanie za sobą.
- Ilekroć słyszę słowo „randka”, czuję się, jakbym znowu znalazł się w college[^]. A właściwie jeszcze gorzej, bo w szkole średniej. -Wyciągnął rękę, zsunął Roz na nos okulary i spojrzał jej prosto w oczy. - Powiedzmy, że chętnie spotkałbym się z tobą od czasu do czasu na mniej oficjalnym gruncie.

- Ja coś takiego nazywam randką. - Wsunęła z powrotem okulary, ale teraz już się uśmiechała. - Pochlebia mi jednak twoje zainteresowanie.
- Cóż, wobec tego najpierw umówimy się na wywiad. W ciągu najbliższych dwóch tygodni będę tu wpadał od czasu do czasu, więc daj mi znać, jeśli znajdziesz chwilę na rozmowę. Albo zadzwoń do domu, ustalimy termin.
- Oczywiście.
- W takim razie idę do biblioteki, zabiorę się do pracy. Nie będę ci już dłużej przeszkadzał. - Powolnym krokiem ruszył w stronę domu. - Roz? - Odwrócił się przez ramię. - Jeżeli zmienisz zdanie w sprawie kolacji, daj mi znać.
- Z pewnością to zrobię - odparła, po czym włączyła rozdrabniarkę i wepchnęła do niej kolejną gałąź.

Pracowała aż do zapadnięcia zmroku, a potem oczyściła i pochowała narzędzia, i przez tarasowe drzwi weszła do swojego skrzydła domu.

Marzyła o długim, gorącym prysznicu, wygodnym, miękkim ubraniu i kieliszku zimnego wina. Chociaż nie. O dużym martini. Cudownym, lodowatym martini Davida z przepyszными oliwkami, których strzegł jak w oka w głowie i wykorzystywał tylko do tego celu. Potem zrobi sobie kanapkę ze świetną szynką pozostałą z przyjęcia. I może spędzi resztę wieczoru, szkicując plany nowego punktu florystycznego. Poza tym Stella przyniosła próbki worków na ziemię i czas byłoby na nie zerknąć.

I po cóż mi randki, pomyślała, stojąc pod prysznicem. Na obecnym etapie życia Roz nie miała czasu ani ochoty na takie ekscesy. Nawet jeżeli miałyby być to randka z wyjątkowo przystojnym, inteligentnym i intrygującym mężczyzną. Mężczyzną, który zaprosił ją na kolację, gdy pracowała w znoszonym, roboczym ubraniu, pokryta wiórami drewna.

Czemu właściwie nie mieliby pójść do łóżka i w ten sposób załatwić sprawę?

Bo, jak musiała przyznać, to nie leżało w jej naturze. I wcale tego nie żałowała. Potrzebowała czegoś więcej, by obnażyć się przed mężczyzną - w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu.

Lubiła go, nawet bardzo, uznała, odchylając głowę, by gorące krople mogły spływać po twarzy. Zaimponował jej swoją reakcją na burzliwe wydarzenia tej wiosny. Wzbudził jej podziw, gdy bez zastanowienia ruszył do konfrontacji z rozzłoszczoną zjawą.

Po takich przeżyciach wielu ludzi natychmiast zrezygnowałoby z tej pracy, a już na pewno nie chciałoby przebywać w domu nawiedzanym przez - jak się okazało - potencjalnie niebezpieczną istotę.

Nie mogła też zaprzeczyć, że Mitch rozczulił ją swoim kompletnym zagubieniem w sklepie, a jednocześnie troską, by znaleźć coś odpowiedniego dla małej dziewczynki. To zdecydowanie przemawiało na jego korzyść.

Jeżeli więc jeszcze kiedykolwiek w życiu chciałaby się spotykać z facetem, byłby to zapewne ktoś w typie Mitcha. Ktoś, z kim mogłaby prowadzić inteligentne rozmowy, kto by ją pociągał i fascynował.

A fakt, że Mitch był, jak to określiła Hayley, „gorącym ciachem”, też przemawiał na jego korzyść.

Wystarczy jednak popatrzeć do czego doprowadził jej poprzedni związek z mężczyzną.

Głupotą byłoby uprzedzanie się do wszystkich przedstawicieli płci przeciwnej tylko dlatego, że spotkało się w życiu kogoś takiego jak Bryce. Rozmiała tego całkowitą świadomość, jednak strach brał górę nad rozumem. A to było swoiste zwycięstwo Bryce'a, czyż nie? Jeśli jednak nie umie sobie poradzić z własnym lękiem, powinna przynajmniej wyrzucić swojego byłego męża z myśli.

Sukinsyn i kutas!

No dobrze, pomyślała sięgając po ręcznik. Może rozważy - tylko rozważy - kwestię, czy jednak nie wybrać się z Mitchem na kolację. Choćby po to, by

udowodnić sobie samej, że eksmaż nie ma już najmniejszego wpływu na jej życie.

Niezobowiązująca kolacja na mieście, miła rozmowa. Jeżeli zdołałaby wykrzesać z siebie dość energii, mógłby to być uroczy wieczór. Nie miałyby nic przeciwko temu, by spotkać się z Mitchem na gruncie towarzyskim. Zapewne ich współpraca też przebiegałaby harmonijniej, gdyby Roz poznała go lepiej jako człowieka.

Musi się nad tym poważnie zastanowić.

Owinęła się grubym ręcznikiem i odruchowo sięgnęła po emulsję do ciała. Jej dłoń zawisła w bezruchu parę cali od butelki. Na zaparowanym lustrze dojrzała wypisane dwa słowa.

Mężczyźni kłamią!

6

Roz wyrzuciła z myśli mężczyzn, rodzinne duchy i przesłania wypisane na lustrze. Do Harper House przyjechali na święta jej chłopcy.

Wszędzie było ich pełno - dom rozbrzmiewał głosami synów, wokół walały się należące do nich przedmioty. Swego czasu cały ten bałagan doprowadzał ją do szału. Teraz uwielbiała porozrzucane buty, czapki, szaliki - owe namacalne oznaki ich obecności. Kiedyś tęskniła za spokojnym, uporządkowanym domem - teraz cieszyła się z ogólnego zamieszania.

Nim się spostrzeże, znowu wyjadą, powrócą do swojego życia. Dlatego będzie się cieszyć każdą wspólną chwilą przez te dwa dni, które spędzą pod jej dachem.

Z radością patrzyła, jak jej synowie bawią się z chłopcami Stelli, jak Harper tuli maleńką Lily w ramionach. Takie momenty rekompensowały jej poczucie, że jest najstarszą osobą w tym wielopokoleniowym towarzystwie.

- Dziękuję, że pozwoliłaś Loganowi zostać na noc. - Stella usiadła obok Roz na sofie.
- Mamy święta. A w tej gospodzie nigdy nie brakuje miejsc.
- Dobrze wiesz, co mam na myśli. I zdaję sobie sprawę, że to głupie, ale naprawdę chciałabym, żeby pierwsza Gwiazdka w jego - to znaczy w naszym - domu odbyła się dopiero po ślubie.
- Ja uważam, że to słodkie i sentymentalne, a do tego z czysto egoistycznych pobudek bardzo się cieszę, że wszyscy znaleźliście się dzisiaj w Harper House. Austin! - wykrzyknęła ostro, bo jej średni syn właśnie zaczął żonglować trzema jabłkami, które zabrał ze srebrnej miski. - Nie w salonie!
- Skąd ja znam tę śpiewkę? - Wysoki, szczupły mężczyzna o falujących blond włosach odziedziczonych po ojcu, mrugnął do Gavina i raz jeszcze podrzucił jabłko. - „Nie w salonie, Austin, tylko nie w salonie” - zaczął podśpiewywać, podczas gdy chłopcy Stelli pokładali się ze śmiechu. W końcu złapał zwinnie owoce, rzucił dzieciom po jabłku, a w trzecie sam wbił zęby.
- Proszę, mamó, napij się wina. - Najmłodszy, Mason, przysiadł na poręczu sofy i podał Roz pełen kieliszek. Po szelmowskim błysku w jego błękitnych oczach natychmiast zorientowała się, że coś knuje.
- Austin - odezwał się do brata - przecież dobrze wiesz, że salon to święte miejsce. Nie wolno ci tu żonglować. Szczególnie czymś takim jak, powiedzmy, buty.
- Umiesz żonglować butami?! Zdjęty trwożnym podziwem Luke wbił w Austina pełne zachwyty spojrzenie.
- Umiem żonglować wszystkim, co mi wpadnie w ręce, bo mam do tego wyjątkowy talent.

- Niestety, kiedy miał osiem lat, nie udało mi się go namówić, żebyśmy zwiali z domu i przyłączyli się do wędrownego trupy cyrkowej. - Harper zabrał od Hayley Lily, bo mała gwałtownie wyciągnęła w jego stronę pulchne rączki.
- A mógłbyś pożonglować moim butem? - zainteresował się Luke.
- Dawaj.
- Austin - westchnęła Roz i pociągnęła łyk wina. - Jeżeli cokolwiek stłuczesz, będziesz uziemiony.
- Kolejna stara śpiewka. A teraz niech się zastanowię... Przydałoby mi się jakieś naprawdę poważne wyzwanie. Logan, twój but jest tak duży, że pewnie pomieściłby bez trudu czteroosobową rodzinę. Zdejmuj.
- Jeśli ci go dam, ty zostaniesz uziemiony, a ja wylecę z pracy. Możesz nazwać mnie tchórzem, ale ostatecznie mam do wykarmienia dwóch dorastających chłopców. - Logan wyciągnął rękę i żartobliwie dźgnął Gavina palcem w żebra. - A oni wsuwają jak prosiaki.
- Kwik! Kwik! - Rozbrykany chłopiec chwycił z tacy ciastko i wpakował sobie całe do buzi. - Kwik! Kwik!
- Och, daj mu ten but, Loganie. - Roz z rezygnacją machnęła ręką. - Bo inaczej nie będziemy mieć chwili spokoju.
- Doskonale. A więc potrzebna mi jeszcze jedna sztuka. - Austin powiódł oczami po pokoju i zatrzymał wzrok na Hayley. - A, jakie piękne, delikatne pantofelki. Dostanę jeden z nich, skarbie?
- Są równie delikatne jak kajaki - zaśmiała się, ale posłusznie ściągnęła but z nogi.
- Harper, przestaw, proszę, kryształ po babci w bezpieczniejsze miejsce - zarządziła Roz - by twój złakniony poklasku brat mógł przed nami odstawić te swoje kuglarskie sztuczki.
- Osobiście wolałbym, żebyś użyła słowa „występ” i całkowicie pominęła słowo „kuglarski”.

- Doskonale pamiętam, że jeden z tych twoich „występów” kosztował mamę cenną lampę - powiedział Harper, odsuwając rodzinne pamiątki. - A całą naszą trójkę, i ciebie też, Davidzie, o ile mnie pamięć nie myli, okrągły tydzień najczarniejszych posług kuchennych.
- To były moje skromne początki - wyznał Austin i po kilku próbnym podrzutach zaczął zręcznie żonglować butami. - Jak widzicie, znacznie udoskonaliłem swoje umiejętności od owego godnego pożałowania wypadku.
- Skądinąd dobrze, że masz te cyrkowe talenty - wtrącił Mason. - Jak cię wyleją z redakcji, zawsze zarobisz parę groszy na Beale Street.

Patrząc na fruujące w powietrzu buty, Lily zaczęła radośnie popiskiwać i podskakiwać na kolanie Harpera. Tymczasem Roz nerwowo przygryzała wargi aż do chwili, gdy jej syn skłonił się na zakończenie pokazu.

- Nauczysz mnie? Nauczysz? - dopytywał się zachwycony Luke, gdy tylko Austin rzucił bul w jego stronę.
- I mnie też! Mnie też - nalegał Gavin.
- Zaraz usłyszymy: „Tylko nie w salonie” - zaśmiał się Austin, zanim Roz zdążyła otworzyć usta. - Jutro udzielę wam pierwszej lekcji, ale na dworze, żeby uchronić się przed strasznym gniewem mojej mamy.
- Ona rządzi nami wszystkimi - z powagą poinformował go Luke.
- Bystry z ciebie facet. No dobrze, skoro nikt nie zamierza rzucić mi kilku monet, będę musiał się zadowolić butelką piwa. - Oddał Loganowi but, po czym podszedł do Hayley. - Proszę, Kopciuszkule, sprawdźmy, czy pasuje.

Zrobił z tego całe przedstawienie, a na koniec bardzo teatralnym gestem wsunął but z powrotem na nogę kuzynki i ponad jej ramieniem uśmiechnął się szeroko do Harpera.

- Leży jak ulał. - Ucałował dłoń dziewczyny. - Jak tylko wrócę z kuchni, weźmiemy ślub.
- Obiecanki, cacanki - rzuciła Hayley, ale posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Jeżeli się już ruszyłeś, to może i mnie przyniesiesz piwo - poprosił Mason.
- Skoro przyjmuję zamówienia, co jeszcze komu podać?

Wysłuchawszy najprzeróżniejszych życzeń, Austin zwrócił się w stronę Harpera.

- Może mi pomożesz w dostawie zamówień?
- Jasne. - Harper wsunął Lily w ramiona Hayley i ruszył za bratem do kuchni.
- Za nic bym sobie tego nie odpuścił - wyszeptał matce do ucha Mason i szybko poderwał się z kanapy.
- Ładne stworzenie z tej naszej kuzynki Hayley, co? - rzucił od niechcienia Austin.
- Od dziecka masz talent do wygłaszania mało odkrywczych uwag.
- Pociągnę więc na tę samą nutę: uważam, że ją rajcuję.
- Na dodatek kompletnie nie znasz się na kobietach.
- Czekaście - wtrącił Mason. - Muszę przynieść kartkę i ołówek, żeby notować punkty.
- Ma zachwycające usta. Ty oczywiście nie zdołałeś tego zauważyć, ponieważ nie są czymś, co wyrasta z doniczki. - Austin pociągnął potężny łyk piwa z butelki. - I zdecydujesz się przytknąć do nich swoje paskudne, grube wargi tylko wtedy, gdy Hayley dostanie jakiegoś ataku i będzie potrzebowała sztucznego oddychania.
- Austin celnie strzela i zdobywa punkty - uznał Mason. - Nie zapominajcie jednak, że to ja jestem lekarzem. Jeżeli Hayley będzie potrzebowała reanimacji usta-usta, ja pierwszy się tym zajmę. Czy są tu gdzieś jakieś chipsy?
- - Założę się o dziesięć dolców, że wołałaby mnie do tej roboty. - Starym zwyczajem Austin uniósł się na rękach i usiadł na kuchennym blacie. - Może popilnujesz dziś wieczorem dzieciaka, a ja zabiorę naszą ślicznotkę na krótki spacer po ogrodzie. Ho skoro ty nie zdążyłeś jej zaklepać dla siebie...
- Nie mów o Hayley tak, jakby, do cholery, była ostatnim kawałkiem ciasta na talerzu! - zaperzy! się Harper. Wyrwał bratu butelkę z ręki i również

pociągnął spory łyk. - Co ci odbiło, żeby wyrażać się o niej w podobny sposób? Jeśli nie masz dość szacunku dla tej kobiety, to może ja zabiorę cię na krótki spacer po ogrodzie i pomogę ci go wzbudzić.

Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu i wycelował palec w stronę Masona.

- Mówiłem ci. Ja to mam nosa, co?
- Taa... Kompletnie stracił dla niej głowę. Co to za kuchnia, w której nie ma chipsów?
- Są w spizarni, na górnej półce - rzuciła Roz od drzwi. - Jak mogłeś przypuszczać, że zapomniałam o waszej namiętności? Austin, czy już skończyłeś mieszać bratu w głowie?
- Jeszcze na dobre nie zacząłem.
- W takim razie będziesz musiał odłożyć na później swoją ulubioną świąteczną rozrywkę. - Uśmiechnęła się leciutko, bo sądząc po triumfalnym okrzyku, Mason właśnie zlokalizował paczkę chipsów. - Nie jesteśmy sami, byłoby więc miło, gdybyśmy spróbowali udawać, że wychowałam was na odpowiedzialnych, dojrzałych mężczyzn.
- Austin już poważnie nadszarpnął ten wizerunek swoją żonglerką -mruknął zrzędlawie Harper.
- To fakt. - Roz podeszła do Harpera, pogłaskała go po policzku, a potem pogłaskała Austina i Masona. - Może rzeczywiście trudno was nazwać odpowiedzialnymi, dojrzałymi mężczyznami, ale, na Boga, jesteście wyjątkowo przystojni. Mogło mi się trafić o wiele gorzej. A teraz, Harper, łap te butelki i nieś naszym gościom. Austin, natychmiast zabieraj tyłek z mojego blatu. A ty, Mason, przesyp jak Bóg przykazał chipsy do miski i przestań rozrzucać okruchy po całej kuchni.

Gdy odpowiedziało jej zgodne: „Tak jest, psze pani”, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Dzień Bożego Narodzenia wydawał się pięknym snem. Roz robiła wszystko, by zachować w pamięci poszczególne obrazy. Zachwył Masona, gdy zobaczył staroświecką torbę lekarską, którą wynalazła dla niego w antykwariacie. Harper i Austin, grający w stołową piłkę nożną. Fascynacja Lily -zgodnie z przewidywaniami - nie zabawkami, ale pudłami i kolorowym papierem do pakowania. I radość Hayley na widok nowych kolczyków o niezwykłym kształcie.

Przyjemnie było popatrzeć na Logana, gdy siedział po turecku na podłodze, pokazując chłopcom Stelli - teraz już i jego chłopcom - dziecięce narzędzia, które im podarował, i sam zrobił skrzyneczki.

Jakże chciała spowolnić wskazówki zegara - tylko tego jednego dnia - ale czas pędził nieubłaganie; zanim się spostrzegła, wczesny ranek - gdy wszyscy z ekscytacją otwierali prezenty - szybko przeszedł w wieczór, kiedy to zaszli do przygotowanej przez Davida wystawnej kolacji przy świecach, podanej na najlepszej porcelanie.

Wkrótce potem dom pogrążył się w ciszy i spokoju.

Roz zeszła na dół, żeby raz jeszcze popatrzeć na choinkę, posiedzieć w salonie z filiżanką kawy i wspomnieniami tej Gwiazdki oraz wszystkich ją poprzedzających.

Kiedy usłyszała kroki, zdumiona podniosła wzrok. W drzwiach ujrzała wszystkich swoich synów.

- Byłam pewna, że już poszliście do domku Harpera.
- Czekaliśmy, aż zejdziesz na dół - poinformował ją Harper.
- Aż zejść na dół?
- W Boże Narodzenie zawsze schodzisz do salonu, gdy wszyscy już pójda spać.

Roz spojrzała znacząco na Masona. - Widzę, że w tym domu nie ukryje się żaden sekret.

- Na szczęście uchowało się ich wiele - odparł Mason. - Ale akurat nie ten.

Austin wyjął matce z ręki filiżankę i na jej miejsce wsunął kieliszek pełen szampana.

- Co wy knujecie?
 - Drobnny rodzinny toast. Ale dopiero po tym, jak dostaniesz od nas swój ostatni prezent.
 - Jeszcze jeden? Będę musiała dobudować pokój, żeby pomieścić wszystko, co dzisiaj dostałam.
 - To coś szczególnego. I już masz na niego miejsce. A w każdym razie swego czasu miałaś.
 - Och, nie trzymajcie mnie w niepewności. Co znowu wymyśliliście?
- Harper wniósł z holu duże pudło owinięte złotą folią i postawił u stóp matki.
- Sama zobacz.

Zaciekawiona Roz odstawiła kieliszek i zaczęła zdzierać folię.

- Tylko nie mówcie Stelli, że tak brutalnie obeszłam się z opakowaniem, włosy zjeżyłyby jej się na głowie. Wprost nie mogę uwierzyć, że zgodnie zdecydowaliście się na jedną rzecz, a na dodatek zdołaliście wszystko zachować w tajemnicy. Mason nigdy nie umie trzymać języka za zębami.
- Kiedy muszę, potrafię dochować tajemnicy. Nigdy na przykład ci nie powiedziałem, że pewnego dnia Austin wziął twój samochód i...
- Zamknij się. - Austin trzepnął brata po ramieniu. - Tego typu zbrodnie nie ulegają przedawnieniu w tym domu. - Uśmiechnął się słodko, gdy Roz spojrzała na niego zmrużonymi oczami. - To, czego nie wiesz, mam, nie może zaszkodzić takiemu durniowi jak ja.
- Zapewne - mruknęła, choć odpakowując prezent, wciąż się zastanawiała, co takiego mógł zmalować wówczas jej syn.

Kiedy zobaczyła, co jest w pudle, serce zabiło jej mocniej z wrażenia. Wyjęła piękne, kosztowne lustro na toaletkę.

- Ze wszystkich, jakie oglądaliśmy, było najbardziej podobne do tego, które zbiliśmy. Niemal ten sam kształt i wzór na ramie - oświadczył Harper.
 - Styl królowej Anny - dorzucił Austin. - Sadząc po tych złoceniach, zielonej emalii i kącie mocowania szufladek, pochodzi z 1700 roku. O ile nas pamięć nie zawiodła, z tego samego okresu pochodziło lustro potłuczone przez Masona.
 - Hej, to Harper wymyślił, że będziemy trzymać w szufladce pod nim nasze skarby. Nie moja wina, że je upuściłem, gdy siedzieliśmy na tym cholernym drzewie. Byłem wtedy jeszcze maluchem.
 - O, Boże. Wielki Boże. Tak strasznie się na was wówczas wściekłam. Niemal żywcem obłupiłam was ze skóry.
 - Mamy dość bolesne wspomnienia związane z tą chwilą - zapewnił matkę Austin.
 - Lustro należało do rodziny waszego taty - wyznała ochryplym nagle głosem, wodząc palcem po politurowanym drewnie. - Dał mi je w dniu ślubu.
 - A więc powinnaś była obedrzeć nas ze skóry. - Harper przysiadł u boku Roz i pogładził ją po rękę. - Wiemy, że to nie to samo, ale...
 - Nie, nie, nie... - Ogarnięta emocjami, wcisnęła twarz w ramię syna. - Jest piękniejsze. Że też pamiętaliście o tym lustrze, że w ogóle coś podobnego przyszło wam do głowy!
 - Płakałaś, gdy zniszczyliśmy twój skarb - wymruczał Mason, pocierając policzkiem o jej włosy. - Wtedy po raz pierwszy od śmierci taty widzieliśmy cię płaczącą. Nikt z nas nigdy tego nie zapomniał, mamó.
- Musiała walczyć, żeby powstrzymać łzy, gdy po kolei obejmowała każdego ze swoich synów.
- To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam w życiu, i będę go strzec niczym źrenicy oka. Ilekroć na nie spojrzę, będę was widziała takich, jacy byliście wówczas i jacy jesteście teraz. Jestem z was niesłychanie dumna. Zawsze byłam. Nawet wtedy, gdy miałam ochotę obedrzeć was ze skóry.

Austin ponownie podał jej kieliszek, po czym wręczył kieliszki braciom.

- Harper będzie pełnił honory, ponieważ jest najstarszy. Chcę jednak zaznaczyć, że ten prezent to mój pomysł.
- To nasz wspólny pomysł - zaproponował Mason.
- Ale ja pierwszy na niego wpadłem. Bierz się do dzieła, Harper.
- Wezmę się, jeżeli tylko raczysz się zamknąć na kilka sekund. - Uniósł w górę kieliszek. - Za naszą mamę - za to, co dla nas robiła i kim dla nas była, i jest w każdej chwili naszego życia!
- O, rany! Tego już dla mnie za wiele. - Łzy popłynęły Roz z oczu. - Doprawdy za wiele.
- Dalej, popłacz sobie, mamó. - Mason się nachylił i pocałował Roz w mokry policzek. - Dzięki temu historia zatoczy pełne koło.

Powrót do pracy i codziennych zajęć pozwalał stłumić żal po odjeździe chłopców.

Poświęteczny tydzień zazwyczaj był leniwy, Roz poszła więc za przykładem Stelli i zajęła się sprawami organizacyjnymi. Starannie wyczyściła wszystkie narzędzia, wyszorowała stoły, pomogła w inwentaryzacji towarów, a także dokonała wyboru odpowiedniego worka na ziemię i mającego zdobić go nadruku.

Ponieważ miała więcej czasu niż zazwyczaj, wraz z Hayley wzięła się do produkcji nowej partii cementowych skrzynek i pojemników na kwiaty.

- Nie mogę uwierzyć, że już po Gwiazdce. - Hayley przykucnęła, trzymając formę, a Roz wlewała cement. - Tyle nerwowego wyczekiwania i przygotowań, a potem święta mijają jak z bicia strzelił. W zeszłym roku, w pierwsze Boże Narodzenie po śmierci taty, wydawało mi się, że czas wlecze się jak najpowolniejszy ślimak.

- Niestety rozciąga wszystko w czasie, radość skraca. Nie wiem czemu, ale tak już jest.
- Pamiętam, że nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie święta się skończą - żeby już nie musiała słuchać „Jingle Bells” za każdym razem, gdy będę jechała do pracy. Byłam samotna, w ciąży i właśnie wystawiłam dom na sprzedaż. Właściwie cały bożonarodzeniowy okres spędziłam na pakowaniu, zastanawiając się, co uda mi się spieniężyć przed wyjazdem z Little Rock. - Hayley przykucnęła wygodniej i sapnęła z zadowolenia. - A teraz? Minał zaledwie rok, a wszystko jest radosne i wspaniałe. Wiem, że Lily jeszcze nie rozumie, co się wokół niej dzieje, ale byłam taka szczęśliwa, patrząc, jak się bawi nowymi zabawkami, a przede wszystkim pudłami i kolorowymi papierami.
- Nic tak nie przykuwa uwagi malucha jak porządne kartonowe pudło. Ja też byłam bardzo szczęśliwa, wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi, że Lily spędziła z nami swoją pierwszą Gwiazdkę.

Kiedy forma została już napełniona, Hayley wygładziła brzegi szpa-chelką.

- Wiem, że ją kochasz, Roz, ale mam wyrzuty sumienia, że zostajesz z nią w sylwestra w domu, podczas gdy ja idę zaszaleć.
- Wolę tego wieczoru posiedzieć w domu. A Lily stanowi idealną wymówkę. I już się cieszę na myśl, że będę ją miała tylko dla siebie.
- Na pewno zostałam zaproszona na tuzin przyjęć.
- Nawet na więcej. - Roz podniosła się i wyprostowała, przyciskając rękę do pleców. - Nie jestem zainteresowana. Ty natomiast powinnaś iść z Davi-dem, spędzić tę noc wśród młodych ludzi. Włóż swoje nowe kolczyki i tańcz do upadłego. Lily i ja z przyjemnością powitamy Nowy Rok we własnym towarzystwie.
- David narzekał, że jeszcze nigdy nie udało mu się wyciągnąć ciebie na taką imprezę, chociaż podobno przez te lata stała się już swoistą tradycją. -Hayley

podniosła do ust butelkę z wodą i pociągnęła kilka łyków. - Powiedział też, że być może Harper się tam pokaże.

- To bardzo prawdopodobne. Mają z Davidem wielu wspólnych znajomych. - Rozbawiona Roz poklepała dziewczynę po ramieniu. - Zróbmy jeszcze tę ostatnią skrzynkę i ogłośmy koniec pracy na dziś.

Roz dotarła do domu porządnie zmęczona, ale zadowolona, bo po tym dniu mogła odhaczyć z listy prac kilka pozycji wymagających pilnego dokończenia. Kiedy zauważyła samochód Mitcha na podjeździe, ze zdumieniem złapała się na tym, że w pierwszym odruchu chciała iść na górę i włożyć coś bardziej eleganckiego, zanim pokaże mu się na oczy.

Szybko jednak napomniała się w duchu, że byłoby to zachowanie zupełnie niezgodne z jej naturą, a w dodatku strata czasu. Tak więc wkroczyła do biblioteki w roboczym stroju.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba?

Podniósł oczy znad stosu książek i papierów, po czym spojrzał na nią przez okulary w rogowej oprawie. -Hm?

- Właśnie wróciłam do domu. Pomyślałam, że sprawdzę, czy czegoś ci nie potrzeba.
- Niech się zastanowię... Przydałoby się kilkanaście lat, by uporządkować ten bałagan, nowa para oczu... - uniósł w górę dzbanek stojący obok na biurku - ...i więcej kawy.
- To ostatnie życzenie mogę spełnić. - Roz przeszła przez pokój i ruszyła po schodkach na antresolę.
- Nie. Dziękuję. W tej chwili to, co płynie w moich żyłach, składa się zapewne w dziewięćdziesięciu procentach z kofeiny. Która godzina?

Zauważyła, że Mitch ma na ręku zegarek, zerknęła jednak na swój.

- Dziesięć po piątej.
- Po piątej rano czy po południu?
- Siedzisz tu aż tak długo?

- Dość, by stracić rachubę czasu. Co skądinąd często mi się zdarza. - Potarł ramię, kręcąc powoli głową. - Niektórzy z twoich krewnych są doprawdy fascynujący, Rosalind. Znalazłem tyle wycinków gazetowych dotyczących twojej rodziny - datujących się od połowy dziewiętnastego wieku - że bez trudu można by nimi wypełnić po brzegi kasetę schowka bankowego. Czy wiesz, na przykład, że jeden z twoich przodków był pocztylionem w Pony Express w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, a w osiemdziesiątych podróżował po świecie z Buffalo Billem i jego rewią „Wild West Show”?
- To mój praprawuj Jeremiah. Jako młody chłopak uciekł z domu, żeby przyłączyć się do Pony Express. Walczył z Indianami, był zwiadowcą w armii. Pojął za żonę kobietę z plemienia Komanczów, a także ponoć drugą, białą, w Kansas City, mniej więcej w tym samym czasie. Występował w rewii Buffalo Billa jako jeździec i w swoich czasach był uważany za zakale rodziny.
- A co ci wiadomo o niejakej Lucybelle? -Ee...
- Aha, mam cię. Poślubiła Daniela C. Harpera w roku tysiąc osiemset, pięćdziesiątym ósmym, porzuciła go dwa lata później. - Mitch odchylił się na oparcie i krzesło zaskrzypiało żałośnie. - Na kartach historii pojawia się ponownie w sześćdziesiątym drugim, w San Francisco, gdzie otwiera własny saloon i dom uciech.
- To mi umknęło.
- Cóż, Daniel C. utrzymywał, że odesłał ją do kliniki w Nowym Jorku dla podreperowania zdrowia i że zmarła tam na gruźlicę. Pobożne życzenie z jego strony, jak sądzę. Ale dzięki drobiazgowej pracy i odrobinie magii udało mi się wytropić Lucybelle, jako madame zabawiającą twardych facetów w Kalifornii, gdzie przeżyła w dobrym zdrowiu następne dwadzieścia trzy lata.
- Ty naprawdę kochasz tę pracę.

- Naprawdę. Wyobraź sobie piętnastoletniego Jeremiaha, galopującego po prerii, spieszącego z pocztą. Młody, odważny, chudy. Przyjmowali tylko chudych chłopaków, żeby zbyt nie obciążać koni.
- Coś takiego. - Roz przysiadła na skraju biurka.
- Pochylony nad szyją wierzchowca, pędzi na złamanie karku, pokryty kurzem i potem lub niemal zamarznięty na sopel.
- I sądząc po tonie twojego głosu, zapewne przeżywa najlepsze chwile swojego życia.
- Coś musiało być w tym pociągającego, nie uważasz? Z drugiej strony mamy Lucybelle, niegdysiejszą damę z socjety Memphis, w czerwonej sukni i z rewolwerem zatkniętym za podwiązkę.
- Ależ z ciebie romantyk.
- Musiała mieć rewolwer za podwiązkę, jeśli prowadziła bar, w którym co noc grywali w karty poszukiwacze złota.
- Ciekawe, czy ich drogi kiedyś się skrzyżowały.
- Sama widzisz - rzucił Mitch z satysfakcją w głosie. - Ta historia już cię wciągnęła. Myślę, że ich spotkanie jest niewykluczone. Jeremiah mógł wejść do jej saloonu przez wahadłowe drzwi i wychylić whisky przy barze.
- Oraz rozkoszować się innymi oferowanymi tam uciechami, podczas gdy bardziej szacowni członkowie rodu wysiadali, wachlując się, na werandach i utyskiwali na uciążliwości wojny.
- W twojej rodzinie było wielu szacownych obywateli i wiele czarnych owiec. Zawsze jednak mieliście pieniądze i prestiż. - Przerzucił plik papierów i wyjął jakiś prasowy wycinek. - I wiele niekłamanego uroku.

Roz wpatrzyła się w fotografię przedstawiającą ją samą w dniu zaręczyn - świeżą, pełną życia siedemnastolatkę.

- Gdy robiono to zdjęcie, jeszcze nawet nie skończyłam liceum. Byłam kompletnie zielona, za to uparta jak osioł. Nikt nie mógłby mi wybić z głowy

ślubu z Johnem Ashbym i pobraliśmy się w czerwcu następnego roku. Boże, czyż nie wyglądam jak istota gotowa na wszystko?

- Mam tu również fotografie twoich rodziców. Nie jesteś podobna do żadnego z nich.
- Nie. Wszyscy zawsze twierdzili, że ogromnie przypominam z wyglądu mojego dziadka Harpera. Zmarł, kiedy byłam dzieckiem, ale na zdjęciach wygląda na bardzo sympatycznego człowieka.
- Tak, też je widziałem. I rzeczywiście go przypominasz. Reginald Edward Harper junior, urodzony... w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku, najmłodsze dziecko i jedyny syn Reginalda i Beatrice Harper.
- Zajrzał do notatek. - Poślubił... hm...
- Elizabeth McKInnon. Babcię pamiętam doskonale. To ona zaszczepiła we mnie miłość do roślin i ogrodów. Mój tata utrzymywał, że faworyzowała mnie właśnie dlatego, że byłam bardzo podobna do dziadka. Może podam ci herbatę czy jakieś ziółka, żeby zniweczyć zgubne skutki kofeiny?
- Nie, dziękuję. Muszę lecieć. Jestem umówiony.
- W takim razie nie będę cię zatrzymywać.
- Z moim synem - dorzucił spiesznie. - Pizza i ESPN*. Staramy się spotykać na takie sesje przynajmniej raz w tygodniu.
- To musi być miłe. Dla was obu.
- I jest. Posłuchaj, w najbliższym czasie muszę odwiedzić kilka urzędów, załatwić parę innych spraw. Ale zjawię się tu znowu w czwartek po południu i będę pracować cały wieczór, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
- W czwartek jest sylwester.
- Naprawdę? - Zdumiony zerknął na zegarek. - W czasie świąt kompletnie tracę rachubę dni. Pewnie zaprosiłaś kogoś na ten wieczór.
- Prawdę mówiąc, nikogo nie zaprosiłam.

* Amerykański całodobowy kanał sportowy emitowany w sieciach kablowych.

- W takim razie rozumiem, że wychodzisz. Może więc nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli popracuję w bibliotece.
- Nie wychodzę. Będę się zajmować małą Lily. Zamierzam wyprawić Hay-ley na imprezę, a Stella i chłopcy wybierają się na małe przyjęcie rodzinne w domu Logana.
- Jeżeli nie zostałeś zaproszona na tuzin przyjęć i jeżeli co najmniej dwa razy tyłu mężczyźni nie ubiegało się, by ci towarzyszyć w wieczór sylwestrowy, jestem gotów zjeść te wszystkie wycinki prasowe.
- Podane przez ciebie liczby są zdecydowanie zawyżone, ale rzeczywiście zrezygnowałam z przyjęć i oferowanego towarzystwa. Postanowiłam w spokoju posiedzieć w domu.
- Czy nie będę ci przeszkadzać, jeżeli sobie tu popracuję? Roz filuternie przekrzywiła głowę.
- Założę się, że ty również zostałeś zaproszony na wiele imprez i że wiele kobiet chętnie widziałoby cię w sylwestrową noc u swojego boku.
- Nigdy nie baluję w sylwestra. To swoista tradycja.
- W takim razie możesz być pewien, że w niczym nie będziesz mi przeszkadzać. Jeżeli Lily nie zacznie marudzić, mógłbyś nawet rozpocząć ze mną wywiad.
- Doskonale.
- A więc załatwione. Słuchaj, ostatnio byłam bardzo zajęta - podjęła po chwili.
 - W Boże Narodzenie panował tu chaos - moi chłopcy zjechali do domu. I między innymi z tego powodu nie miałam okazji wspomnieć wcześniej o pewnej sprawie.
- O jakiej?
- Parę tygodni temu Amelia zostawiła mi wiadomość.

* Amerykański całodobowy kanał sportowy emitowany w sieciach kablowych (wszystkie przypisy tłumaczki).

- Parę tygodni temu?
- Mówiłam, że byłam zajęta - odparła Roz z irytacją w głosie. - Poza tym nie chciałam w czasie świąt zaprzętać sobie głowy duchami- Rzadko widuję synów i zależało mi, by jak najlepiej się przygotować na ich przyjazd.
Mitch bez słowa wyciągnął z torby magnetofon, popchnął w stronę Roz i nacisnął guzik nagrywania.
- Opowiedz. Irytacja Roz wzrosła.
- Stwierdziła: „Mężczyźni kłamią”.
- Tylko tyle?
- Owszem. Napisała mi to na lustrze.
- Na jakim lustrze? Czy sfotografowałaś napis?
- Nie. Nie sfotografowałam. - Teraz chętnie by się z tego powodu kopnęła w kostkę. - I kompletnie nie pojmuję, co to ma za znaczenie, na jakim lustrze. Na lustrze w łazience. Właśnie brałam prysznic. Gorący- Lustro było zaparowane i zobaczyłam na nim ten napis.
- Kaligrafia czy pismo drukowane?
- Drukowane. Z wykrzyknikiem na końcu. Wyglądało to mniej więcej tak. - Chwyliła jeden z ołówków Mitcha. - Ponieważ nie uznałam tego przesłania za szczególnie doniosłe lub zagrażające życiu, uznałam, że mogę poczekać z przekazaniem ci tej nowiny.
- Następnym razem nie czekaj. A co robiłaś, zanim... - nie myśl o jej nagim ciele pod prysznicem, nakazał sobie w duchu - ...zanim weszłaś pod prysznic?
- Pracowałam w ogrodzie, a ty przyszedłeś ze mną porozmawiać. To było tego dnia, gdy korzystałam z rozdrabniarki.
- Dzień po twoim świątecznym przyjęciu - odrzekł Mitch i zapisał coś w grubym notesie. - Wówczas też zaprosiłem cię na kolację-
- Wspomniałeś coś na temat...

- Nie, nie. Chciałem się z tobą spotkać sam na sam w celach czysto towarzyskich. - Podekscytowany, zerwał się z krzesła i przysiadł na brzegu stołu, tak że teraz ich oczy się spotkały. - A zaraz potem Oblubienica ostrzegła cię, że mężczyźni kłamią. Fascynujące. Chciała cię do mnie zrazić.
- Ponieważ na razie zupełnie nic nas nie łączy, nie miała żadnego powodu, żeby mnie do ciebie zrażać.
- Zupełnie jej nie przeszkadza, że tu pracuję. - Mitch zdjął okulary i rzucił je na stół. - Czekałem na nią, miałem nadzieję na spotkanie, nawet na ostrą konfrontację. Oblubienica postanowiła jednak nie zawracać sobie mną głowy. A potem zapraszam cię na kolację, a ona zostawia ci wiadomość. Czy kiedykolwiek wcześniej zrobiła coś podobnego?
- Nie.
- Hm. - Zauważył, że po twarzy Roz przebiegł cień. - O co chodzi? Przecież widzę, że coś ci przyszło na myśl.
- To dość dziwna historia. Poprzednio ją widziałam tuż po długiej gorącej kąpieli. Teraz wyszłam spod prysznic. A więc zawsze łazienka.

Nie myśl o jej nagim ciele.

- Co robiłaś, zanim weszłaś do wanny?
- Nic takiego. Pracowałam, szkicowałam. To wszystko.
- No dobrze. A o czym myślałaś, kiedy siedziałaś w wodzie?
- Nie rozumiem, co to może mieć do rzeczy. To było tego wieczoru, gdy poczułam szaloną ochotę na świąteczne zakupy. Po prostu się relaksowałam.
- Wówczas też się ze mną widziałaś.
- Mitch, wydaje się, że twoje ego rozrasta się w zatrważającym tempie. Czy chcesz, żebym jakoś temu zaradziła?
- Fakty pozostają faktami. W każdym razie Oblubienica mogła być zaintrygowana lub rozwścieczona treścią twoich myśli. Jeżeli była w stanie wtargnąć w sny Stelli, czemu nie miałyby wnikać w marzenia na jawie?
- Nie podoba mi się ta sugestia. Wyjątkowo mi się nie podoba.

- Mnie również, ale z tego powodu nie możemy jej odrzucać. Roz, zamierzam badać tę sprawę na dwóch płaszczyznach. Z punktu widzenia tego, co dzieje się teraz, oraz tego, co wydarzyło się w przeszłości. A także dlaczego. Tylko takie podejście da nam pełny obraz i pozwoli rozgryźć tajemnicę. Po to właśnie mnie zatrudniłaś. Musisz mnie jak najszybciej informować o każdym objawieniu się Oblubienicy. A nie parę tygodni po fakcie.
- W porządku. Jeśli następnym razem pokaże mi się o trzeciej nad ranem, natychmiast do ciebie zadzwonię.

Mitch uśmiechnął się szeroko.

- Nie lubisz przyjmować poleceń, prawda? Jesteś za bardzo przyzwyczajona do ich wydawania. W porządku. Rozumiem. Dlatego zamierzam cię spytać, bardzo grzecznie i uprzejmie, czy pozwolisz mi rzucić okiem na swoją łazienkę?
- Pomijając fakt, że na tym etapie byłoby to zupełnie bezsensowne, czy przypadkiem nie powinienes już iść na spotkanie z synem?
- Z Joshem? A to czemu? O, do diabła! Na śmierć zapomniałem. Muszę lecieć.
- Rzucił okiem na stół. - Zostawiam wszystkie papiery. I proszę, bądź tak dobra, nie porządkuj tu niczego.
- Nie mam obsesji na punkcie porządkowania.
- Chwała Bogu. - Chwycił kurtkę. W ostatniej chwili przypomniał sobie o okularach. - Będę tu z powrotem w czwartek. Gdyby wcześniej zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki, natychmiast daj mi znać. - Pospieszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się jeszcze w progu i odwrócił w jej stronę. – Rosalind, muszę przyznać, że w wieku siedemnastu lat byłaś precudnym pączkiem, ale dopiero w pełnym rozkwicie jesteś oszałamiająca.

Kiedy zniknął, Roz parsknęła śmiechem i oparła się dłońmi o stół. Bezmyślnie wpatrywała się chwilę w swoje zniszczone, ciężkie buty, a potem w workowate spodnie powalane ziemią i wysmarowane zastygającym cementem.

Flanelowa koszula, którą dziś na siebie włożyła, miała już tyle lat, że spokojnie mogłaby się ubiegać o prawo jazdy.

Meżczyźni kłamią, pomyślała. Niekiedy jednak ich kłamstwa bywają bardzo przyjemne.

W sylwestra firma zamykała podwoje kilka godzin wcześniej niż zazwyczaj, Roz postanowiła więc zająć się domowymi roślinami. Kilka trzeba było przesadzić, a parę innych chciała rozmnożyć.

W czystym powietrzu unosił się lekki chłód, z przyjemnością więc zaszyła się w niedużej, przydomowej szklarni. Przede wszystkim zajęła się jedną ze swoich ulubionych roślin - olbrzymim fiołkiem afrykańskim, będącym potomkiem malej roślinki, którą dostała od babci ponad trzydzieści lat temu. Przy akompaniamencie ciepłego, bluesowego głosu Nory Jones starannie wybrała kilka listków z przeznaczeniem na sadzonki. Umieściła je w dużym naczyniu z wodą, przytykając ogonki do ścianek. Za miesiąc wytworzą się korzenie i wówczas posadzi młode roślinki w oddzielnych, jasnozielonych doniczkach, które przygotowała specjalnie na ten cel.

To będzie prezent dla Stelli na nowe mieszkanie i na nowe życie.

Z radością przekaze ten drobny fragment swojego rodzinnego dziedzictwa kobiecie, która będzie umiała docenić taki gest - kobiecie, która stała się prawdziwie bliska jej sercu.

Pewnego dnia, gdy jej synowie się pożenią, dla nich też wyhoduje podobne fiołki. Postanowiła, że będzie darzyć miłością wybrane przez nich kobiety - tylko dlatego, że oni je pokochali. A jeżeli dopisze jej wyjątkowe szczęście, to może także zacznie darzyć żony swoich synów najszczerszą sympatią.

Synowe, pomyślała nostalgicznie. I wnuki. Dziwnie się poczuła, gdy sobie uświadomiła, że ten moment jest już całkiem bliski. A jeszcze dziwniej, kiedy zdała sobie sprawę, że do niego tęskni. Z pewnością na jej nastawienie miała wpływ obecność Stelli i Hayley, a przede wszystkim małych dzieci.

Nie zamierzała jednak w żaden sposób poganiać synów i przyspieszać biegu wydarzeń.

Obecnie Roz była zadowolona ze swojego życia. Interes rozwijał się doskonale, co sprawiało jej nie tylko wielką osobistą satysfakcję, ale i olbrzymią ulgę.

Podjęła wielkie ryzyko, gdy zdecydowała się na założenie „Edenu” - musiała jednak zaryzykować - dla dobra siebie i swojego dziedzictwa.

Utrzymanie Harper House - którego nigdy dobrowolnie nie wypuściłaby z rąk - było niezmiernie kosztowne. Niektórzy ludzie sądzą, że Roz jest tak bogata, iż mogłaby palić pieniędzmi w piecu. Tymczasem, choć nigdy nie znalazła się w sytuacji osoby liczącej się z każdym centem, nie była wcale milionerką.

Wychowała troje dzieci - wykarmiła i wykształciła. Spuścizna rodzinna i zmysł inwestycyjny Roz sprawiły, że nie musiała szukać pracy i mogła zostać z chłopcami w domu.

Ale czesne uniwersyteckie dwóch synów i studia medyczne Masona pochłonęły sporą sumę. Do tego dom wymagał wymiany instalacji wodnej, nowego dachu, malowania - trzeba więc było szukać kolejnych źródeł dochodu. W pewnym momencie zmuszona była nawet do sprzedaży kilku rodzinnych pamiątek - dwóch obrazów oraz paru sztuk biżuterii. I chociaż nie łączyły jej z owymi przedmiotami żadne wspomnienia czy związki emocjonalne, i tak czuła się winna, że oddaje w obce ręce rodowa spuściznę.

Musiała jednak poświęcić kilka drobiazgów, żeby zachować całość.

W końcu nadszedł czas, gdy przyszłość synów i Harper House były już jako tako zabezpieczone. Nadal jednak Roz potrzebowała pieniędzy. Wówczas - przez krótki moment - rozważała nawet możliwość podjęcia pracy.

Ale Mitch miał rację - nie lubiła przyjmować poleceń, natomiast miała wielką wprawę w ich wydawaniu. A ostatecznie każdy powinien wykorzystać

wać swoje najmocniejsze strony, pomyślała Roz z cieniem uśmiechu na ustach. I tak właśnie zrobiła.

Miała do wyboru: zebrać się na odwagę i założyć własny interes albo schować dumę do kieszeni i pracować dla kogoś innego.

Nie wahała się ani przez moment.

Postawiła cholernie dużo na jedną kartę i przez pierwsze dwa lata „Eden” balansował na granicy opłacalności. W końcu jednak przedsiębiorstwo zaczęło się rozwijać i przynosić przyzwoite dochody. Razem z Harperem doprowadzili je do rozkwitu i świetności.

Potem przyszedł cios - rozpad małżeństwa i rozwód. Idiotyczna, bezna dziejna pomyłka życiowa. I choć Bryce nie skorzystał materialnie na ich związku - wziął jedynie to, co pozwoliła mu zabrać - Roz straciła wiele poczucia godności własnej oraz pieniędzy, by się ostatecznie od niego uwolnić.

Przetrwała dzielnie burzę. Dom, interes, synowie na tym nie ucierpieli. Wszystko zmierzało ku coraz lepszej przyszłości. Mogła więc powoli myśleć o własnej satysfakcji - zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym.

Kiedy skończyła z fiołkiem, zajęła się bromeliami - pobrała odrosty do posadzenia i po chwili zdecydowała, że Stella też dostanie parę doniczek. Z radością pracowała przez następną godzinę, a potem poszła sprawdzić cebulkowate, które umiejętnie pobudzała do szybszego wzrostu i kwitnienia. Z zadowoleniem dostrzegła, że na narcyzach już zawiązywały się pąki.

Zabrała kilka pojemników, by je ustawić w kuchni.

- Co dobrego mi przyniosłaś? - zainteresował się David.
- Davidzie, jestem zrozpaczona, że przez tyle lat nie zdołałam cię nauczyć niczego o roślinach. Przecież już na pierwszy rzut oka widać, że to tulipany. - Ustawiła je w niszy okiennej na parapecie. - Za parę tygodni pięknie rozkwitną.
- Ja natomiast jestem zrozpaczony, że przez tyle lat nie zdołałem cię nauczyć, jak się ubierać elegancko do prac w ogrodzie. Ile lat temu kupiłaś tę koszulę?

- Nie mam pojęcia. Za to bardzo jestem ciekawa, co ty jeszcze robisz o tej porze w kuchni? - Otworzyła lodówkę i wyjęła dyżurny dzbanek z mrożoną herbatą. - Czy przypadkiem nie powinienes już rozpocząć maratonu przygotowań do dzisiejszej imprezy?
- Skoro nie chcesz zaszaleć z nami tej nocy, postanowiłem skomponować dla ciebie półmisek zimnych mięs i przekąsek. Poza tym, gdy ty grzebałaś w ziemi, ja relaksowałem się w salonie piękności, więc jestem już niemal gotowy.

Nic powinienes był zawracać sobie głowy .jakimikolwiek półmiskami. leszcze jestem w sianie samodzielnie znaleźć w lodówce coś, co nadaje się na kanapkę.

- Ale tak jest stosowniej i bardziej elegancko, szczególnie jeżeli podejmuje się gościa. - Zaśmiał się cichutko. - Nasz profesor siedzi zapracowany w bibliotece. Zamroziłem też dwie butelki szampana, byście mogli - że się tak wyrażę - strzelić korkiem w odpowiedniej chwili.
- Davidzie! - Klepnęła go delikatnie w tył głowy. - Nie mam zamiaru strzelać czymkolwiek w czyimkolwiek towarzystwie. Dzisiejszego wieczoru opiekuję się dzieckiem.
- Dzieci mają to do siebie, że wieczorem idą spać, mój skarbie, a on jest zabójczo przystojny i wyjątkowo seksowny w tych swoich niezobowiązujących ciuchach. Zaskocz go - zrób mu małą niespodziankę. Tylko, na Boga jedynego, idź się najpierw przebrać! Przygotowałem ci biały kaszmirowy sweter, czarne spodnie z lycrą, na które długo musiałem cię namawiać, ale w końcu mi się udało, i te fantastyczne pantofle od Jimmy'ego Choo.
- W żadnym razie nie zamierzam do opieki nad siedmiomiesięcznym dzieckiem wkładać białego swetra, nieprzytomnie obcisłych spodni, których, nawiasem mówiąc, nigdy bym nie kupiła, gdybyś mnie jakoś podstępnie nie zahipnotyzował, czy piętnastocentymetrowych szpilek. Nie umówiłam się na żadną randkę.

- Czy doprawdy nie biorą cię te okulary w rogowej oprawie? A właściwie co sprawia, że mężczyźni w takich okularach są nieodparcie pociągający?

Roz chwyciła oliwkę ze stojącej obok miseczki.

- Widzę, że jesteś dziś strasznie nakręcony. David nakrył półmisek plastikową folią.
- Gotowe - oświadczył. - Czeka cię fantastyczny, sylwestrowy piknik w towarzystwie superprzystojniaka w rogowych okularach.
- Davidzie, czemu, u licha, jesteś przekonany, że potrzebuję mężczyzny?
- Moja droga Roz, bo wszyscy potrzebujemy faceta.

Ostatecznie rzeczywiście się przebrała, kategorycznie jednak odrzuciła zestaw wybrany przez Davida - zamiast eleganckiego swetra i szykownych spodni włożyła prostą bawełnianą koszulę i dżinsy, na stopy zaś wciągnęła swoje ulubione wełniane skarpety.

W pokoju dzieciennym cierpliwie wysłuchiwała gorączkowych instrukcji Hayley i wielokrotnie zapewniła zdenerwowaną matkę, że skrupulatnie się do nich dostosuje. W końcu przysięgła na wszystkie świętości, że w razie jakichkolwiek problemów natychmiast zadzwoni, i wreszcie wypchnęła dziewczynę za drzwi.

Stała w oknie, pomachała Davidowi i Hayley na pożegnanie, a gdy samochód zniknął jej z oczu, odwróciła się do Lily gaworzącej i podskakującej w swoim chodziku.

- Teraz już mam cię tylko dla siebie, skarbie. Chodź. Chodź do cioci Roz. Jesteś taka słodka, że chętnie bym cię schrupała.

Siedzący w bibliotece Mitch udawał, że czyta, i szkicował coś w notesie, ale przecie wszystkim wsłuchiwał się,- w odgłosy dochodzące z monitora dźwięków stojącego na półce etażerki.

Podobne monitory znajdowały się we wszystkich pomieszczeniach -w każdym razie we wszystkich, które do tej pory widział. Jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia minionej wiosny, był to sensowny, podstawowy środek ostrożności.

W owej chwili jednak to nie względy bezpieczeństwa zaprzętały jego myśli. Mitch był rozbawiony i jednocześnie roztkliwiony, gdy najpierw dolatywały doń gorączkowe instrukcje Hayley, a teraz pełne miłości, pieszczotliwe słowa Roz przemawiającej do maleństwa.

Nigdy dotąd nie słyszał tak ciepłej nuty w jej głosie. Nigdy nie przypuszczał, że ten głos może brzmieć tak miękko - niczym wonny wosk podgrzewany na wolnym ogniu. Nie sądził też, że kobieta pokroju Roz mogłaby się tak rozpląwać w zachwytach nad małym dzieckiem.

Gruchała słodko do dziewczynki, cmokała, śmiała się i wydawała z siebie mnóstwo dziwnych odgłosów - jak zazwyczaj dorośli w towarzystwie niemowląt. A Lily wydawała się uszczęśliwiona.

To było kolejne wcielenie kobiety, którą do tej pory postrzegał jako onieśmielającą, pewną siebie, odrobinę wyniosłą i niespotykane bezpośrednio. Wszystkie te twarze już się złożyły w jego umyśle w wyjątkowo seksowny obraz. Obecna... delikatność była niczym lukier na i bez tego apetycznym torcie. Z monitora popłynął niski, gardłowy śmiech i Mitch już nawet nie próbował udawać, że pracuje.

Chwilę później usłyszał melodyjkę z pozytywki, stukot zabawek i chichoty oraz gaworzenie niemowlęcia. A jeszcze potem - śpiew Roz, najwyraźniej kołyszącej dziecko do snu.

W końcu dobiegł go cichy pomruk, westchnienie i nagle zapadła cisza. Niepocieszony, że czarujące słuchowisko dobiegło końca, chwycił dzbanek z kawą. O, zgrozo, był znowu pusty.

Zabrał go więc do kuchni, żeby napełnić świeżym naparem, a gdy odmierzał ziarna do ekspresu, w drzwiach pojawiła się Roz.

- Witaj - rzucił pogodnie. - Za moment zejść ci z drogi. David powiedział, że mogę swobodnie korzystać z tej maszyny.
- Oczywiście. Ja natomiast mam właśnie zamiar dobrać się do półmiska przygotowanego przez Davida. Czy miałbyś ochotę również coś przekąsić?

- Z wielką chęcią. Powiedział, że coś przyszykuje, kiedy pokazywał mi, gdzie znajdę rzeczy potrzebne do zaparzenia kawy. Zdaje się... - Wybałuszył oczy, gdy Roz wyjęła z lodówki półmisek i rozmaite miseczki. - Widzę, że potraktował sprawę bardzo poważnie.
- David żyje w nieustannym lęku, że umrę śmiercią głodową, o ile nie przygotuje mi porcji, którą można bez trudu wykarmić sześć osób. - Zerknęła przez ramię na Mitcha. - Zdaje się... - podjęła przerwany przez niego wątek.
- Słucham?
- Chciałeś coś jeszcze powiedzieć. Czy a propos Davida?
- Och, tylko tyle że chyba mnie podrywał. Roz wyciągnęła z szafki podłużne świeże bułki.
- Jestem pewna, że nie był natarczywy.
- Nie. W żadnym razie. Prawdę mówiąc... był całkiem uroczy.
- Mam nadzieję, że nie poczułeś się urażony.
- Skąd. Biorąc pod uwagę dzielącą nas różnicę wieku, raczej mi pochlebił.
- Wyjątkowo podobasz mi się w okularach.
- W... czym?
- W okularach w rogowej oprawie. Uważa, że są bardzo seksowne. Chcesz, żebym nałożyła ci na kanapki wszystkiego po trochu, czy wolałbyś sam dokonać wyboru?
- Będę wdzięczny, jeśli zechcesz mi nałożyć wszystkiego po trochu.
- Nie ma powodów do wdzięczności. I tak miałam szykować coś dla siebie.
Gwałtownie podniosła wzrok, gdy z monitora popłynął głos - głos Amelii śpiewającej kołysankę.
- To wciąż niesamowite wrażenie, prawda? - rzucił Mitch.
- Amelia nie przychodzi zbyt często do Lily. Do moich synów przychodziła niemal każdego wieczoru. Z jakichś powodów preferuje chłopców. Wie z pewnością, że Hayley wyszła na noc, więc postanowiła...

Głos uwiązał jej w gardle, gdy nagle uświadomiła sobie, że w bibliotece również stoi monitor dźwięku. A więc Mitch słyszał, jak czule rozmawiała z Lily.

- Zupełnie zapomniałam, że tam, gdzie pracujesz, stoi identyczne urządzenie. Zapewne przeszkodziłam ci w pracy.
- Ani trochę.
- Jeżeli kiedykolwiek monitor zacznie zakłócać ci spokój, wyłącz go bez wahania. Teraz mamy je już w każdym pomieszczeniu. Hayley do swojego pokoju kupiła nawet urządzenie z kamerą wideo. Wprost trudno uwierzyć, na jakie udogodnienia mogą teraz liczyć młode mamy.
- Ty zapewne byłaś doskonałą matką. Każdy, kto by cię dzisiaj usłyszał... - wskazał głową na monitor - ... nie miałby co do tego najmniejszej wątpliwości.
- Byłam. I jestem. To dla mnie najważniejsze zadanie w życiu.
Jezu, ileż to razy zaśpiewała dziś wieczorem tę idiotyczną piosenkę z El-mo?
Lepiej się nad tym nie zastanawiać.
- Chcesz zabrać talerz do biblioteki, aby zjeść w trakcie pracy, czy może zrobisz sobie przerwę i zostaniesz ze mną w kuchni?
- Wolę zostać, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.
- Doskonale. - Zawahała się, po czym ponownie otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę szampana. - Skoro dziś mamy sylwestra, może popijemy nasze kanapki czymś bardziej wyszukanym niż kawa.
- Dzięki, ale ja nie piję. Nie mogę.
- Och. - Nagle Roz poczuła się jak wyjątkowa idiotka- Przecież już wielokrotnie zauważyła, że Mitch nie bierze de ust alkoholu. Jak mogła wcześniej nie pokorzyć faktów? Przez swoją ociężałość umysłową naraziła gościa na zakłopotanie. - W takim razie zostaniemy przy kawie.
- Ależ proszę. - Położył dłoń na jej ramieniu, zanim zdążyła schować butelkę z powrotem do lodówki. - Otwórz tego szampana i rozkoszuj się jego smakiem.

Nie przeszkadza mi, kiedy inni piją w moim towarzystwie. Prawdę powiedziawszy, to dla mnie ważne, żeby ludzie czuli się przy mnie swobodnie. Żebyś ty czuła się swobodnie. Pozwól, że ci pomogę. - Wziął z jej rąk butelkę. - Nie przejmuj się, otworzenie szampana nie jest równoznaczne z osunięciem się w otchłań nałogu.

- Przepraszam. W żadnym razie nie chciałam, żebyś poczuł się skrepowany. Powinam się była domyślić.
- Dlaczego? Przecież nie noszę na szyi tabliczki z napisem: „Były alkoholik”.
- Rzeczywiście - przyznała Roz z uśmiechem i wyciągnęła z kredensu wysmukły kieliszek.

Mitch tymczasem delikatnie strzelił korkiem.

- Zacząłem pić, gdy miałem mniej więcej piętnaście lat. Od czasu do czasu, po kryjomu, wychylałem piwo - jak to chłopcy w tym wieku. Nic wielkiego. Uwielbiałem lodowatego pilsnera.

Ustawił talerze na stole i nalał kawę do filiżanek, podczas gdy Roz zajęła się resztą przygotowań do posiłku.

- Potem często upijałem się w college'u, ale to znowu dość typowe i powszechne. Nigdy z tego powodu nie opuszczałem zajęć, nie wpakowałem się w żadne kłopoty, nie opuściłem się w nauce. Ukończyłem studia z wyróżnieniem - znalazłem się wśród pięciu procent najlepszych. Uwielbiałem college niemal tak samo jak lodowate piwo. Czy ja przypadkiem cię nie zanudzam?
- W żadnym razie - odparła, nie spuszczając oczu z jego twarzy.
- To w porządku. - Odgryzł pierwszy kęs kanapki i pokiwał z uznaniem głową.
- Pani Harper, przyrządza pani fantastyczne sandwicze.
- Fakt - przyznała nieskromnie Roz.
- No a potem rozpocząłem studia magisterskie - skończyłem, otrzymałem stopień. Wykładałem na uczelni, ożeniłem się, pracowałem nad doktoratem. I piłem. Urodził mi się syn. Piłem dalej. Byłem... miłym pijakiem, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Nigdy nie wszczynałem burd, nie okazywałem agresji. Nie

posuwałem się do rękoczynów. Ale od chwili gdy Josh zjawił się na świecie, ani dnia nie byłem całkiem trzeźwy, aż do czasu, gdy postanowiłem definitywnie zerwać z nałogiem.

Zabrał się ze smakiem do specjalnej sałatki ziemniaczanej pomysłu Da-vida.

- Pracowałem, wykładałem, pisałem, zapewniłem rodzinie wygodny byt. Z powodu alkoholu nie opuściłem ani dnia pracy, ani jednego wykładu. Za to utraciłem żonę i syna.
- Przykro mi, Mitch.
- Niepotrzebnie. Sara, moja eks, robiła wszystko, co mogła. Kochała mnie, ale chciała takiego życia, jakie jej obiecałem. Wiele kobiet na jej miejscu zostawiłoby mnie dużo wcześniej. Błagała, żebym rzucił picie, a ja składałem zapewnienia lub zbywałem ją byle czym. Nie zalegaliśmy z żadnymi rachunkami, więc o co właściwie chodziło? Mieliśmy ładny dom i regularnie spłacaliśmy hipotekę. A ja przecież, na Boga, nie należałem do wiecznie zataczających się, lądujących w rynsztoku nałogowców. Po prostu codziennie wypijałem po kilka drinków, żeby się zrelaksować. Co prawda zaczynałem już od samego rana, ale przecież, do cholery, miałem do tego prawo. - Urwał i pokręcił z politowaniem głową. - Łatwo łudzić samego siebie - zaczął mówić po chwili. - Udawać, że to poszukiwanie spokoju, gdy tak naprawdę przez większość czasu żyje się w alkoholowym ośpieniu. Łatwo ignorować oczywistą prawdę - że każdego bożego dnia zawodzi się żonę i syna na milion możliwych sposobów. Zapomina się o proszonych kolacjach i urodzinach, wymyka z łóżka - w którym i tak się jest do niczego - by wychylić jeszcze jednego drinka, zasypia się, zamiast pilnować własnego dziecka. Nigdy tak naprawdę nie ma się kontaktu z rzeczywistością. Nigdy.
- To zapewne ciężkie doświadczenie. Dla wszystkich zainteresowanych.
- Szczególnie ciężkie dla tych, których ciągnie się za sobą na dno, wierz mi. Nie chciałem iść z Sarą na terapię małżeńską, odrzucałem możliwość odwyku, nie zgadzałem się rozmawiać z kimkolwiek na temat mojego - jak

utrzymywała Sara - poważnego problemu. Nawet gdy już zagroziła, że odej-
dzie, i spakowała swoje rzeczy i rzeczy Josha. Nawet kiedy mnie na dobre
opuściła. Prawdę mówiąc, ledwie to zauważyłem.

- Zdecydowała się na niezwykle odważny krok.
- Rzeczywiście. - Spojrzał na nią uważniej. - Sądzę, że kobieta taka jak ty
wyjątkowo dobrze rozumie, ile to wymagało hartu ducha. Ja natomiast po-
trzebowałem jeszcze roku, by się zorientować, że jestem w matni. Rozejrza-
łem się wokół i ujrzałem pustkę. Zrozumiałem, że utraciłem wszystko, co
było dla mnie najdroższe, i że jest już za późno, aby to odzyskać. Wówczas
poszedłem na spotkanie AA.
- To też wymagało odwagi.
- Na pierwszym mityngu umierałem ze strachu. Siedziałem na samym końcu
salki w podziemiu małego kościoła i trząsałem się jak osika.
- Wielkiej odwagi.
- Zachowałem trzeźwość przez trzy miesiące, dziesięć dni i pięć godzin, po
czym znowu sięgnąłem po butelkę. Ponownie zacząłem walczyć z nałogiem i
tym razem byłem trzeźwy przez jedenaście miesięcy, dwa dni i piętnaście
godzin. Ale Sara już nie chciała do mnie wrócić. Poznała kogoś innego, a do
mnie całkowicie straciła zaufanie. Natychmiast wykorzystałem to jako
pretekst do dalszego picia. Przez kilka następnych miesięcy codziennie
upijałem się do nieprzytomności, ale w końcu udało mi się wyciągnąć z na-
łogu.

W geście toastu uniósł filiżankę z kawą.

- To było czternaście lat temu. A w zasadzie czternaście lat minie w marcu -
dokładnie piątego. Sara mi wybaczyła. Jest nie tylko bardzo dzielna, ale i
wspaniałomyślna. Josh również mi wybaczył i od czternastu lat staram się
być dla niego dobrym ojcem. Najlepiej, jak umiem.
- Uważam, że trzeba być odważnym i silnym, by skonfrontować się ze swoimi
demonami i poskromić je, a jednocześnie zмагаć się z nimi niemal każdego

dnia. Trzeba być również mądrym i wielkodusznym, by przyznać się do własnych błędów, nie próbując - choćby częściowo - zrzucić winy za niepowodzenia życiowe na innych.

- Fakt, że przestałem pić, nie czyni ze mnie bohatera, Roz. Dzięki temu jestem po prostu trzeźwy. Obecnie natomiast chętnie bym zwalczył swój nałóg kofeinowy.
- To jest nas już dwoje.
- No dobrze. Teraz, gdy zagadałem cię niemal na śmierć, poproszę, żebyś po kolacji odpłaciła mi pięknym za nadobne, udzielając pierwszego wywiadu.
- W porządku. Czy będziesz go nagrywać?
- Tak. Choć również poczynię drobne notatki.
- Może w takim razie przeniesiemy się do salonu? Tam jest o wiele wygodniej.
- Świetny pomysł.

Wcześniej jednak Roz sprawdziła, co słychać u maleńkiej Lily i odebrała pierwszy telefon od Hayley. Potem, gdy Mitch znosił z biblioteki wszystkie potrzebne mu akcesoria, Roz ułożyła na wózku przygotowaną przez Davida tacę z owocami, różnymi gatunkami serów i krakersami.

Kiedy toczyła pełen wózek w stronę salonu, za jej plecami zmaterializował się Mitch.

- Pozwól, że cię wyręczone.
- Nie, nie ma takiej potrzeby. Mógłbyś natomiast rozpaść w kominku. Noc jest dość chłodna - przyjemnie będzie posiedzieć przy buzującym ogniu. Całe szczęście, że nie pada i drogi nie są śliskie. Nie muszę się zamartwiać na śmierć, czy moje kurczęta wrócą całe i zdrowe do kurnika.
- To samo pomyślałem kilka minut wcześniej o Joshu. Rodzicielska troska nigdy się nie kończy, co?
- Rzeczywiście. - Rozstawiła talerzyki i filiżanki, po czym opadła na kanapę i oparła nogi na stoliku. Chwilę później wbiła zdumiony wzrok we własne stopy. Takie rozsiadanie się było odruchowe, ale do tej pory nigdy nie ob-

jawiała swoich przyzwyczajęń w towarzystwie gości. Zerknęła na Mitcha, który właśnie podkładał rozpałkę pod bierwiona.

Zapewne oznaczało to, że czuła się przy nim wyjątkowo swobodnie. Ale to chyba dobrze, skoro właśnie jemu miała powierzyć rodzinne sekrety.

- Miałaś rację, żywy ogień jest wyjątkowo przyjemny.

Rzucił na stół notes, ustawił magnetofon, po czym usiadł na drugim końcu kanapy.

- Chciałbym, żebyś mi na początek powiedziała, kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś Amelię?

Żadnych zbędnych wstępów, profesjonalna rzeczowość.

- Nie przypominam sobie jakiegoś konkretnego pierwszego razu. Od najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam jej głos, śpiew, kojącą obecność. Chyba jako mała dziewczynka wierzyłam, że to moja matka przy mnie czuwa. Ona jednak nie należała do kobiet, które zaglądają wieczorami do dziecka, nigdy w życiu też nic mi nie zaśpiewała. To nie było w jej stylu. Pamiętam, że Amelia siedziała przy mnie kilka razy, kiedy leżałam chora - przeziębiona, z wysoką gorączką. Gdy byłam dzieckiem, jej wizyty wydawały mi się całkiem naturalne.

- Kto ci o niej opowiadał?

- Mój ojciec i babcia. Babcia częściej i więcej. W mojej rodzinie czasami wspomniano o Oblubienicy, ale dość enigmatycznie. Czuliśmy zarówno dumę jak i pewne zażenowanie na myśl, że nasz dom jest nawiedzany przez ducha. Ojciec twierdził, że to żona lub narzeczona któregoś z Harperów - stąd Oblubienica; moja babcia natomiast utrzymywała, że to służąca bądź osoba, która była tu z wizytą i została w jakiś sposób skrzywdzona przez członka naszej rodziny. Babcia była przekonana, że ta kobieta zmarła w Harper House, ale nie łączyły jej z nami więzy krwi.

- Czy ojciec, babcia lub mama opowiadali ci o jakichś swoich konkretnych spotkaniach ze zjawą?

- Moja matka dostawała ciężkich palpitacji, gdy tylko w jej obecności ktoś wspominał o duchu. Wyjątkowo lubowała się w swoich dolegliwościach.

Mitch uśmiechnął się na dźwięk szczególnego, suchego tonu w głosie Roz, która rozsmarowywała właśnie na krakersie kawałek brie.

- Jedna z moich ciotek była bardzo podobna - wtrącił. - Wciąż miewała jakieś ataki. Jeśli przynajmniej raz na dobę nie wpadła w rozstrój nerwowy, uważała dzień za stracony.
- Zupełnie nie mogę pojąć tego typu ludzi. Ale wracając do sprawy, matka raz czy dwa mówiła mi o Oblubienicy, zawsze w posepnym, mrocznym tonie, to zresztą kolejna z jej specjalności. Przypominała, że pewnego dnia ja odziedziczę tę klątwę, która - jak twierdziła - całkowicie zrujnowała jej zdrowie.
- A więc odczuwała strach przed Amelią?
- Ależ nie. - Roz machnęła lekceważąco ręką i skubnęła krakersa. - Uwielbiała odgrywać rolę wiecznej cierpiénicy, znoszącej z rezygnacją swój ciężki los. Biorąc pod uwagę, że byłam jej jedynym dzieckiem, muszę wydawać się niewdzięczna, gdy wygłaszam podobne opinie.
- Ja raczej nazwałbym to szczerością.
- Na jedno wychodzi. W każdym razie kiedy indziej jej fatalny stan zdrowia był wynikiem wydania mnie na świat lub ostrego zapalenia płuc w dzieciństwie. Przyczyny zmieniały się w zależności od okoliczności, ale to chyba w niczym nie może ci pomóc.
- Wszystkie wspomnienia, strzępy informacji i osobiste obserwacje są zawsze cenne, bo składają się na żywszy obraz całości. A jaki stosunek do Amelii miał twój ojciec?
- - Przede wszystkim bawiła go idea nawiedzonego domu, poza tym ciepło wspominał Oblubienicę z dzieciństwa. Denerwował się jednak lub popadał w konsternację, gdy przestraszyła kogoś odwiedzającego Harper House. Mój

ojciec był niesłychanie towarzyskim człowiekiem, prowadził dom otwarty i bardzo ile martwił, gdy gościa spotkało coś nieprzyjemnego.

- A jakie miał związane z nią wspomnienia?
- Takie same, jak inni. Amelia przychodziła do niego wieczorami, śpiewała do snu, otaczała go niemal macierzyńską opieką do chwili, gdy skończył dwanaście lat.
- Jakież niemiłe incydenty?
- Ojciec nic na ten temat nie wspominał. Babcia jednak mówiła mi, że gdy był małym chłopcem, parę razy do roku męczyły go nocne koszmary. Twierdził, że we śnie widział panią w bieli, z szeroko otwartymi oczami, a w głowie rozbrzmiewał mu rozdzierający krzyk. Niekiedy był razem z tą panią w swoim pokoju, a innym razem w ogrodzie.
- A więc sny można uznać za wspólny, stały element. Czy tobie Amelia ukazywała się we śnie?
- Nie. Chociaż...
- Opowiedz.
- Na kilka tygodni przed ślubem z Johnem zaczęły nawiedzać mnie złe sny. Zawsze sądziłam, że to z powodu stresu. W owych snach szalała burza. Smagały mnie lodowate podmuchy wiatru, a ciemne niebo rozcinały błyskawice. Widziałam jakiś dół w ogrodzie, dół przypominający grób, pełen zwiędłych, umierających kwiatów. - Roz wzdrygnęła się gwałtownie. - Przerazający widok. Na szczęście po ślubie te sny się urwały.
- Czy jeszcze kiedykolwiek wróciły?
- Nie. Nigdy. Natomiast osobą, która najczęściej widywała Amelię, a w każdym razie mówiła o tym głośno, była moja babcia. Do spotkań dochodziło w różnych miejscach domu, w ogrodzie i, oczywiście, w pokoju taty, gdy był jeszcze dzieckiem. Nigdy nie słyszałam, żeby czymkolwiek przstraszyła babcie. Chociaż niewykluczone, że babcia po prostu nie chciała o tym mówić. O ile pamiętam, ze wszystkich członków rodziny to również babcia

żywiła wobec Amelii najcieplejsze uczucia. Choć, jeśli mam być szczerą, Oblubienica nie była częstym tematem rozmów w naszym domu. Jej obecność się akceptowało bądź ignorowało - w zależności od sytuacji.

- Zostańmy jeszcze przez chwilę przy twoich najbliższych krewnych. -Mitch wyjął okulary z kieszeni koszuli i zaczął przeglądać notatki. - A więc jeżeli cofniemy się do poprzednich generacji, to wiadomo ci jedynie, że spośród twoich przodków tylko twoja babka, Elizabeth McKinnon, miała bezsprzecznie kontakt z Oblubienicą.
- Niezupełnie. Od niej wiem również, że mój dziadek, czyli jej mąż, widywał ją w dzieciństwie.
- To jest jednak informacja z drugiej ręki, babka nie była tego naocznym świadkiem. Ale skoro już jesteśmy przy tym temacie, czy kiedykolwiek słyszałaś, by jakiś członek rodziny należący do pokolenia poprzedzającego twoich dziadków, zetknął się z Amelią?
- Babcia wspominała mi jedynie, że jej teściowa, a więc moja prababka Harper, odmawiała wejścia do pewnych pomieszczeń w domu.
- Do których?
- Hm... Niech sobie przypomnę... Do pokoju dziecinnego, który w owych czasach mieścił się na drugim piętrze. Do małżeńskiej sypialni - najwyraźniej w pewnym momencie zażądała osobnego pokoju. I z pewnością do kuchni. Poza tym za żadne skarby nie zbliżyłaby się do powozowni. Babcia Elizabeth przedstawiała ją jako kobietę pozbawioną wyobraźni, trzeźwo stąpającą po ziemi. Dlatego panowało powszechne przekonanie, że prababka musiała przynajmniej raz ujrzeć Oblubienicę. Nic mi nie wiadomo, by Amelia ukazała się komukolwiek z jeszcze wcześniejszego pokolenia, ale nie ma w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że datę jej śmierci ustaliliśmy na lata dziewięćdziesiąte dziewiętnastego wieku.
- Jedynie na podstawie jej stroju i fryzury - mruknął Mitch, zapisując coś pilnie w notesie.

- Nam takie rozumowanie wydało się logiczne i sensowne.

Mitch z uśmiechem uniósł głowę i posłał Roz nieco rozkojarzone spojrzenie.

- Niewykluczone, że macie rację, ja jednak potrzebuję paru dodatkowych szczegółów, by uznać jakiś fakt za pewnik. A co ci wiadomo o twoich stryjecznych babkach, starszych siostrach Reginalda juniora?
- Niewiele. Nigdy żadnej z nich nie widziałam na oczy, a w każdym razie nie pamiętam takiego spotkania. O ile mi wiadomo, ani moi dziadkowie, ani ojciec nie byli z nimi żył. Swego czasu babcia próbowała zacieśnić związki pomiędzy moim tatą a dziećmi tych ciotek, jego kuzynami. Ja utrzymuję luźne kontakty z kilkoma potomkami tych dzieci.
- Czy zechcą ze mną porozmawiać?
- Jedni tak, drudzy nie. Niektórzy zresztą już nie żyją. Podam ci adresy i telefony.
- Doskonale. Pomiń jednak tych, co już nie żyją. Ich raczej nie uda mi się do niczego nakłonić... Aha, kolejny koncert - mruknął, gdy ze stojącego w drugim końcu salonu monitora rozległ się śpiew Amelii.
- Rzeczywiście. Muszę zajrzeć do Lily.
- Mogę iść z tobą?
- Bardzo proszę.

Ruszyli razem schodami na górę.

- Najprawdopodobniej umilknie, zanim dojdziemy do pokoju dzieciennego. To już teraz reguła.
- Między tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym a tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym rokiem w Harper House przebywały dwie piastunki, trzy guwernantki, ochmistrzyni, jej zastępczyni, piętnaście pokojówek, garderobiana, kucharka i dwie podkuchenne. Udało mi się odnaleźć w rodzinnych archiwach nazwiska części z nich. Niestety, nie ma żadnych wzmianek o wieku tych kobiet, będę więc musiał przeczesać sporo dokumentów, żeby ustalić wszystkie ich dane. Jeżeli mi się to uda, wówczas zacznę szukać potomków.

- Czeka cię mozolna harówka.
- Uwielbiam tę pracę. Miałaś rację. Śpiew umilkł.

Weszli do pokoju dzieciennego,

- Wciąż jeszcze panuje tu chłód - zauważyła Roz. - Ale nigdy długo się nie utrzymuje. - Podeszła do łóżeczka i mocniej otuliła niemowle kocykiem. - To takie kochane maleństwo - powiedziała. - Grzecznie przesypia niemal wszystkie noce. W jej wieku żadnemu z moich chłopców nie udało się ta sztuka. Lily ma się doskonale. Możemy ją śmiało zostawić.

Wyszli, nie zamykając za sobą drzwi. Kiedy znaleźli się u szczytu schodów, zegar zaczął wybijać godzinę.

- Północ? - Roz z niedowierzaniem zerknęła na zegarek. - Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. A więc wszystkiego najlepszego w nowym roku.
- Wszystkiego najlepszego.

Zanim zdążyła ruszyć w dół, Mitch przyłożył dłoń do jej policzka.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytał. -Nie.

Jego usta delikatnie musnęły jej wargi. I w tym samym momencie we wschodnim skrzydle - skrzydle zajmowanym przez Rosalind - ogłuszająco trzasnęły drzwi.

Choć serce podskoczyło jej do gardła, zdobyła się na opanowany ton.

- Amelia nie pochwała naszego zachowania.
- Nie pochwała? Osobiście odnoszę wrażenie, że jest cholernie wkurzona. Jeżeli więc ma już się wściekać, dajmy jej ku temu rzeczywiste powody.

Jego usta nie muskały już delikatnie jej warg, tylko z całej siły do nich przywarły. Roz poczuła, jak zalewa ją fala gorąca. Uczucie to było tak przyjemne, że pozwoliła sobie na chwilę zatracenia.

Drzwi we wschodnim skrzydle łomotały jak oszalałe, a zegary biły opętańczo, chociaż już dawno temu dzwoniły dwunastą.

Wargi Rosalind smakowały tak, jak Mitch się spodziewał. Bardziej korzennie niż słodko. Od dawna miał ochotę wodzić ustami po jej ustach - tak jak to robił

właśnie teraz. Od dawna marzył o porwaniu w ramiona tego smukłego, szczupłego ciała. Przylegało do niego idealnie, jakby byli wprost dla siebie stworzeni, i Mitchell nagle zapragnął czegoś znacznie więcej niż tylko namiętnego pocałunku.

Roz jednak odsunęła się nieco, po czym uważnie spojrzała mu w oczy.

- A więc przywitaliśmy nowy rok.
- To był dopiero początek powitania.
- Myślę... że powinniśmy zakończyć na dziś. Muszę uporządkować salon, a potem chcę posiedzieć przy Lily.
- Dobrze, w takim razie zbiorę tylko notatki i już mnie nie ma. W salonie Roz zaczęła układać talerze i filiżanki na wózku, Mitch natomiast segregował papiery.
- Trudno cię rozgryźć, Rosalind.
- Nie przeczę.
- Dobrze wiesz, że chciałbym zostać i iść z tobą do łóżka.
- Wiem. - Spojrzała na niego przeciągle. - Miałam zamiar oświadczyć ci, że nie biorę sobie kochanków, zamiast tego jednak powiem, że nie biorę ich sobie pochopnie, pod wpływem chwili. Jeżeli więc zdecyduję, że zostaniemy kochankami, pociągnie to za sobą poważne konsekwencje, Mitchell. Bardzo poważne. Dlatego oboje powinniśmy się zastanowić.
- Czy kiedykolwiek zdałaś się na żywioł, Rosalind?
- Owszem, ale z wyjątkiem jednego, godnego ubolewania przypadku, zawsze wcześniej upewniałam się, że spadnę na cztery łapy. Gdybym nie była tobą zainteresowana, powiedziałabym to bez ogródek. W tych sprawach nie uprawiam żadnych gier. Mówię ci więc, że jestem zainteresowana, zainteresowana w takim stopniu, by rozważyć sytuację. W takim stopniu, by założyć, że nie jestem już młoda i na tyle lekkomyślna, by spontanicznie rzucać się na głęboką wodę.

Rozległ się dzwonek telefonu.

- To zapewne Hayley. Jeżeli nie odbiorę, wpadnie w panikę. Bezpiecznej drogi, Mitch.

Podniosła słuchawkę i kiedy zapewniała Hayley, że wszystko w porządku, a Lily śpi jak aniołek, usłyszała cichy trzask zamykanych frontowych drzwi.

8

Mitch uznał, że powinien nabrać dystansu do sprawy. Ta kobieta wydawała się jednym wielkim chodzącym paradoksem, a skoro paradoksy z definicji są nierozwiązywalne, należało je po prostu akceptować i nie tracić czasu ani energii na ich roztrząsanie.

Zamiast więc dumać nad skomplikowaną naturą enigmatycznej Rosalind Harper, skieruje swoje wysiłki na poszukiwanie rozwiązań paru innych zagadek. Musiał odwiedzić kilka urzędów, ale przede wszystkim czekało go żmudne ślęczenie przed komputerem. Po paru godzinach pracy zdoła zapewne zweryfikować daty zgonów, ślubów i narodzin zanotowane w rodzinnej Biblii Harperów. Do tej pory sporządził już drzewo genealogiczne głównej gałęzi rodziny, korzystając z Internetu i dokumentów wydobytych z rejestrów sądowych.

Klienci lubili graficzne przedstawienia dziejów rodu. Jemu one także ułatwiały pracę - podobnie jak portrety, zdjęcia czy listy. Przypinał je do wielkich korkowych tablic, z których jedną trzymał u siebie w domu, drugą zaś -w bibliotece Harper House.

Portrety, wyblakłe zdjęcia, pożółkłe listy, stare pamiętniki, odręcznie spisane przepisy kulinarne - dzięki nim ludzie od dawna martwi ożywali w jego wyobraźni. Kiedy potrafił odtworzyć ich codzienną egzystencję, zwyczajnie i

nawyki, wady i cnoty - stawali mu się bliscy, a praca nabierała nowego wymiaru.

Mógł na przykład godzinami przeglądać zapiski ogrodnicze Elizabeth Harper czy przerzucać strony kroniki dziecięcej, którą zaczęła prowadzić dla swojego syna tuż po jego narodzinach. Jak inaczej Mitch mógłby się dowiedzieć, że mężczyzna, który spłodził Roz, w wieku trzech miesięcy cierpiał na celiakię, a swoje pierwsze samodzielne kroki postawił dziesięć miesięcy później?

Właśnie takie szczegóły, drobne okruchy codzienności, sprawiały, że przeszłość stawała się bliska, niemal namacalna.

Oglądając ślubne zdjęcie Elizabeth i Reginalda juniora, dostrzegł uderzające podobieństwo Rosalind do dziadka - te same czarne włosy, niespotykane podłużne oczy i wyraziście zarysowane kości policzkowe.

Co jeszcze odziedziczyła po tym mężczyźnie, którego ledwie pamiętała? Co z tego przekazała swoim dzieciom?

Z pewnością zmysł do interesów, zdecydował Mitch. Właśnie te drobne okruchy, pozornie nic nieznaczące szczególiki ukryte w krótkich notkach prasowych i zapiskach rodzinnych złożyły się na obraz człowieka o wyjątkowym talencie do gromadzenia pieniędzy, dostatecznie dalekowzrocznego, by mógł uniknąć dramatycznych konsekwencji krachu giełdowego, jakie dotknęły wielu mu współczesnych. Przewrotny mężczyzna, który zdołał uchronić przed kryzysem swoją rodową spuściznę i majątek.

Jednocześnie bił odeń jakiś chłodny dystans, pomyślał Mitch, wpatrując się w fotografię umieszczoną na tablicy. Wyobcowanie było widoczne w spojrzeniu Reginalda.

Może brało się stąd, że jako jedyny dziedzic rodzinnej fortuny dźwigał na swoich barkach wyjątkową odpowiedzialność?

- Ciekawe, co ty wiedziałaś o Amelii - mruknął Mitch. - Czy kiedykolwiek poznałaś ją w cielesnej postaci? Czy za twoich czasów też była już tylko duchem blakającym się po rezydencji?

Ktoś kiedyś jednak znał tę kobietę. Ktoś z nią rozmawiał, ktoś ją obejmował, znał doskonale rysy jej twarzy i tembr głosu.

Ktoś, kto mieszkał lub pracował w Harper House.

W następnej kolejności Mitch zajął się tropieniem losów służących o znanych mu nazwiskach.

Był to mozolny proces budowania hipotez i ich weryfikacji. Amelia mogła być służącą, której nazwiska nigdy nie zanotowano lub które z nieznanymi przyczyn usunięto z rodzinnych archiwów. Mogła być niespokrewnionym z Harperami gościem, daleką powinowatą lub po prostu przyjaciółką rodziny.

Z drugiej strony, gdyby rzeczywiście była gościem, daleką krewną czy bliską znajomą, zmarłą w Harper House, jej nazwisko - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - znalazłoby się w jakichś zapiskach.

Oczywiście pod warunkiem, że z tą śmiercią nie wiązał się żaden skandal, który rodzina za wszelką cenę chciała zatuszować.

Niewykluczone także, że Amelia nic nie znaczyła dla Harperów, a zmarła niespodziewanie we śnie i nikt nie uznał tego zdarzenia za godne dyskusji czy odnotowania.

Natomiast wielkim paradoksem był fakt, że on, człowiek o racjonalnym, logicznym umyśle, poświęcał tak wiele czasu i wysiłku na zidentyfikowanie ducha!

Dowcip polegał na tym, żeby nie myśleć o Amelii jak o eterycznym, niematerialnym bycie, ale dostrzec w niej ludzką istotę, która kiedyś przysła na ten świat i wiodła takie czy inne życie, jadła, śmiała się, płakała, chodziła po mieście i miała jakieś życie towarzyskie.

Jego zadaniem było ustalenie jej tożsamości. Udzielenie odpowiedzi na proste pytania: kto?, co?, kiedy? Gdyby udało mu się jeszcze odkryć „dlaczego?”, uznałby to za dodatkowy dar losu.

Mitch wygrzebał ze swoich papierów sporządzony przez Roz szkic zjawy. Wpatrywał się w postać młodej, wychudzonej kobiety z burzą kręconych włosów, o oczach przepelnionych bezbrzeżnym smutkiem. I wyłącznie na jej podstawie określili czas jej śmierci, pomyślał, kręcąc głową. Kierując się krojem sukni i fryzurą!

Sam szkic był skądinąd bardzo dobry. Co prawda, kiedy on ujrzał Amelię, nie wyglądała tak melancholijnie i słodko - wówczas emanowały z niej szaleństwo i furia.

Suknia Amelii mogła pochodzić sprzed dziesięciu, a nawet dwudziestu lat lub być ostatnim krzykiem mody. Fryzura zaś - najnowszym szykiem lub osobistą preferencją, która nie miała wiele wspólnego z obowiązującymi kanonami. Nie sposób określić dokładnie roku czy nawet epoki, kierując się tak nikłymi poszlakami.

Z drugiej strony, na podstawie swoich dotychczasowych ustaleń, Mitch skłonny był przyznać, że Roz i jej domownicy nie popełnili większego błędu.

Opisy sennych koszmarów, strzępy informacji i przekazy rodzinne wyraźnie sugerowały, że korzenie całej tej historii tkwiły w czasach, gdy w rezydencji sprawował rządy Reginald Harper.

Reginald Harper, zamyślił się Mitch, wbijając wzrok w sufit. Reginald Edward Harper, urodzony w 1851 roku jako najmłodsze dziecko Charlesa Daniela Harpera i Christabel Westley Harper. Drugi i jedyny syn, który dożył męskiego wieku. Jego starszy brat, Nathaniel, zginął w lipcu 1864 w bitwie pod Charleston. Miał wówczas zaledwie osiemnaście lat.

Reginald ożenił się z Beatrice w... Mitch szybko zaczął przerzucać notatki. O, jest! Ożenił się z nią w 1880 roku. Mieli pięcioro dzieci. Charlotte, urodzona

w 1881, Edith Jane - w 1883, Katherine - w 1885, Victoria - w 1886 oraz Reginald junior - urodzony w 1892.

Jaka uderzająca różnica wieku pomiędzy dwójką najmłodszych dzieci - szczególnie gdy weźmie się pod uwagę wcześniejszą częstotliwość urodzin. Nie można jednak wykluczyć poronienia i / lub śmierci dzieci w okresie okołoporodowym. A nawet wydawało się to bardzo prawdopodobne - w owych czasach metody antykoncepcyjne były zawodne, a na dodatek Reginald zapewne dążył do spłodzenia syna i dziedzica.

Mitch zerknął na schemat przedstawiający rodzinę Beatrice. Siostra, brat, bratowa. Obie te kobiety zmarły jednak dużo później, wiele lat po pierwszych wzmiankach o zjawie i dziwnych snach dzieci, a więc niemożliwe, aby to była któraś z nich. Poza tym żadna nie miała na imię Amelia.

Mitch nie znalazł również ani jednej służącej o takim imieniu. Przynajmniej na razie.

Na początek postanowił skupić się na Reginaldzie, głowie rodu w domniemanym czasie śmierci Oblubienicy.

Jaki byłeś, Harper? Przemysłny w interesach, bogaty - to pewne. Odziedziczyłeś posiadłość i rodzinny majątek, ponieważ starszy brat wstąpił do konfederackiej armii i oddał życie za Sprawę.

Beatrice była dobrą partią. Dzięki temu małżeństwu fortuna Harperów jeszcze się powiększyła. Reginald rozbudował i zmodernizował rezydencję. Żył wygodnie, śmiało inwestował, wiedział, jak wydawać pieniądze. Za jego rządów nastąpiła zadziwiająca rotacja zali minionych w rezydencji kobiet.

Czyżby pan Lubił się zabawiać z pokojówkami, czy może jego żona była nieznośną despotką?

Czy czuł się szczęśliwy pośród swoich czterech córek, czy z determinacją dążył do spłodzenia syna? Mitch chętnie by się tego dowiedział. Niestety, nie było już nikogo, kto mógłby mu na to pytanie udzielić odpowiedzi.

Z powrotem więc przysunął się do komputera i skoncentrował na faktach.

Ze swoich domowych roślin Roz pozyskała tak wiele rozsąd, że postanowiła przeznaczyć je do sprzedaży, Stella zaś namówiła ją, by stworzyć z nich miniaturowe ogródki w płaskich glazurowanych pojemnikach.

Roz lubiła mieć przy sobie Stellę, co dla niej samej było dużym zaskoczeniem, jako że przez całe lata w trakcie prac ogrodniczych tolerowała jedynie towarzystwo roślin i muzyki.

- Cudownie jest znowu zanurzyć ręce w ziemi - westchnęła Stella, wybierając odpowiednią sansewierię do swojej kompozycji.
- Zdaje się, że niedługo już nie będziesz mogła narzekać na brak tej rozrywki. Czeka cię wiele pracy we własnym ogrodzie.
- Wprost nie mogę się doczekać. I przy okazji doprowadzam Logana do białej gorączki ciągłymi zmianami, drobnymi poprawkami, wprowadzaniem całkiem nowych elementów. - Dmuchnęła na uparcie opadający kosmyk rudych włosów i spojrzała Roz prosto w oczy. - Z drugiej strony, Logan nie pracuje według żadnego planu. Ma jedynie w głowie ogólną koncepcję ogrodu.
- Którą ty namiętnie udoskonalas.
- Myślę, że jeżeli jeszcze raz pokażę mu jakiś szkic, wepchnie mi go do gardła. Cudowny jest ten koleus.
- Zajmowanie się ogrodem pozwala uspokoić nerwy przed zbliżającym się ślubem.

Stella zamarła w pół gestu.

- A wiesz, trafiłaś w dziesiątkę. Choć kto by przypuszczał, że będą mnie tak zżerać nerwy? Przecież nie pierwszy raz wychodzę za mąż, poza tym zaplanowaliśmy skromną, prostą ceremonię. Przygotowuję się do niej już od miesięcy - nawet przyspieszyłam remont domu, co wcale nie wprowadziło Logana w zachwyty. Przed ślubem musimy jednak urządzić przynajmniej salon i

pokój dla chłopców. Nie uwierzyłybyś, jakie piękne, stare meble podarowała Loganowi jego mama. A on trzymał je w jakiejś obskurnej przechowalni!

- Ta dracena będzie idealnie pasowała do kompozycji. Zdenerwowanie przed ślubem to całkiem naturalna rzecz, jak sądzę. Bez względu na to, ile razy już się występowało w roli panny młodej.
- A ty się denerwowałaś przed swoim drugim ślubem? Wiem, że małżeństwo zakończyło się fiaskiem, ale...
- Nie, nie denerwowałam się - odparła Roz beznamiętnym tonem, bez cienia gniewu czy goryczy. - I już samo to powinno mi dać do myślenia. Denerwujesz się, ponieważ jesteś podekscytowana i szczęśliwa, a na dodatek masz taką naturę, że przejmujesz się każdym szczegółem, zwłaszcza gdy chodzi o ważną dla ciebie sprawę.
- Chciałabym, żeby wszystko wypadło wspaniale. Perfekcyjnie. Musiałam postradać zmysły, gdy wymarzyłam sobie ślub w ogrodzie, który jeszcze nie jest do końca urządzony. Teraz zostanie nam jedynie kwiecień, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.
- Z pewnością sobie poradzicie. I ty, i Logan doskonale wiecie, co chcecie zrobić ze swoim ogrodem, swoim związkiem i życiem.
- Przypominaj mi o tym od czasu do czasu, dobrze?
- Z przyjemnością. Nasze kompozycje wyglądają wspaniale - zdecydowała Roz, opierając ręce na biodrach. - Czy już skalkulowałaś cenę?
- Trzydzieści cztery pięćdziesiąt za małą i czterdzieści pięć dziewięćdziesiąt za dużą.
- Doskonale. Spory zysk, biorąc pod uwagę, że większość roślin uzyskałam z podziału swoich domowych zasobów.
- I niepowtarzalna okazja dla naszych klientów. Nigdzie indziej nie dostaną ogródków doniczkowych skomponowanych z tak dorodnych i zdrowych okazów. Pomogę ci je odtransportować do punktu sprzedaży, a potem wciągnę na listę inwentaryzacyjną.

Załadowały małą platformę na kółkach i ruszyły w stronę głównego budynku. Gdy znalazły się przed sklepem, Stella od razu zabrała się do zmiany ekspozycji, jednak Roz odsunęła ją stanowczym gestem.

- Idź, zajmij się papierkową robotą. Jeśli zaczniesz wprowadzać tu swoje porządki, utkniesz na kilka godzin. Wróc, kiedy skończę - wtedy będziesz mogła się pobawić.
- Pomyślałam jedynie, że gdybyśmy ustawiły kilka małych ogródków na tamtych stolikach z terakotowymi blatami...
- Coś wykombinuję. Potem będziesz mogła przyjść i... udoskonalić moją aranżację.
- Jeżeli natomiast postawisz dużą kompozycję na tym ogrodowym stole z kutego żelaza, umieścisz obok latarnię z brązu i tę wielką ceramiczną donicę ze strelcją, nikt nie przejdzie obojętny wobec naszej ekspozycji... Tak, tak, wiem. Znam ten wzrok. Już uciekam!

Rozbawiona Roz zaczęła przestawiać rośliny. Szybko doszła do wniosku, że Stella jak zwykle miała rację, więc umieściła wszystko zgodnie z jej sugestiami.

- Rosalind Harper! Tu się ukrywasz! Ponieważ Roz stała odwrócona do sali plecami, pozwoliła sobie na grymas
- irytacji, zanim przybrała bardziej stonowany wyraz twarzy.
- Witaj, Cissy.

Przybyła powitała ją standardowym cmoknięciem powietrza kilka centymetrów od policzka i Roz z rezygnacją przygotowała się na stratę co najmniej piętnastu minut.

- Ależ ładnie wyglądasz - zaczęła uprzejmie. - Nowa garsonka?
- To? - Cissy zbyła szykowny wiśniowy komplet lekceważącym machnięciem wymanikiurowanej dłoni. Wyciągnęłam Z szafy dziś rano na chybił trafił. Roz, a czy ty, na Boga, już nigdy nie przytyjesz? Ilekroć cię widzę, czuję się w obowiązku zaordynować sobie dodatkowych dwadzieścia morderczych minut na siłowni.

- Wyglądasz oszałamiająco, Cissy - odrzekła Roz jak najbardziej szczerze.

Cecilia Pratt wiedziała bowiem, jak o siebie zadbać i maksymalnie wyeksponować wszystkie walory. Włosy, w kilku odcieniach eleganckiego, ciepłego blondu, miała przycięte jak pod linijkę na wysokości brody, co efektownie podkreślało jej okrągłą młodzieńczą twarz z dołeczkami w policzkach.

Z faktu, że miała na sobie garsonkę, Roz wywnioskowała, że Cissy wraca z lunchu w kobiecym gronie lub z zebrania jakiegoś komitetu, a do niej wpadła, by zasiać ziarno soczystej plotki.

Bo do rozsiewania plotek Cissy miała prawdziwy talent.

- Zupełnie nie rozumiem, jak to możliwe, bo jestem absolutnie wykończona. Bożonarodzeniowy okres wyjątkowo dał mi w kość. Gdziekolwiek się człowiek obrócił, urządzano jakieś przyjęcie. Od Święta Dziękczynienia nie udało mi się złapać chwili oddechu. A tymczasem zanim się spostrzeżemy, w klubie odbędzie się tradycyjny wiosenny bal. Roz, obiecaj, że wybierzesz się w tym roku. Bez ciebie to nie to samo.
- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.
- W takim razie najwyższy czas, żebyś się zastanowiła. Słuchaj, usiądźmy na minutkę, wymienimy nowiny. Przysięgam, że ani chwili dłużej nie ustoję na nogach.

By dobitnie dać temu wyraz, Cissy opadła na ławkę stojącą tuż przy skomponowanej przez Roz ekspozycji.

- Czyż nie przyjemnie? Jakby się siedziało w środku tropikalnego lasu. W przyszłym tygodniu razem z Hankiem lecimy na Kajmany, żeby złapać trochę słońca. Wierz mi, niczego teraz tak nie potrzebuję jak wypoczynku.
- Czeka cię doskonała zabawa. - Złapana w pułapkę konwenansu, Roz również przysiadła na ławce.
- Ty też powinnaś się wybrać na tropikalne wakacje, skarbie. - Cissy poklepała ją po dłoni. - Słońce, lazurowa woda i przystojni, na wpół roznegliżowani mężczyźni. Bardzo się martwię, że jesteś taka uwiązana do tych swoich

roślin. A przecież teraz masz tę dziewczynę z Północy, która pomaga ci w kierowaniu interesem. A tak przy okazji, jak się z nią pracuje?

- Ta dziewczyna ma na imię Stella i jest tutaj już od roku. A to znaczy, że obie jesteśmy bardzo zadowolone z istniejącego układu.
- Doskonale. Powinnaś więc tym bardziej wykorzystać sytuację i wyjechać na jakiś czas.
- Nie przychodzi mi do głowy żadne miejsce, które jakoś szczególnie chciałabym odwiedzić.
- - Muszę ci w takim razie podrzucić kilka folderów. Tak właśnie zrobię. Nie wiem, czybym przebrnęła przez kolejny dzień, gdyby nie świadomość, że już wkrótce będę siedzieć na pięknej plaży i popijać *mai tai*. Bardzo mądrze postąpiłaś, rezygnując z większości przyjęć, chociaż żałuję, że nie spotkałyśmy się w sylwestra u Jan i Quilla. Miła Impreza, a i owszem, ale ani w połowie nie umywała się do twojego świątecznego przyjęcia. Kwiatów jak na lekarstwo, a jedzenie gorzej niż mizerne. Choć, oczywiście, nie powiedziałabym tego Jan. Czy słyszałaś, że ona w przyszłym tygodniu idzie na liposukcję? -Nie.
- Cóż, to tajemnica poliszynela. - Cissy przysunęła się bliżej z zaferowanym wyrazem twarzy. - Tyłek i uda, o ile mi wiadomo. Właśnie przed chwilą jadłam z nią lunch i usłyszałam, że zamierza spędzić tydzień na farmie piękności na Florydzie, chociaż wszyscy doskonale wiedzą, że zdecydowała się na odsysanie tłuszczu. Potem, oczywiście, będzie siedzieć zamknięta w domu, dopóki się wszystko nie wygoi. A skoro biedaczka ma tyłek, na którym można by ustawić zastawę na cztery osoby, obawiam się, że marne siedem dni nie wystarczy, by na nowo się nauczyć, jak zachować pion.

Wbrew własnym intencjom Roz wybuchnęła śmiechem.

- Na Boga, Cissy, dla mnie jej tyłek wygląda najnormalniej w świecie.
- Bo nie widziałaś tyłka tej nowej asystentki, na którą ostrzy sobie zęby Quill. Dwadzieścia osiem lat. W jej wypadku nie dość, że zastawa musiałaby być

dużo skromniejsza, to jeszcze znalazłaby się dużo wyżej - pod warunkiem, że komuś nie przeszkadza jądanie na silikonie.

- Mam nadzieję, że te plotki na temat Quilla nie zawierają ani źdźbła prawdy. On i Jan zawsze byli dobrym małżeństwem.
- Niektórzy mężczyźni po prostu kompletnie tracą głowę na widok pary wielkich cycków, bez względu na to, czy są dziełem Boga, czy chirurga. Ale ja właściwie przyszedłam, żeby powiedzieć ci coś innego, tylko zupełnie nie wiem, jak to zrobić.
- Z pewnością znajdziesz właściwy sposób.
- Bo widzisz, odnoszę wrażenie, że jestem ci to winna... Od jak dawna się przyjaźnimy, Rosalind.
- Nie mam pojęcia.

Bo ostatecznie znajomość z czasów szkoły średniej raczej trudno nazwać przyjaźnią, skonstatowała w duchu Roz.

- W naszym wieku rzeczywiście lepiej nie liczyć lat. Ale skoro znamy się dłużej, niż byłybyśmy skłonne przyznać, uważam, że muszę cię powiadomić, co się dzieje. Zacznę jednak od tego, że ponieważ nie spotkałyśmy się od czasu owego... incydentu, nie miałam okazji ci powiedzieć, jaki szok przeżyłam, gdy ujrzałam tego okropnego Bryce'a Clerka wkraczającego do twojego domu, jakby miał ku temu święte prawo.
- Nie ma o czym mówić, Cissy. Nie zabawił tu długo.
- I całe szczęście, bo nie wiem, czy zdołałabym się opanować. Doprawdy nie wiem. Wprost trudno uwierzyć, że można być tak głupią jak Mandy. Ta dziewczyna ma mniej więcej tyle rozumu w głowie, co opóźniona w rozwoju pchła. Mimo to powinna zadać sobie nieco trudu i dowiedzieć się, kim jest mężczyzna, któremu wieszka się na ramieniu. - Cissy machnęła w desperacji ręką. - Po prostu nie mogę o tym spokojnie myśleć.
- Więc zostawmy ten temat. Tym bardziej że już najwyższy czas, bym wróciła do pracy.

- Ale nie powiedziałam ci jeszcze najważniejszego. Kiedy jestem zdenerwowana, klepię o wszystkim, tylko nie o tym, co należy. On tam był, Roz. U Jan i Quilla. Znów z tą bezmyślną idiotką. Zachowywał się jak król życia. Tańczył, popijał szampana, palił cygara na werandzie. Opowiadał - ni mniej, ni więcej - tylko o swojej firmie konsultingowej, dasz wiarę? Po prostu robiło mi się niedobrze.

Cissy przycisnęła dłoń do żołądka, jakby do tej pory męczyły ją mdłości.

- Wiedziała od Jan, że nie przyjdiesz, mimo to cały czas myślałam z przerażeniem, co będzie, jeśli jednak zmienisz zdanie i lada moment staniesz w progu. Zresztą nie ja jedna miałam podobne obawy.
- Zapewne. - Roz już słyszała ten szmer podnieconych szeptów, widziała pełne wyczekiwania spojrzenia rzucane w stronę drzwi. - Ale Jan ma prawo zapraszać do swojego domu, kogo tylko zechce.
- Absolutnie się z tobą nie zgadzam. To już nie tylko sprawa dobrego smaku, ale przede wszystkim lojalności. I tak właśnie jej powiedziałam w czasie naszego lunchu.

Cissy otworzyła kosztowną torebkę i wyciągnęła puderniczkę, żeby poprawić makijaż.

- Okazuje się, że to Quill utorował Bryce'owi drogę na salony. Podobno prowadzą wspólnie jakieś interesy, choć oczywiście Jan zupełnie nie wie, o co chodzi. Ta kobieta nie ma zielonego pojęcia o biznesie. Nie to, co ty czy ja.
- Uhm - mruknęła Roz.

Była to najuprzejmiejsza reakcja, na jaką mogła się w owej chwili zdobyć, wziąwszy pod uwagę, że Cecilia Pratt nigdy w życiu nie skalala się żadną pracą.

- Na usprawiedliwienie Jan muszę dodać, że była zrozpaczona, gdy uświadomiłam jej, jaką popełniła gafę. Szczerze zrozpaczona. - Cissy pociągnęła po wargach szminką w takim samym odcieniu jak garsonka. - Są jednak i tacy (słyszałam o tym w wielu miejscach), którzy serdecznie współczują

temu facetowi. Utrzymują, że został wyjątkowo paskudnie potraktowany, choć żadną miarą sobie na to nie zasłużył - co dla mnie przechodzi już wszelkie wyobrażenie. Na domiar złego ktoś rozpowiada, że zaatakowałaś Bryce'a fizycznie i siłą wyrzuciłaś na dwór, podczas gdy on miał jak najlepsze intencje. Że ponoć groziłaś i jemu, i tej głupiej gęsi, nawet jak już opuścili twój dom. Oczywiście, ilekroć słyszę podobne pogłoski, z mety je dementuję. Ostatecznie na własne oczy widziałam, co naprawdę zaszło.

Rosalind natychmiast rozpoznała ów złakniony sensacji ton. Podrzucić mi coś, bym mogła rozdmuchać tę iskrę - zdawał się prosić. Tego jednak Roz w żadnym razie nie zamierzała zrobić, bez względu na to, jak bardzo oburzały ją i raniły podłe oszczerstwa.

- Nie mam wpływu na to, co sądzą lub opowiadają moi bliźni, dlatego nie zamierzam zawracać sobie tym głowy.
- Cóż, niektórzy bliźni sądzą i opowiadają, że niw zjawiałaś się u Jan, a także w paru Innych miejscach, bo wiedziałaś, że on tam będzie i to z kobietą niemal o połowy od ciebie młodszą.
- Dziwię się, że ludzie są skłonni poświęcać tak wiele czasu i energii na zastanawianie się, jak zareaguję na spotkanie z kimś, kto już od dawna nie ma znaczenia w moim życiu. Jeżeli spotkasz Jan, przekaż jej koniecznie, że z mojego powodu nie powinna się zadręczać. - Roz energicznie podniosła się z ławki. - Miło było z tobą pogawędzić, Cissy, ale teraz już naprawdę muszę wracać do pracy.
- Pamiętaj, że nieustannie o tobie myślę - zapewniła ją Cissy, po raz kolejny cmokając powietrze. - Musimy się w najbliższym czasie wybrać razem na lunch. Ja stawiam.
- Bawcie się z Hankiem dobrze na tych Kajmanach.
- Postaramy się. Jeszcze przed wyjazdem przyniosę ci obiecane foldery - rzuciła przez ramię i zniknęła.
- Tylko aby na pewno nie zapomnij - mruknęła sarkastycznie Roz.

Ruszyła w stronę drugiego wyjścia, zła na siebie, że opowieść Cissy tak bardzo ją oburzyła i zarazem dotknęła.

Skreśliła w stronę cieplarni, ale szybko zmieniła zamiar. W takim nastroju zrobi więcej szkód niż pożytku. Odwróciła się więc na pięcie i skierowała ku zagajnikowi, oddzielającemu jej prywatne dominium od firmy.

Czekał ją długi spacer do domu.

Nie miała ochoty nikogo oglądać ani z nikim rozmawiać, a tymczasem jak na złość na dziedzińcu David bawił się z chłopcami Stelli i ich terierem.

Pies dostrzegł Roz pierwszy. Rzucił się w jej stronę z przyjaznym poszczekiwaniami i chwilę później zaczął ją obskakiwać.

- Nie teraz, Parker. - Pochyliła się i pogłaskała gładki łebek. - To nie jest najodpowiedniejszy moment.
- Szukamy zakopanego skarbu! - oznajmił nadbiegający Lukę. Śmieszna, czarna broda zamocowana na gumce za uszami zakrywała pół jego piegowatej twarzy. - Mamy prawdziwą mapę, i w ogóle.
- Szukacie skarbu?
- Uhm. Ja jestem piratem Czarnobrodym. Gavin - Długim Johnem Silverem, a David - kapitanem Morganem.

Roz zwichrzyła włosy chłopca.

- A co to za skarb?
- Nie wiemy. Ale David, znaczy się kapitan Morgan, mówi, że jeżeli my, lapserdaki, szybko go nie znajdziemy, to przeciągnie nas pod kilem. Chociaż nie bardzo rozumiem, co to znaczy.

Roz przeniosła wzrok na Gavina, kuśtykającego z kijem od szczotki przywiązany do nogi, a potem na Davida - z czarną przepaską na oku i w wielkim kapeluszu z piórami, który musiał wynaleźć w kufrze z maskaradowymi kostiumami.

- W takim razie lepiej wracaj do poszukiwań.
- A ty nie pobawisz się z nami?

- Nic teraz, kochanie.
- Radzę wam dobrze, migiem odszukajcie moje dublony. - David pospieszył w stronę Roz. - Albo zawiśnięcie na najwyższej rei.

Z zupełnie niepirackim piskiem Lukę podbiegł do brata i razem z powagą zaczęli odliczać kroki.

- Co się stało, skarbie?
- Nic. - Roz pokręciła głową. - Złapała mnie drobna migrena, dlatego wróciłam wcześniej niż zazwyczaj. Mam nadzieję, że tak naprawdę niczego tu nie zakopałeś. Słabo mi się robi na myśl, że natychmiast musiałabym cię zwolnić.

- Nowa gra na PlayStation u podstawy najniższego konaru jaworu.
- Ty sam jesteś skarbem, kapitanie Morganie.
- Fakt, jestem jeden na milion. Słuchaj, Roz, dobrze znam ten wyraz twarzy. Innych zapewne uda ci się zwieść, ale nie mnie. Po pierwsze, co cię tak zdołowało? Po drugie, co ci strzeliło do głowy, żeby taki kawał wędrować bez kurtki?
- Całkiem o niej zapomniałam. I naprawdę mam migrenę. Z powodu głupich plotek, które Cissy Pratt czuła się w obowiązku mi przekazać.
- Pewnego dnia ten wiecznie latający jęczor owinie się i zaciśnie wokół jej własnej szyi. - David odsunął na czoło piracką przepaskę. - A kiedy już będzie leżała w domu pogrzebowym, zakradnę się tam po nocy i przebiorę ją w tanią garsonkę z hipermarketu. Poliestrową.

Roz uśmiechnęła się słabo.

- To byłby akt wyjątkowego okrucieństwa.
- Wejdźmy do domu. Przyrządzę solidną porcję mojego fantastycznego martini, potem opowiesz mi wszystko ze szczegółami, a na koniec odsądzimy tę wredną sukę od czci i wiary.
- Brzmi niezwykle zachęcająco, ale w tej chwili najbardziej mi potrzeba paru aspiryn i półgodzinnej drzemki. Poza tym nie możesz zawieść swojej załogi,

kapitanie. Ruszaj więc do obowiązków. - Ucałowała go w policzek. -I nie żałuj bykowca.

Przez tarasowe drzwi weszła bezpośrednio do swojego skrzydła. Wzięła dwie aspiryny i rozciągnęła się na łóżku.

Ile razy jeszcze przyjdzie jej ponosić przykre konsekwencje tego groteskowego małżeństwa?

Na nic zdały się podszyte przesądem nadzieje, że jeśli odżałuje piętnaście tysięcy, które Bryce zabrał z jej konta - jeżeli nie będzie go prawnie ścigać - odkupi swój błąd i przebłaga los.

Cóż, pieniądze bezpowrotnie przepadły. Jednak roztrząsanie tamtej decyzji nie miało teraz najmniejszego sensu. Nierozważnie wyszła za mąż - nie mogła temu zaprzeczyć - czas jednak, żeby przestała z tego powodu uprawiać samobiczowanie.

Tym bardziej że wcześniej czy później Bryce'owi znowu powinie się noga: prześpi się z niewłaściwą kobietą, naciągnie nieodpowiedniego faceta i będzie musiał wynieść się z Memphis i towarzyskiego kręgu Roz.

W końcu też ludzie przestaną się interesować jej życiem - zajmą się kimś lub czymś Innym, majda, wdzięczniejszy temat do rozmów. Taka ostatecznie jest naturalna kolej rzeczy.

Jakim cudem jednak udało się Bryce'owi przekonać niektórych jej znajomych, że zaatakowała go fizycznie - i to we własnym domu?! Cóż, westchnęła z rezygnacją, zapewne jej eksmąż bardzo przekonująco odgrywał rolę ofiary. Ostatecznie był wyjątkowo utalentowanym oszustem i łgarzem.

Roz nie mogła ani nie chciała się bronić, wdawać w jakiegokolwiek sprostowania czy wyjaśnienia. To tylko podsyciłoby sensację. Postąpi więc tak, jak zazwyczaj - zachowa milczenie i zdystansuje się od całej sprawy emocjonalnie i fizycznie.

Teraz pozwoli sobie na chwilę słabości - nikt przecież nie jest doskonały. Wkrótce jednak weźmie się w garść i będzie wiodła życie zgodnie z własnymi zasadami.

I własnymi preferencjami.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że nie uda jej się zasnąć, chciała jednak podryfować zawieszona między jawą a snem, bo taki stan często działał na nią najbardziej kojąco.

Po pewnej chwili miała wrażenie, że siedzi na ławce w ogrodzie, owiewana późnowiosenną, balsamiczną bryzą.

Z miejsca, w którym się znajdowała, wyraźnie widziała dom i kolorowe donice, które poustawiała na tarasach, a także dawną powozownię, obrośniętą kołyszącymi się na wietrze liliami obsypanymi mnóstwem wielkich pąków.

Czuła wyraźnie zapach pnących róż obrastających skapaną w słońcu altanę. Te białe róże posadziła osobiście w hołdzie pamięci Johna.

Rzadko odwiedzała jego grób, ale bardzo często przychodziła w pobliże altany.

Powiodła wzrokiem ponad różanym ogrodem, ponad ścieżkami delikatnie wijącymi się wśród kwiatów, krzewów i wielkich drzew, i spojrzała na miejsce, gdzie swego czasu Bryce chciał wybudować basen.

Kłócili się na ten temat zawzięcie, aż w końcu doszło do karczemnej awantury, gdy Roz na cztery wiatry przepędziła przedsiębiorcę budowlanego, którego Bryce zatrudnił za jej plecami i wbrew jej woli.

Bez ogródek oznajmiła owemu przedsiębiorcy, że jeśli choć wbije ostrze łopaty w jej ogrodzie, ona zadzwoni na policję, po czym każe funkcjonariuszom zdrapać i zabrać z terenu jej posiadłości to, co z niego zostanie.

Bryce też dostał za swoje. Dobitnie przypomniawszy mu, że dom i ogród należą tylko do niej i tylko ona będzie podejmować decyzje co do ich wyglądu. Po owym dictum Bryce wypadł jak burza z domu, wśliznął się jednak z powrotem

kilka godzin później - skruszony, przymilny, z małym bukiecikiem leśnych fiołków w dłoni.

Była głupia, że wówczas przyjęła i przeprosiny, i kwiaty. *O wiele lepiej żyje się bez mężczyzny.* Roz zadrżała w chłodzie cienia. - Może tak, a może nie - odparła.

Tb wszystko zbudowałaś sama, własnymi Tekami, l'opclniłaś raz poważny błąd i popatrz, jak za to zapłaciłaś- jak nadal płacisz. Nie powtarzaj tej pomyłki.

- Z pewnością nie powtórzę.

O wiele lepiej żyje się bez mężczyzny. Głos zabrzmiał bardziej natarczywie, a chłód stał się znacznie przenikliwszy. *Ja jestem sama.*

Przez ułamek chwili, zaledwie drobny ułamek, mignęła jej przed oczami kobieta w ubłoconej, białej sukni, leżąca w otwartym grobie. I przez ten króciutki moment Roz poczuła odór rozkładu i śmierci.

A potem nagle kobieta otworzyła oczy i posłała jej półprzytomnie, obłąkane spojrzenie.

9

Na zewnątrz zaczął lodowaty deszcz ze śniegiem, Roz z ulgą weszła więc do holu, zrzuciła kurtkę, po czym usiadła na ławce, żeby ściągnąć mokre buty. W tym samym momencie z kuchni wyszedł David, przysiadł obok i wręczył jej filiżankę gorącej kawy.

- Doktor Przystojniak pracuje w bibliotece - oznajmił.

- Wiem. Widziałam jego samochód.

Wypiła kilka łyków, trzymając cienką porcelanę w obu dłoniach, by rozgrzać skostniałe palce.

- Jest u niego Harper. Mitch zdołał go w końcu zwabić na rozmowę. Wcześniej ja miałem okazję wychylić z nim *cafelatte* i zagryźć ciastem z jabłkami.
- Ciastem z jabłkami?
- Schowałem dla ciebie spory kawałek. Ostatecznie jak nikt inny znam twoje słabości. Podobno dzisiaj może spaść śnieg.
- Też tak słyszałam.
- Stella z synami pojechała do Logana. Mają zjeść razem obiad. Chłopcy już się cieszą, że śnieg zasypie drogi i będą mogli zostać tam na noc.
- Urocze. Ja natomiast marzę o prysznicu. Wyjątkowo gorącym. David odebrał od Roz pustą filiżankę.
- Pomyślałem, że może zechcesz zaprosić seksownego profesora na kolację. Szykuję pieczone kurczęta z pysznymi, tuczącymi knedlami na rozgrzewkę.
- Brzmi cudownie - mam na myśli kurczęta. Natomiast Mitch, oczywiście, będzie mile widzianym gościem, jeżeli nie ma innych planów i zechce u nas zostać.
- Nie ma innych planów - szepnął konfidencko David. - Już pytałem. Zaśmiała się cicho na widok jego szerokiego, entuzjastycznego uśmiechu.
- A tak właściwie dla kogo próbujesz go złowić? Dla mnie czy dla siebie?
- No, cóż... Ponieważ nie ma we mnie krzty egoizmu, a na dodatek nasz profesor jest - ku mej rozpaczycy - niezaprzeczalnie hetero, wspaniałomyślnie ustępuję ci pola.
- Wyjątkowo romantyczny wywód - rzuciła kpiąco Roz. Ruszyła w górę po schodach i ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami, gdy dobiegło ją głośne:
 - Włóż coś seksownego!

Tymczasem w bibliotece Harper popijał swoje popołudniowe piwo. Wątpił, czy uda mu się dostarczyć Mitchowi informacji, jakich ten jeszcze nie słyszał,

ale cierpliwie odpowiada] na pytania i UZUpełnia3 drobne luki w opowieściach matki i Davida.

- David zrelacjonował mi wydarzenia tamtej nocy, gdy w dzieciństwie widzieliście Oblubienicę w ogrodzie.
- Jak rozbiliśmy się obozem przed domem - on, ja i moi bracia? Niesamowita noc.
- David powiedział, że zobaczyłeś ją pierwszy i wtedy go obudziłeś.
- Zobaczyłem, usłyszałem, poczułem... - Harper wzruszył ramionami. - Nie potrafię tego określić. Ale owszem, obudziłem go. Nie wiem, która była godzina. Na pewno późno. Siedzieliśmy długo, objadając się do nieprzytomności słodyczami i opowiadając sobie straszne historie. A potem... chyba jednak najpierw ją usłyszałem. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale od razu wiedziałem, że to ona. Chociaż zachowywała się inaczej niż zwykle.
- To znaczy?
- Nie śpiewała. To było coś w rodzaju... jęku. W każdym razie wydawała z siebie jakieś dziwne, nieartykułowane dźwięki. Takie, jakie w wyobrażeniu dzieciaka może wydawać duch w gorącą księżycową noc. Wyjrzałem z namiotu i ją zobaczyłem. Wyglądała też inaczej niż przedtem.

Dzielny chłopak, pomyślał Mitch. Nie naciągnął śpiwora na głowę, tylko odważnie sprawdził, co się dzieje.

- A jak?
- Była ubrana w coś zwiewnego i białego, przypominającego nocną koszulę. Tak samo jak wiosną, gdy nie chciała nas wpuścić do dzieci. Miała rozpuszczone, splątane i brudne włosy. Poza tym wyraźnie widziałem, jak prześwieca przez nią blask księżyca. Przez nią! Jezu, to dopiero był widok. - Wypił potężny łyk piwa. - Postawiłem na nogi Davida, ale przy okazji obudzili się Austin i Mason. Kazałem im zostać w namiocie, jednak nie chcieli o tym słyszeć, więc w końcu wszyscy razem zaczęliśmy ją śledzić.

Mitchowi stanęła ta scena przed oczami jak żywa. Grupa małych chłopców, księżycowa noc, migotliwe świetliki i lepki upał lata. A do tego eteryczna postać sunąca przez ogród.

- Oblubienica przeszła przez kępy wiesiołków, a potem przez malwy. Po prostu przez nie przeniknęła. Byłem tak podekscytowany, że nie czułem strachu. Cały czas wydawała z siebie te dźwięki - płaczliwe, zawodzące. Od czasu do czasu padały jakieś słowa, ale nie byłem w stanie ich dosłyszeć. Zmierzła w stronę dawnej powozowni - a przynajmniej tak mi się wydawało. Chwilę później odwróciła się i spojrzała za siebie. Jej twarz...
- Jej twarz...?
- Była taka, jaką widziałeś tej wiosny. Nasza zjawą przypominała obłąkanego demona z najstraszniejszego horroru. Uśmiechała się, ale ten uśmiech był przerażający. Gdy na nią spojrzałem i mój wzrok spotkał się z jej wzrokiem, zrobiło się tak zimno, że zobaczyłem obłok własnego oddechu. Potem znowu zaczęła iść przed siebie, a ja ruszyłem za nią.
- Ruszyłeś za nią?! Za obłąkaną zjawą? Musiałeś umierać ze strachu.
- - Wcale nie. A przynajmniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wciągnęło mnie to podążanie jej śladem. Byłem jak zahipnotyzowany. Nagle poczułem, że muszy się dowiedzieć czegoś nowego o naszej Oblubienicy, I wówczas usłyszałem wrzask Masona. Dopiero w owej chwili zdjęło mnie przerażenie. Pomyślałem, że ona jakimś cudem go dorwała, co było kompletnie idiotycznym przypuszczeniem, ponieważ Amelia znajdowała się spory kawał drogi przede mną, a Mason daleko z tyłu. Wszyscy byli dużo dalej ode mnie, niż mi się zdawało. Puściłem się biegiem z powrotem i zobaczyłem Masona leżącego na ziemi z rozciętą stopą. Austin popędził do namiotu po jakiś t-shirt, żeby obwiązać ranę. Noc była gorąca, więc mieliśmy na sobie tylko gatki. Ja z Davidem próbowaliśmy nieść Masona do domu i wówczas z sypialni wypadła mama - niczym ucieleśnienie boskiego gniewu.

Harper parsknął śmiechem.

- Żałuj, że jej wtedy nie widziałeś. Była w krótkich, bawełnianych szortach i jakiejś kusej koszulce. W owych czasach miała dużo dłuższe włosy, więc powiewały za nią dziko, gdy gnała w naszą stronę. Inni poza mną tego nie spostrzegli, ale w ręku trzymała pistolet dziadka. Wierz mi, gdyby wtedy ścigał nas jakiś duch czy ktokolwiek inny, załatwiłaby go na amen. Kiedy jako tako zorientowała się w sytuacji, szybko zatknęła broń z tyłu, za pasek szortów. Wzięła Masona na ręce i kazała nam szybko się ubrać. A potem załadowała wszystkich do samochodu i pojechała na pogotowie, żeby zszyli Masonowi nogę.
- Nigdy nie mówiłeś, że widziałeś pistolet. - W drzwiach biblioteki stanęła Roz.
- Wydawało mi się, że nie chciałaś, by chłopcy o tym wiedzieli. Podeszła i pocałowała syna w czubek głowy.
- Nie chciałam też, żebyś ty zobaczył broń. Ale zawsze byłeś aż nadto spostrzegawczy.

Oparła policzek o głowę Harpera i spojrzała na Mitcha.

- Czy przypadkiem nie przeszkadzam?
- W żadnym razie. Jeżeli masz wolną chwilę, może zechciałabyś się przyśiąść? Słyszałem już tę historię z dwóch źródeł - od Davida i Harpera. Chętnie poznałbym twoją wersję.
- Zapewne nie dodam nic nowego. Dzieci chciały spać na dworze. Choć Bóg jeden wie dlaczego, bo panował wyjątkowy upał i aż roilo się od insektów wszelkiej maści. Chłopcy jednak byli zafascynowani swoim namiotem. Chciałam mieć na nich oko i panować nad sytuacją, wyłączyłam więc klimatyzację w sypialni i otworzyłam na oścież tarasowe drzwi.
- Po co? - obruszył się Harper. - Przecież siedzieliśmy pod samym domem. W jakie to niby tarapaty mogliśmy się wpakować?
- W poważne, jak dowiodły wypadki owej nocy. Słusznie więc postąpiłam, skazując się na morderczy upał. Kiedy dzieci już zasnęły, sama też zapadłam

w drzemkę. Obudził mnie wrzask Masona. Chwyciłam pistolet taty, który w owym czasie trzymałam na górnej półce w szafie, wyjęłam amunicję z kasetki na biżuterię i w biegu załadowałam broń. Kiedy dobiegłam do chłopców, David z Harperem próbowali podnieść krwawiącego Masona. Zabrałam małego do domu, obmyłam ranę i zobaczyłam, że wymaga zszycia. Wysłuchałam całej historii w drodze do szpitala.

Mitch skinął głową, po czym podniósł oczy znad notatek.

- A kiedy poszłaś do powozowni? Roz uśmiechnęła się leciutko.
- O pierwszym brzasku. Tyle mi zajęła wycieczka na oddział pomocy doraźnej i ułożenie ich wszystkich z powrotem do snu.
- Wzięłaś ze sobą broń?
- Owszem. Na wypadek, gdyby postać, którą widzieli, była bardziej materialna, niż im się zdawało.
- Nie powinnaś była zapuszczać się tam sama! Miałem już dostatecznie dużo lat, żeby iść z tobą!

Roz spojrzała hardo na syna.

- W owych czasach ja o tym decydowałam. Tak czy owak w domku gościnnym nie zobaczyłam nic ciekawego. Natomiast... coś poczułam. Nie wiem jednak, czy rzeczywiście panowała tam dziwna aura, czy może byłam tak zdenerwowana, że wyobraźnia zaczęła płatać mi figle.
- A mianowicie?
- Wydawało mi się, że panował tam przejmujący chłód, a przecież to niemożliwe. Na dodatek... nie chciałabym, aby zabrzmiało to melodramatycznie... ale miałam wrażenie, że unosi się tam atmosfera śmierci. Przeszłam przez wszystkie pomieszczenia, zajrzałam w każdy kąt, nie dostrzegłam jednak nic nadzwyczajnego.
- Kiedy powozownię przerobiono na domek gościnny?
- Przebudowę zaczęto na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Reginald Harper zawsze się interesował nowinkami, a wówczas do takich

należały automobile. Swój pierwszy samochód trzymał w powozowni, ale gdy aut przybywało, stajnie przerobiono na garaże. Wówczas parter powozowni stał się czymś na kształt składziku, na piętrze natomiast urządzono mieszkanie dla ogrodnika. Dopiero w latach dwudziestych, jak mi się zdaje, mój dziadek zdecydował, że będzie to domek gościnniey.

- A więc mało prawdopodobne, żeby Oblubienica mieszkała w dawnej powozowni bądź odwiedzała tam ogrodnika, zmiany bowiem nastąpiły już po tym, jak w bezielesnej postaci zaczęła nawiedzać Harper House. A co się tam mogło znajdować, gdy była to jeszcze powozownia?
- Dwukółki, bryczki. Może jakieś narzędzia.
- Po co więc miałyby tam zaglądać Amelia?
- Zawsze się zastanawiałem, czy przypadkiem nie zakończyła życia w starej powozowni - wtrącił Harper. - Myślałem nawet, że jak się tam wprowadzę, to może wyjawi mi swoją tajemnicę.

Mitch spojrzał bystro na chłopaka.

- Czy kiedykolwiek ci się objawiła w domku lub w jakiś inny sposób zaznaczyła swoją obecność?
- Nigdy. Traci zainteresowanie facetami, gdy już osiągną pewien wiek. Hej pada śnieg! – Podskoczył podekscytowany do okna. Może się utrzyma. Czy jeszcze mnie potrzebujesz? - zwrócił się do Mitcha.
- W tej chwili nic. Dzięki, że poświęciłeś mi czas.
- Nie ma sprawy. To na razie. Gdy Harper wyszedł, Roz z rozbawieniem potrząsnęła głową.
- Założę się, że od razu wypadł na podwórze, żeby wyskrobać dość śniegu na kulkę i rzucić nią w Davida. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. A gdy już o Davidzie mowa - szykuje pieczone kurczęta z knedlami. Może miałbyś ochotę zostać na kolacji i poczekać, aż stopnieje śnieg?
- Tylko głupiec zrezygnowałby z kurcząt i knedli. Wracając do sprawy, w ostatnim tygodniu poczyniłem pewne postępy - o ile w ten sposób można

określić proces eliminacji. Spośród osób, które zostały odnotowane w archiwach rodzinnych, zaczyna mi powoli brakować kandydatek na Amelię.

Roz podeszła do korkowej tablicy i zaczęła wodzić wzrokiem po zdjęciach, wykresach i zapiskach.

- A co, jeżeli żadna ze wzmiankowanych osób nie będzie Amelią?
- Zabiorę się do poszukiwań w innych kręgach. A zmieniając temat, co byś powiedziała na mecz koszykówki?
- W jakim sensie?
- Czy wybrałabyś się ze mną na mecz? Udało mi się zdobyć dodatkowy bilet na jutrzejszy wieczór. Drużyna Josha gra z drużyną Ole Miss*. Miałem nadzieję, że zdołam cię namówić.
- Na mecz?
- Niezobowiązująca impreza, tłum ludzi wokół, specyficzna, ale dobra rozrywka. - Uśmiechnął się leniwie, gdy na niego spojrzała. - Pomyślałem, że taka forma spotkania towarzyskiego może ci na początek bardziej przypaść do gustu niż intymna kolacja we dwoje. Jeżeli jednak wolałabyś kolację, pojutrze mam wolny wieczór.
- Mecz całkiem mi odpowiada.

Lily siedziała w sypialni Roz na dywanie z Suchary i plastikowym pieskiem z upodobaniem waliła w guziki telefonu-zabawki. Jej matka natomiast tkwiła głową w szafie.

- Musisz koniecznie użyć tego cienia do powiek, Roz. - Głos Hayley brzmiał jak spod ziemi, gdy przebierała w rozwieszonych na wieszakach ubraniach. - Już kiedy go kupowałam, wiedziałam, że to nie jest kolor dla mnie, ale nie mogłam się powstrzymać. Ty będziesz w nim wyglądać oszałamiająco, czyż nie, Stello?
- Owszem.
- Tymi cieniami, które już mam, mogłabym hojnie obdarować co najmniej trzy kobiety - zaprotestowała Roz.

Zupełnie nie pojmowała, jakim cudem jej prywatna przestrzeń została tak nagle zawłaszczona przez dwie inne kobiety. Była do tego absolutnie nieprzyzwyczajona.

- Boże, ale cudo! Po prostu musisz je włożyć.

Hayley wyciągnęła spodnie, na które David namówił swego czasu Roz, a które miała na sobie zaledwie jeden jedyny raz - w przymierzalni w butik.

- Nie ma mowy.

- Daj spokój, Roz. - Dziewczyna pomachała spodniami w stronę Stelli. - Tylko popatrz!

Stella popatrzyła.

- Za żadne skarby nie wcisnęłabym w nie tyłka - mruknęła smętnie.

- Oczywiście, że tak. Są rozciągliwe. - Hayley natychmiast dokonała stosownej demonstracji. - Poza tym masz fantastyczne biodra - w idealnej proporcji do piersi. Tyle że nogawki byłyby dla ciebie za długie. Roz, pamiętasz sweter z czerwonej angory, który dostałam od Davida na Gwiazdkę? Pasowałby idealnie do tych spodni.

- To je sobie weź.

- Nie. Ty masz je włożyć. Popilnujcie małej przez chwilę, dobrze? Ja polecę po ten sweter.

- W żadnym razie nie włożę twojego swetra. Mam mnóstwo własnych. Poza tym, na Boga, to jedynie mecz koszykówki.

- Skoro jesteś wyjątkowo seksownym kociakiem, powinnaś to podkreślić.

- Idę w dzinsach.

Zrezygnowana Hayley opadła na łóżko koło Stelli.

- Ciężki przypadek - jęknęła.

- Słuchaj, użyję twojego cienia. Uznamy to za kompromis, dobra?

- Czy przynajmniej mogę wybrać ci kolczyki? Roz posłała jej surowe spojrzenie.

- A wtedy przestaniesz już nudzić?

- Obiecuję.

Dziewczyna poderwała się z łóżka. Lily wyciągnęła rączki, Hayley chwyciła więc w przelocie córeczkę i posadziła sobie na biodrze. A potem jedną ręką zaczęła grzebać w szkatułce z biżuterią Roz.

- Co włożysz do tych džinsów?

- Nie wiem. Jakiś sweter.

- Kaszmirowy - wtrąciła Stella. - Ciemnozielony półgolf, a do niego ten wystrzałowy czarny, skórzany płaszcz do kolan.

Roz, oglądając ze wszystkich stron cień, przez moment rozważała propozycję Stelli.

- W porządku - zdecydowała. - To dobry zestaw.

- W takim razie... te kolczyki. - Hayley wyciągnęła długie, wiszące spirale. - A buty? - spytała, zwracając się do Stelli.

- Czarne kowbojki.

- Poszukaj więc tych butów, a ja wyjmę sweter i...

- Dziewczęta! - przerwała jej Roz. - Zmykajcie stąd. Teraz już poradzę sobie sama. - Nachyliła się, by cmoknąć Lily w policzek na do widzenia! -Idźcie pobawić się gdzie Indziej.

- Chodźmy, Hayley, bo jeszcze gol owa włożyć spłowiała bawełniana blu zę i znoszone ogrodnicze buciorzy tylko po to, żeby nam zrobić na złość - do rzuciła Stella i wyciągnęła dziewczynę z pokoju.

Tak naprawdę towarzystwo młodych kobiet przynosi określone korzyści, doszła do wniosku Roz, nakładając na powieki brązowy cień o złocistym po-
błysku - szczególnie przydają się ich rady w kwestii mody i wyglądu.

No, może z wyjątkiem czarnych spodni.

Podeszła do komody i otworzyła środkową szufladę, w której trzymała swoje najlepsze swetry. Z przyjemnością przesunęła po nich dłonią. Uwielbiała te miękkie dzianiny - delikatne kaszmiry i jedwabie.

Wyjęła i rozłożyła ciemnozielony półgolf.

Lodowaty podmuch był jak smagnięcie biczem i Roz odruchowo odskoczyła do tyłu. Zamarła, gdy jakaś siła wyszarpnęła jej sweter z rąk. Z niedowierzaniem patrzyła, jak uderzył o przeciwległą ścianę, po czym gwałtownie opadł na podłogę.

Nogi miała jak z waty, zebrała się jednak na odwagę i przeszedłszy przez pokój, podniosła zielony kaszmir.

Przez środek biegly postrzępione rozdarcia, jakby dzianinę rozorały ostre, długie paznokcie. Żeby się opanować, Roz odetchnęła parę razy głęboko, a w lodowatym powietrzu jej oddech zmieniał się natychmiast w obłoczki pary.

- To było niegodziwe i niskie. Podłe i małostkowe. Lubiłam ten sweter. Nawet bardzo. Niczego tym jednak nie zmienisz.

Coraz bardziej rozzłoszczona, odwróciła się na pięcie w nadziei, że zobaczy coś lub kogoś, z kim będzie mogła podjąć batalię.

- Mam dużo więcej swetrów, a jeżeli przyjdzie ci do głowy powtórzyć tę szopkę z innymi moimi ubraniami, to - ostrzegam! - wyjdę stąd z gołym tyłkiem, naga jak mnie Pan Bóg stworzył. W żadnym razie nie poddam się podobnemu szantażowi. Idź więc odstawiać swoje fochy gdzie indziej!

Roz rzuciła podarty kaszmir na łóżko i stanowczym krokiem podeszła do komody. Wyjęła na chybił trafił sweter z szuflady i wciągnęła przez głowę. Aż cała trzęsła się z wściekłości, gdy wkładała dzinsy.

- Sama decyduję o własnym życiu - podjęła przerwana tyradę. -1 nic ani nikt tego nie zmieni. Zachowuj się tak dalej, a prześpię się z tym facetem tylko po to, żeby ci zrobić na złość.

Wsunęła stopy w buty, chwyciła skórzany płaszcz i ostatnim wysiłkiem przewyciężyła pokusę, by trzasnąć z całej siły drzwiami.

Kiedy znalazła się na korytarzu, oparła się o ich gładkie drewno i zrobiła parę głębokich oddechów, żeby opanować gniew. Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości - w drodze na mecz będzie miała o czym opowiadać Mitchowi.

Z rozmową wstrzymała się jednak do chwili, aż światła Harper House zniknęły za ich plecami.

- Mam ci para rzeczy do powiedzenia, polem jednak byłoby miło, gdybyśmy na kilka godzin zapomnieli o całej sprawie.
- Coś się siało?
- Owszem. Zaczęło się wczoraj od irytującego spotkania ze znajomą, która nieprzerwanie od dwudziestu lat dzierży rekord olimpijski w rozpowszechnianiu plotek.
- Cholernie imponujące dokonanie.
- Rzeczywiście, jest z tego niesłychanie dumna. Rewelacje, którymi mnie uraczyła, dotyczyły mojego byłego męża i same w sobie są nieistotne, tyle że mnie zirytowały i przyprawiły o ból głowy. Wróciłam więc do domu wcześniej, niż zamierzałam, wzięłam parę aspiryn i postanowiłam chwilę poleżeć. Nie zasnęłam, ale tkwiłam w tym kojącym stadium pomiędzy jawą a snem. I nagle wydało mi się, że siedzę na ławce w cieniu, w moim ogrodzie, późnowiosenną porą.
- Skąd wiedziałaś, że to akurat wiosna?
- Późna wiosna. Koniec maja, początek czerwca. Poznałam po tym, które rośliny były właśnie w pełnym rozkwicie. A potem ogarnął mnie nagły chłód. Opowiedziała mu resztę, starając się nie pominąć żadnego szczegółu.
- A więc po wielu latach pierwszy raz śniłaś o Oblubienicy.
- To nie był sen. - Roz niecierpliwie machnęła ręką. -Wiem, że ludzie zawsze tak mówią, kiedy tylko wydaje im się, że nie zasnęli, ale ja naprawdę nie spałam.
- W porządku. Ty wiesz najlepiej.
- Ona zabrała mnie do ogrodu w moich myślach. Czułam zimno, czułam zapach kwiatów - białych róż porastających altanę - a także powiew lekkiego wiatru na skórze. A jednocześnie miałam pełną świadomość, że tak naprawdę leżę cały czas na łóżku, w swojej sypialni, i dokucza mi rwący ból głowy.

- Musiałaś się czuć nieswojo.
- Subtelnie to ująłeś. Owszem, czułam się nieswojo. Byłam zdezorientowana i przygnębiona. Bardzo mi się nie podoba, że ktoś może kierować moimi myślami. A kiedy Oblubienica otworzyła oczy, leżąc w tym grobie... w jej spojrzeniu był jakiś przerażający rodzaj miłości. Nigdy do tej pory nie zrobiła mi nic złego. Nigdy nie przypuszczałam, że mogłaby się do tego posunąć. Aż do dzisiejszego wieczoru.

Mitch zjechał na pobocze, ostro zahamował i zwrócił się w stronę Roz. Zawsze tak opanowany i emanujący spokojem, w tej chwili kipiał gniewem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czyżby cię zaatakowała? Na Boga, jeżeli...
- Nie mnie bezpośrednio, ale mój piękny kaszmirowy sweter. To był prezent urodzinowy, miałam go zaledwie od listopada i wciąż jestem wściekła, że Amelia go zniszczyła.
- Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

Kiedy Roz zdawała szczegółową relację, Mitch bębnił nerwowo palcami po kierownicy.

- Nie chciała, żebyś spędziła ze mną dzisiejszy wieczór - orzekł, gdy skończyła.
- Najwidoczniej. Na nic się jednak zdało jej przedstawienie, bo oto jestem w twoim samochodzie i razem jedziemy na mecz.

Spojrzał na nią bystro.

- A właściwie dlaczego?
- Po pierwsze dlatego, że ci to obiecałam, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Na dodatek nasza zjawą doprowadziła mnie do takiej furii, że za żadną cenę bym nie ustąpiła. Poza tym chciałam się przekonać, czy uda mi się przyjemnie spędzić z tobą czas w sytuacji czysto towarzyskiej.
- Nie owijasz rzeczy w bawełnę.
- Fakt. Niektórych ludzi to irytuje.
- Ja do nich nie należę. Przykro mi z powodu twojego swetra.

- Mnie również.
- W tej sytuacji moglibyśmy się pokusić o przyjęcie hipotezy...
- Moglibyśmy - weszła mu w słowo Roz. - Ale wołałabym, żebyśmy tego w tej chwili nie robili. Nie powstrzymała nas od spędzenia wspólnie wieczoru, nie pozwólmy więc, żeby go nieoczekiwanie zdominowała. Porozmawiajmy o czymś zupełnie innym, dobrze?
- Jasne. O czym chciałabyś porozmawiać?
- Zaczniemy od tego, jak długo jeszcze zamierzasz stać na poboczu i ile z tego powodu spóźnimy się na mecz twojego syna?
- A niech to szlag! - Mitch szybko wyjechał z powrotem na drogę. - Może w takim razie teraz ja podrzucę inny temat. Mam nową panią do sprzątania.
- Doprawdy?
- To znajoma znajomej znajomego. W każdym razie ktoś w tym rodzaju. Jest wielką entuzjastką feng shui i postanowiła przemeblować moje mieszkanie. Wciąż słyszę o polach kariery czy zdrowia. Sporządziła listę rzeczy, które powinienem kupić. Na przykład figurkę żaby do pola bogactwa. I chińskie monety. Moja gosposia utrzymuje ponadto, że powinienem mieć jakąś zieloną roślinę. Zdaje się, że do pola zdrowia - chociaż nie jestem pewien, a boję się zapytać. Pomyślałem więc, czy nie mógłbym odzyskać rośliny, którą zabrałaś ode mnie zeszłej wiosny.
- Tej, którą powoli mordowałeś.
- Nie miałem pojęcia, że ją morduję. W ogóle nie zdawałem sobie sprawy z jej istnienia.
- Nieświadome zaniedbanie nadal pozostaje zaniedbaniem.
- Ale z ciebie piła. A jeżeli podpiszę uroczyste zobowiązanie, że będę o nią sumiennie dbał? Tym bardziej że tak naprawdę to gosposia głównie będzie ją pielęgnować - w każdym razie przynajmniej raz na dwa tygodnie. Tobie natomiast przyznam prawo do regularnych odwiedzin. Co ty na to?
- Muszę się poważnie zastanowić.

Kiedy się pojawili na miejscu, hala była już pełna kibiców i tętniła gwarem podekscytowanych głosów. Wśród barwnego tłumu zeszli w dół do swojego rzędu w pobliżu parkietu, na którym obie drużyny właśnie ćwiczyły rzuty.

– O, tam jest Josh. To ten z ósemką.

Roz spojrzała na wysokiego chłopaka w białej oblamowanej na niebiesko koszulce. Akurat wyskoczył w górę i podrzucił piłkę, która odbiwszy się o tablicę, gładko wpadła do kosza.

Świetna technika.

– Został wybrany z numerem dziesiątym w drafcie NBA. Od nowego sezonu zacznie grać w bostońskich Celtics. Wciąż trudno mi w to uwierzyć. Nie zamierzam się przechwalać jego osiągnięciami przez cały wieczór, ale o tym jednym musiałem ci powiedzieć.

– Będzie zawodowcem? I to w drużynie Celtics? Ależ chwal się, ile dusz zapragnie. Ja bym nie mogła się powstrzymać.

– Postaram się ograniczyć do minimum. A tak na marginesie, Josh jest obecnie rozgrywającym, co znaczy, że wyprowadza atak.

Popijając zafundowany jej przez Mitcha orzeźwiający napój, Roz cierpliwie słuchała objaśnień podstawowych terminów koszykarskich.

Gdy sędzia rozpoczął mecz, błyskawicznie wciągnęła ją akcja na boisku. Udzieliła jej się szczególna atmosfera za sprawą okrzyków tłumu i nieustannego, szybkiego stukotu piłki o parkiet.

W trakcie pierwszej kwarty Mitch od czasu do czasu nachylał się, by wyjaśnić Rosalind założenia taktyczne gry, decyzje sędziów, ogólne zasady.

Działo się tak do chwili, gdy Roz poderwała się na równe nogi, by razem z resztą kibiców Memphis wygwizdać decyzję arbitra.

– Ci sędziowie powinni iść na operację oczu! Kroki? Jakie kroki! To był przecież ewidentny faul w ataku!

Kiedy w końcu usiadła z gniewnym sapnięciem, Mitch zaczął z zażenowaniem drapać się po głowie.

- OK. Albo jestem fenomenalnie utalentowanym nauczycielem, albo ty po prostu świetnie znasz się na koszykówce.
- Jestem przecież matką trzech synów. Oczywiście, że się znam na koszykówce. A także na futbolu i baseballu. Swego czasu nawet wiedziałam sporo - dużo więcej, niżbym sobie życzyła - o profesjonalnym wrestlingu. Na szczęście chłopcy szybko z tego wyrosli. - Spojrzała na Mitcha z szelmowskim błyskiem w oku. - Ale skoro z góry założyłeś, że jestem typowym babiskim ptasim mózdzkiem w sprawach sportu i z tak wielką przyjemnością zabrałeś się do edukowania mnie - nie miałam serca psuć ci zabawy.
- Dzięki. Zjesz *nachos*?
- Z przyjemnością.

Bawiła się świetnie. A już szczerze się uśmieła, gdy w czasie przerwy po pierwszej połowie Josh wzrokiem odnalazł w tłumie ojca, przeniósł spojrzenie na Roz, po czym z powrotem na Mitcha i entuzjastycznie uniósł kciuki w górę w geście pełnej akceptacji.

Kiedy gra dobiegła końca I Memphis Tigars pokonali Ole Miss Rebels trzema punktami, Roz doszła do wniosku, że ten wieczór był niemal wart utraty kaszmirowego swetra.

- Chcesz poczekać i pogratulować synowi?
- Nie. Zrobię to przy innej okazji. Minie co najmniej godzina, zanim wyjdzie z szatni i przebije się przez rzesze fanek. Chciałbym jednak, żebyś go poznała w nieodległej przyszłości.
- Bardzo chętnie. To przyjemność oglądać go na boisku. I nie tylko z powodu umiejętności i stylu gry - chociaż są wspaniałe - ale przede wszystkim jego entuzjazmu. Od razu widać, że kocha koszykówkę.
- Uwielbia ją od wczesnego dzieciństwa.

Mitch objął w pasie Roz, by łatwiej im było się poruszać w tłumie opuszczających halę kibiców.

- Poczujesz wielką pustkę, kiedy wyjedzie do Bostonu.
- Zawsze o tym marzył. Jakaś część mnie chciałaby jechać za nim, ale wiem, że w pewnym momencie trzeba pozwolić dzieciom odejść.
- Myślałam, że nie przeżyję, kiedy moi młodszy synowie wyprowadzili się z domu i wyjechali z Memphis. Przecież zaledwie wczoraj mieli po pięć lat.

Weszli na parking i Mitch chwycił ją za rękę.

- Czy dałabyś się namówić na przekąskę po meczu?
- Dzięki, ale dziś to niemożliwe. Jutro muszę się zerwać skoro świt.
- W takim razie przełożmy kolację na jutrzejszy wieczór. Posłała mu z ukosa przeciągłe spojrzenie.
- Powinnam ci powiedzieć, że nawet tabunowi dzikich koni trudno byłoby wyciągnąć mnie z domu w dwa wieczory z rzędu. Ale przede wszystkim jutro mam zebranie Klubu Ogrodniczego i nie mogę go opuścić z pewnych ważnych osobistych powodów.
- W takim razie pojutrze.
- Wietrzę podstępna kampanię.
- I jak mi idzie?
- Nieźle. - Nawet bardzo dobrze, pomyślała. Jakże przyjemnie było czuć dotyk jego ciepłej dłoni na swoim ręku. - No, dobrze. W takim razie przyjdź na kolację pojutrze. Ostrzegam, że ja będę gotować, bo to wolny wieczór Davida.
- Umiesz gotować?
- Naturalnie. Nie wolno mi się zbliżać do kuchni, kiedy David jest w domu, ale tak naprawdę świetna ze mnie kucharka.
- O której mam się stawić?
- Powiedzmy o siódmej.
- Doskonale.

Podprowadził ją do drzwi pasażera, a potem odwrócił, przyciągnął do siebie i zaczął długo, leniwie całować.

Roz chwyciła go za ramiona, przywarła całą sobą do jego ciepłego ciała i pozwoliła porwać się chwili.

W końcu Mitch wypuścił ją z objęć i nie spuszczać wzroku z jej twarzy, otworzył drzwi.

- Zrobiłem to teraz, bo doszedłem do wniosku, że gdybym cię pocałował po odprowadzeniu na ganek, nie byłaby to żadna niespodzianka. A ja chciałbym od czasu do czasu czymś cię zaskoczyć. Co zapewne okaże się trudnym zadaniem.
- Do tej pory już kilka razy ci się udało.

Roz wśliznęła się na siedzenie i Mitch zatrzasnął za nią drzwi z cichym przekonaniem, że jeszcze nieraz ją porządnie zadziwi.

10

Harper mógł całymi godzinami siedzieć w swojej szklarni, nie odczuwając nudy ani braku towarzystwa ludzi. Rośliny, nad którymi pracował, były dla niego źródłem niekończącej się fascynacji i satysfakcji - bez względu na to, czy miał do czynienia z formami standardowymi czy z hybrydami.

Lubił także pracę na świeżym powietrzu. Z przyjemnością zajmował się hodowlą i szczepieniem drzew. Już wybrał kilka okazów, z których zamierzał pobrać zrazy. W tym tygodniu będzie także musiał przyciąć gałęzie drzewek, zaszczerpionych po raz pierwszy w zeszłym roku.

Matka pozostawiała mu w tym względzie całkowicie wolną rękę. On decydował, co, jak i kiedy. Miała wiele wiary w jego umiejętności, skoro oddała mu tę sekcję w niepodzielne władanie.

Od dzieciństwa spędzał z Roz niezliczone godziny w ogrodzie i szklarni. Uczyła też podstawowych ogrodniczych umiejętności jego braci, ale oni z wiekiem tracili zainteresowanie roślinami i posiadłością, podczas gdy jego fascynacja ciągle rosła.

Fascynacja Harper House, ogrodami, pracą. Lata spędzone na studiach tylko utwierdziły go w przekonaniu, że wybrał sobie idealny styl życia. Czuł się też całkowicie odpowiedzialny za dom, firmę i kobietę, która go wszystkiego nauczyła. I uważał się za prawdziwego szczęściarza, że w jego wypadku obowiązki szły w parze z uczuciami.

Dla roślin był dziś w repertuarze Czajkowski, natomiast w słuchawkach Harpera rozbrzmiewała muzyka Barenaked Ladies. W rytm riffów gitarowych starannie przeglądał rośliny i notował uwagi na zawieszonych przy nich tabliczkach.

Był wyjątkowo zadowolony z dali, które wyhodował wiosną na prośbę Logana. Za parę tygodni wsadzi odpowiednio przechowane przez zimę bulwy do ziemi i na wiosnę będzie mógł już pobierać pędy do rozmnażania. Tak więc tego roku w „Edenie” nie zabraknie w ofercie „Snu Stelli” - unikatowej ciemnobłękitnej dali.

Niesamowite, jaki splot wydarzeń doprowadził do jej wyhodowania. KCo by pomyślał, że Logan zakocha się w pedantycznej do bólu pani menedżer, a potem jeszcze okaże się na tyle sentymentalny, by ofiarować ukochanej niezwykle kwiat z nawiedzającego ją snu. Snu - zreflektował się Harper -który sprowadzała na Stellę Oblubienica.

A więc bez Oblubienicy nie powstałaby nowa dalia, sama Oblubienica zaś nie istniałaby bez Harper House. Natomiast ani jedno, ani drugie nie miałyby

racji bytu bez upartej determinacji matki, by za wszelką cenę utrzymać dom i zbudować prosperującą firmę ogrodniczą.

Drzwi szklarni otworzyły się powoli i w progu stanęła Hayley.

Jej też by tu dzisiaj nie było, gdyby nie Rosalind.

Bez mamy i jej przedsiębiorstwa ta piękna kobieta, wówczas w zaawansowanej ciąży, nie zapukałaby do drzwi Harper House w poszukiwaniu pracy i kąta do życia.

Na widok uśmiechu Hayley serce Harpera na ułamek chwili stanęło. Dziewczyna tymczasem poklepała się po uchu, dając do zrozumienia, żeby sięgnął słuchawki.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale Roz powiedziała, że masz trochę dostatecznie dojrzałych roślin, by przenieść je do działu sprzedaży. Stella zamierza urządzić zimową promocję.
- Oczywiście. Czy chcesz, żebym je dostarczył na miejsce?
- Nie ma takiej potrzeby. Wzięłam ze sobą kartonowe pudła i wózek.
- Doskonale. W takim razie szybko przejrzę swoje zasoby. - Podeszedł do komputera i odszukał odpowiedni plik. - Chcesz colę?
- Marzę o coli, ale wciąż jeszcze muszę wystrzegać się kofeiny.
- Och, jasne. - Gdy sobie przypomniał, że Hayley nadal karmi małą, przyjemnie ścisnęło go w dołku. - O, w chłodziarce jest też woda mineralna.
- To poproszę. Czy jak będziesz miał wolną chwilę, pokażesz mi, na czym polega szczepienie? Stella powiedziała, że o tej porze roku zajmujesz się głównie drzewkami. Chciałabym popatrzeć i może sama popróbować.
- Nie ma sprawy. Kiedy tylko zechcesz. - Podał jej butelkę z wodą. - Możesz zacząć od wierzby. Na nich najlepiej się wprawiać. Tak uczyła mnie mama.
- Świetnie. Pomyślałam, że pewnego dnia, gdy znajdę już dom dla siebie i Lily, chętnie posadziłabym w ogródku coś, co sama wyhodowałam.

Harper usilnie starał się skoncentrować na ekranie komputera. Bardzo przeszkadzał mu w tym jednak otaczający Hayley aromat - jakiś niezwykle kobiecy, doskonale komponujący się z zapachem wilgotnej ziemi.

- Przecież w naszym domu macie do dyspozycji mnóstwo miejsca.
- Aż za dużo - zaśmiała się, zaglądając mu przez ramię. - Mieszkam u Roz już prawie od roku, a wciąż nie mogę przywyknąć do tej ogromnej rezydencji. Uwielbiam Harper House - naprawdę uwielbiam - poza tym cieszę się, że moja córeczka ma wokół tyle kochających ją osób. I nikt nie jest wspanialszy od twojej mamy. To najbardziej niesamowita osoba, jaką znam. Ale wcześniej czy później będziemy musiały z Lily przenieść się do czegoś własnego.
- Dobrze wiesz, że mama jest zachwycona, mając was przy sobie, bo inaczej już dawno by cię stąd wyekspediowała.
- Rety, to fakt. Ona doskonale potrafi określić hierarchię wartości, prawda? I zawsze umie postawić na swoim - w najlepszym znaczeniu tego słowa. Jest silna i mądra, a na dodatek niczego i nikogo się nie boi. Szalenie ją podziwiam.
- Tobie też nie brakuje odwagi i inteligencji.
- Może odwagi... Chociaż jak teraz o tym myślę, często dochodzę do wniosku, że moja brawura wypływała zazwyczaj z czystej ignorancji. - Machinalnie podniosła kawałek rafii i zaczęła owijać wokół palca. - Teraz wprost nie mogę pojąć, jak mogłam się odważyć na kompletną zmianę życia, gdy byłam w szóstym miesiącu ciąży. Dopiero kiedy Lily przyszła na świat, w pełni zrozumiałam, jak wiele miałam szczęścia. Do końca życia nie zdołam się odwdzińczyć twojej mamie za wszystko, co dla mnie zrobiła.
- Ona wcale by nie chciała, żebyś tak myślała.
- Akurat w tym jednym względzie nie ma nic do powiedzenia. Moje dziecko żyje w luksusowych warunkach, otoczone miłością tylu osób. Ja mam pracę, którą z każdym dniem kocham coraz bardziej. Obie mamy przyjaciół - a właściwie prawdziwą rodzinę. Poradziłybyśmy sobie bez tego wszystkiego,

już ja bym o to zadbała, ale bez Roz nasze życie nie byłoby ani w połowie tak wspaniałe.

- To zabawne, bo przed chwilą doszedłem do wniosku, że wszystko wokół - dom, firma, związek Logana i Stelli - na swój sposób istnieje dzięki mojej mamie. Może nawet Oblubienica.
- Czemu Oblubienica?
- Gdyby mama sprzedała Harper House - a w pewnym okresie byłoby to dla niej najwygodniejsze - może Oblubienica obróciłaby się w nicość. Możliwe, że aby mogła wracać do tego wymiaru, w domu musi mieszkać ktoś z Harperów. Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami i podniósł się, by odnaleźć rośliny, które właśnie wykreślił z rejestru. - W każdym razie takie myśli snuły mi się po głowie.
- Niewykluczone, że masz rację. Ty nie sprzedasz domu, gdy trafi w twoje ręce, prawda?
- Za nic w świecie. Szczerze mówiąc, często dochodzę do wniosku, że powinienem wyprowadzić się z domku gościnnego i znaleźć własne mieszkanie, ale nie mogę się na to zdobyć. Po pierwsze, to jedyne miejsce, gdzie naprawdę chcę być. Po drugie, bez względu na to, jak silna i mądra jest moja matka, powinienem nad nią czuwać. Myślę, że poczułaby się bardzo samotna, gdybyś zabrała Lily i wyprowadziła się z tego domu - szczególnie że już za parę miesięcy Stella z chłopcami przeniesie się do Logana.
- Nie planuję natychmiastowej przeprowadzki. A poza tym, skoro Roz umawia się na randki z Mitchem, może już wkrótce będzie miała kogoś, kto nigdy nie pozwoli, by doskwierała jej samotność.
- Co takiego?! - Harper stanął jak wryty z młodym, tryskającym zdrowiem fikusem w dłoniach. - Randki? Oni nie umawiają się na żadne randki!
- Kiedy dwoje ludzi spotyka się ze sobą kilka razy w tygodniu - idzie na mecz koszykówki, na kolację czy gdziekolwiek i jeśli kobieta gotuje specjalnie dla mężczyzny, ja to nazywam randkami.

- Pracują razem nad sprawą Oblubienicy. To nie randki, tylko... spotkania robocze.

Poczęstowała go typowo kobiecym, pełnym politowania uśmiechem, jasno wyrażającym, że oto stoi przed nią facet żałośnie niezorientowany w realiach.

- Nic kończy się spotkań roboczych długim, namiętym pocałunkiem -a w każdym razie ja do tej pory nie miałam dość szczęścia, by się na takie spotkanie załapać.
- Pocałunkiem? Co... jak...
- Nie szpiegowałam nikogo ani nic z tych rzeczy - dorzuciła pospiesznie.
- Kiedyś po prostu wstałam w nocy do Lily i wyjrzałam przez okno akurat w momencie, gdy Mitch przywiózł Roz do domu. No dobrze, kiedy usłyszałam samochód, to wyjrzałam celowo, żeby zobaczyć, jak się mają sprawy. W każdym razie, patrząc na ich pocałunek, doszłam do wniosku, że to poważna historia.

Harper z łoskotem odstawił doniczkę.

- Na Boga jedyne!

Hayley w zdumieniu zamrugła oczami.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że Roz spotyka się z takim mężczyzną. To byłoby wyjątkowo głupie.
- Ostatnim razem, gdy spotykała się z „takim mężczyzną”, skończyła jako żona wyjątkowego skurwysyna.
- No to co? Popęłniła błąd - zaperzyła się Hayley. - A poza tym Mitch w żadnym razie nie jest łajdakiem pokroju Bryce'a Clerka.
- A wiesz o tym, bo...?
- Bo wiem i już.
- To mi nie wystarcza.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie jest jej wart?
- Nic podobnego nie powiedziałem. Uważam jedynie...

- To, że Mitch nie jest porażająco bogaty, a w jego żyłach nie płynie błękitna Harperowska krew, nie znaczy, że powinieneś się do niego uprzedać.
- Z całej siły dźgnęła go palcem w pierś. - Zachowujesz się jak ostatni snob! Powinieneś się wstydzić!
- Nie miałem nic takiego na myśli. Nie bądź głupia.
- Nie nazywaj mnie głupią!
- Przecież nie nazywam cię głupią. Jezu Chryste!
- Wiesz, nagle odechciało mi się z tobą gadać. - Hayley odwróciła się na pięcie i wymaszerowała ze szklarni.
- Świetnie! Mnie się też odechciało! - wykrzyknął Harper w stronę jej oddalających się pleców.

Wszystko w nim kipiało, gdy w końcu, załadowawszy wózek roślinami, własnoręcznie dopchał go do punktu sprzedaży.

Po czym natychmiast, w bojowym nastroju, wyruszył na poszukiwania matki. Stała przy drzewkach, które niedawno szczepił.

Była ubrana na szaro: w bluzę z kapturem, rękawiczki bez palców i ciężkie buty - tak stare i zniszczone, że określenie ich koloru stało się niemożliwe. Nagle Harper zdał sobie sprawę, że Roz bardziej wygląda na jego rówieśnicę niż na matkę.

- Hayley cię znalazła?
- Tak. Wszystko załatwoone.
- Skarbie, jestem zachwycona tymi drzewkami owocowymi. Doskonale je poszczepiłeś. Nasi klienci będą mieli z nich sporo pociechy. Sama chcę zabrać do naszego ogrodu jedną brzoskwinie i nektarynę. A czy mówiłam ci już, że zastanawiam się nad kupnem namiotu cieplarnianego ze specjalnym systemem nasycania wilgocią powietrza? Chciałabym się tam zająć palmami.
- Roz pochyliła się nad drzewkami. - Doprawdy, wspaniała robota, Harperze. Te grusze wierzbolistne...
- Mamo, czy sypiasz z Mitchem Carnegie?

- Co takiego? - Odwróciła się gwałtownie. Uśmiech zgasł na jej ustach, a w oczach pojawiły się lodowate błyski.
- Słyszałaś, o co zapytałem. Chcę poznać odpowiedź.
- Jakim prawem zadajesz mi takie pytanie?
- Muszę wiedzieć, jak się przedstawiają sprawy. Mam do tego prawo.
- Nic podobnego.
- W wypadku Bryce'a zaciskałem zęby i trzymałem głowę na kłódkę. To był z mojej strony poważny błąd, którego więcej nie zamierzam powtórzyć. Będę się tobą opiekował, nawet wbrew twojej woli. Więc jeżeli nie udzielisz mi odpowiedzi, zadam to pytanie jemu.
- Ani mi się waż!

Odeszła na kilka kroków i odwróciła się plecami. Harper znał matkę dość dobrze, by wiedzieć, że Roz próbuje zapanować nad emocjami. Oboje byli bardzo impulsywni i zapalczywi, więc oboje bardzo się pilnowali, by zachować nad sobą kontrolę.

- Kiedy ostatni raz pytałam o twoje życie towarzyskie, nie mówiąc już o intymnym? - odezwała się po dłuższej chwili.
- Kiedy ostatni raz wydałem się za łowcę posagów?

Roz odwróciła się gwałtownie, a w jej oczach niebezpiecznie zapłonął gniew.

- Nigdy więcej nie rzucaj mi tego w twarz, bo zdecydowanie mi się to nie podoba.
- Mnie również. Ale bez względu na to, jak bardzo będziesz się na mnie wściekać, póki jestem w pobliżu, za nic nie dopuszczę, by ktoś znowu skrzywdził cię tak jak tamten śmieć. A co my właściwie wiemy o Mitchu? Z mojego punktu widzenia już poważnie pogwałcił reguły gry, uwodząc kobietę, która go zatrudniła.
- Jesteś przerażająco purytański. Jakim cudem do tej pory tego nie zauważyłam? - Roz westchnęła głęboko. - No dobrze. Spójrzmy na sprawę z

niecو innego punktu widzenia. Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym dwa razy popełniła ten sam błąd?

- Nie. Jak do tej pory.
- Twoja wiara we mnie wprost zbija z nóg. - Zdjęła jedną rękawicę i zaczęła uderzać nią po udzie. - Posłuchaj, Mitch to interesujący, atrakcyjny mężczyzna, z którym kilka razy umówiłam się na spotkanie. Jest w bliskich, bardzo przyjacielskich stosunkach z synem, a ponieważ ja szczyć się tym samym, wysoko cenię ludzi, którzy potrafią to osiągnąć. Rozwiódł się, ale pozostaje w dużej zażyłości z byłą żoną i jej obecnym mężem, co też jak najlepiej o nim świadczy. Poza tym nigdy wobec mnie nie zachował się niestosownie, nawet jak na twoje wygórowane standardy.
- Ty zasługujesz na wszystko, co najlepsze.
- Och, Harperze, ja też nie jestem wzorem wszelkich cnót.
- A kto tego od ciebie wymaga? Ja chcę jedynie, żebyś była szczęśliwa.
- Mój skarbie. - Ujęła w dłonie twarz syna. - To ja powinnam wygłaszać do ciebie takie kwestie. Jeżeli przysięgnę, że z historii z Bryce'em wyciągnęłam odpowiednie wnioski, to się uspokoisz?
- Tylko jeśli obiecasz, że natychmiast mnie poinformujesz, gdyby Mitch próbował wymóc na tobie cokolwiek, na co nie masz ochoty.
- W porządku. Obiecuję. A teraz obejrzyjmy resztę drzewek.

Po przeprawie z Harperem Roz nie mogła się jedynie nadziwić, że znając tak dobrze własnego syna, poczuła się do tego stopnia zaskoczona jego zachowaniem i słowami.

Z drugiej strony, czy jakiegokolwiek matce przychodzi do głowy, że dziecko może się o nią martwić? Matki tak bardzo przejmują się swoimi latoroślami, że odwrócenie ról wydaje im się nieprawdopodobne.

Ale przede wszystkim Roz dopiero teraz w pełni sobie uświadomiła, jak dalece zawiodła syna, wdając się w związek z Bryce'em Clerkiem. Swoim nie-

rozważnym postępowaniem zraniła własne dziecko bardziej, niż sama została zraniona.

Czy taki zawód można ukochanym ludziom wynagrodzić, czy też trzeba spokojnie czekać, aż rana sama się zablizni?

Ponieważ po powrocie do domu potrzebowała ciszy i spokoju, weszła bezpośrednio do swojego skrzydła i dopiero tam zrzuciła wierzchnie ubranie.

Powędrowała do sypialni z założeniem, że posłucha łagodnej muzyki i trochę poszkicuje, żeby odreagować po nerwowym i pracowitym dniu. Na biurku dojrzała jednak starannie posegregowaną pocztę. David zawsze układał w oddzielne stosiki korespondencję biznesową, rachunki i prywatne listy -teraz zresztą już bardzo rzadkie, bo jej znajomi, podobnie jak ona sama, przeszli głównie na pocztę internetową.

Roz wyznawała teorię, że nieprzyjemne rzeczy należy jak najszybciej mieć z głowy, usiadła więc i zaczęła przeglądać rachunki. Skrzywiła się lekko na widok bieżących kosztów eksploatacyjnych domu, ale niestety taką trzeba było płacić cenę za wielką przestrzeń zajmowaną przez sporą liczbę osób.

Z westchnieniem wyjęła z szuflady książeczkę czekową, obiecując sobie w duchu, że wkrótce - w każdym razie jeszcze na pewno przed końcem miesiąca - nauczy się regulować należności przez Internet. Oczywiście składała taką obietnicę, ilekroć sięgała po czek. Tym razem jednak wreszcie tego dopilnuje. Przy najbliższej okazji poprosi Stellę o krótki instruktaż.

Wystawiła czek na opłaty za gaz, elektryczność i telefon oraz na pokrycie debetu na koncie kredytowym. A potem ze zdziwieniem wzięła do ręki kopertę z nadrukiem zupełnie jej nieznannej firmy oferującej karty kredytowe.

W pierwszym odruchu chciała wyrzucić lisi, podejrzewając, że to forma agresywnej reklamy, w końcu jednak dla pewności postanowiła sprawdzić, co jest w środku.

Ze zdumieniem ujrzała wyciąg z kwotą obciążenia. Na dodatek dość oszałamiającą. Ponad osiem tysięcy dolarów. Osiem tysięcy! To absurdalne, nieprawdopodobne.

W ogóle nie posiadała karty oferowanej przez tę firmę, a już na pewno nie przepuściła ostatnio ośmiu tysięcy dolarów na restauracje, sprzęt elektroniczny czy męskie ubrania u Dillarda.

Zbita z tropu, chwyciła za słuchawkę, żeby wyjaśnić nieporozumienie, po czym przez następne pół godziny przedzierała się przez bezduszne procedury biurokratyczne.

Potem zatelefonowała do swojego prawnika.

Kiedy już puściła maszynę w ruch, ogarnęły ją mdłości. Kartę wydano na nazwisko Rosalind Harper, a w dokumentach znalazły się jej wszystkie dane: dokładny adres, telefon, numer ubezpieczenia, a nawet nazwisko panięńskie matki. Drugą osobą upoważnioną do dysponowania kartą był niejaki Ashby Harper.

Sprytne, pomyślała. Doprawdy sprytne.

Nigdzie nie podał swojego prawdziwego nazwiska, nie obciążał konta w miejscach, gdzie zazwyczaj robił zakupy. Poza tym Roz nie miała najmniejszych wątpliwości, że do tej pory zdążył już zniszczyć kartę. Ostatni raz korzystał z niej na trzy dni przed upływem okresu rozliczeniowego.

Ten cholerny sukinsyn, Bryce, zawsze zabezpieczał się na wszystkich frontach.

Nie zrobił tego dla pieniędzy. Choć bez wątpienia z przyjemnością roztrwonił osiem tysięcy z groszami. Głównie jednak chciał uprzykrzyć jej życie, narazić na nieprzyjemności, dobrze wiedząc, że Roz nie będzie mogła nic mu zrobić.

Bardzo wątpliwe, czy udałoby się powiązać transakcję z jego osobą, by udowodnić, że to właśnie on zdefraudował pieniądze firmy kredytowej. Tymczasem Roz będzie musiała poświęcić wiele czasu i energii na wyjaśnienie całej sprawy i zapewne poniesie koszty związane z obsługą prawną. To było podłe,

małostkowe i bardzo w stylu Bryce'a. Biedny Harper. Tak się zadreślał, że ona jeszcze kiedykolwiek mogłaby do tego stopnia zgłupieć, by się wpackować w podobną kabałę!

Musiała ochłonać, zanim pokaże się komukolwiek na oczy. Zrezygnowała więc z kolacji, po czym napisała długie mejle do młodszych synów.

Kiedy zaś nabrała pewności, że wszystkie dzieci znalazły się w łóżkach, poprosiła Harpera, Davida, Stellę i Hayley, żeby spotkali się z nią w salonie na parterze.

- Wybaczcie, że was tu zwołałam - zagaiła. - Wiem, że z pewnością porobiliście już plany na dzisiejszy wieczór, ale nie zajmę wam wiele czasu.
- Daj spokój, Roz - odezwała się Stella. Wszyscy widzimy, że coś się stało. Powiedz szybko, o co chodzi.
- Zająłm się już formalną stroną sprawy, jest jednak wysoce prawdopodobne, że wszyscy w pewnym momencie będziecie musieli odpowiedzieć na kilka pytań. Przeglądając wieczorem rachunki, natknęłam się na wyciąg z karty kredytowej - z karty, której nigdy nie posiadałam, na sumy, których nigdy nie wydałam. Okazało się też, że w dokumentach aplikacyjnych znalazły się wszystkie moje dane osobowe. Firma kredytowa zamierza dokładnie zbadać sprawę i w tym celu musiałam im podać nazwiska wszystkich osób zamieszkujących w rezydencji. Dlatego chciałam was zawiadomić, co się stało. Osobiście nie mam najmniejszych wątpliwości, że za tym wszystkim kryje się Bryce. Takie działanie jest wyjątkowo w jego stylu.
- Nie musisz regulować tego obciążenia - rzuciła pospiesznie Hayley. - Podobna historia wydarzyła się kiedyś w księgarni, w której pracowałam. Ty za nic nie musisz płacić.
- Rzeczywiście. Uporządkowanie tego bałaganu będzie mnie kosztować jedynie trochę czasu i nerwów - i o to właśnie chodziło Bryce'owi. Poza tym wszyscy również możecie odczuć skutki całego zamętu, co niewątpliwie szczerze ucieszy mojego eksmęża. Mogę wam jedynie powiedzieć, że bardzo

mi z tego powodu przykro. - Spojrzała wymownie na Harpera. - Doprawdy, bardzo przepraszam.

- Daj spokój, mamó - odezwał się miękkim głosem. - Nie chcę więcej słyszeć, że jest ci przykro. A co z policją?
- Niewykluczone, że zostanie włączona do działania. Jednak, według mojego prawnika, bardzo trudno będzie udowodnić, że to właśnie Bryce korzystał z karty. Nigdzie nie podał swojego nazwiska i w żadnym sklepie nie dokonał zakupu na dość wysoką kwotę, by zwrócić na siebie uwagę sprzedawców. Nikt nie będzie pamiętać, że wpadł do Dillarda i kupił kilka koszul czy parę butów. On przecież doskonale wie, jak postępować w takich sytuacjach.

Roz czuła, że ani chwili dłużej nie usiedzi na miejscu, podniosła się więc z fotela, żeby dorzucić polan do kominka.

- Najlepiej będzie, jeżeli wszyscy zachowamy dystans do tej sprawy - podjęła.
- Pozwolimy, by życie toczyło się własnym rytmem. Jestem przekonana, że wcześniej czy później wydarzy się jedna z trzech rzeczy: Bryce'owi znudzi się ta partyzantka i znajdzie sobie kogoś innego do nękania lub w pewnym momencie posunie się za daleko i niechcący ukręci sznur na własną szyję.
- Głosuję za trzecią opcją - wtrącił szybko David.
- To tak samo jak ja. - Roz posłała mu słaby uśmiech. - Zawiadomiłam już o wszystkim Austina i Masona, bo chcę, żebyście wszyscy bez wyjątku mieli się w najbliższym czasie na baczności. Niewykluczone, że ten sukinsyn zechce w identyczny sposób zabawić się kosztem któregoś z was.

Nerwy powoli dawały o sobie znać - Roz mimowolnie tak napięła mięśnie, że niemal czuła jak rozsadzają skórę.

- - Stello, obie będziemy musiały zachować szczególną czujność i wyjątkowo uważnie przyglądać się wszystkim fakturom przychodzącym do „Edenu”.

- Nic martw się, Roz. Nasz system MIII wiele zabezpieczeń, więc w razie czego bez problemu wyłapiemy każdy podejrzany rachunek. Natomiast bardzo mi przykro, że zostałam narażona na takie kłopoty. Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić? Czy ktokolwiek z nas mógłby coś zrobić?
- Obiecuję, że jeśli będę potrzebowała pomocy, sama się do was zwrócę. No, dobrze. - Roz podniosła się z fotela. - A więc wiemy, na czym stoimy. Pójdę teraz do siebie i trochę popracuję.
- Jeszcze nie jadłaś kolacji - przypomniał jej David. - Zaraz podrzucę ci coś dobrego na poprawę humoru.
- Nie, dziękuję. Jak zgłodnieję, zejść na dół. David w milczeniu odprowadził ją wzrokiem.
- Cholerny sukinsyn! - wyrzucił z siebie, gdy Roz była już dość daleko, by go nie usłyszeć. - Oślizły, obmierzły kutas obnoszący ciuchy Ferrogamo z po-sezonowej przeceny!
- Może we dwóch złożymy mu krótką wizytę? - Harper wciąż siedział w fotelu i nadal mówił spokojnym, przyciszonym głosem, w którym jednak pobrzmiwała groźna, drapieżna nuta.
- To cholernie dobry pomysł! - Hayley poderwała się z zaciśniętymi pięściami. - Najlepiej chodźmy do niego wszyscy. I to od razu.
- Wyluzuj, Xeno. - David delikatnie poklepał ją po ramieniu. - Chociaż w tej chwili nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż wybicie temu dupkowi kilku kosztownych koronek, uważam, że w ten sposób nie rozwiążemy problemu.
- Ja natomiast jestem przekonany, że byłoby to najlepsze posunięcie -upierał się Harper.
- Nie. David ma rację - wtrąciła Stella. - Takie działanie z naszej strony jeszcze bardziej przybiłoby i zdenerwowało Roz. A przecież ma już dosyć zmartwień.

- W ogóle jej o tym nie powiemy. - Hayley zaczęła wojowniczo machać rękami. - Przecież nie będziemy tak sobie spokojnie siedzieć, nie robiąc nic!
- Ja nie będę. Ty jak najbardziej - odezwał się Harper.
- Hej, co, do cholery...
- Chwileczkę. Spokojnie. - David stanął między nimi niczym sędzia ringowy. - Harper, powściągnij na moment swój osławiony temperament i włącz myślenie. Pójdziemy i stłuczemy tego sukinsyna, jak na to zasługuje. Sińce jednak szybko się zagoją, a on zostanie z poczuciem satysfakcji, że udało mu się dotknąć Roz do żywego. Obaj dobrze wiemy, że to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Najpotężniejszą bronią twojej mamy jest obojętność. A wytrącisz jej tę broń z ręki, gdy zostaniesz aresztowany za czynną napaść, a Roz będzie musiała wyciągać cię z pudła za kaucją-
- Jest jeszcze jeden aspekt sprawy - dorzuciła Stella. - Im bardziej zaczniemy brać sobie tę historię do serca, tym bardziej Roz poczuje się przybita. Najlepsze, co możemy dla niej zrobić, to przyjąć jej sposób postępowania. Traktować wszystko chłodno i z dystansem. Jak biznes. Pomyślcie, jeżeli nam tak trudno przejść nad tym incydem do porządku dziennego, jak ciężkie musi być to dla Roz.
- Chce mi się wyć! - wybuchnęła Hayley. - Chce mi się wyć, że masz rację, Stello. Chociaż wolałabym dojść do tego wniosku dopiero po tym, jak obilibyśmy mu gębę. A ty, Harper, okazałeś wielką siłę charakteru, gdy postanowiłeś walczyć w obronie Roz. I jeszcze większą, kiedy przyznajesz, że nie tędy droga.

Może Hayley ma słuszość. Harperowi jednak nadal stawała przed oczami wizja Bryce'a zredukowanego do krwawej miazgi leżącej u jego stóp. Całe szczęście więc, że tak naprawdę nie wiedział, gdzie go znaleźć. Oczywiście, mógłby się dowiedzieć - kilka telefonów załatwiłoby sprawę. Istniało jednak

ryzyko, że wówczas wiadomość o poszukiwaniach dotarłaby do głównego zainteresowanego, zanim Harper zdążyłby go dopaść.

Chociaż przede wszystkim przekonały go argumenty Davida.

Co nie oznaczało, że zamierzał beczynnienie siedzieć w domu. Miał na głowie jeszcze jedną ważną sprawę i postanowił ją załatwić, nie oglądając się na matkę. I tak wkrótce, wciąż w bojowym nastroju, zapukał do drzwi mieszkania Mitcha. W duchu żywił nadzieję, że przyłapie go z inną kobietą. Wówczas huknąłby go pięścią w szczękę i rozładował wściekłość.

Ale gdy Mitch stanął w progu, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że jest sam. Jedyne dźwięki, jakie dochodziły ze środka, jasno wskazywały, że gospodarz właśnie ogląda transmisję z meczu koszykówki.

- O, cześć, Harper. Co u ciebie słychać? Wejdz, proszę.
- Chciałbym z tobą porozmawiać.
- Jasne. Tylko za chwilę, dobrze? - Mitch odwrócił się w stronę olbrzymiego telewizora, zajmującego znaczną część jednej ze ścian. - Mniej niż minuta do końca pierwszej połowy. Przegrywamy dwoma punktami. O, cholera! Na dodatek straciliśmy piłkę.

Nim Harper się spostrzegł, już go wciągnęła akcja i pokrzykiwał z radości, gdy zawodnik z numerem osiem odzyskał piłkę, z magiczną gracją obrócił się w miejscu i wysokim lobem oddał rzut w kierunku kosza.

- Za trzy! Trafił za trzy! - Mitch przyjaźnie szturchnął gościa w ramię. - I oto koniec kwarty. Chcesz coś do picia?
- Nie odmówiłbym piwa.
- Przykro mi, nie mam na składzie. Może być cola?
- Tak, dzięki.

Mitch wyszedł do kuchni, a Harper wcisnął dłonie w kieszenie i zaczął się rozglądać po pokoju. Na widok chińskich monet nanizanych na czerwoną wstążkę uniósł w zdziwieniu brwi, za to zachwycił się wielkim telewizorem.

- Odjazdowy ekran - powiedział, gdy Mitch wręczał mu puszkę z colą.

- Zaraz po synu moja największa radość i duma. Siadaj, proszę.
- Wolałbym od razu przejść do rzeczy. Słuchaj, co cię właściwie łączy z moją matką i do czego ma to zmierzać?

Mitch rozsiadł się wygodnie, spojrzał uważnie na Harpera, po czym pociągnął łyk coli.

- Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie, bo bardzo wiele zależy od samej Roz - odezwał się po chwili. - Od jej chęci i oczekiwań. Oczywiście, ponieważ nie jestem ślepy, głuchy ani martwy, uważam ją za niebywale pociągającą kobietę, którą na dodatek podziwiam za to, co osiągnęła w życiu. Do tego wielką przyjemność sprawia mi przebywanie w jej towarzystwie.
- Jeżeli ten pociąg ma cokolwiek wspólnego z jej pieniędzmi lub pozycją społeczną, masz natychmiast zostawić ją w spokoju.

Ze stoickim spokojem Mitch podniósł ze stołu pilota, wyłączył dźwięk i odłożył urządzenie z powrotem na to samo miejsce.

- Wyjątkowo paskudne podejrzenia.
- Matka niedawno przeżywała bardzo paskudny okres.
- I tylko dlatego do tej pory nie wyrzuciłem cię z domu. Twoja matka bez pieniędzy i określonej pozycji towarzyskiej byłaby równie atrakcyjna. Jest jedną z najpiękniejszych, najbardziej fascynujących kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem w życiu. Żywię w stosunku do niej pewne uczucia i odnoszę wrażenie, że z wzajemnością. Mam więc nadzieję, że będziemy oboje mieli okazję się przekonać, co do siebie czujemy naprawdę.
- Twoje pierwsze małżeństwo się rozpadło.
- Owszem. I to ja zawałem sprawę. - Mitch powoli, z namysłem obrócił puszkę w dłoniach. - Słuchaj, w mojej lodówce nie uświadczysz piwa, bo ja nie piję. Już od czternastu lat. Byłem alkoholikiem i z tego powodu rozpadł się mój pierwszy związek. O wszystkim opowiedziałem twojej matce i to ze szczegółami, ale ciebie nie zamierzam nimi uraczyć. Uznałem, że Rosalind

musi wiedzieć o mnie pewne rzeczy, zanim zacząłem coś, co - jak mam nadzieję - doprowadzi nas do dobrego związku.

- Przepraszam za moje zachowanie. Pewnie czujesz się zaskoczony.
- W żadnym razie. Jedynie wkurzony.
- Ale za to nie zamierzam przeproszać. Ostatecznie chodzi o moją matkę. Ty nie widziałeś, przez co musiała przechodzić. I, co najgorsze, nadal musi.
- Jak to „nadal”?
- Dzisiaj właśnie odkryła, że ten sukinsyn wyrobił kartę kredytową na jej nazwisko i obciążył rachunek na sporą kwotę - co prawda mama nie może dowiedzieć, że to on, przynajmniej na razie, jednak nie ulega dla niej najmniejszej wątpliwości, kto za tym stoi. Teraz Roz ma duży kłopot z zamknięciem tego rachunku, w sprawę wciągnięty jest adwokat, a na dodatek musiała przełknąć dumę i nas wszystkich o tym poinformować.

Mitch zdecydowanym gestem odstawił puszkę, poderwał się z fotela i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. O dziwo, jego wzburzenie podziałało uspokajająco na Harpera.

- Chciałem go dorwać i dać mu wycisk - powiedział.
- Świetnie. Potrzymam ci kurtkę, żebyś się nie zgrzał. Potem ty potrzymasz moją.

Te słowa całkowicie rozbroiły Harpera. Poczuł, że mógłby szanować tego faceta.

- David mnie odwiódł od tego pomysłu. Właściwie to David do spółki ze Stellą. Mamie bardzo nie spodobałoby się takie rozwiązanie - uznałaby je za... niegodne. Na dodatek całe Memphis aż trzęsłoby się od plotek. A więc przyszedłem wyżyć się na tobie. Odreagować wściekłość.
- I co? Udało się?
- Tak mi się zdaje.
- Dobrze i to. - Mitch przegarnął palcami włosy. - A Roz? Jak sobie radzi w tej sytuacji?

- Jak zwykle, bierze byka za rogi. Z chłodną logiką podejmuje konkretne działania. Ale bardzo się przejmuje, że jej eks wytnie podobny numer mnie lub któremuś z moich braci. No i, oczywiście, jest solidnie zażenowana, takie rzeczy ją upokarzają.
- A on o tym doskonale wie, prawda? - Mitch przybrał ponury wyraz twarzy. - Bardziej go to cieszy niż wyłudzone pieniądze.
- Owszem, trafiłeś w dziesiątkę. - Harper spojrzał mu prosto w oczy. - Poza tym chcę, żebyś wiedział jeszcze jedno. Jeżeli skrzywdzisz moją matkę w jakikolwiek sposób, przyjdzie ci za to słono zapłacić. Uznałem, że powinienem ci to powiedzieć wprost i bez ogródek.
- OK. - Mitch z powrotem opadł na fotel. - A teraz ty posłuchaj mnie uważnie, żebyśmy się obaj dobrze zrozumieli. Mam czterdzieści osiem lat. Nieźle zarabiam - nie są to jakieś kokosy, ale z powodzeniem wystarcza mi na wygodne życie. Lubię swoją pracę, jestem w niej dobry i mam szczęście, że mogę dzięki niej spokojnie płacić wszystkie rachunki i jeszcze pozwolić sobie na różne zbytki.

Wyciągnął rękę i po stole pchnął w stronę Harpera paczkę chipsów.

- Moja była żona i jej mąż to świetni ludzie - podjął po chwili. - I wszyscy wspólnie - choć przez pierwszych sześć lat bez mojego specjalnego udziału - wychowaliśmy Josha na fantastycznego faceta. Z tego powodu jestem niezwykle dumny. Od czasu rozwodu byłem zaangażowany w dwa poważne związki i kilka... dużo mniej poważnych. Zależy mi na twojej mamie, podziwiam ją za życiowe dokonania i w żadnym razie nie zamierzam jej skrzywdzić. Gdyby jednak tak się stało, jestem przekonany, że sama by mi odpłaciła, i to zanim ty zdążyłbyś się zorientować w sytuacji. - Sięgnął po swoją colę i pociągnął długi łyk. - Czy chciałbyś dowiedzieć się jeszcze czegoś?
- Teraz już tylko jednego. - Harper zanurzył rękę w torbie z chipsami. - Czy mógłbym u ciebie do końca obejrzeć mecz?

Podparta pod boki, Roz z zadowoleniem wodziła wzrokiem po świeżo utworzonym sektorze, przeznaczonym do produkcji i pakowania jej mieszanki ziemi ogrodowej. Osiągnięcie obecnego efektu wymagało dwóch dni pracy i wydatnej pomocy precyzyjnej w działaniu i myśleniu Stelli.

Osobiście Roz była przekonana, że jej samej urządzenie nowego działu zajęłoby połowę tego czasu, ale też wygospodarowana przestrzeń nie byłaby nawet w przybliżeniu tak idealnie przystosowana do zamierzonych celów.

Funkcjonalność i efektywność przywodziły na myśl taśmę fabryczną.

Co więcej, ten wspaniały efekt został osiągnięty przy minimalnych nakładach, co niezmiernie ucieszyło Stellę, nieustannie dążącą do maksymalizacji zysków. Roz była przekonana, że dzięki doskonałemu jakościowo produktowi, stylowym workom i odpowiedniemu marketingowi osiągną spektakularny sukces.

Stąd w wyjątkowo radosnym nastroju powitała Harpera, gdy pojawił się w drzwiach.

- I co sądzisz o naszym najnowszym przedsięwzięciu? - Ze śmiechem podniosła dwupółkilogramowy worek, który przed chwilą napełniła i zapieczętowała, po czym rzuciła w stronę syna.
- Idealne opakowanie - pochwalił Harper, obracając pakiet w dłoniach. - Proste i eleganckie. Sugeruje najwyższą jakość. Coś podobnego można normalnie zobaczyć tylko w najdroższych florystycznych butikach.
- Zgadza się. Na początku jednak będziemy sprzedawać nasz produkt po stosunkowo niskiej cenie, żeby go wypromować. Na razie dorzucam też do każdego worka kilka uncji ziemi więcej, aby mieć pewien margines bezpieczeństwa. Pomyślałam, że w tej chwili powierzę pakowanie Ruby. Może

Steve też zechce podjąć pracę po godzinach? To nie jest bardzo czasochłonne zajęcie, nie powinno przeszkadzać mu w nauce.

- Ta ziemia to doskonałe posunięcie biznesowe, mamó. - Harper odłożył worek. - Masz wyjątkowy talent do interesów.
- Też tak lubię o sobie myśleć. Czy mam rozumieć, że już się na siebie nie wściekamy?
- Owszem. Sytuacja jednak może ulec radykalnej zmianie, gdy usłyszysz, że wczoraj wieczorem wybrałem się do Memphis na pryncypialną rozmowę z Mitchem Carnegiem.

Twarz Roz zastygła w chłodną maskę.

- Dlaczego, Harperze?
- Po pierwsza, byłem cholernie wściekły. Po drugie, David ze Stellą wyperswadowali mi zamiar obicia gęby Bryce'owi. Po trzecie, chciałem usłyszeć na własne uszy, co Mitch ma do powiedzenia o waszych relacjach.
- Punkt pierwszy rozumiem doskonale. Bogu mogę dziękować za punkt drugi. Nie pojmuję natomiast, dlaczego przyznałeś sobie prawo do przesłuchiwania mężczyzny, z którym się spotykam. Zachowałeś się wyjątkowo grubiańsko. Ja nie wtykam nosa w życie kobiet, które zaszczycasz swoimi względami.
- To nie było żadne wtykanie nosa. Poza tym ja nigdy nie miałem do czynienia z kobietą, która by mnie okradała, zburzyła nasze życie rodzinne czy starała się zniszczyć moją reputację.
- Jesteś jeszcze bardzo młody, wszystko przed tobą. - Jej ton był lodowaty. - Poza tym, czy uważasz, że jestem jedyną kobietą na świecie, która związała się z beznadziejnym dupkiem?
- Nie. Ale mnie nie obchodzą inne kobiety. Ty jesteś jedyną matką, jaką mam.
- Co nie daje ci prawa...
- Kocham cię.
- Nie stosuj wobec mnie takich sztuczek.
- Kiedy to prawda.

Roz przycisnęła palce do czoła.

- Byłoby dobrze, gdybyś do tej miłości dorzucił jeszcze nieco szacunku i zaufania.
- Ufam ci bezgranicznie i darzę wielkim szacunkiem. Czego jednak nie mogę powiedzieć o różnych facetach. Może poprawi ci trochę humor, gdy powiem, że wczorajszego wieczoru nabrałem też wiele szacunku i zaufania do Mitcha. Uznałem niemal, że zasługuje na miano adoratora mojej mamy.
- On mnie nie adoruje, na Boga jedyne! Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy podobny pomysł? Raptem obejrzelśmy wspólnie mecz koszykówki i zjedliśmy razem kolację.
- Myślę, że szaleje za tobą.

Roz przycisnęła teraz już obie dłonie do skroni.

- Mąci mi się w głowie - powiedziała. Harper podszedł, objął matkę i mocno przytulił.
- Nie zniósłbym, gdyby znowu ktoś cię skrzywdził.
- Bryce jedynie zranił moją dumę.
- Dla nas, Harperów, to śmiertelna rana. Poza tym na zranionej dumie się nie skończyło. Osobiście jestem przekonany, że Mitch nie zrobiłby niczego podobnego - przynajmniej świadomie.
- A więc aprobujesz mój wybór?

Spojrzała na syna, a on natychmiast wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

- To podchwytliwe pytanie, ale nie zapominaj, że nie wychowałam swoich synów na ostatnich idiotów. Jeżeli powiem, że tak, natychmiast odparujesz, że nie potrzebujesz mojej aprobaty. Poprzestanę więc na stwierdzeniu, że lubię Mitcha. Nawet bardzo.
- Przebiegłe z siebie stworzenie, Harperze Ashby, Roz poklepała syna po plecach i wywinęła się z jego objęć. - Coś ci powiem. Teraz mi pomożesz

przy pakowaniu mieszanki. Chce mieć po dwadzieścia pełnych worków każdej kategorii wagowej.

- Wydawało mi się, że Ruby miała się tym zająć.
- Zmieniłam zdanie. W trakcie tej prostej, monotonnej pracy będziesz mógł w spokoju zastanowić się nad niestosownością swojego postępowania.
- I kto tu jest przebiegły?
- W dniu, w którym uda ci się mnie przechytryć, mój chłopcze, uznam, że czas wynieść się do domu starców. A teraz zabierajmy się do roboty.

Po pracy Roz pojechała prosto do domu i od razu ruszyła na górę, by wziąć szybki prysznic. Najpierw jednak podeszła do biurka sprawdzić pocztę i przejrzeć rachunki. I chociaż nie znalazła nic podejrzanego, nie poczuła wielkiej ulgi. Była przekonana, że to tylko cisza przed kolejną burzą.

Tuż po rozwodzie Bryce nękał ją w podobny sposób. Potem jednak nadszedł okres błęgiego spokoju. Zapewne wówczas ten dupek był zbyt zajęty uwodzeniem kolejnej ofiary, żeby zawracać sobie głowę uprzykrzaniem życia ekszonie.

Cóż, poradziła sobie wówczas, poradzi i teraz.

Kiedy ubierała się po kąpieli, zadzwonił telefon. Po trzecim sygnale doszła do wniosku, że David musi być czymś zajęty, i odebrała sama.

- Dobry wieczór. Czy mógłbym rozmawiać z panią Rosalind Harper?
- Przy telefonie.
- Pani Harper, mówi Derek z nowojorskiej Carrington Gallery. Chciałem panią zawiadomić, że jutro wysyłamy do pani pracę Vergano.
- To raczej nie najlepszy pomysł, biorąc pod uwagę fakt, że ja niczego nie zamawiałam w waszej galerii.
- Chodzi o obraz Christiny Vergano. Pani przedstawiciel rozmawiał ze mną osobiście zaledwie w ubiegłym tygodniu.
- Ja nie mam żadnego przedstawiciela.

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Tym bardziej że już obciążyliśmy pani konto. Mężczyzna, który się ze mną skontaktował, twierdził, że jest pani zachwycona obrazem i stanowczo nalegał, aby go pani dostarczyła natchmianem po zakończeniu wystawy. Wiele osób było bardzo zainteresowanych tą pracą, ale skoro już została sprzedana...

Roz zaczęła mocno masować kark, by rozluźnić boleśnie napięte mięśnie.

- Cóż, zdaje się, że oboje mamy problem. Obawiam się, że czekają pana złe wiadomości.

Pokrótce wyjaśniła, w czym rzecz, krążąc nerwowo po pokoju. Potem zanotowała numer karty kredytowej i nazwę firmy, która ją wydała.

- To wyjątkowo nieprzyjemna sprawa.
- Rzeczywiście - zgodziła się Roz. -1 przykro mi, że wasza galeria została w nią wplątana. A tak z ciekawości, czy mógłby pan mi powiedzieć, co to za obraz?

Vergano jest wyjątkowo dynamiczną, bardzo ekspresywną artystką, a to jedna z najlepszych jej prac. Olej na płótnie z serii „Zdziry”. Ten konkretny nosi tytuł „Zdumiewająca zdzira” i został własnoręcznie oprawiony przez autorkę.

- Rozumiem - mruknęła Roz.

Gdy tylko się rozłączyła, zadzwoniła do firmy kredytowej i do adwokata, a potem przygotowała listy do obu stron, by udokumentować incydent na piśmie.

Zażyła dwie aspiryny, zeszła do kuchni i naląła sobie duży kieliszek wina.

Na blacie leżała kartka z wiadomością od Davida.

Mam gorącą randkę. Fantastyczne lasagne w piekarniku. Hayley z małenstwem zabrała się ze Stellą i chłopcami do Logana. Wielogodzinna sesja malowania ścian. Porcja zapiekanki wystarczy dla dwojga - doktor Przystojniak siedzi w bibliotece. Trzeba tylko podgrzać bułki i wymieszasz salate - stoi w lodowce -i kolacja gotowa. Buon appetito! David.

PS Odtwarzacz już załadowany odpowiednio nastrojowymi kompaktami. A teraz, bardzo proszę, pomaszeruj na górę i włóż te szpilki od Jimmy'ego Choo.

- No, no - mruknęła Roz, gdy spostrzegła, że na stoliku w niszy stoją talerze z najlepszej porcelany, wytworna woda mineralna, bladozielone kieliszki i kandelabr ze świecami. Teraz też zrozumiała, co robi na blacie otwarta butelka doskonałego włoskiego wina.
- Lasagne to świetny pomysł - powiedziała na głos. - Ale żeby je zjeść, nie muszę wciskać stóp w niebotyczne szpilki.

Tak więc weszła do biblioteki w swoich ukochanych, wełnianych skarpetach na nogach.

Mitch siedział przy stole w bluzie z logo Memphis Tigers. Jego długie palce przesuwały się szybko po klawiaturze laptopa. Obok stała spora butelka wody mineralnej - niewątpliwie za sprawą Davida, który już od dłuższego czasu nękał Mitcha, żeby swoją zwyczajową kawę pił na przemian z wodą.

Roz doszła do wniosku, że pochłonięty pracą Mitch, w tych swoich rogowych okularach, wyglądał... bardzo seksownie.

W pewnym momencie oderwał jedną rękę od klawiatury i przejechał palcami po gęstych brązowych włosach.

Ucieszyła się, gdy usłyszała, że coś do siebie mamrocze - bo ona często łąpała się na tym samym.

Niespodziewanie poczuła łaskotanie w dołku, lekki dreszcz podniecenia. To chyba dobrze, że coś jeszcze było w stanie wzbudzić w niej iskrę pożądania. Może powinna sprawdzić, co się wydarzy, jeżeli pozwoli, by owa iskra przerodziła się w płomień?

Ledwie to pomyślała, z półek zaczęły spadać książki. Odbijały się do siebie i od ścian, leciały z hukiem na podłogę. Ogień w kominku buchnął gwałtownym, czerwonym płomieniem, natomiast w powietrzu zapanował arktyczny chłód.

- Jezu Chryste! Mitch tak gwałtownie poderwał się od Molu, że aż przewrócił krzesło.

Zdołał uchylić się przed lecącym w jego stronę grubym tomem, przed kolejnym zaś osłonił się ramieniem. Roz natychmiast doskoczyła do niego i wówczas wszystko się uspokoiło.

- Widziałaś to? Widziałaś? - Pochylił się, podniósł z podłogi książkę i odłożył na stół. W jego głosie nie było ani cienia strachu, jedynie najczystsza fascynacja. - Ta okładka jest jak z lodu - zauważył.
- Napad histerycznej wściekłości. - Roz też podniosła jeden z tomów i poczuła, jak palce drętwieją jej z zimna.
- Wyjątkowo spektakularny. Pracuję tu mniej więcej od trzeciej. -Z chłopięcym uśmiechem zerknął na zegarek. - A więc prawie cztery godziny. I do tej pory było tu cicho jak - nomen omen - w grobie.
- Podejrzewam, że sprowokowałam ten atak, bo właśnie miałam cię zapytać, czy nie zjadłbyś ze mną kolacji. David przygotował coś przed wyjściem.

Oboje zaczęli zbierać porozrzucane książki.

- Nie ulega wątpliwości, że Amelia nie życzy sobie, abyśmy spędzali czas razem.
- Na to wygląda.

Mitch ustawił ostatnią książkę na półce.

- To co mamy dziś na kolację? - zapytał.

Spojrzała na niego z uśmiechem i w tym samym momencie doszła do wniosku, że wszystko jej się podoba w tym mężczyźnie. Od siły charakteru zaczynając, a na oczach niezwykłego koloru kończąc. I jeszcze to szczere spojrzenie, którego intensywność niekiedy wprawiała Roz w zmieszanie.

- Lasagne. David utrzymuje, że wprost rewelacyjne. Ponieważ w przeszłości miałam już okazję ich popróbować, chcąc nie chcąc, muszę mu przyznać rację.

- Brzmi zachęcająco. Boże, jak ty pięknie pachniesz... Przepraszam - dorzucił, gdy ujrzał, jak zdumiona podnosi brwi. - Po prostu myślałem na głos. Posłuchaj, Rosalind. Udało mi się wyeliminować kilka kolejnych osób. Właśnie sporządziłem transkrypcję przeprowadzonych wywiadów. Ty też dostaniesz kopię.
 - To dobrze.
 - Teraz zacznę poszukiwania potomków służby, a także zajmę się bocznymi gałęziami twojej rodziny. Już zdołałem się zorientować, że twoją najstarszą żyjącą krewną jest kuzynka Clarise. Na szczęście mieszka w Memphis, więc chciałbym z nią jak najszybciej porozmawiać.
 - No cóż. Życzę powodzenia.
 - Można ją znaleźć w...
 - W Riverbank Center.
 - O całe pokolenie przybliżyłaby mnie do Amelii. Zapewne najprościej byłoby, gdybyś do niej zadzwoniła i...
 - Przykro mi, ale nie utrzymujemy żadnych kontaktów z kuzynką Clarise.
- Pamiętam, ta wspominałaś o pewnych nieporozumieniach, czy jednak owa dama nie byłaby zainteresowana moimi badaniami nad historią rodziny?
- Niewykluczone. Zapewniam cię jednak, że gdybym zadzwoniła, nawet nie podeszłaby do telefonu.
 - Słuchaj, wiem, że w wielu rodzinach dochodzi do rozdźwięku, czy jednak w tym wypadku..
 - Obawiam się, że nie pojmujesz mentalności Clarise Harper. A tak na marginesie, już całe wieki temu porzuciła nazwisko ojca i przyjęła panięskie nazwisko matki - co powinno dać ci wyobrażenie, jak ceni sobie przynależność do naszej rodziny. Nigdy też nie wyszła za mąż. Choć w mojej opinii po prostu nie spotkała kogoś na tyle głupiego, kto by ją zechciał.

Mitch ze ściągniętymi brwiami przysiadł na rogu stołu.

- Czy w ten sposób próbujesz dać mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie, bym się z nią kontaktował? Bo jeśli tak...
- Zatrudniłam cię, żebyś wykonał określone zadanie, i nie zamierzam ci mówić, jak masz je wykonać, więc nie musisz się od razu jeżyć. Chciałam cię jedynie poinformować, że kuzynka Clarise postanowiła usunąć mnie i moich bliskich ze swojego kręgu znajomych, co - nawiasem mówiąc - bardzo mi odpowiada. Jedyna dobra rzecz, którą mogę na jej temat powiedzieć, to ta, że jak już raz coś postanowi, postępuje z żelazną konsekwencją.
- I nie masz nic przeciwko temu, żebym z nią porozmawiał?
- W żadnym razie. Osobiście uważam, że powinienes do niej napisać i przedstawić się w bardzo oficjalny sposób, nie zapominając przy okazji o swoim tytule doktorskim tudzież wszelkich możliwych honorach i wyróżnieniach. Jak wyjaśnisz, że chcesz spisać historię rodu Harperów i podkreślisz przy tym, że będziesz wyjątkowo zaszczycony, jeśli zechce z tobą porozmawiać - może się zgodzi.
- To ją właśnie wykopałaś z domu?
- Jedynie w przenośnym znaczeniu tego słowa. I nie przypominam sobie, żebym ci o tym wspominała.
- Rozmawiam z różnymi ludźmi. A więc to nie ją wyganiałaś motyką? Na twarzy Roz pojawił się cień rozbawienia.
- Widzę, że rzeczywiście rozmawiasz z wieloma osobami.
- Na tym, między innymi, polega moja praca.
- Zapewne. Nie, jej znikąd nie wyganiałam przy użyciu jakichkolwiek narzędzi. To byli ogrodnicy. I nie gnałam za nimi z żadną motyką, jedynie z miękkimi grabiami do liści, którymi nie wyrządziłabym nikomu większej krzywdy. Gdybym nie była taka wściekła i przez chwilę pomyślała logicznie, chwyciłabym za nożyce do żywopłotu, które ci idioci właśnie wypróbowali na mojej mimozie. Przynajmniej wówczas mogłabym ich nieźle dźgać w tyłki, jak brali nogi za pas.

- Do żywopłotu. To te wielkie... - Mitch wyciągnął przed siebie ramiona i wykonał nożycowy ruch.
- Właśnie.
- Au! Wracajmy lepiej do twojej kuzynki. Czemu pokazałaś jej drzwi?
- Bo kiedy dawno temu, na swoje nieszczęście, zaprosiłam ją do Harper House na barbecue, nazwała moich synów wyrodnymi bachorami, po czym oznajmiła, że gdybym była odpowiedzialną matką, regularnie poddawałabym ich chłóście. Na domiar złego nawymyślała Harperowi od ostatnich łgarzy - akurat zabawiał swoich kuzynów opowieściami o Oblubienicy - i natychmiast kazała mu się zamknąć.

Mitch przekrzywił filuternie głowę.

- Jakim cudem zdołała ujść z życiem?

Gniew zabarwił policzki Roz lekkim rumieńcem, ale uwaga Mitcha wywołała natychmiastowy uśmiech.

- Już od dłuższego czasu miałam jej dosyć, bo nieustannie krytykowała moje metody wychowawcze, sposób prowadzenia domu, styl życia, a od czasu do czasu także zasady moralne czy raczej ich brak. Miarka się przebrała, gdy na moim własnym terenie zaczęła atakować chłopców. Tego nie zniosłabym od nikogo. Przez chwilę rzeczywiście planowałam morderstwo, znając jednak słabości mojej potencjalnej ofiary, szybko doszłam do wniosku, że najdotkliwszym ciosem będzie całkowity zakaz wstępu do Harper House.
- Chyba kiedyś już wspominałem, że jesteś straszną piłą. To mi się w tobie podoba.
- Świetnie się składa, bo jestem za stara, żeby się zmienić. W każdym razie wychodząc, przeklęła mnie i oznajmiła, że to był najczarniejszy dzień w historii rodu, gdy dom wpadł w moje chciwe, niegodne ręce.
- Przeurocza kobieta. Napiszę do niej jutro z samego rana.
- Tylko przypadkiem nie wygadaj się, że pracujesz na moje zlecenie.
- I tak się dowie.

- Z pewnością, ale im rzadziej będziesz o mnie wspominał, tym lepiej. Czy chciałbyś mi powiedzieć o czymś jeszcze?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Może poza jednym: jakim cudem, po całym dniu pracy, udaje ci się wyglądać tak zachwycająco?

Roz odczekała jeszcze moment, po czym smętnie potrząsnęła głową.

- A więc nie zamierzasz mi wspomnieć o wizycie, którą mój syn złożył ci wczoraj wieczorem?

Ponieważ bacznie mu się przyglądała, zauważyła, że zanim Mitch chwycił ze stołu okulary i zaczął czyścić o bluzę, przez jego twarz przebiegł cień zdumienia.

- A więc poinformował cię o naszym spotkaniu?

- Owszem. Na jego usprawiedliwienie mogę jedynie powiedzieć, że był wyprowadzony z równowagi, dlatego postąpił bezmyślnie i zbyt pochopnie.

- Jak ktoś, kto zamiast nożyc do żywopłotu chwycił za grabie do liści? Roz mimo woli parsknęła śmiechem.

- Rzeczywiście. Oboje jesteśmy wyjątkowo impulsywni. Dlatego też oboje bardzo się staramy nie tracić nad sobą panowania. Niestety, nie zawsze się to udaje. Chciałam cię serdecznie przeprosić za zachowanie Harpera.

- Nie mogę przyjąć twoich przeprosin.

Po raz pierwszy w jej oczach dostrzegł desperację.

- Mitch, wiem, że Harper przekroczył wszelkie dopuszczalne granice, ale przecież jest jeszcze bardzo młody i...

- Całkiem opacznie zrozumiałaś moje słowa. Nie mogę przyjąć twoich przeprosin, bo zupełnie nie ma za co przeproszać. Twój chłopak jedynie wykazał się troską o ciebie.

- Nie potrzebuję ani nie chcę takiej troski.

- Może nie, to jednak nie powstrzyma od działania nikogo, kto cię szczerze kocha. Przeprowadziliśmy we dwojkę męską dyskusję, wymieniliśmy poglądy, doszliśmy do porozumienia. To wszystko.

- I nie powiesz mi nic więcej?
- To sprawa między nim a mną.
- Wy, mężczyźni, kierujecie się jakimś dziwnym kodeksem honorowym.
- Ty też nie zamierzałaś mi opowiedzieć o swoim najnowszym problemie.
- Nie ma o czym mówić. Poczyłałam już niezbędne kroki.
- A co się wydarzyło od wczorajszego wieczoru? Potrafisz się doskonale maskować, więc rozumiem, że moje pytanie cię zaskoczyło. Co jeszcze zaszło?
- Drobnny incydent, z którym już się uporałam. Nic ważnego. A może raczej - nie zamierzam owemu incydentowi nadawać jakiegokolwiek rangi. W innym razie Bryce wygra, a ja zostanę ofiarą. Tymczasem nigdy nie godziłam się na taką rolę - i nigdy nie zgodzę.
- Rosalind, jeżeli mi opowiesz, co się stało, i dasz upust złości, to tym samym nie staniesz się kozłem ofiarnym.
- Nie przywykłam do publicznego roztrząsania swoich problemów. Nie czuję się z tym dobrze. Ale doceniam twój gest.

Mitch chwycił jej dłoń.

- Pamiętaj, że to otwarta oferta. Mam też kolejną propozycję. W przyszłym tygodniu w Orpheum zaczną grać „Chicago”. Wybierz się ze mną. Potem pójdziemy na późną kolację.
- Może się wybiorę. Mitchell, czy ty mnie podrywasz? Zaczął ją gładzić palcem po dłoni.
- Wolę myśleć, że cię romantycznie uwodzę.
- Romantyczność. To takie urocze słowo. Widzę też, że nie próbujesz na mnie wymóc, by uwodzenie przerodziło się w zażyłą intymność.
- Gdybym poddał cię jakimkolwiek naciskom, nie byłoby mowy ani o romantyczności, ani o intymności. Poza tym jestem pewien, że wówczas natychmiast boleśnie wykopałabyś mnie za próg.

W jej oczach zabłyśły wesołe ogniki.

- Wnikliwe spostrzeżenie. Jesteś inteligentnym mężczyzną.
- Przede wszystkim oczarowanym.
- Kolejne urocze słowo.
- Muszę uważać, żeby ich nie nadużywać, bo stracisz do mnie zaufanie.
- Tak, bez wątpienia inteligentnym. Cóż... - W jednej chwili podjęła stanowczą decyzję. - Chodź ze mną na górę.

Po raz drugi tego wieczoru ujrzała zdumienie na jego twarzy. Chwilę później Mitch uniósł jej dłoń do ust.

- Czy mówimy o historii z poważnymi konsekwencjami?
- Owszem. Bardzo poważnymi.
- W takim razie pójdę z największą przyjemnością. Poprowadziła go przez hol w stronę schodów.
- Dom opustoszał dzisiejszego wieczoru. Jesteśmy tylko we dwoje. A raczej we troje. - Spojrzała na niego spod oka, gdy wchodzili po stopniach. -Nie będzie ci to przeszkadzać?
- Że Oblubienica może nas obserwować? - Westchnął cicho. - Przekonamy się. A czy ty... - urwał nagle i pokręcił głową.
- Co takiego?
- Nie, nieważne.
- Cóż, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko odłożeniu kolacji na później? W odpowiedzi odwrócił się do Roz i dotknął ustami jej ust.

Zaczął delikatnie, wkrótce jednak jego pocałunek stał się namiętny i gorący. Roz zadrżała, czując, jak oblewa ją fala pożądania. Już niemal zapomniała, jakie to przyjemne uczucie.

Mitch w końcu uniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

- O co mnie pytałaś?

Rozbawił ją i sprawił, że natychmiast opadło z niej nerwowe napięcie. Chwyła go za rękę i wciągnęła do sypialni, zamykając starannie drzwi.

Przez moment rozglądał się po pomieszczeniu - z podziwem patrzył na wielkie łóżce, wysokie okna, zielono-srebrzyste tapety na ścianach, stylowe antyki i wysmakowane szczegóły wystroju.

- Ten pokój bardzo cię przypomina. Jest piękny i wyrafinowany, odznacza się elegancką prostotą świadczącą o wrodzonym guście.
- Zaczynam żałować, że bardziej nie przyłożyłam się dziś do stroju. Spojrzał na jej luźny sweter i dzinsy.
- Dla mnie wyglądasz idealnie.
- Idealnie czy nie, oto, jaka jestem. Myślę, że byłoby przytulniej, gdybyśmy napalili w kominku.

Chciała się do tego zabrać, ale Mitch ją powstrzymał.

- Pozwól, że ja to zrobię. Musisz mieć z sypialni piękny widok na ogrody - zauważył, kucając obok paleniska.

W tym momencie gwałtowny podmuch wiatru otworzył z trzaskiem tarasowe drzwi.

- Rzeczywiście. - Roz ze spokojem przeszła przez pokój i zmagając się przez chwilę z naporem powietrza, zamknęła oba skrzydła. - W niektóre poranki, kiedy mam więcej czasu, zaczynam dzień kawą na tarasie.

Mitch przyłożył rozpałkę do polan.

- Nie wyobrażam sobie lepszego początku dnia - odparł tym samym beznamiętnym tonem, jakim przed chwilą mówiła Roz.

Ona tymczasem podeszła do łóżka i odrzuciła na bok kape.

- A także zakończenia - dodała. - Często przed snem raczę się na tarasie kieliszkiem wina. Cudowny sposób na odreagowanie stresów dnia.

Wyciągnęła rękę i zgasiła lampę.

- Może jednak ją zostawimy? Pokręciła zdecydowanie głową.
- Wystarczy światło bijące od ognia. W jego blasku wygląda się o wiele korzystniej, a jestem dość próżna, więc mi na tym zależy. Szczególnie, że po raz pierwszy zobaczysz mnie nagą.

Stała nieruchomo w miejscu, czekając, aż do niej podejdzie. Kiedy położył ręce na jej ramionach, drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie, po czym zamknęły z głośnym hukiem.

- Prawdopodobnie na tym nie poprzestanie - powiedziała Roz.
- Nieważne. - Przesunął ręką po jej twarzy. - Nieważne - powtórzył i zaczął ją całować.

Roz poczuła, jak gwałtownie przyśpiesza jej puls, pobudzając całe ciało do przyjęcia rozkoszy. Objęła mocno Mitcha za szyję i odchyliła głowę, żeby móc go lepiej smakować.

W tym samym momencie szaleńczo rozdzwoniły się wszystkie zegary. W odruchu buntu Roz jeszcze mocniej przywarła do Mitcha.

- Chcę poczuć na sobie twoje dłonie - wymruczała. - Chcę, żebyś mnie dotykał we wszystkich możliwych miejscach.

Przewrócił ją na łóżko i przygniótł swoim ciałem. Roz westchnęła. Jak dobrze było znowu poczuć na sobie ciężar mężczyzny. A zaraz potem Mitch zaczął jej dotykać i ogarnęła ją zapomniana błogość.

On tymczasem wyraźnie wyczuwał bijący od niej żar. Od dawna podejrzewał, że za tą fascynującą, chłodną powłoką kryje się gorący temperament. Jej skóra w dotyku jest jak ciepły welwet, pomyślał, przesuwając dłońmi po biodrach, brzuchu i zachwycających w rysunku piersiach Roz.

Była drobna, ale silna i doskonale zbudowana - to oczywiste, że utrzymuje ciało w idealnej formie.

Smakowała jak dojrzały, zakazany owoc i pachniała niczym ogród w balsamiczną noc.

Wsunęła rękę pod koszulę Mitcha i wędrowała dłońmi w górę po jego plecach. Miał zadziwiająco silnie umięśnione ramiona, ostro kontrastujące z bardzo szczupłym tułowiem.

Ściągnęła mu koszulę przez głowę i delikatnie chwyciła zębami skórę na karku. Mitch natychmiast poczuł gwałtowny przyływ pożądania.

Tarasowe drzwi ponownie otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł lodowaty wiatr. Niewzruszony Mitch jedynie sięgnął po kołdrę, pod którą natychmiast zagrzebali się oboje.

Roz zaśmiała się i po omacku odnalazła jego usta. On natomiast szybkim ruchem ściągnął z niej sweter.

- Powiedz mi, jak poczujeś chłód.
- Na pewno nie poczuje.

Wszystkie drzwi znowu były pozamykam-, a w kominku z delikatnym trzaskiem płonął ogień. Dom trwał pogrążony w ciszy i spokoju.

Roz leżała wtulona w Mitcha, ogarnięta błogością. Teraz w każdej chwili mogłaby odpłynąć w sen.

- Zdaje się, że dała za wygraną - zauważył Mitch.
- Uhm. Przynajmniej na razie.
- Miałaś doskonały pomysł z tym ogniem w kominku. Jest bardzo miło - nachylił się i spojrzał jej prosto w oczy - być tu z tobą - dorzucił i musnął ustami jej usta. - Być tu z tobą.
- Mnie też jest miło. Miło i dobrze. - Uśmiechnęła się i wsunęła palce w jego włosy. - Od bardzo dawna już nikogo nie pragnęłam. Wiesz, jak na naukowca masz imponujące ramiona. - Delikatnie ścisnęła jego bicepsy. - Lubię to u mężczyzn. Może jestem płytka i powierzchowna, ale przyjemnie leżeć nago obok faceta, który dba o kondycję.
- To samo mogę powiedzieć o kobietach. Kiedy widziałem cię po raz pierwszy, uważnie przyglądałem się, jak odchodziłaś. Ma pani fantastyczny tyłek, pani Harper.
- Przypadkiem tak się rzeczywiście złożyło. - Zaśmiała się i klepnęła go lekko. - Myślę, że teraz powinniśmy się ubrać i pójść na dół, zanim moja gromadka wróci do domu.
- Za chwilę. Czy wiesz, że już przy pierwszym spotkaniu urzekły mnie twoje oczy?

- Moje oczy?
- Uhm. Z początku myślałem, że może tak zniewalająco działa na mnie ich kolor - są w odcieniu szlachetnej, starej whisky - a ja swego czasu uwielbiałem ten trunek. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że rzecz nie w ich barwie, ale w twoim spojrzeniu: nieustraszonym i lekko wyniosłym.
- Proszę cię!
- To spojrzenie szlachetnie urodzonej dziedziczki starej fortuny i, do diabła, sam nie mogę pojąć, czemu wydaje mi się takie seksowne. Powinno irytować, a przynajmniej onieśmielać. Mnie natomiast... strasznie podnieca.
- W takim razie zacznę nosić ciemne okulary, żeby nie narażać cię na podniecanie w publicznych miejscach.
- Mam to w nosie. - Pocałował ją lekko, po czym ujął jej dłoń. - Tylko ty się liczysz. Ty i to, co nas połączyło. Oprócz ciebie nie ma w moim życiu nikogo innego.

Roz nagle poczuła się bardzo młodo.

- Tak. Dla mnie to też się liczy. I w moim życiu również nie ma nikogo innego.
- Poważna sprawa - mruknął Mitch i podniósł jej dłoń do warg. - Znowu zaczynam cię pożądać.
- Zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Kierując się hałasem i rozkosznym aromatem kawy, Roz ruszyła w stronę kuchni. Z powodu lodowatego deszczu musiała zrezygnować z porannego joggingu, ale za to sumiennie przebiegła blisko pięć kilometrów na elektrycznej bieżni. Ta alternatywna forma aktywności zazwyczaj niemiłosiernie ją nudziła,

dziś jednak czuła się rześka i pobudzona, i ochoczo podśpiewywała w rytm reklamowych dżingli puszcanych w przerwach porannego programu telewizyjnego.

Tymczasem w kuchni maleńka Lily waliła grzechotką w blat swojego wysokiego krzeselka z entuzjazmem heavymetalowego perkusisty, natomiast Gavin i Luke jęczeli nad talerzami z płatkami śniadaniowymi.

- Moja decyzja jest nieodwołalna - ostro rzuciła Stella tonem pobrzmiewającym matczyną frustracją. - Obaj musicie włożyć peleryny przeciwdeszczowe, bo jestem złośliwa, apodyktyczna i bardzo chcę was unieszczęśliwić.
- Nienawidzimy peleryn! - usłużnie poinformował ją Gavin.
- Doprawdy? Jakoś zapomnieliście o tym wspomnieć, kiedy błagaliście, żebym je kupiła.
- To było wtedy.

W tej samej chwili - jakby wiedzona dziecięcą solidarnością - Lily przestała tłuc grzechotką w blat i wyrzuciła ją przed siebie efektownym łukiem razem z nadzuty biskoptem. Parker - sokole oko - pochwycił biskopt, zanim ten zdążył wylądować na ziemi, natomiast grzechotka - z głośnym chlup! - wylądowała w talerzu Luke'a.

Mleko chlapnęło na wszystkie strony, a mała zaczęła piszczeć z zachwytu. Na zasadzie reakcji łańcuchowej Parker zaniósł się ogłuszającym jazgotem, natomiast Gavin zgiął się wpół i wybuchnął histerycznym śmiechem.

Stella zareagowała błyskawicznie, ale tym razem Luke okazał się szybszy - wyciągnął grzechotkę z talerza i, ociekającą mlekiem, rzucił na kolana brata.

- Och, na Boga jedyne! - Stella jedną ręką chwyciła serwetkę, drugą zaś powstrzymała Gavina od akcji odwetowej. - Nawet o tym nie myśl!
- Przepraszam. Strasznie przepraszam. - Hayley porwała sprzed nosa Luke'a miseczkę i rzuciła na stół więcej serwetek. Tymczasem chłopcy zaczęli się poszturchiwać.

W tym momencie David - ucieleśnienie siły spokoju - podszedł ze zmoczoną szmatką.

- Zaraz wszystko powycieramy. Ty mała chuliganko –rzucił w stronę Lily, która odpowiedziała mu rozkosznym uśmiechem.

Roz, stojąc w progu, obserwowała narastający chaos z rozpromienioną twarzą.

- Dzień dobry - rzuciła w końcu i wkroczyła do środka. Wszystkie głowy natychmiast zwróciły się w jej stronę.
- Roz? - Stella nie posiadała się ze zdumienia. - Co ty tu robisz?
- Skoro mieszkam w tym domu, postanowiłam wpaść na poranną kawę. - Pochyliła się i musnęła ustami główkę maleństwa. - Cześć, chłopaki. Lily ma niezłego cęla, co? Czysty rzut za dwa punkty już w pierwszym podejściu.

Koncepcja Roz wydała się chłopcom tak intrygującą, że natychmiast przestali się bić.

- Zrób to jeszcze raz, Lily! - Lukę zaczął ciągnąć Stellę za rękaw. - Mamo, oddaj jej grzechotkę, żeby mogła rzucić jeszcze raz!
- Nie teraz. Kończcie śniadanie, bo spóźnicie się do szkoły. - Stella zerknęła na zegarek i przekonała się, że jest dobrze po ósmej. Zwykle Roz już od godziny nie było w domu.
- W moich płatkach jest teraz pełno śliny Lily - poskarżył się Luke.
- W takim razie zjedz muffinkę.
- Ja też chcę - Gavin stanowczo odsunął od siebie talerz z płatkami. - Jeżeli on może, to ja też.
- W porządku.
- Ja im podam. - Hayley ruchem dłoni powstrzymała Stellę. - Przynajmniej tyle mogę zrobić.
- Pachną zachwycająco. - Roz nachyliła się nad miską pełną nadziewanych jabłkami muffinek. Chwyła jedną, po czym z kubkiem kawy w ręku oparła się o blat. - Czyż może być coś fantastyczniejszego na rozpoczęcie nowego dnia? I tylko spójrzcie na ten deszcz - roślinom przyda się porządny prysznic.

Hayley natychmiast nachyliła się do ucha Stelli.

- Ktoś sobie załatwił doładowanie baterii - szepnęła.

Stella, chociaż z trudem się powstrzymywała, by nie parsknąć śmiechem, zwróciła się z powagą w stronę Roz.

- Za minutę wszyscy znikniemy ci z oczu.

- Nie ma pośpiechu. - Roz wbiła zęby w babeczkę.

- Zazwyczaj wychodzisz na długo przed inwazją barbarzyńców.

- Dzisiaj postanowiłam dłużej pospać.

- Właśnie podano w porannych wiadomościach, że cud się stał pewnego razu.

Teraz rozumiem dlaczego. - David nawet nie próbował ukryć kpiącego uśmiešku, gdy podszedł do Roz, by dolać jej kawy z dzbanka.

- Widzę, że dzisiejszego ranka wprost tryskasz dowcipem.

- Nie ja jeden czymś dzisiaj tryskam. A jak tam smakowały lasagne?

- Doskonale. - Roz posłała mu beznamiętne spojrzenie znad kubka, zastanawiając się przy okazji, czy przypadkiem nie ma wypisane na czole: „Właśnie mnie ktoś przeleciał”.

- Powinnaś częściej jadać to danie. Przywraca rumieniec twoim policzkom.

- Postaram się zapamiętać.

- Sama chętnie wsunęłabym talerz takich pyszności - stwierdziła Hayley.

- No chodź, laleczko - wyciągnęła córeczkę z wysokiego krzeselka - trzeba się umyć.

- Chłopcy, lećcie na górę po swoje rzeczy. I nie zapomnijcie o pelerynach - zarządziła Stella. - Już najwyższy czas się zbierać. Chcesz pojechać ze mną do firmy? - zwróciła się do Roz.

- A wiesz, może rzeczywiście się zabiorę.

Stella poczekała cierpliwie, aż wyjadą z podjazdu na szosę. Doszła do wniosku, że skoro muszą zboczyć z drogi, aby podrzucić Lily do opiekunki, będą mieć aż nadto czasu na rozmowę.

- Wczoraj wieczorem bardzo podgoniliśmy malowanie. Cieszę się, że do ślubu zdołamy wykończyć także jadalnię. Gdy tylko się uporamy z najgorszą robotą, natychmiast wyprawię przyjęcie. Oprócz was zaproszę też Davida, Harpera, moich rodziców... no i oczywiście Mitcha.
- To miło z twojej strony.
- On teraz jest tak często wśród nas, mam na myśli Mitcha, że zaczynam go już traktować jak jednego z domowników.

Roz mruknęła jedynie wymijające: „uhm” i zdesperowana Stella zerknęła we wsteczne lustro, szukając wsparcia Hayley, która z kolei już od jakiegoś czasu ze zniecierpliwieniem przewracała oczami i gestami zachęcała Stellę do energiczniejszej indagacji.

- A więc... czy ty i Mitch pracowaliście pilnie wczoraj wieczorem, czy wykorzystaliście ciszę i spokój, żeby się trochę zrelaksować?
- Stello, czemu nie zapytasz wprost, czy się z nim przespałam, tylko krążysz wokół tematu niczym sęp nad dogorywającą ofiarą? Przecież wiesz, że tego nie znoszę.
- Chciałam być delikatna.
- Nie byłaś.
- Mówiłam jej, żeby nie zawracała sobie głowy żadnymi subtelnościami - włączyła się Hayley z tylnego siedzenia. - Poza tym my i tak wiemy, że się z nim przespałaś. Widać to po twojej twarzy.
- Wielkie nieba!
- Oczywiście, to nie nasza sprawa - szybko wtrąciła Stella, posyłając dziewczynie gniewne spojrzenie.
- Fakt. Nie wasza - gładko zgodziła się Roz.
- Tak naprawdę szukałyśmy jedynie sposobu, żeby ci powiedzieć, jak bardzo się cieszymy z twojego szczęścia. Uważamy, że Mitch to fantastyczny facet i chętnie służymy wszelkim wsparciem...

- Jeeezu. - Hayley wychyliła się w przód o tyle, o ile pozwalał pas bezpieczeństwa. - Stella właśnie usiłuje ci powiedzieć: „Używaj, ile wlezie!”.

- Nieprawda. Chcę jedynie delikatnie dać do zrozumienia...

Pieprzyć delikatność. Ostatecznie to, że ludzie mają trochę więcej lat, nie znaczy, iż nie zasługują mi wspaniałe seks.

- Wielkie nieba Jęknęło Roz.- Mogę tylko powtórzyć: wielkie nieba!

- Jesteś piękna i seksowna - ciągnęła tymczasem Hayley. - On leż jest przystojny i seksowny. Wydaje mi się więc, że seks jest... Ona chyba nic z tego nie rozumie? - Hayley przygryzła nerwowo wargę i zerknęła na Lily zabawiającą się własnymi paluszkami. - Gdzieś czytałam, że niemowlęta przyswajają sobie wszystkie docierające do nich bodźce - łącznie ze słowami i przechowują w zakamarkach pamięci. Gdy podrosną, wszystko do nich wraca... O, jesteśmy na miejscu.

Wyskoczyła z samochodu, kuląc się przed deszczem, chwyciła torbę z pieluchami, po czym wyjęła z fotelika córeczkę i przykryła jej główkę kocykiem

- Tylko nie wazcie się poruszać żadnych ciekawych tematów, póki nil wrócę!

Kiedy ruszyła biegiem ku drzwiom domu opiekunki, Roz wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

- Niekiedy przy tej dziewczynie czuję się jak zgrzybiała staruszka, innym razem zaś jak nieopierzona nastolatka, która nie ma zielonego pojęcia o życiu.

- Doskonale znam to uczucie. Słuchaj, Roz, pewnie ci się zdaje, że karygodnie gwałcimy twoją prywatność, ale robimy tak tylko dlatego, że... bardzo cię kochamy. Poza tym zastanawialiśmy się, kiedy twój związek z Mitchem wejdzie w bardziej zaawansowaną fazę.

- Zastanawialiście się, powiadasz?

Stella natychmiast pożałowała, że wcześniej nie ugryzła się w język.

- Raz czy dwa wspomnialiśmy o tym w niezobowiązującej pogawędce.

- Stello, może się umówimy, że jeżeli będę miała ochotę na niezobowiązującą pogawędkę na temat swojego życia osobistego, dam ci znać, dobrze?
- Jasne. Naturalnie.

Kiedy Hayley wskoczyła z powrotem do samochodu, Stella chrząknęła znacząco, po czym zdecydowanie pokręciła głową. Dziewczyna z rozczarowaną miną opadła na oparcie, Stella tymczasem ruszyła spod krawężnika i rzuciła radośnie:

- Mam kilka niezłych pomysłów na efektowną ekspozycję naszej mieszanki ziemi.

Roz wielokrotnie napominała się w duchu, że jej życie nie uległo żadnej zmianie tylko dlatego, że przespała się z atrakcyjnym, pociągającym mężczyzną. Wszystko toczyło się tym samym rytmem, w którym obowiązki przeplatały się z chwilami wytchnienia, a irytacja z momentami niczym niezmałconej przyjemności.

Właśnie jechała na comiesięczne zebranie Klubu Ogrodniczego i zupełnie nie wiedziała, do której z powyższych kategorii powinna je zaliczyć.

Od czasów jej babki, Elizabeth, ktoś z Harperów był zawsze członkiem owego stowarzyszenia. A ściśle rzecz ujmując, babka w znacznej mierze przyczyniła się do jego powstania w 1928 roku i przez pierwsze lata często organizowała zebrania w Harper House.

Sama Roz, jako właścicielka centrum ogrodniczego, czuła się podwójnie zobligowana do aktywnego uczestnictwa w pracach klubu. Tym bardziej że i czerpała z tego wiele przyjemności: lubiła dyskutować z osobami o podobnych zainteresowaniach na temat roślin i ich uprawy i cieszyła się, że klub wydatnie wspiera akcje charytatywne, z których dochód przeznaczano na upiększanie parków, skwerów i zieleńców Memphis.

Niestety, w klubie była też spora grupa kobiet traktujących zebrania jedynie jako okazję do obnoszenia najnowszych kreacji i wymienienia najświeższych plotek.

Gdy Roz stanęła na progu sali konferencyjnej, powitał ją gwar wielu kobiecych głosów. Na stołach zasłanych jasnozielonymi lnianymi obrusami stały kwadratowe ceramiczne doniczki z pięknie kwitnącymi narcyzami. Pod ścianą znajdowało się podwyższenie, z którego przewodniczące rozmaitych sekcji miały wygłaszać raporty i prelekcje.

Roz natychmiast podziękowała Bogu, że w tym roku nie pełniła w klubie żadnej istotnej funkcji.

Kiedy ruszyła w głąb sali, zaczęły ją ścigać ukradkowe spojrzenia, a gwar głosów znacznie przycichł, by po chwili całkiem wygasnąć.

Co prawda niemal natychmiast wybuchł na nowo - teraz jednak rozmowy były nienaturalnie głośne i przesadnie entuzjastyczne w tonie. Roz uzbroiła się w maskę chłodnej uprzejmości i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę najbliższego stołu.

- Przepiękne te narcyzy, prawda? - Spojrzała prosto w oczy Jan Forrester, nie zwracając najmniejszej uwagi na gorączkowe szepty przebijające przez wymuszone rozmowy. - Przypominają, że wiosna tuż, tuż. Jak się miewasz, Jan?
- Doskonale, Roz. Doprawdy doskonale. A ty?
- Od dawna nie czułam się lepiej. A co tam u Quilla? Na twarzy Jan pojawił się ciemny rumieniec.
- Jak to u Quilla. Znasz go przecież.
- W rzeczy samej. Pozdrów go ode mnie, dobrze?

Duma kazała jej iść przed siebie, wmieszać się w chłoszczący spojrzeniami tłum, zamienić kilka słów co najmniej z tuzinem kobiet, zanim podeszła do bufetu, na którym stały dzbanki z kawą i herbatą. Tym razem nie zdecydowała się na zwyczajową kawę, tylko na mrożoną herbatę.

Musiła jak najszybciej ugasić ostre palenie w gardle.

- Roz, skarbie, wyglądasz wprost zachwycająco. - Obok niej, rozsiewając wokół zapach Obsession, zmaterializowała się Cissy z miną kota, który właś-

nie dobrał się do śmietanki. - Przysięgam, nikt nie potrafi równie szykownie nosić ubrań. Jaki dokładnie kolor ma twój kostium?

Roz obrzuciła beznamiętnym spojrzeniem dopasowany zakiet i eleganckie w kroju spodnie.

- Nie mam pojęcia.
- Morela-zdecydowała tymczasem Cissy. Piękna, dojrzała morela. Słuchaj, ta mała kretynka, Mandy, miele swoim głupim ozorem jak najęta. Musimy się szybko oddalić na małe *tete-d-tetc*.
- Nie ma potrzeby, już zdążyłam się zorientować w sytuacji. Przepraszam cię na moment.

Z rozmysłem skierowała się w stronę Mandy i z niemałą przyjemnością zauważyła, że dziewczyna z wrażenia przerwała rozmowę w pół zdania i gwałtownie pobladła.

- Mandy, co u ciebie słyhać? Nie widziałam cię od połowy grudnia. Nie przyszedł na poprzednie zebranie.
- Byłam zajęta.

Roz z wolna pociągnęła łyk herbaty.

- Życie to nie bajka, prawda?
- Ty, zdaje się, też nie próżnowałaś. - Mandy wojowniczo zadarła brodę.
- Człowiekowi zawsze coś wyskoczy.
- Może gdybyś pilniej zajmowała się własnymi sprawami, nie trwoniłabyś czasu na nękanie Bogu ducha winnych ludzi głuchymi telefonami i rozpuszczanie wierutnych kłamstw.

Teraz już żadna z kobiet nawet nie próbowała udawać, że nie przysłuchuje się tej wymianie zdań.

- Widać nie znasz mnie zbyt dobrze - podjęła Roz chłodnym, konwersacyjnym tonem. - W innym wypadku wiedziałabyś, że do nikogo nie dzwonię, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Nie mam zwyczaju wisieć na telefonie.

Poza tym nigdy nie kłamię, uważam, że prawdomównością można dużo więcej działać.

Mandy skrzyżowała ramiona na piersi i wojowniczo wysunęła do przodu nogę.

- Wszyscy wiedzą, do czego zmierzasz, ale nikt nie ma odwagi powiedzieć ci tego w twarz.
- W odróżnieniu od ciebie, jak rozumiem, i chwała ci za to. Zechciej więc wyjaśnić, co masz na myśli. Oczywiście, jeżeli byłoby to dla ciebie krępujące, możemy przeprowadzić tę rozmowę w cztery oczy.
- Nie wątpię, że tak byś właśnie wolała.
- Ale równie chętnie wysłucham cię przy świadkach.
- To, że twoja rodzina mieszka w hrabstwie Shelby od stworzenia świata, nie znaczy, że możesz się zachowywać wobec innych jak udzielna księżna. Moja rodzina jest równie szacowna jak twoja, nie ustępujemy ci ani bogactwem, ani prestiżem.
- Jak widać prestiż i bogactwo nie są gwarantem dobrego wychowania. Wyraźnie zapominasz o manierach.
- I ty masz czelność mówić o dobrym wychowaniu, gdy sama robisz wszystko, co możliwe, żeby zrujnować reputację Bryce'a i moją przy okazji?
- Bryce sam pracuje na swoją reputację. Gdy zaś chodzi o ciebie, skarbie, nawet przez moment nie znalazłaś się w orbicie moich zainteresowań. Wydasz się całkiem miłą dziewczyną. Osobiście nie mam nic przeciwko tobie.
- Rozpowiadasz na prawo i lewo, że w gruncie rzeczy jestem łanią dziwką, która za pieniądze tatusia usiłuje sobie dodać nieco klasy.
- A od kogo słyszałaś podobne rewelacje? Od Bryce'a, jak sądzę.
- Nie tylko od niego.

Mandy, z płonącymi ogniem policzkami, przeniosła szybko wzrok na Jan.

- Jan? - Zdumienie złagodziło ton głosu Roz. Poczwała w sercu ukłucie żalu i rozczarowania. - Znasz mnie dobrze, więc powinnaś mieć więcej rozsądku. Wstyd, doprawdy wstyd.
- Usłyszałam to z bardzo wiarygodnego źródła. - Mocno zaczerwieniona Jan w obronnym geście podniosła ramiona.
- Z wiarygodnego źródła? - Roz nie zadawała sobie nawet trudu, by zamaskować pogardę w głosie. - Od kiedy to stałaś się dziennikarzem śledczym czy policyjnym detektywem tropiącym wiarygodne źródła? Mogłaś zwrócić się bezpośrednio do mnie i wyjaśnić sprawę - czego wymagałaby najzwyczajniejsza przyzwoitość - zanim zaczęłaś powielać podobne nonsensy.
- Każdy wie, jaka byłaś wściekła, gdy Bryce zjawił się w twoim domu w towarzystwie Mandy. Poza tym to nie jest odpowiednie miejsce do prowadzenia takiej dyskusji.
- Rzeczywiście nie jest, jednak nieco się spóźniłaś z tą konstatacją, nie sądzisz? Przynajmniej Mandy miała dość odwagi, żeby prosto w oczy powiedzieć mi, co myśli. Czego nie można powiedzieć o tobie. - Nie czekając na reakcję Jan, Roz ponownie zwróciła się ku dziewczynie. - Mandy, czy robiłam wrażenie rozwścieczonej, kiedy zjawiłaś się u mnie na przyjęciu z Bryce'em?
- Oczywiście, że byłaś rozwścieczona. Przecież wyprosiłaś nas z domu, a tymczasem Bryce jedynie chciał się z tobą pogodzić.
- Jeżeli idzie o intencje Bryce'a, to każda z nas pozostanie przy swoich poglądach. Powiedz mi jednak, jak objawiała się ta moja wściekłość. Czy krzyczałam i przeklinałam?
- Nie, ale...
- Czy siłą wypchnęłam was za drzwi?
- Nie, ale tylko dlatego, że jesteś zimna i wyrachowana - jak uważa Bryce. I jak twierdzi wiele innych osób za twoimi plecami. Poczekałaś, aż odjedziemy i dopiero wtedy zaczęłaś wygadywać okropne rzeczy pod naszym adresem.

- Doprawdy? - Teraz już nic nie odwiódłoby Roz od wyjaśnienia sprawy do końca. - Większość z was była tam owego wieczoru. - Rozejrzała się po zgromadzonych kobietach. - Może zechcecie odświeżyć mi pamięć, bo jakoś nie przypominam sobie, żebym wygadywała okropne rzeczy pod czymkolwiek adresem.
- - Nie zrobiłaś nic podobnego. - Do przodu przepchnęła się pani Hagger-ty, jedna z najstarszych klientek Roz i filar ogrodniczego klubu. - Osobiście nie mam nic przeciwko soczystej plotce, nie przeszkadza mi również pewne podkoloryzowanie opowieści, ale to są już po prostu oburzające łgarstwa. Rosalind wykazała się wielką delikatnością i taktem w bardzo trudnej dla siebie sytuacji. Zachowała się wobec ciebie bardzo uprzejmie, młoda damo, widziałam to na własne oczy. Kiedy wróciła do domu, nie powiedział ani jedno go złego słowa pod adresem twoim czy tego godnego pożałowania sukinsyna, którego tak gorliwie bronisz i promujesz. Jeżeli ktoś chciałby przedstawić inną wersję wydarzeń, niech ma odwagę zrobić to teraz - publicznie i na głos.
- Roz nie powiedziała jednego niemilego słowa pod twoim adresem - wtrąciła Cissy ze zjadliwym uśmieszkiem na ustach. - Czego nie można powiedzieć o mnie.
- Bryce powiedział, że ona będzie nastawiać ludzi przeciwko nam.
- A czemu miałabym to robić? - spytała Roz, teraz już znużonym tonem. - Jeżeli jednak chcesz w to wierzyć, twoja wola. Nie zamierzam dłużej dyskutować z tobą na ten temat.
- Mam takie samo prawo do przebywania w tym miejscu jak i ty.
- Bez wątpienia.

Żeby definitywnie zakończyć dyskusję, Roz odwróciła się na pięcie, podeszła do stojącego po przeciwnej stronie stołu i usiadła, by w spokoju dokończyć herbatę.

Przez dziesięć sekund panowała martwa cisza, po czym Mandy wybuchnęła płaczem i wybiegła z sali. Kilka kobiet, posyłając Rosalind wymowne spojrzenia, pospieszyło za nią.

- Mój Boże - westchnęła Roz, gdy obok niej przysiadła pani Haggerty -ona jest jeszcze bardzo młoda.
- Młodością nie sposób usprawiedliwić kolosalnej głupoty. I grubiaństwa na dodatek. - Pani Haggerty skinęła głową w stronę nadchodzącej Cissy. - Przyznaję, że mnie dzisiaj zadziwiłaś.
- Ja? A niby czym?
- Że, dla odmiany, prosto z mostu powiedziałaś, co myślisz. Cissy wzruszyła ramionami i opadła na krzesło.
- Uwielbiam skandaliczne sceny i wcale tego nie ukrywam. Nic lepiej nie ożywia nudnego dnia. Nie znoszę jednak Bryce'a Clerka. Poza tym niekiedy jasne wyrażenie stanowiska bardzo pikantnie podkreśla sprawę. Jedyne, co dziś sprawiłoby mi większą przyjemność, to gdyby Roz trzasnęła w twarz tę nadętą idiotkę. Niestety, podobne gesty nie są w twoim stylu, skarbie - zwróciła się do przyjaciółki, po czym delikatnie poklepała ją po dłoni. - Jeżeli miałabyś ochotę stąd iść, wyjdę z tobą.
- Dzięki, ale zostanę. Jakoś przez to przebrnę.

Dotrwała do końca zebrania - z poczucia obowiązku i dla zademonstrowania siły charakteru. Po powrocie do domu szybko się przebrała i bocznymi drzwiami wymknęła do ogrodu, żeby posiedzieć chwilę w spokoju i popatrzeć na pierwsze zwiastuny nadchodzącej wiosny.

Pięknie wykiełkowały już żonkile i hiacynty, co oznaczało, że niedługo będzie je można podziwiać w pełnym rozkwicie. Wschodziły wcześnie, ale też wyjątkowo szybko przekwitały.

Na azaliach uformowały się już ściśle pąki, a na forsycjach majaczyła bladożółta mgielka.

Kiedy tak siedziała w ciszy, uczucia wreszcie zwyciężyły i Roz zatrzęsała się wewnątrz z furii, wstydu i poczucia krzywdy. Ponieważ była sama, pozwoliła sobie na falę tych ponurych, negatywnych emocji, które przychodziły i odchodziły na podobieństwo pływów. W końcu jednak oddech jej się wyrównał i odzyskała jasność myślenia. Doszła do wniosku, że postąpiła słusznie dzisiaj popołudnia, decydując się na bezpośrednią konfrontację, choć nienawidziła publicznych scen. Niemniej zawsze należało stanąć do walki, a nie umykać z placu boju.

Czy Bryce sądził, że ona postąpi inaczej? Czy naprawdę wierzył, że Roz załamie się publicznie i wycofa upokorzona, by w samotności lizać rany? To niewykluczone. Ostatecznie nigdy jej nie rozumiał. Natomiast doskonale rozumiał ją John, pomyślała, patrząc na altanę i jeszcze uspięne pnące róże, które zakwitną już wiosną i będą obsypane kwiatami aż do późnej jesieni. On ją rozumiał i szczerze kochał. A przynajmniej rozumiał i kochał dziewczynę, jaką wówczas była.

Czy równie mocno kochałby kobietę, w którą się przeistoczyła? Trochę niedorzeczna myśl, uznała Roz, zamykając oczy i odchylając głowę na oparcie ławki. Pewnie gdyby żył, byłaby zupełnie inną osobą, niż jest teraz.

Zostawiłby cię. Porzucił. Oni wszyscy tak robią. Zdradzałby cię, kłamał, a w końcu złamałby ci serce. Chodziłby do ladacznicy, podczas gdy ty czekałabyś w domu. Oni już tacy są. Każdy z nich bez wyjątku. Ja wiem, co mówię.

Nie, nie John, stwierdziła Roz, zaciskając mocniej powieki. Tymczasem syczący głos w jej głowie nie milkł.

Dla ciebie lepiej, że umarł, bo nie zdążył ci zniszczyć życia. Jak ten drugi. I jak ten, którego teraz wzięłaś sobie do łóżka.

- Jakże jesteś żalosna - wyszeptała Roz - gdy próbujesz zbezcześcić pamięć i honor dobrego, szlachetnego człowieka.
- Rosalind. - Poczwała czyjaś dłoń na swoim ramieniu i aż podskoczyła. - Przepraszam - dotarł do niej głos Mitcha. - Mówiłaś przez sen?

- Nie. - Dlaczego nie czuł tego chłodu? Czyżby lodowate zimno tkwiło tylko w niej? - Nie spałam, tylko się zamyśliłam. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?
- David widział przez okno, jak kierowałaś się w tę stronę. Ponad godzinę temu. Jest trochę za zimno na tak długie przesiadywanie w ogrodzie. -Usiadł obok, chwycił jej rękę i zaczął rozcierać w swoich dłoniach. - Jesteś zlodowaciała.
- Nie. Wszystko w porządku.
- Nieprawda. Wyglądasz na bardzo smutną.

Po chwili zastanowienia Roz doszła do wniosku, że pewnych rzeczy nie może trzymać tylko dla siebie. Ostatecznie zatrudniła tego mężczyznę, żeby zbadał tajemnice jej rodziny.

- Rzeczywiście jestem trochę smutna. Oblubienica do mnie przemawiała. W moich myślach.
- W tej chwili? - Mocniej zacisnął palce na jej dłoniach.
- Uhm. Właśnie przerwałeś naszą rozmowę, choć z jej strony była to stara śpiewka pod tytułem „wszyscy mężczyźni 10 zdrajcy i oszuści”.

Mitch powiódł wzrokiem po ogrodzie.

- Wątpię, czy sam Szekspir zdołałby wymyślić bardziej zdeterminowanego ducha od naszej Amelii. Z wielu powodów miałem nadzieję, że przyjdiesz do biblioteki. To jeden z nich.

Odwrócił ku sobie twarz Roz i przycisnął usta do jej ust.

- To nie tylko sprawa Oblubienicy - zdecydował. - Spotkała cię jeszcze inna przykrość.

Jakim cudem zdążył ją tak szybko rozgryźć? Nauczył się dostrzegać rzeczy, których nie widzieli inni?

- Trudno nazwać to przykrością - odrzekła i wysunęła rękę z jego dłoni. - Byłam świadkiem babskiej hysterii, to wszystko. Mężczyźni nie mają skłonności do aż tak teatralnych zachowań, prawda?

- Opowiedz mi, co się stało.
- Szkoda strzepić sobie język.

Mitch już miał otworzyć usta, ale - jak spostrzegła Roz - nagle zrezygnował z dalszej indagacji i poklepał się tylko po ramieniu.

- Połóż tu głowę.
- Słucham?
- Dokładnie w tym miejscu. - By mieć pewność, że Roz go posłucha, przyciągnął ją do siebie i mocno objął w pasie. -1 jak teraz?

Uśmiechnęła się słabo.

- Całkiem nieźle.
- Jak widzisz, świat się nie zawalił tylko dlatego, że na chwilę wsparłaś się na cudzym ramieniu.
- Rzeczywiście. Dzięki.
- Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz wróćmy do tych innych powodów, dla których chciałem się z tobą zobaczyć. Przede wszystkim wysłałem list do twojej kuzynki, Clarise Harper. Jeżeli w ciągu tygodnia nie otrzymam odpowiedzi, napiszę kolejny. Poza tym już dokładnie opracowałem twoje drzewo genealogiczne - ze strony Harperów, rodziny matki i pierwszego męża. Przy okazji znalazłem niejaką Amelię Ashby... Nie, nie podnoś głowy - zaprotestował, mocniej przyciskając Roz do siebie. - Obawiam się jednak, że ona nie ma żadnego związku z naszą damą. Całe życie mieszkała w Luizjanie i tam też umarła, poza tym wydaje się zbyt nam współczesna, by mogła być Oblubienicą. Strawiłem nieco czasu, tropiąc jej przodków, by sprawdzić, czy jednak nie ma jakiegoś związku z twoją zjawą - powtarzalność imienia w rodzinie, tego typu rzeczy - ale nie znalazłem nic interesującego. Natomiast nawiązałem kontakt mejlowy z prawnuczką ochmistrzyni, która pracowała w Harper House od tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego roku do tysiąc dziewięćset dwunastego. Owa prawnuczka jest prawnikiem w Chicago i na tyle interesuje ją historia własnej rodziny, że postano-

wiła podjąć pewne działania na własną rękę. Może okazać się dla nas cennym źródłem informacji.

- Widzę, że nie próżnowałeś. Mitch gładził ją delikatnie po ramieniu, co działało bardzo odprężająco.
- W większości to standardowe działania. Ale zastanawiałem się też nad mniej rutynowymi aspektami naszego zadania. Kiedy się kochaliśmy...
- A pod który aspekt zadania to akurat podpada? Zaśmiał się, słysząc suchy ton Roz, i potarł policzkiem o jej włosy.
- Trafi do teczki z nadrukiem „ściśle osobiste”. I mam nadzieję, że wkrótce ta teczka zapełni się wieloma dokumentami. Ale wracając do rzeczy, Amelia pokazała, na co ją stać - to chyba trafne określenie?
- Najtrafniejsze z możliwych.
- W każdym razie z trzaskiem otwierała drzwi, z hukiem je zamykała, sprawiała, że zaczynały dzwonić wszystkie zegary i tak dalej. Bez wątpienia zmanifestowała, co sądzi o naszym związku - i zaczęła te demonstracje od chwili, gdy tylko okazałem zainteresowanie tobą.
- Więc?
- Nie jestem pierwszym mężczyzną, z którym weszłaś w intymny związek w tym domu.
- Nie jesteś.
- Ale nie wspominałaś, by miewała podobne napady szału, gdy byłaś z Johnem Ashbym czy Bryce'em Clerkiem. Czy też z innymi mężczyznami, z którymi coś cię łączyło.
- Bo nigdy wcześniej nic podobnego się nie wydarzyło.
- W porządku. - Poderwał się z ławki i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. - Mieszkałaś w Harper House, gdy byłaś dziewczyną, a potem narzeczoną Johna.
- Oczywiście. Tu przecież się wychowałam.
- I po ślubie również tu przebywałaś z mężem.

Widać było, że Mitch próbuje stworzyć jakąś logiczną teorię. Chociaż nie, poprawiła się w duchu Roz. On już ją stworzył, teraz natomiast, na jej użytek, przedstawiał kolejne etapy rozumowania.

- Często tu przyjeżdżaliśmy. Matka wciąż niedomagala, a tata nie radził sobie sam. Kiedy umarł, właściwie się tu przenieśliśmy, chociaż oficjalnie przejeśliśmy Harper House dopiero po śmierci mamy.
- I w tym czasie Amelia nigdy nie objawiała wrogości wobec twojego męża?
- Nie. W dzieciństwie przestała mi się pokazywać, gdy skończyłam jedenaście, może dwanaście lat, i nie widziałam jej aż do czasu zamążpójścia. Wkrótce po ślubie postanowiliśmy, że jak najszybciej chcemy mieć dzieci. Pewnej nocy zastanawiałam się, czy właśnie nie zaszłam w ciążę. Nie mogłam spać, usiadłam w ogrodzie i wówczas ją zobaczyłam. Od razu wiedziałam, że rzeczywiście spodziewam się dziecka. Potem zawsze ukazywała mi się na początku ciąży. Naturalnie widywałam ją i słyszałam, gdy chłopcy byli jeszcze mali.
- Czy kiedykolwiek ukazała się twojemu mężowi?
- Nie. - Roz ściągnęła w zamyśleniu brwi. - Nigdy. Zdarzyło mu się ją słyszeć, ale nigdy jej nie widział. Mnie natomiast odwiedziła w noc jego śmierci.
- Nic wspominałaś o tym wcześniej,
- Nie opowiadałam ci o każdym spotkaniu z... - urwała gwałtownie i potrząsnęła głową. - Przepraszam. Nie wspominałam o tym tobie ani komukolwiek innemu, bo to bardzo osobiste i nadal bolesne wspomnienie.
- Nie mam pojęcia, co się czuje, gdy traci się kogoś, kogo się bardzo kocha, w taki sposób, w jaki straciłaś Johna. Wiem, że niechętnie mi opowiadasz o pewnych rzeczach i nie lubisz, jak się wdzieram w twoją prywatność. Ale muszę to robić, żeby mieć pełny obraz całości. Żeby wykonać swoją pracę.
- Jak cię zatrudniałam, nie przypuszczałam, że będziesz potrzebował tylu bardzo osobistych informacji. Chwileczkę... - Uniosła dłoń, kiedy miał już otworzyć usta. - Teraz o wiele lepiej rozumiem, na czym polega twoja praca,

jak patrzysz na przedmiot swoich badań. Starasz się niejako wskrzesić ludzi takimi, jacy byli. Ta tablica w bibliotece, a na niej zdjęcia, byś mógł ich lepiej poznać, przejrzeć. Te wszystkie strzępy informacji, które skrzętnie gromadzisz. To dużo więcej, niż oczekiwałam. W najlepszym znaczeniu tych słów.

- Muszę wejść w skórę ludzi, którymi się zajmuję.
- Tak jak w wypadku genialnego, perwersyjnego poety - zauważyła w zamysleniu. - Ale wracając do sprawy. Myślę, że powinieneś wiedzieć o pewnych rzeczach z racji tego, co zaszło między nami. I dlatego też jestem gotowa ci o nich opowiedzieć. Paradoksalnie, to co między nami zaszło, jednocześnie utrudnia mi szczerą wobec ciebie. Boję się bliskości z mężczyzną. Ciężko mi obdarzyć kogoś zaufaniem, zaakceptować własne pożądanie.
- A czy na pewno wolałabyś, żeby było lekko? Roz pokręciła głową.
- Jakim cudem zdołałeś mnie tak dobrze poznać? Nie. Nie chciałabym. Jeśli coś przychodzi zbyt łatwo, wzbudza we mnie podejrzenia. Ostatnio natrętnie wkraczasz w moje myśli, Mitch. Potraktuj to jako komplement.
- I vice versa.

Roz spojrzała uważnie na niego - tak pełnego życia i energii - gdy stał na tle altany i uszpionych róż. Wkrótce ciepło i promienie słońca obudzą rośliny z zimowego snu. Ale Johna, jej Johna, nic już nie zdoła wskrzesić.

- Mój mąż wracał do domu ze swojego biura w Memphis. Jakieś zebranie przeciągnęło się niespodziewanie. Było już późno, mocno padało, drogi zrobiły się bardzo śliskie, a na dodatek podniosła się gęsta mgła.

Roz poczuła ostre ukłucie w sercu, jak zawsze gdy przypominała sobie ową noc.

- Miał wypadek. Ktoś jechał zbyt szybko, wpadł w poślizg, wylądował na przeciwległym pasie. Mimo późnej pory jeszcze nie spałam. Czekałam na Johna, a poza tym chwilę wcześniej miałam istne urwanie głowy z chłopcami. Harperowi przyśnił się jakiś koszmar, a Mason i Austin byli przeziębieni,

a więc długo marudzili. Kiedy wreszcie ich wszystkich uspokoiłam, postanowiłam się położyć, chociaż powoli ogarniała mnie irytacja, że John jeszcze nie wrócił do domu. Weszłam do sypialni, a ona już tam stała.

Roz parsknęła kpiąco i przesunęła dłonią po twarzy.

- Przeżyłam niezły szok, pomyślałam od razu, do diabła, znowu jestem w ciąży. A wierz mi, nie miałam na to najmniejszej ochoty tuż po tym, jak musiałam walczyć z trójką niespokojnych, płaczących chłopców. Szybko jednak się zorientowałam, że jej spojrzenie nie zwiastuje niczego dobrego. Było takie rozgorączkowane, takie ponure. Nawet wzbudziło we mnie pewien lęk. A wkrótce potem zjawiała się policja i natychmiast przestałam o niej myśleć.

Opowiedziała to wszystko spokojnym, chłodnym tonem, ale w jej oczach - pięknych, niespotykanie podłużnych oczach - wyraźnie malowały się żal i ból.

- Musiało być ci strasznie ciężko. Nawet nie umiem sobie tego wyobrazić.
- Twoje życie nagle zamiera. Po prostu zatrzymuje się w miejscu, a kiedy zaczyna się na nowo, wszystko ulega zmianie, już nigdy nie jest takie jak przedtem. Nigdy.

Nie próbował jej dotknąć ani w jakikolwiek sposób pocieszyć. To, co teraz, w tym zimowym ogrodzie, działo się w jej sercu, należało do innego mężczyzny.

- I pozostałaś zupełnie sama. Nie miałaś przy sobie matki, ojca ani rodzeństwa.
- Miałam synów. I ten dom. I siebie samą. - Spojrzała w dal, ale Mitch już widział, że Roz powraca do terażniejszości i zatrząskuje drzwiami prowadzące do dawnych wspomnień. - Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, przedstawiając swoją teorię, a jednocześnie nie pojmuję działania naszej zjawy. Amelia nigdy wcześniej nie wyrażała zdecydowanego sprzeciwu - ani w stosunku do Johna, ani żadnego innego mężczyzny, włączając w to Bryce'a. Od czasu do czasu okazywała drobne niezadowolenie -

wspominałam o tym wcześniej. Ale w żadnej mierze nie przypominało to obecnych wybuchów złości. Jak rozumieć tę eskalację agresji?

- Właśnie to staram się odgadnąć i mam parę interesujących teorii. Ale zanim ci je przedstawię, wejdźmy wreszcie do domu. Powoli zapada zmierzch, a ty za chwilę zmienisz się w sopel lodu. Nie masz zbyt wiele ciała, by cię grzało... To nie krytyka - dorzucił natychmiast.
- .- Pochodzę z rodu, w którym kobiety odznaczały się kruchą budową - oznajmiła z przesadnie południowym zaśpiewem.
- W tobie nie ma nic kruchego - zaproponował Mitch. Chwytał ją za rękę i powiódł w stronę rezydencji. - Jesteś niczym silna dzika róża - wysmukła, czarna, z mnóstwem kolców.
- Czarne róże nigdy nie rosną dziko. Wymagają starannej pielęgnacji i dużo zachodu. Pomijając już fakt, że do tej pory nikomu nie udało się osiągnąć idealnej czerni.
- Kruczoczarna róża - powtórzył, unosząc jej dłoń do ust. - Wyjątkowo rzadka i piękna.
- Mów tak dalej, a będę zmuszona zaciągnąć cię do moich prywatnych apartamentów.
- Już się bałam, że nigdy tego nie zaproponujesz.

13

Chyba powinnam ci powiedzieć... - odezwała się Roz, gdy wędrowali w stronę domu -... że moi domownicy wykazują wyjątkowe zainteresowanie intymną stroną naszego związku.

- Nie ma sprawy. To tak jak ja. Ja też wykazuję wyjątkowe zainteresowanie tą właśnie stroną.

Zerknęła na swoją dłoń w dłoni Mitcha i zachwyciło ją, jak zgrabnie się splatają.

- Twoje ręce są dużo większe od moich - zauważyła. - Masz szerszą dłoń, dłuższe palce i kwadratowe paznokcie, podczas gdy moje są bardziej wysmukłe i owalne.

Uniosła rękę, tak że teraz ich dłonie znalazły się na wysokości wzroku.

- A mimo to pięknie do siebie pasują.

Zaśmiał się ciepło i cicho wypowiedział jej imię. A potem pochylił się i pocałował ją namiętnie.

- Podobnie jak nasze usta - dorzucił.
- Właśnie to samo sobie pomyślałam. Wolałabym jednak, żeby podobne spostrzeżenia, a przede wszystkim szczegóły dotyczące naszego związku pozostały tylko między nami.
- To nie będzie proste, bo przecież mamy wokół siebie wiele bliskich osób. Mój syn już się dopytywał, skąd wytrzasnąłem tę czarnowłosą piękność, z którą byłem na meczu.
- I co mu powiedziałaś?
- Że w końcu zdołałem przekonać Rosalind Harper, by zerknęła na mnie łaskawszym okiem.
- Od początku patrzyłam na ciebie łaskawie - odparła z uśmiechem Roz, gdy wchodzili po schodach na taras pierwszego piętra. - Niemniej zawsze zachłannie strzegę swojej prywatności i nie widzę potrzeby wydawania oficjalnych biuletynów na temat naszego życia erotycznego.

Wyciągnęła rękę, by chwycić za klamkę, ale w tym samym momencie tarasowe drzwi otworzyły się z niespotykanym impetem, a jedno ze skrzydeł omal nie ugodziło Roz w twarz. Ostry podmuch lodowatego powietrza zapewne zbiłby ją z nóg, gdyby Mitch nie skoczył do przodu i nie zasłonił jej własnym ciałem.

- Krzyżyk na drogę! - krzyknął za oddalającym się wirem. Roz odepchnęła go na bok i wpadła do pokoju.

- - Nie zamierzam tolerować takich ekscesów we własnym domu! - wykrzyknęła z furia w głosie. Absolutnie nie zamierzam!

Ledwo to powiedziała, ze stolików i półek zaczęły spadać drobne przedmioty i fotografie, a lampy włączały się i wyłączały w zawrotnym tempie. Przez cały pokój przeleciało krzesło i huknęło z taką siłą o komodę, że stojący na niej wazon z orchideami zawirował wokół własnej osi. Nagle lustro, które dostała od synów, zaczęło niebezpiecznie zsuwać się ku krawędzi i Roz rzuciła się, by je ratować.

- Natychmiast skończ z tymi szaleństwami! Natychmiast! Dość tego!

W odpowiedzi niewidzialne, monstrualne pięści zaczęły głośno walić w ściany, a podłoga zadrżała, jakby pędził po niej tabun koni. Z wielkim trzaskiem eksplodował duży, kryształowy flakon na perfumy, a jego ostre kawałki wyprysnęły w powietrze na podobieństwo połyskliwych szrapneli.

Pośrodku tego pandemonium stała Roz, przyciskając lustro do piersi.

- Jeżeli w tej chwili się nie uspokoisz, zrezygnuję z wszelkich prób odkrycia twojej tożsamości i naprawienia ewentualnych krzywd, jakie zostały ci wyrządzone - oznajmiła lodowatym tonem. - I zrobię wszystko, by usunąć cię z mojego domu. Nie będziesz tu dłużej mile widzianym gościem. Ja tu rządę i ja ustalam reguły gry! - wykrzyknęła, gdy ogień w kominku buchnął czerwonym płomieniem, a stojące na półce świeczniki uniosły się wysoko w powietrze. - Radzę, żebyś natychmiast przyjęła to do wiadomości, albo, przysięgam na Boga, zostaniesz stąd przepędzona. Klnę się na moje życie, że tak zrobię!

Walenie ustało, w powietrzu zapanował spokój, a wszystko, co znalazło się w górze, z większym lub mniejszym hukiem runęło na ziemię.

Gwałtownie też otworzyły się drzwi od strony korytarza i do pokoju wpadli David z Loganem i Stellą. Ułamek sekundy później przez taras wbiegł do środka Harper.

- Mamo! - Chwycił ją w ramiona. - Jesteś cała i zdrowa?

- Tak, nic mi nie jest. Nic zupełnie.
- Nie mogliśmy wejść. - Stella zaczęła gładzić Roz drżącymi rękami. - Nie byliśmy w stanie otworzyć drzwi.
- Już wszystko w porządku. Gdzie dzieci?
- Hayley... Hayley została z nimi na dole. Kiedy usłyszeliśmy... Jezu, Roz, mieliśmy wrażenie, że rozpętało się tu piekło.
- Idźcie i powiedzcie jej, że nic się nie stało. - Roz przycisnęła policzek do twarzy syna, po czym wysunęła się z jego objęć. - Idźcie uspokoić Hayley.
- Roz, co, do diabła, tu się wydarzyło? - ostro spytał David.
- Gdy chcieliśmy z Mitchem wejść do sypialni, Oblubienica... zaprotestowała. Dość kategorycznie.
- Twoja mama jednak ostro przywołała ją do porządku - dodał Mitch. - Pokazała, kto jest panią tego domu.
- Ty krwawisz - zauważył beznamiętnie Harper.
- O, Boże! - Roz wetknęła lustro w rękę syna i podbiegła do Mitcha, by uważnie przyrzeć się paskudnej szramie na jego policzku.
- W powietrzu latało trochę szkła. To nic wielkiego.
- Masz też pokaleczone dłonie - zauważyła Roz. - Zaraz cię opatrzę.
- Może ja się tym zajmę - zaproponowała Stella.
- Nie. Poradzę sobie. Wy natomiast zejdźcie do Hayley i dzieci. Sprawdźcie, czy u nich wszystko w porządku. A potem, Logan, jak najszybciej zabierz całe towarzystwo do siebie do domu, dobrze?
- W żadnym razie nie zostawię cię tutaj! - oznajmiła stanowczo Stella. -I moje zdanie w tej sprawie nie podlega negocjacji.
- Ja też zostanę. - Logan otoczył ramieniem Stellę. - Oczywiście, o ile Roz nie ma nic przeciwko temu.
- Jasne, że nie mam. - Roz z ciężkim westchnieniem wzięła lustro z rąk syna. - Gdyby je zniszczyła, nie skończyłoby się na słownej awanturze. - Odstawiła

lustro z powrotem na miejsce, po czym ścisnęła dłoń Harpera. - Już w porządku, kochanie. Naprawdę w porządku.

- Jeżeli kiedykolwiek choćby spróbuje cię tknąć, już ja znajdę sposób, żeby ją stąd wykurzyć.
- Moja krew! - Roz uśmiechnęła się promiennie do syna. - Powiedziałam jej dokładnie to samo, a ponieważ natychmiast się uspokoiła, zapewne dotarło do niej, że nie żartuję. A teraz idźcie już na dół. Hayley nie może zostawić dzieci, a pewnie odchodzi od zmysłów, zastanawiając się, co się stało. Mitch, ty pójdziesz ze mną do łazienki. Muszę ci przemyć te skaleczenia.
- Nie chcę, żeby spała tu dzisiaj sama - oświadczył Harper, gdy Roz wyszła z pokoju.
- Nie będzie - zapewnił go Mitch.

Kiedy chwilę później wszedł do łazienki, Rosalind już nasączała gazę wodą utlenioną.

- To tylko drobne zadrapania - zaprotestował.
- Co nie znaczy, że nie należy się nimi zająć. A skoro nigdy nie opatrywałam ran będących wynikiem szaleńczego napadu złości ezoterycznego bytu, zrobię to w sposób tradycyjny. Siadaj.
- Jak pani każe. - Przysiadł posłusznie i zaczął bacznie przyglądać się jej twarzy. - Nie jesteś nawet draśnięta - zauważył.
- Hm? - Z roztargnieniem spojrzała na swoje dłonie, a potem zerknęła w lustro wiszące nad umywalką. - Chyba rzeczywiście masz rację.
- Ona nigdy rozmyślnie nie zrobiłaby ci krzywdy. Nie znaczy to, że możesz czuć się całkiem bezpieczna, bo ostatecznie mamy do czynienia z rozszalałym duchem. Mogłaby wyrządzić ci coś złego przypadkiem lub niechcący. Dzisiejszy jej występ był swoistym ostrzeżeniem. Interesujące.
- Mogę jedynie podziwiać mężczyznę, który zostaje zraniony przez roz-wścieczoną zjawę, po czym uznaje, że to interesujące.

- A ja mogę jedynie podziwiać kobietę, która staje do walki z tą rozwścieczoną zjawą i odnosi spektakularne zwycięstwo.
- Jestem we własnym domu. - Delikatnie uniosła mu głowę. - Teraz policzek. Nie będzie bolało.
- Tak się zawsze mówi.
Zręcznym ruchem zaczęła przemywać skaleczenie, tymczasem Mitch nadal uważnie lustrował jej twarz.
- Szukasz czegoś? - spytała po chwili.
- Zastanawiam się, czy właśnie nie znalazłem.
- Niewiele brakowało, a odłamek trafiłby cię w oko. - O wiele bardziej wstrząśnięta całym zajściem, niż byłaby gotowa kiedykolwiek przyznać, nachyliła się i pocałowała skaleczenie. - Gotowe. - Odsunęła się o krok do tyłu. - Będziesz żył.
- Dzięki. - Chwycił ręce Roz w dłonie i spojrzał jej prosto w twarz tymi swoimi intensywnie zielonymi oczami. - Mam kilka intrygujących teorii.
- Nie mogę się doczekać, żeby ich wysłuchać. Najpierw jednak chciałabym zlikwidować ten bałagan, a zaraz potem wypić kieliszek wina. Bardzo duży kieliszek.
- Pomogę ci sprzątać.
- Nie, dziękuję. Wolalabym to zrobić sama.
- Nie ułatwiasz mi życia, gdy tak się dystansujesz.
- Zapewne - zgodziła się i pogłaskała go po włosach. - Ale może poczujesz się lepiej, gdy ci powiem, że twoja pewność siebie, dzięki której pozwalasz mi się niekiedy oddalić, działa na mnie bardzo kojąco.
- Może to jeszcze jeden przykład naszego świetnego dopasowania.
- Pewnie tak. A teraz byłabym ci wdzięczna, gdybyś też zszedł na dół, przyłączył się do nich i dał mi pół godziny na porządki. Będę mogła nieco ochłonać.

- Dobrze. - Poderwał się na nogi. - Ale dzisiaj zostaję tu na noc. I idąc za przykładem Stelli, oświadczam, że moje zdanie w tej sprawie nie podlega negocjacji. Ty natomiast masz pół godziny, by zdecydować, czy będę spał razem z tobą, czy w pokoju gościnnym.

Powiedziawszy to, wyszedł na korytarz.

Siedzieli razem w kuchni. Niczym prawdziwa rodzina, pomyślał Mitch, zebrana w sercu domu, wokół kuchenki, gdzie pyrkotało coś apetycznego. Rozbrajająco sielska scenka: niemowlę raczkujące po podłodze i dwaj mali chłopcy, którzy właśnie wkładali kurtki, entuzjastycznie obskakiwani przez swojego psa.

Kiedy Mitch stanął w progu, wszyscy zamilkli na moment, ale Stella szybko przerwała ciszę, zwracając się rażno do dzieci:

- A więc idźcie pobiegać z Parkerem, tylko trzymajcie się z daleka od rabat z kwiatami. I pamiętajcie, że wkrótce kolacja.

Przy akompaniamencie pokrzykiwania, poszczekiwania i piskliwego śmiechu Lily chłopcy wybiegli na podwórze, trzaskając kuchennymi drzwiami.

Stella wsunęła rękę w dłoń Logana.

- Co z Roz? - zapytała.
- Opanowana jak zwykle. Poprosiła o pół godziny samotności. - Mitch spojrzał bystro na Harpera. - Dziś zostaję tu na noc - oznajmił.
- Doskonale. Świetny pomysł – zdecydowała natychmiast Hayley. - Im więcej nas, tym lepiej. Można przywyknąć do obecności ducha w domu, ale sprawy przybierają zupełnie inny obrót, gdy ów duch zaczyna ciskać ciężkimi przedmiotami.
- Zdaje się, że do tego ciskania wyjątkowo upodobała sobie Mitcha -wtrącił Logan.
- Też to zauważyłeś? - Mitch potarł zraniony policzek. - Interesujące, prawda? Tam, na górze, zaczęły latać po pokoju najprzeróżniejsze przedmioty, ale żaden z nich nie był wycelowany w Rosalind. Powiedziałbym nawet, że Amelia bardzo się starała, aby nie zrobić Roz żadnej fizycznej krzywdy.

- I całe jej szczęście, bo inaczej długo już by tu nie pozostała - rzucił ostro Harper i wziął na ręce Lily, która właśnie próbowała mu się wdrapać na nogę.
- Z pewnością. - Mitch skinął głową. -Twoja mama nie pozostawiła jej co do tego najmniejszych złudzeń.
- A teraz Roz siedzi tam sama - włączył się do rozmowy David, porzucając na chwilę gotowanie. - Została tam sama, ponieważ właśnie tego sobie zażyczyła. A wszyscy w tym domu - żywi czy umarli - zawsze bez szemrania podporządkowują się jej woli.
- Może jest tak, jak mówicie. Nie ulega jednak wątpliwości, że po dzisiejszych wydarzeniach Rosalind będzie musiała od czasu do czasu oddać ster w inne ręce. Czy ta kawa jest świeżo parzona? - Mitch skinął głową w kierunku dzbanka.

Tymczasem na górze Roz zbierała szczątki drogich jej sercu przedmiotów, które trzymała w sypialni. Drobiazgi przypominające różne dobre chwile, roztrzaskane teraz w kawałki.

Celowa destrukcja, pomyślała. Zniszczenie dla samego zniszczenia.

- Niczym rozpuszczone dziecko - zachnęła się. - Nie tolerowałam podobnego zachowania u moich synów i tym bardziej nie zamierzam znosić tego od ciebie. Kimkolwiek, do cholery, kiedyś byłaś.

Poustawiała na miejsce meble i podeszła do łóżka, by je na nowo zaścielić.

- Pamiętaj o tym, Amelio. I nigdy też nie zapominaj, kto naprawdę rządzi w Harper House.

Poczuła się lepiej, dużo lepiej, gdy zabrała się do działania, uporządkowała pokój, wyrzuciła z siebie gniewne słowa - nawet jeżeli wygłaszała je jedynie do pustych ścian.

Niemal już całkowicie spokojna weszła do łazienki. Jej krótkie włosy sterczały na wszystkie strony, potargane lodowatymi podmuchami, szalejącymi wcześniej po pokoju. Ponieważ nie była to najbardziej twarzowa fryzura, Roz

chwyciła za szczotkę, a potem starannie poprawiła makijaż. I przez cały ten czas myślała o Mitchu.

Fascynujący człowiek. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio tak bardzo ekscytował ją jakiś mężczyzna. Jakże znamienne było jego oświadczenie, że zostaje na noc - żadnej grzecznej prośby, żadnego pytania, tylko stanowcze stwierdzenie faktu. A potem od razu pozwolił jej zdecydować, gdzie dokładnie ma spędzić noc.

Tak. Fascynujący mężczyzna, który umiał być jednocześnie dominujący i delikatny.

I na dodatek Roz bardzo go pragnęła. Cudownie było znowu odczuwać potrzebę fizycznego zespolenia - zdrowe, kipiące pożądanie. Na obecnym etapie życia nie musiała rezygnować z posiadania kochanka, a była na tyle mądra, by się zorientować, kiedy ma do czynienia z mężczyzną godnym szacunku. A może nawet zaufania.

Wyszła z łazienki i usłyszała ciche dźwięki bluesa dobiegające z saloniku. Przypuszczając, że być może czeka ją kolejne starcie ze zjawą, ściągnęła wojowniczo brwi i ruszyła w tamtą stronę.

W progu zaparło jej dech z wrażenia. Na niewielkim, elegancko zastawionym stoliku była naszykowana kolacja dla dwóch osób - plastry pieczonego kurczaka, śnieżne puree ziemniaczane, szparagi i do tego złociste placuszki.

Roz nie mogła pojąć, jakim cudem w tak krótkim czasie David zdołał przygotować jej ulubiony posiłek. Ale to właśnie był cały David.

Nieopodal stał Mitch i nalewał dla niej kieliszek wina.

Na jego widok ugięły się pod nią kolana. Poczowała gwałtowny ucisk w sercu i dole brzucha. To nie było zwykłe pożądanie, tylko coś więcej, co wcale jej się nie podobało.

Tymczasem Mitch podniósł wzrok i uśmiechnął się ciepło.

A niech to szlag!, pomyślała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Wszyscy doszli do wniosku, że powinnaś zjeść kolację w ciszy, spokoju i przy świetle świec - powiedział. - Odetchnąć po burzy. A ponieważ muszę z tobą porozmawiać, chętnie zgodziłem się na propozycję twojej gwardii przybocznej.
- Gwardia przyboczna? Interesujące określenie.
- Wyjątkowo adekwatne. Harper w mgnieniu oka dobyłby szpady w twojej obronie, a podejrzewam, że tak samo postąpiliby dwaj pozostali synowie.
- Zdecydowanie wolę sama prowadzić swoje bitwy.
- Co jeszcze bardziej ich mobilizuje do trwania przy tobie. Następnie mamy Davida. - Mitch wręczył Roz kieliszek. - Chociaż nie łączą was więzy krwi, to właściwie twój czwarty syn. Uwielbia cię.
- Z wzajemnością.
- No i Logan. Zapewne nie spodobałoby mu się takie określenie, ale bez wątplenia odgrywa w stosunku do ciebie rolę rycerza królowej.

Roz wypła łyk wina.

- Mnie chyba też niespecjalnie przypada do gustu podobne określenie.
- Tak to jednak wygląda. - Uniósł szklanekę z wodą mineralną w geście toastu.
 - W gruncie rzeczy wcale nie jesteś jego pracodawczynią, podobnie jak w wypadku Stelli i Hayley. A trójka tych małych dzieci? Stałaś się bardzo istotną osobą w ich życiu. Kiedy dziś wieczorem wszedłem do kuchni, ujrzałem najprawdziwszą rodzinę. Ty zaś jesteś jej najważniejszą osobą. Ty tę rodzinę stworzyłaś, Rosalind.

Roz wpatrywała się w niego ze zdumieniem, czym cicho westchnęła.

- Po prostu nie mam pojęcia, co na to wszystko odpowiedzieć.
- Powinnaś być z siebie dumna. W twojej kuchni siedzi teraz grupa fantastycznych ludzi. A tak przy okazji, czy Harper zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest zakochany w Hayley?

Tym razem Roz z wrażenia opadła na krzesło.

- Masz o wiele lepszą intuicję i zmysł obserwacyjny, niż sądziłam, a wierz mi, już i tak bardzo wysoko oceniałam te twoje cechy. Nie sądzę, aby był tego świadomy, i zapewne dlatego Hayley też nie dostrzega jego uczuć. Wie jedynie, że Harper kocha jej córeczkę. I w tej chwili nie zauważa niczego innego.
- A co ty o tym sądzisz?
- Chciałabym, żeby mój syn był szczęśliwy i zdobył w życiu to, na czym mu zależy. Myślę też, że powinniśmy zabrać się do jedzenia, zanim wszystko ostygnie.

Uprzejmy sposób, pomyślał Mitch, by dać do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty. Ta kobieta wytyczała w życiu bardzo zdecydowane granice. Ciekawe, czy można je przekroczyć i jak to najskuteczniej robić.

- A jak się teraz czujesz?
- Już dobrze. Naprawdę. Po prostu musiałam nieco ochłonać.
- Wyglądasz wspaniale. I po prostu nie mogę pojąć, jak po tak gwałtownych przeżyciach nadal możesz być tak piękna.
- Blask świec dodaje kobietom urody. Gdyby to od nas zależało, Edison nigdy by nie wynalazł tej cholерnej elektrycznej żarówki.
- Twoja uroda nie potrzebuje blasku świec.
- Jeżeli sądzisz, że powinienes mnie uwodzić podczas kolacji, żebym cię nie relegowała do pokoju gościnnego, to nie musisz się wysilać. Już zdecydowałam, że chcę mieć cię dziś w nocy u swojego boku.
- Tak czy owak nie zamierzam zrezygnować z uwodzenia. A przed chwilą po prostu stwierdziłem fakt. A gdy już o faktach mowa - to najlepszy pieczony kurczak, jakiego jadłem w życiu.
- Lubię cię, Mitch. Postanowiłam powiedzieć ci to wprost. Podoba mi się twój sposób bycia. Nie ma w tobie nic pretensjonalnego, nie silisz się na żadne pozy. Po moich niedawnych doświadczeniach to wyjątkowo przyjemna odmiana.

- Ja zawsze jestem szczery, Roz. Porzuciłem kłamstwa wraz z butelką. Jedno więc z pewnością mogę ci przyrzec. Nigdy cię nie oszukam.
 - To niezwykle cenna obietnica.
 - A gdy już jesteśmy przy szczerości... chciałbym cię o coś zapytać. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru... owo, powiedzmy, burzliwe zajście, czy coś takiego stało się tu po raz pierwszy?
 - Owszem. I mam nadzieję, że ostatni.
 - Amelia nigdy się nie sprzeciwiała twoim zaręczynom, a potem małżeństwu z Johnem?
 - Już ci mówiłam, że nie.
 - Ani żadnym późniejszym związkom, włączając w to Clerka?
- Roz wzruszyła ramionami.
- Niekiedy okazywała lekką irytację. Dezaprobatę, niezadowolenie - ale nigdy nie wpadała w laką furie.
 - Mam w związku z tym pewną teorię - teorię, która może nie przypaść ci do gustu. Ale jak już mówiłem, Roz, ja nie kłamię i lubię otwarcie wyrażać swoje opinie. Mam nadzieję, że odwzajemnisz mi tym samym.
 - Zapowiada się coraz ciekawiej.
 - Oblubienicy zależy, aby w domu były dzieci - to przynosi jej ukojenie, zaspokajają jakieś ważne potrzeby. Małżeństwo z Johnem gwarantowało pojawienie się potomstwa, dlatego nie protestowała. Twojego męża postrzegала jedynie jako środek prowadzący do upragnionego celu.
 - To dość okrutna teoria.
 - Obawiam się, że za chwilę zrobi się jeszcze gorzej. Kiedy na świat przyszli już chłopcy, John stał się absolutnie zbędny, więc, w mojej opinii, dla niej jego śmierć była czymś słusznym, wręcz pożądanym.
- Roz pobladła gwałtownie, a w jej oczach pojawiło się przerażenie.
- Czy chcesz zasugerować, że ona w jakiś sposób przyczyniła się...

- Nie. - Delikatnie przykrył jej dłoń swoją. - Nie. Oblubienica jest związana jedynie z tym domem, z twoją posiadłością. Nie uważam się, co prawda, za eksperta, gdy chodzi o zjawiska paranormalne, ale tak podpowiada logika. Kimkolwiek jest owa Amelia czy też była, koncentruje się wyłącznie na tym miejscu.
- Masz rację. - Roz z ulgą kiwnęła głową. - Ani ja, ani nikt inny nigdy nie widział Amelii, nie doświadczył jej obecności poza terenem Harper House. Gdyby tak było, od razu bym się dowiedziała.
- Jest przywiązana do tego miejsca i zapewne do twojej rodziny. Wątpię jednak, czy była poruszona lub okazywała współczucie, gdy ty i dzieci rozpaczaliście po śmierci Johna. A przecież można dotrzeć do jej uczuć. Widzieliśmy to wiosną, kiedy Stella przemówiła do Amelii jak matka do matki. I dzisiejszego wieczoru, gdy zmusiłaś ją do uległości.
- No dobrze. Na razie przyjmuję twoją linię rozumowania.
- Następnie, kiedy kilka lat później powróciłaś do życia towarzyskiego, zaczęłaś spotykać się z mężczyznami i miewać kochanków, Oblubienica okazywała jedynie lekką irytację. Dezaprobatę, jak to określiłaś. Czemu nie wpadała w szal? Bo ci mężczyźni tak naprawdę niewiele dla ciebie znaczyli. Nigdy nie mieli stać się częścią tego domu, twojej rodziny - przynajmniej na dłuższą metę.
- Chcesz powiedzieć, że ona o tym wiedziała?
- Łączą ją z tobą silne więzi, Roz. Doskonale wie, co myślisz i czujesz, nawet jeśli nie wyrażasz tego otwarcie.
- Potrafi przeniknąć moje myśli - powiedziała cicho Rosalind. - Przecież już kilkakrotnie miałam okazję się o tym przekonać. I bardzo mi się nie podoba, że ktoś grzebie w moim umyśle. Jak jednak ma się do twojej teorii historia z Bryce'em? Wyszłam za niego. Mieszkał w tym domu. I chociaż Oblubienica niekiedy pokazywała drobne fochy, nigdy nie posuwała się do żadnych ekstremalnych zachowań.

- Bo go nie kochałaś.
- Poślubiłam go.
- I szybko się rozwiodłaś. Nie widziała w nim zagrożenia. Była przekonana, że ten mężczyzna nie zagrzeje tu miejsca, zanim jeszcze ty w pełni zdałaś sobie sprawę z własnych uczuć. Traktowała go, powiedzmy... jak niewygodny balast. Może dlatego że był słaby, może z innego powodu. W każdym razie jakoś szczególnie się nim nie przejmowała.
- Tymczasem ty jesteś dla niej groźny.
- Najwyraźniej. W pierwszym odruchu można by przypuszczać, że z powodu wykonywanego przeze mnie zawodu, ale taka teza nie byłaby zgodna ze zdrowym rozsądkiem. Ona przecież chce, żeby odkryć jej tożsamość. Zależy jej, abyśmy nadal zajmowali się tą zagadką.
- Świetnie rozumiesz naszą zjawę pomimo tak krótkiej znajomości.
- Za to nad wyraz intensywniej - zauważył Mitch. - Poza tym umiejętność rozszyfrowywania cudzej mentalności, dostrzegania w dawno zmarłych ludziach istot z krwi i kości jest istotną częścią mojej pracy. I najbardziej frapującą zarazem. A wracając do tematu, śmiało możemy założyć, że Amelia jest wściekła z powodu mojej osoby.
- Bo ty nie jesteś słaby.
- W istocie. Ale również dlatego, że stałem się lub stanę kimś ważnym w twoim życiu, Roz. Zamierzam zresztą zrobić wszystko, żeby tak właśnie było.
- Mitch, łączy nas jedynie romans i jakkolwiek nie traktuję tego związku lekko...
- Rosalind. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Dobrze wiesz, że jestem w tobie zakochany. Wpadłem po uszy, gdy tylko otworzyłem drzwi mojego mieszkania i ujrzałem cię w progu. Jestem z tego powodu przerażony, co nie zmienia stanu rzeczy.

- Nie miałam o tym pojęcia. ~ Zaczęła nerwowo gładzić się po szyi. - Naprawdę nie miałam. Byłam równie ślepa jak Hayley w stosunku do Harpera. Sądziłam, że jesteśmy dla siebie pociągający, a także... czemu tak się uśmiechasz?
- Jesteś zmieszana. Jeszcze nigdy nie widziałem cię zmieszanej.
- Wcale nie jestem zmieszana. - Stanowczym ruchem nabiła na widelec ostatni kęs kurczaka. - Jedynie zdumiona. To wszystko.
- Przede wszystkim przerażona.
- W żadnym razie. - Gwałtownie odsunęła się od stolika. - No dobrze. Może trochę. - Mitch wybuchnął śmiechem, a Roz zerwała się na równe nogi. - Zadowolony? - spytała. - Wy, mężczyźni, uwielbiacie doprowadzać kobiety do stanu kompletnego pomieszania.
- Bzdura! - W jego głosie zabrzmiały humor, a jednocześnie twarda stanowczość.

Zaintrygowana tym tonem, Roz odwróciła się w stronę Mitcha.

- Jesteś cholernie pewny siebie.
- Kiedy powiedziałeś tak po raz pierwszy, był to komplement. Teraz mówiąc te słowa, masz na myśli „arogancki”, skarbie.

Tym razem to ona się roześmiała, po czym przycisnęła palce do oczu.

- O Boże, Mitchell, nie wiem, czy niani ocliole na kolejny poważny związek. Poważne związki wymagają tak cholernie dużo wysiłku. Miłość trzeba pielęgnować, poświęcać jej wiele czasu i energii. Nie jestem pewna, czy mam w sobie dość siły, dość woli, wystarczającą motywację.
- Jestem przekonany, że tak. Ale najlepiej będzie, jak pozwolimy, by wydarzenia toczyły się własnym rytmem, i zobaczymy, co z tego wyniknie. - Teraz i Mitch się podniósł.
- Z drugiej strony, nie mam nic przeciwko temu, by od czasu do czasu wprawiać cię w lekkie zmieszanie - oznajmił, ruszając w jej stronę. - Ostatecznie bardzo mało osób lub rzeczy może wytrącić cię z równowagi.

- Tylko tak ci się wydaje.
- Myślę, że nie. - Otoczył ją ramionami i zaczął delikatnie kołysać się w rytm muzyki. - Jedną z twoich najbardziej seksownych cech jest racjonalna efektywność.

Roz uniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

- Taki jest również mój księgowy, a wierz mi, za żadne skarby nie poszłabym z nim do łóżka.
- Dla mnie natomiast jest to nieodparcie pociągające.
- Czy przeszliśmy do fazy uwodzenia?
- A masz coś przeciw temu?
- Zadałeś mi takie samo pytanie, gdy po raz pierwszy chciałeś mnie pocałować. Wówczas nie miałam.
- Cieszę się, że jesteś taka piękna - powiedział Mitch. - Może to świadczyć, że jestem powierzchowny, ale ostatecznie mężczyzna musi mieć jakieś wady.

Rozbawiona, przesunęła powoli palcem po jego karku.

- Perfekcja jest śmiertelnie nudna. Tylko, na Boga, nie mów Stelli, że tak powiedziałam.
- W takim razie nigdy cię nie zanudzę.

Musnął parę razy ustami jej wargi, a potem zaczął ją namiętnie całować.

Poczuła w sobie rozkoszne ciepło, przyływ energii i siły. Płynęli razem w zmysłowym tańcu, złączeni pocałunkiem. Miała wrażenie, że zmierza w stronę miłości ścieżką usłaną wonnymi płatkami kwiatów.

Usłyszała cichy stukot zamykanych drzwi i otworzyła oczy. Okazało się, że znaleźli się w sypialni.

- Jest pan bardzo przemyślnym tancerzem, doktorze Carnegie. - Zaśmiała się, gdy zrobił z nią obrót. - Wyjątkowo przemyślnym.

Zaczął całować ją znowu, cały czas tańcząc, a potem zatrzymał się nagle i odsunął do tyłu.

- Zapal świece - poprosił. - A ja napalę w kominku.

Roz przez chwilę nie mogła zrobić kroku. Serce waliło jej tak mocno, że aż czuła w piersiach ból. Kiedy w końcu zdołała się poruszyć, szła bardzo powoli, jakby przebijała się przez gęstą mgłę. Gdy przytknęła zapalną do knota, spostrzegła, że drżą jej ręce.

- Bardzo cię pragnę. - Na szczęście w jej głosie nie słychać było drżenia. - To pragnienie jest silniejsze i całkiem inne niż to w przeszłości. Może dlatego, że...
- Nie racjonalizuj. Nie podawaj niczego w wątpliwość. Przynajmniej dzisiejszej nocy.
- Dobrze. - Zwróciła się ku niemu. - A więc po prostu zostańmy przy tym, że bardzo cię pragnę. Pożądaj z mocą, która mnie samą napawa lękiem.

Mitch podszedł i ujął ją za ręce.

- Pozwól, że ci pokażę, co do ciebie czuję.

Zaczął całować wewnątrz jej jednej dłoni, potem drugiej. Ujął twarz Rosalind w swoje ręce i zaczął gładzić kciukami policzki.

- Oddaj mi się dzisiaj, Roz. - Pocałował ją namiętnie. - Dzisiaj po prostu mi się oddaj.

Prosił o całkowite poddanie. A to bardzo wiele. Jednak Rosalind uległa jego prośbie. Najpierw oddała mu usta, potem całe ciało. Kiedy trzymał ją w ramionach, zaczęła się rozkoszować błogimi doznaniem jak dojrzałym, czerwonym winem.

Zdjął z niej sweter, szepcząc, jak bardzo zachwycają go jej zapach i delikatność skóry. Roz miała wrażenie, że zaczyna unosić się w powietrzu, lekko niczym piórko.

Oddawała mu się, tak jak prosił. Poddawała jego woli. On tymczasem z niemal bolesną powolnością pozbawiał ją ubrania i wodził delikatnie rękami po jej ciele. To było niezwykle zmysłowe.

Kiedy wsunął rękę pomiędzy jej uda, poczuła dreszcz. Była rozpalona. Rozpalona i wilgotna. Wbiła palce w ramiona Mitcha, gdy zaczął ją delikatnie pieścić. A potem coraz mocniej i szybciej, aż w końcu niemal straciła oddech.

Kiedy doszła, zaczął wodzić ustami po jej udzie.

- Chcę więcej. Chcę tak dużo więcej od ciebie, Roz.

To cudownie, pomyślała. I teraz już tylko chciała mu dać to, czego pragnął. Zaczął pieścić ją ustami. Leniwie badał każdy najintymniejszy zakątek, aż znowu ogarnął ją dreszcz rozkoszy.

Kiedy w końcu Mitch w nią wszedł, z jękiem powtarzała jego imię i błagała o więcej. On jednak nie przyspieszał tempa. Roz całkowicie straciła kontrolę nad własnym ciałem. Mogła tylko drżeć w niezwyklej ekstazie, gdy prowadził ją ku kolejnemu orgazmowi.

Wciąż drżała. To niedorzeczne, nonsensowne, upominała się w duchu, ale bez efektu. Było jej ciepło, nawet gorąco i dopiero po chwili się zorientowała, że oboje są śliscy od potu.

Została uwiedziona, po czym bez pardonu wykorzystana. I bardzo jej się spodobało zarówno jedno, jak drugie.

- Zastanawiam się, co powinnam w tej chwili powiedzieć. Musnął ustami jej szyję.

- Może po prostu: O, rety!

Ramiona miała niczym z ołowiu, udało jej się jednak unieść jedno z nich i pogładzić Mitcha po włosach.

- Niezła propozycja, biorąc pod uwagę, że doprowadziłeś mnie aż do trzech orgazmów.

- Czterech.

- Czterech? - powtórzyła leniwie. - W takim razie musiałam stracić rachubę.

- Ja nie straciłem. -W jego głosie pobrzmiwała satysfakcja.

- Ponieważ wciąż jestem oszołomiona i mój rozsądek uległ chwilowemu uśpieniu, wyznam, że coś podobnego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu.

Chwył jej dłoń i splótł palce z jej palcami.

- Trzymaj się mnie, mała, a z pewnością nie będzie ostatni. Zaśmiała się głośno i podparła na ramieniu.
- Jesteś z siebie strasznie dumny, co?
- Jasne.
- Ja też jestem z ciebie dumna. - Położyła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. - O szóstej idę biegać.
- Masz na myśli szóstą rano?
- Owszem. W sąsiedniej sypialni Harper trzyma zapasowe dresy. Możesz z nich skorzystać, jeśli zechcesz mi towarzyszyć.
- Dobrze.
- Zwinęła się w kłębek, niczym senna kotka.
- Dzisiejszej nocy zostawiła nas w spokoju.
- Wiem.

14

W eleganckim garniturze i w krawacie, zaopatrzonego w tuzin żółtych róż i czekoladki „Godiva”, Mitch jechał windą do mieszczącego się na drugim piętrze mieszkania panny Clarise Harper. Miał przy sobie jej list, którego oficjalny, typowy dla matrony z Południa ton, utwierdził go w przekonaniu, że będzie miał do czynienia z damą, niewątpliwie oczekującą od mężczyzny uroczystego stroju i bukietu kwiatów - jak wcześniej sugerowała Roz.

Kuzynka Clarise wcale nie zgodziła się na spotkanie, przemknęło nagle przez głowę Mitcha. Ona łaskawie udzielała mu audiencji.

W korespondencji, którą wymienili, żadna ze stron ani słowem nie wspomniała o Rosalind czy innych mieszkańcach Harper House.

Mitch nacisnął guzik dzwonka w pełni świadomy, że za chwilę będzie musiał włączyć cały swój czar i siłę perswazji.

Drzwi otworzyła młoda kobieta, góra dwudziestoletnia, ubrana w konserwatywną, czarną spódnicę, białą bluzkę i praktyczne czółenka na niskim obcasie. Włosy miała ściągnięte w coś, co chyba kobiety nadal nazywały „koczkim babuni”. I co zdecydowanie nie dodawało uroku jej młodzieńczej, wąskiej twarzy.

Na pierwszy rzut oka przywodziła na myśl potulną, dobrze wytresowaną psinę, która przyniesie pani w pysku kaptcie, nie zostawiając przy tym ani śladu zębów na miękkiej skórze.

- Proszę wejść, doktorze Carnegie. Panna Harper pana oczekuje.

Jej głos idealnie pasował do wyglądu - był cichy i kulturalny.

Z korytarza wszedł bezpośrednio do saloniku zastawionego różnorakimi antykami. Wśród mebli z rozmaitych epok Mitch okiem konesera wyłowił natchmianem sekretkę z czasów Jerzego III oraz serwantkę z epoki Ludwika XVI. Krzesła były zapewne włoskiej roboty, sofa natomiast wiktoriańska. Wszystkie meble do siedzenia sprawiały wrażenie przeraźliwie niewygodnych.

Wokół roilo się od figurynek z kryształu i porcelany - głównie pasterek, kotów i łabędzi - a także talerzy, do ostatniego milimetra pokrytych bogatymi zdobieniami. Wszystkie te bibeloty rezydowały na sztywno wykrochmalonych serwetkach i bieżnikach.

Ściany były pomalowane na cukierkoloróżowy kolor, a na wełnianej beżowej wykładzinie porozkładano dywany w kwiatowe wzory.

Unoszący się w pokoju japach przywodzi! na mysi cedrową szufladę przesączoną lawendową wodą kolońską.

Wszystko wprost lśniło nieskazitelną czystością. Gdyby, nie daj Boże, jakiś pyłek kurzu śmiało skalać ten majestatyczny blask, zapewne potulna psina wytropiłaby go bez zwłoki i poddała natychmiastowej eksterminacji.

- Zechce pan usiąść. Ja tymczasem powiadomię pannę Harper, że pan już przybył.
- Dziękuję, panno...?
- Paulson. Jane Paulson.
- Paulson? - W myślach szybko przebiegł odgałęzienia drzewa genealogicznego Roz. - A więc jest pani krewną panny Clarise Harper ze strony jej ojca.

Na policzkach dziewczyny pojawił się blady rumieniec.

- Owszem, łączą nas więzy krwi. A teraz pan wybaczy.

Biedne dziecko, pomyślał, gdy bezszelestnie zniknęła za drzwiami. Po czym, manewrując między meblami, bohaterstwo skazał się na jedno z krzesel.

Chwilę później usłyszał kroki, cichy trzask obracanej gałki i oto do saloniku wkroczyła pani domu we własnej osobie.

Chociaż była chuda jak patyk, Mitch nie nazwałby panny Harper kruchą - pomimo jej zaawansowanego wieku. Przywodziła raczej na myśl twardą skamielinę. Miała na sobie suknię w kolorze głębokiego fioletu i podpierała się hebanową laską o rączce z kości słoniowej.

Jej włosy przypominały śnieżnobiały hełm. Twarz - równie chuda jak reszta ciała - pokrywała gęsta siatka głębokich zmarszczek przysypanych suto pudrem i różem. Usta, wąskie niczym ostrze sztyletu, były pociągnięte szminką w odcieniu makowej czerwieni.

Na szyi i w uszach miała perły, a liczne pierścienie na palcach przywodziły na myśl połyskliwe kastety.

Tuż za panną Harper dreptała potulna psina.

Pamiętając o swojej roli, Mitch natychmiast zerwał się na równe nogi i skłonił z szacunkiem.

- Panno Harper, to dla mnie zaszczyt, że mogę panią poznać. Schylił się szarmancko do wyciągniętej ku niemu dłoni.
- Jestem bardzo zobowiązany, że zechciała pani znaleźć trochę czasu, by się ze mną spotkać. - Podał jej kwiaty i czekoladki. - Oto drobne oznaki mojej wdzięczności.

Kiwnęła głową, co od biedy mogło uchodzić za aprobatę.

- Dziękuję. Jane, wstaw te urocze róże do wazonu Mintona. Proszę spocząć, doktorze Carnegie. Przyznaję, że zaintrygował mnie pański list. - Usiadła na sofie i oparła ręce na lasce. - Jak rozumiem, nie wywodzi się pan z Memphis.
- Nie, szanowna pani. Z Charlotte. Tam też nadal mieszkają moi rodzice i siostra. Mój syn natomiast studiuje na tutejszym uniwersytecie, zmieniłem więc miejsce zamieszkania, by być blisko niego.
- Rozwiódł się pan z jego matka, czy tak?

Przeprowadziła własne śledztwo, pomyślał Mitch. Nie ma sprawy, On przeprowadził swoje.

- Tak jest.
- Osobiście nie pochwalam rozwodów. Małżeństwo to rzecz poważna, której nie należy traktować lekkomyślnie.
- Zgadzam się w całej rozciągłości. I muszę wyznać, że to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za rozpad mojego związku. - Patrzył prosto w jej świdrujące oczy. - Jestem alkoholikiem i choć od wielu lat nie piję, w czasie małżeństwa przysporzyłem mojej byłej żonie wiele stresu i cierpienia. Tym bardziej się cieszę, że wyszła ponownie za mąż, za wyjątkowo prawego człowieka, i wszyscy pozostajemy w doskonałych stosunkach.

Clarise zacisnęła wargi i skinęła głową.

- Szanuję ludzi, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za własne ułomności. Jeżeli mężczyzna nie wie, co to umiar, nie powinien tykać butelki. Koniec, kropka.

Stara wiedźma.

- Ja właśnie jestem tego żywym dowodem.

Wciąż siedziała nieporuszona i pomimo blisko osiemdziesiątki, trzymała się prosto jak trzcina.

- Pan wyklada?
- Wykładałem. Obecnie zajmuję się jedynie pracą naukową, a także pisaniem biografii i dokumentowaniem historii znanych rodów Południa. Nasze dziedzictwo jest naszą opoką.
- Bez wątplenia. - Przeniosła wzrok na Jane, która właśnie weszła z kwiatami.
- Nie, nie tam! - rzuciła ostro. - Tutaj, ale uważaj na wazon. I podaj wreszcie napoje. Nie wolno tak karygodnie zaniedbywać podstawowych wymogów gościnności.

Skarciwszy dziewczynę, znów przeniosła uwagę na Mitcha.

- A więc jest pan zainteresowany historią Harperów.
- Nawet bardzo.
- W takim razie zapewne panu wiadomo, że Harperowie odegrali żywotną rolę w tworzeniu podwalin hrabstwa Shelby, a w zasadzie całego stanu Tennessee.
- Jestem tego w pełni świadomy i mam nadzieję, że dane mi będzie dokładnie przedstawić ów cenny wkład. Z tego powodu zjawiłem się dziś tutaj, by prosić panią o podzielenie się ze mną wspomnieniami. Mam również nadzieję, że zechce mi pani udostępnić wszelkie listy czy inne dokumenty, które mogłyby pomóc w napisaniu szczegółowej i rzetelnej historii rodu Harperów.

Zauważył, że Jane właśnie pojawiła się w drzwiach z wielką tacą, zastawioną filiżankami i brzuchatym dzbankiem. Zerwał się z krzesła i ruszył w jej stronę.

- Proszę pozwolić, że pomogę.

Dziewczyna natychmiast posłała trwożne spojrzenie w stronę wiekowej ciotki. Wyraźnie zmieszana, pozwoliła jednak, by wziął z jej rąk tacę.

- Dziękuję panu.

- Nalej wreszcie lej herbaty!
- Panna Paulson, jak mi wiadomo, jest pani krewną ze strony ojca - rzucił pogodnie Mitch, z powrotem siadając na krześle. - Zapewne jest dla pani źródłem wielkiej radości.

Clarise lekko skinęła głową z monarszą wyniosłością.

- Obowiązek wobec rodziny stanowi dla mnie zawsze nadrzędną wartość. Wnoszę, że jest pan już dość zaawansowany w swoich badaniach.
- Rzeczywiście. Jeżeli pani pozwoli... - Otworzył teczkę i wyjął dokument, który dla niej zawczasu przygotował. - Pomyślałem, że to opracowanie może panią zainteresować. Drzewo genealogiczne rodu Harperów, które osobiście sporządziłem.

Przyjęła złożony papier, machnęła w powietrzu palcami i Jane natychmiast podskoczyła z okularami zawieszonymi na złotym łańcuszku.

Podczas gdy Clarise studiowała owoc jego pracy, Mitch próbował się przymusić do przełknięcia paru łyków cienkiej, ziołowej herbatki.

- Ile pan sobie za to życzy?
- To prezent, panno Harper. Nie może być inaczej, skoro pani nie zamawiała moich usług. Co więcej, to ja zwracam się do pani z prośbą o pomoc w zgłębieniu tematu, który mnie niezwykle frapuje.
- Chciałabym jasno zaznaczyć, doktorze Carnegie, że nie będę tolerować żadnych pańskich roszczeń finansowych. Czy to jasne?
- Jak najbardziej. - Widzę, że cofnął się pan do osiemnastego wieku, kiedy to moi przodkowie wyemigrowali z Irlandii. Czy zamierza pan sięgać jeszcze głębiej w przeszłość? - Owszem, chociaż głównie chciałbym się skoncentrować na losach gałęzi rodu zamieszkałej w Tennessee: na tym, co tu stworzyli po przybyciu do Ameryki, oraz ich pierwszoplanowej roli w przemyśle, życiu kulturalnym i społecznym. A przede wszystkim na rodzinie jako takiej - codziennej egzystencji, narodzinach, zgonach, małżeństwach.

Panna Harper popatrzyła na niego zza szkieł okularów jastrzębim wzrokiem - wzrokiem drapieźcy.

- Czemu znalazła się tu także służba?

Zanim do niej przyszedł, zastanawiał się, co powinien powiedzieć, gdyby padło podobne pytanie, i postanowił posłuchać głosu intuicji.

- Tylko dlatego, że byli częścią pewnego organizmu, fragmentem tkanki. Nawiasem mówiąc, jestem w kontakcie z prawnuczką ochmistrzyni zatrudnianej w Harper House za czasów pani matki, Victorii Harper. Zależy mi, żeby w książce możliwie obszernie przedstawić codzienne życie rodziny, jak też imprezy towarzyskie, z których wydawania Harperowie słynęli w całym stanie. - A rodzinne brudy? - prychnęła majestatycznie. - Historie znane jedynie domownikom i służbie? - Zapewniam panią, że nie jest moją intencją tworzenie czegokolwiek na kształt *roman a clef* pragnę natomiast spisać szczegółową, oparta na faktach historię rodu. Rodzina taka jak pani, panno Harper, niewątpliwie doświadczała triumfów i tragedii, zapewne też nie obyło się bez skandali. Nie zamierzam taić niczego, co odkryję w trakcie swoich badań, jestem jednak przekonany, że cnoty i dokonania pani przodków znaczą wielokrotnie więcej niż ewentualne ułomności.

- A ułomności i skandale dobrze się sprzedają?

- Nie mogę zaprzeczyć. Ale jestem przekonany, że dzięki pani pomocy książka mogłaby wyraziściej podkreślić najcenniejsze zalety rodu.

- W rzeczy samej. - Panna Harper odłożyła dokument i wypła kilka łyków herbaty. - Pan, jak miemam, zdążył już także nawiązać kontakt z Rosa-lind Harper - podjęła po chwili.

- Owszem.

- A czy ona... wyraziła zgodę na współpracę?

- Tak jest. Okazała mi daleko idącą pomoc i pozwoliła spędzić sporo czasu w Harper House. To olśniewająca rezydencja. Świadectwo wielkich dokonań pani przodków, a także hołd dla piękna, elegancji i ciągłości rodu.

- Harper House został wzniesiony przez mojego prapradziada, jego syn zaś z poświęceniem ochraniał dom w czasie wojny z północnym agresorem. Mój dziad rozbudował i unowocześnił rezydencję, wszakże z pełnym poszanowaniem dla historii i tradycji.

Mitch spodziewał się, że lada moment usłyszy, w jaki sposób do świetności Harper House przyczynił się jej wuj, jednak się nie doczekał - Clarise zamilkła.

- Ten dom jest prawdziwym skarbem naszego hrabstwa - powiedział więc w końcu.
- To najstarsza rezydencja w kraju zamieszkiwana od zarania przez potomków jednej rodziny. W mojej opinii nigdzie w Tennessee, a w zasadzie w całych Stanach nie znajdzie pan posiadłości mogącej dorównać Harper House urodą. Żałuję jedynie, że mój kuzyn nie spłodził syna i nie zapewnił ciągłości nazwisku.
- Pani Harper używa nazwiska rodowego.
- I urządziła stragan z kwiatami na terenie rezydencji! - prychnęła po raz kolejny i lekceważąco machnęła upierścienioną ręką. - Można by żywić nadzieję, że jej syn, gdy odziedziczy dom, wykaże się większym rozsądkiem i poczuciem godności, ale raczej nic tego nie zwiastuje.
- Pani rodzina zawsze zajmowała się handlem, przemysłem, operacjami finansowymi.
- Ale nigdy nie zamieniała własnego gniazda w sklep. Doktorze Carnegie, może rzeczywiście zgodzę się z panem współpracować, kuzynkę Rosalind bowiem trudno uznać za miarodajne źródło wiedzy o historii rodu. Jak zapewne zdążył się pan zorientować, nie pozostajemy w dobrych stosunkach.
- Przykro mi to słyszeć.
- Podobny rozwój wypadków był raczej nieunikniony. Szczególnie w świetle tego, co usłyszałam ostatnio. Podobno w Harper House zamieszkują osoby spoza rodziny, a na dodatek jedna z nich jest Jankeską!

Mitch milczał przez moment, szybko się jednak zorientował, że Clarise oczekuje od niego potwierdzenia Owych rewelacji.

- W istocie, o ile mi wiadomo, w rezydencji gości kilka osób, z których jedna jest także skoligaconą z panią Harper poprzez jej pierwszego męża.
- Dziewczyna z nieślubnym dzieckiem. - Jaskrawo pomalowane usta zacisnęły się w ledwo widoczną kreskę. - Wstyd i hańba!
- Dość... delikatna sytuacja, ale spotykana w historii niemal każdej rodziny. Tak się składa, że jedna z legend dotyczących Harper House i pani rodu mówi o duchu młodej kobiety, która być może znalazła się w równie delikatnej sytuacji.
- DUBY SMALONE.

Mitch na moment zaniemówił z wrażenia. Jeszcze nigdy nie słyszał, by ktoś użył takiego wyrażenia w bezpośredniej rozmowie.

- Duchy! Też coś! Od człowieka z pańskim wykształceniem oczekiwałabym więcej rozsądku.
- Duchy, podobnie jak skandale, dodają opowieściom pikanterii. Najistotniejsze jednak, że legenda o Oblubienicy Harperów jest bardzo rozpowszechniona w okolicy. Nie sposób więc o niej nie wspomnieć w szczegółowej historii rodziny. Prawdę powiedziawszy, byłoby zdumiewające, gdyby wokół domu równie wiekowego i bogatego w tradycję nie narosły mity o pojawieniu się duchów. Dorastając, musiała pani niejednokrotnie słyszeć tę opowieść.
- Oczywiście, że ją słyszałam, ale już w dzieciństwie miałam dość rozsądku, by nie wierzyć w takie nonsensy. Niektórzy uważają podobne bzdury za romantyczne, ja nie. Jeżeli rzeczywiście zna się pan na swojej pracy, szybko odkryje, że w Harper House nie zmarła żadna kobieta z naszej rodziny, odpowiadająca wiekiem owej domniemanej oblubienicy. W każdym razie nie od czasu gdy po raz pierwszy zaczęto rozpowszechniać tę historię.
- A było to...?

- Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa za życia mojego dziadka. Pańskie własne dociekania... - postukała palcem w drzewo genealogiczne - ...jasno dowodzą, jak bałamutne są te opowieści. Moja babka dożyła późnego wieku - podobnie moja matka. Żadna z moich ciotek nie umarła jako młoda kobieta. Z kolei moja prababka oraz wszystkie jej dzieci, które doczekały piątego roku życia, odeszły z tego świata dopiero po ukończeniu czterdziestu lat.
- Słyszałem też zdania, że duchem jest jakaś daleka powinowata albo ktoś goszczący w domu czy może nawet służąca.
- Każda z tych teorii jest nonsensowna.

Mitch przybrał uprzejmy wyraz twarzy i kiwnął głową, pozornie zgadzając się z powyższą opinią.

- Niemniej ów duch dodaje posiadłości swoistego kolorytu. A więc, według pani, nikt z rodziny nie widział na własne oczy legendarnej Oblubienicy?
- Oczywiście, że nie.
- Szkoda. Mógłby to być interesujący rozdział książki. Miałem nadzieję, że ktoś opisał swoje przeżycia związane ze zjawą w pamiętniku czy dzienniku. A gdy już mowa o pamiętnikach, tych z zupełnie przyziemnymi relacjami, chętnie wykorzystałbym podobne materiały, żeby nadać opowieści bardziej osobisty charakter. Czy posiada może pani zapiski prowadzone przez rodziców lub innych przodków? Babkę, ciotki, kuzynów?
- Nie.

Kątem oka dostrzegł, że Jane otwiera usta, jakby właśnie zamierzała coś powiedzieć, po czym szybko je zamyka.

- Mam nadzieję, że wkrótce zechce mi pani udzielić obszerniejszego wywiadu. Może uzna pani za stosowne podzielić się kilkoma interesującymi anegdotami? Byłbym również wdzięczny za udostępnienie fotografii, które mógłbym skopiować - oczywiście na mój koszt - i umieścić w książce.
- Rozważę dogłębnie pańską propozycję i dam znać, gdy podejmę jakąś decyzję.

- Dziękuję bardzo, panno Harper. Raz jeszcze chciałbym wyrazić swoją wdzięczność, że poświęciła mi pani czas. - Podniósł się z krzesła i wyciągnął dłoń. - Historia pani rodziny niezwykle mnie fascynuje, a rozmowa z panią była prawdziwą przyjemnością.
- Do widzenia, doktorze Carnegie. Jane, odprowadź pana do wyjścia. Przy drzwiach uścisnął rękę dziewczyny i uśmiechnął się czarująco.
- Miło było panią poznać, panno Paulson.

Wyszedł na korytarz i czekając na windę, odruchowo kołysał się w przód i tył na obcasach.

Ta stara megiera miała jakieś dokumenty, których nie zamierzała wyciągać na światło dzienne. A potulna psina o nich wiedziała.

Roz szła do domu przez zagajnik. Miała dziś wyjątkowo dobry nastrój. Szybkimi krokami zbliżał się początek wiosennego sezonu. Zaczną z wielkim rozmachem, a zaraz potem nadejdą długie dni pełne ciężkiej, fizycznej pracy, którą kochała najbardziej.

Nowa mieszanka ziemi już zaczęła się nieźle sprzedawać, a gdy wiosna wybuchnie na dobre, największe worki będą się rozchodziły jak świeże bułeczki.

Tak podpowiadało jej przeczucie.

Prieczucie, które od wczoraj uległo wyostrzeniu - podobnie jak wszystkie inne zmysły. Roz słyszała ciche brzęczenie pierwszych owadów. Promienie słońca, przesiane przez gałęzie, przyjemnie łaskotały skórę, a mięśnie jakby nabrały nowej elastyczności.

Nic dziwnego, że były tak rozluźnione i gibkie po ostatniej nocy, pomyślała. Cztery orgazmy! I obietnica kolejnych, podobnych rozkoszy. A Mitch należał do ludzi, którzy dotrzymują słowa.

Równie wspaniały seks z pewnością zasługiwał na odnotowanie w kalendarzu.

Seks z Johnem... cóż, oboje byli bardzo młodzi i nie mogli się sobą nasycić. Nawet gdy na świat przyszły dzieci, erotyczna strona ich związku była nadal bardzo istotna.

A potem minęło wiele, wiele lat, zanim pozwoliła, by dotknął jej inny mężczyzna. I prawdę mówiąc, żaden nie poruszył w niej głębszych uczuć. Te związki były czysto fizyczne - i absolutnie nic poza tym.

Podobnie zresztą sprawa przedstawiała się z Bryce'em. Wówczas jednak Roz zdążyła już dojść do wniosku, że to wina jej ułomnej natury. Nie kochała go - ale lubiła, a poza tym podobał się jej jako mężczyzna.

Seks z nim w najlepszym wypadku można by określić jako przeciętny, ale to wystarczało. Przede wszystkim zależało jej na towarzystwie drugiego człowieka - na partnerstwie i przyjaźni.

Po rozwodzie - a w zasadzie jeszcze na długo przed nim - Roz żyła w celibacie z własnego wyboru.

Aż wreszcie zjawił się Mitch.

Przewartościował jej wyobrażenia o samej sobie i, na Boga, była mu za to szczerze wdzięczna. Poczowała radość i ulgę, gdy się przekonała, że jej popęd seksualny miał się jak najlepiej.

Mitch wyznał, że jest w niej zakochany, a to zatrzwożyło Roz. Miłość oznaczała rodzinę, małżeństwo. A takich spraw nie wolno traktować bez troski. Nigdy więcej lekkomyślnie nie wyjdzie za mąż i nie potraktuje miłości - prowadzącej do trwałego związku - niefrasobliwie.

Co nie zmieniało faktu, że tego wieczoru czuła się lekko i wspaniale.

Przechodząc przez trawnik spostrzegła, że rozchyliły się już pąki wczesnych żonkili. Może pójdzie po sekator i zetnie kilka pierwszych, wiosennych kwiatów do swojej sypialni?

Kiedy podeszła bliżej domu, spostrzegła na ganku Stellę i Hayley i pomachała do nich radośnie.

- Czuje już w powietrzu wiosnę! - wykrzyknęła. - Wkrótce będziemy musiały.
.. - urwała na widok ich twarzy. - Macie wyjątkowo ponure miny. Jakież kłopoty?
- Niezupełnie. Pani Haggerty przyjechała dziś po zakupy.
- Czy spotkało ją coś złego?
- Nie. Natomiast bardzo się dopytywała o twoje samopoczucie. Chciała się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.
- A czemu miałoby nie być w porządku?
- Martwiła się, że incydent w Klubie Ogrodniczym mógł mieć na Ciebie niekorzystny wpływ.
- Ach, tak. - Roz wzruszyła ramionami. - Więc ją uspokoiłyście.
- Czemu nam o tym nie wspomniałaś? - spytała ostro Stella.
- Słucham?
- Pani Haggerty powiedziała, że ta suka, ta nędzna imitacja Barbie, publicznie Cię obraziła - wtrąciła gniewnie Hayley. - Ponoć wciąż rozsiewa kłamliwe plotki, a na dodatek uważa się wszem wobec, że nękaś tego żalostnego dupka, którego się uwiesiła.
- A więc zostałyście zaznajomione z faktami. Pani Haggerty powinna jeszcze dodać, że to Mandy zrobiła z siebie idiotkę, wybiegając z histerycznym szlochem, i że zapewne czuje się o wiele bardziej upokorzona całym zajściem niż ja.
- Nie wspomniałaś nam o tym ani słowem - powtórzyła Stella.
- A niby czemu miałabym wspominać? - Ton Roz był wyniośle chłodny.
- Bo nawet jeżeli to Mandy przeżyła większe upokorzenie, całe zajście musiało Cię przygnębić. A mimo że jesteś naszą szefową i tak dalej...
- I tak dalej?
- I czasami potrafisz być trochę deprymująca - wyjaśniła Stella.
- Tylko trochę?
- Czynniki strachu znacznie zmalały w ciągu ostatniego roku.

- Ja się ciebie nie boję - rzuciła odważnie Hayley, po czym wtuliła głowę w ramiona, gdy Roz posłała jej zimne spojrzenie. - To znaczy nie tak bardzo.
- Pomimo że u ciebie pracujemy, jesteśmy też twoimi przyjaciółkami. A w każdym razie tak nam się wydawało.
- Och, na Boga jedyne! Czemu dziewczyny muszą być tak dużo bardziej skomplikowane od chłopaków? - Roz z głębokim westchnieniem usiadła na tarasowej huśtawce. - Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółkami.
- W takim razie... - podjęła ochoczo Hayley, rozsiadając się obok niej -... musisz nam natychmiast mówić, gdy jakaś chuda wywłoką próbuje cię zdołować. Bo inaczej skąd mamy wiedzieć, że jej serdecznie nienawidzimy? Skąd mamy wiedzieć, że przy każdej nadarzającej się okazji nie powinniśmy zostawiać na niej suchej nitki? Obrabiać jej tyłek na zawołanie? Na przykład tak: czy wiesz, że siedemdziesiąt pięć procent kobiet, których imiona w wymowie kończą się na „i”, to bezmózgie larwy?
- Czy tę rewelację wyczytałaś w kolorowej prasie, czy na poczekaniu wymyśliłaś na mój użytek? - Roz posłała dziewczynie rozbawione spojrzenie.
- To akurat wymyśliłam. Ale założę się, że jeżeli jeszcze te dziewczyny po ukończeniu dwunastego roku życia zamiast kropek nad „i” malują serduszka, to mam rację. A ta suka Mandy na pewno tak robi. A więc sama widzisz. Bezmózga larwa.
- Jest jedynie młodą, bezmyślną dziewczyną, która dała się omotać gładkiemu oszustowi.
- A ja twierdzę, że jest larwą.
- W każdym razie nie ma prawa wygłaszać podobnych nonsensów - ani bezpośrednio do ciebie, ani za twoimi plecami - dodała Stella.
- To prawda, ale na razie sama na tym wyszła najgorzej. I rzeczywiście, Stello, nie czułam się najlepiej w trakcie tej sceny. Po prostu nie znoszę, jak moje prywatne sprawy są wywlekane na forum publiczne.

- Ale my nie jesteśmy żadnym publicznym forum - zaprotestowała stanowczo Hayley.

W odpowiedzi Roz poklepała serdecznie obie młode kobiety.

Jak już wspomniałam, dziewczyny są bardziej skomplikowane od chłopaków, i choć sama zaliczam się do żeńskiego gatunku, mam wrażenie, że lepiej rozumiem mężczyzn. Tak czy owak, gdy zdecydowałam, że zachowam wydarzenia w klubie dla siebie, w żadnym razie nie zamierzałam zranić waszych uczuć.

- Chcemy tylko, abyś wiedziała, że zawsze będziemy stać przy tobie murem, na dobre i na złe.

Słowa Hayley głęboko poruszyły Roz.

- W takim razie powinniście się dowiedzieć, że już dawno wyrzuciłam Mandy z pamięci - jak wiele nieistotnych dla mnie osób. Poza tym jestem w zbyt dobrym nastroju, żeby ciągnąć rozmowę na jej temat. Kiedy kobiecie - a w szczególności kobiecie dobrze po czterdziestce - trafia się kochanek, który w ciągu jednej nocy jest w stanie doprowadzić ją do tylu orgazmów, że nie wystarczy palców jednej ręki, by je zliczyć, wówczas ta kobieta natychmiast zapomina o jakiejś głupiej, pozbawionej dobrych manier dziewczynie.
- Raz jeszcze poklepała przyjaźnie Stellę i Hayley i podniosła się z huśtawki. - To dopiero jest sensacja, co? - rzuciła i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu.
- Ale numer - wyjąkała Hayley, gdy w końcu udało jej się zamknąć rozdziawione usta. - Meganumer. Jak myślisz, ile razy miała na myśli? Co najmniej sześć, no nie?
- Wiesz, co pomyślałam, gdy pierwszy raz zobaczyłam Roz? Że kiedy będę miała tyle lat, chciałabym być taka jak ona. I, do diabła, teraz pragnę tego jeszcze bardziej.

Roz weszła z ogrodu prosto do kuchni i natychmiast skierowała się do dzbanka z kawą. Kiedy tylko napełniła filiżankę, cmoknęła w policzek Davida, właśnie przyrządzającego swoją słynną gorącą czekoladę.

- Chłopcy na dworze?
- Pozbywają się nadmiaru energii, goniąc za Parkerem, i nabierają apetytu na czekoladową ucztę. Mój trzeci gość, jak widzisz, właśnie odpłynął.

Roz z uśmiechem spojrzała na wysokie krzeselko, w którym drzemała w najlepsze Lily.

- Prześliczna laleczka. I bardzo pięknie z twojej strony, że zgodziłeś się zająć całą trójką, aby nasze panny mogły mnie znienacka dopaść na tarasie.
- Wszyscy robimy, co w naszej mocy. A ty powinnaś była nam powiedzieć, co knuje ta głupia, mała suka.
- Czy sądzisz, że sama sobie nie poradzę z jedną małą, głupią suką?
- Ty poradzisz sobie ze wszystkim i ze wszystkimi, niemniej musisz nas informować o takich rzeczach. Inaczej skąd mógłbym wiedzieć, jaką mam ulepić laleczkę wudu?
- Nie zwracaj sobie tym głowy, skarbie. Zanim Bryce skończy z tą dziewczyną, powtyka jej tyle szpilek, że nikt nie da rady ich zliczyć.
- Nie spodziewaj się, że wówczas okażę jej współczucie.
- Cóż, sama wzięła na siebie ten krzyż.
- Kolacja mniej więcej za godzinę - powiedział David, gdy Roz zaczęła się zbierać do wyjścia. - Poza tym masz kilka wiadomości na sekretarce. Nie odsłuchałem ich, bo przyszły na twoją prywatną linię.
- Przesłucham je na norze.

Zabrała ze sobą filiżankę z kawą, a gdy tylko przekroczyła próg sypialni, zrzuciła buty i podeszła do telefonu, po czym nacisnęła guzik odtwarzania.

- Roz, nie chciałem zwracać ci głowy w pracy.
- Ależ ma pan uroczy głos, doktorze Carnegie - westchnęła i przysiadła na łóżku, by w spokoju wysłuchać całej wiadomości.

- Zapomniałem ci wczoraj powiedzieć, że dziś tradycyjnie Josh wpada do mnie na pizzę. Mam nadzieję, że będziesz za mną tęsknić i że zdołam ci wynagrodzić dzisiejszy zawód, zabierając cię jutro wieczorem do miasta. Gdziekolwiek zechcesz. Poza tym poczyniłem pewne postępy w pracy, o czym także chciałbym jutro z tobą porozmawiać. Przyjadę do Harper House w okolicach południa. Jeżeli się nie spotkamy, w każdej chwili możesz mnie złapać pod komórką. Będę cały czas o tobie myślał.
- To bardzo miło z pana strony. Doprawdy bardzo miło.

Wciąż jeszcze była w doskonałym nastroju, gdy rozpoczęło się kolejne nagranie.

- Pani Harper, tu William Rolls z Riverbend Country Club. Dzisiaj rano otrzymałem pani list. Bardzo mi przykro, że jest pani tak wysoce niezadowolona z poziomu naszych usług, iż postanowiła pani zrezygnować z członkostwa w klubie. Muszę przyznać, że lista przedstawionych przez panią zarzutów zdumiała mnie niepomrotnie i bardzo żałuję, że nie zdecydowała się pani omówić ich ze mną osobiście. Przez wiele lat bardzo sobie ceniliśmy pani członkostwo w Riverbend, i z ubolewaniem przyjęliśmy pani nagłą decyzję. Jeżeli zechciałaby pani przedyskutować tę przykrą sprawę, proszę się ze mną skontaktować o dowolnej porze pod jednym z poniżej wymienionych numerów telefonów. Raz jeszcze szczerze żałuję, że doszło do podobnej sytuacji.
- Pieprz się, Bryce!

W ciągu niecałej godziny nie tylko odbyła rozmowę z Williamem Rollsem - zapewniła, że jest zadowolona z klubu, że nie ma żadnych zarzutów i że w ogóle nie napisała listu - ale także dostała faksem kopię tego nieszczęsnego dokumentu.

Gdy przebiegła kartkę wzrokiem, miała wrażenie, że zaraz eksploduje. Właśnie ze złością wciągała buty, gdy w progu stanęła Hayley z Lily na rękę.

- David mówi, że kolacja...rety, co się stało?

- Co się stało?! Chcesz wiedzieć, co się stało?! Pokażę ci! - Chwyliła list, który chwilę wcześniej rzuciła na łóżko. - Oto, co się stało! Ten nędzny sukinsyn o kręgosłupie moralnym żmii o jeden raz za dużo wystawił moją cierpliwość na próbę.
- „Przyjmowanie indywidualów wywodzących się z klas niższych oraz mieszanym etnicznie par - przeczytała Hayley, odsuwając arkusz, by znalazł się poza zasięgiem rączek Lily. - Personel podejrzanego autoramentu. Haniebne spoufalanie się pracowników z członkami klubu, karygodny poziom obsługi”.
- Oczami wielkimi jak spodki spojrzała na Roz. Ty nie napisałaś czegoś podobnego.
- Oczywiście, że nie. Dlaczego zamierzam znaleźć Bryce'a Clerka i wepchnąć mu ten list wprost do plugawego gardła!
- W żadnym razie! - Hayley rzuciła się, by zastawić sobą drzwi, a zrobiła to tak gwałtownie, że Lily aż zaczęła podskakiwać i pisać z radości, w oczekiwaniu na nowe atrakcje.
- W żadnym razie? Co to znaczy „w żadnym razie”? Nie mam zamiaru dłużej znosić takich szykan. Dostyc tego! Mam nadzieję, że zanim na dobre skończę z tym draniem, on to wreszcie pojmie!
- Nic podobnego. Nie możesz nigdzie wyjść w takim stanie. Jesteś zbyt rozwścieczona. - Hayley jeszcze nigdy nie widziała Roz doprowadzonej do białej gorączki i teraz określenie Stelli „trochę deprymująca” wydało jej się subtelnym niedomówieniem. - Poza tym choć oczywiście nie jestem ekspertem w tych sprawach, założę się o całą miesięczną pensję, że on tylko czeka, abyś tak właśnie postąpiła. Musisz więc przede wszystkim usiąść i ochłonąć.
- Muszę przede wszystkim skopać mu jaja.
- Świetnie, rewelacyjny pomysł. Tyle że on zapewne przewidział podobną reakcję i już dobrze zdążył się przygotować na tę ewentualność. Najprawdopodobniej zostaniesz aresztowana za czynną napaść lub coś w tym rodzaju. On się tobą bawi, Roz.

- Myślisz, że tego nie wiem?! - Roz zaczęła wymachiwać rękami i szukać wzrokiem czegoś, co mogłaby roztrzaskać w drobny mak lub przynajmniej cisnąć na podłogę. - Naprawdę myślisz, że nie wiem, co ten sukinsyn kombinuje?! Nie zamierzam jednak spokojnie czekać na kolejne ekscesy!

W jej krzyku było tak wiele niepohamowanej furii, że Lily zaczęły gwałtownie drżeć wargi i chwilę później dziewczynka zanosła się głośnym płaczem.

- O, Boże. Teraz jeszcze, na domiar złego, wystraszyłam dziecko. Przepraszam. Przepraszam, maleńka. Daj mi ją na moment.

Roz wzięła od Hayley rozszlochaną Lily i zaczęła tulić w ramionach.

- No już, kochanie, już dobrze. Ja się nie złoszczę ani na ciebie, ani na twoją mamę. Tak mi przykro, skarbie. - Lily przywierała do niej całym ciałkiem i choć nadal trzęsła się konwulsyjnie, powoli się uspokajała. - Wściekłam się jedynie na tego tandetnego, nędznego skurwiela, który robi wszystko, co może, by zatruć mi życie.

- Powiedziałaś „skurwiela” - szepnęła Hayley, wyraźnie pod wrażeniem.

- Przepraszam. Ale ona nie rozumie, co mówię, więc jej nie zdemoralizuję. - Lily już przestała płakać i skoncentrowała się teraz na szarpaniu Roz za włosy. - Nigdy nie powinnam była tak się przy niej wydzierać. Przeraziły ją nie słowa, tylko ton mojego głosu.

- Ale powiedziałaś „skurwiela”. Roz parsknęła śmiechem.

- Byłam okropnie rozwścieczona - odrzekła, spacerując z dzieckiem po pokoju, by uspokoić i siebie, i małą. - Wpadłam w szał. Muszę ci jednak przyznać rację. Choć to frustrujące, nie mogę lecieć do niego z pięściami. Gad tylko na to czeka. A przecież w gruncie rzeczy nie może zrobić niczego, czego szybko nie dałoby się naprawić.

- Roz, tak mi przykro. Chętnie bym sama pobiegła skopać mu jaja w twoim imieniu.

- Dziękuję, skarbie. To doprawdy uroczo z twojej strony. Ale teraz obie pójdziemy jedynie na kolację. - Uniosła Lily do góry i zaczęła dmuchać ma-

łej w brzuszek, pobudzając ją tym natychmiast do śmiechu. - Prawda, małeńka? Zejdziemy teraz wszystkie razem do kuchni i przestaniemy myśleć o tym dupku.

- Jesteś pewna?
- Najzupełniej.
- Wobec tego dobrze. A tak przy okazji - żmije chyba nie mają kręgosłupa. Roz spojrzała na Hayley w osłupieniu.
- Co takiego?
- Wspominałaś coś o „kręgosłupie żmii” - wcześniej, kiedy wściekałaś się na Bryce'a. Tymczasem wydaje mi się, że żmije nie mają kręgosłupa, najwyżej jakąś szkieletową tkankę chrzęstną. Ale może się mylę. Nie lubię żmij, więc szczególnie się nimi nie interesowałam.
- Wielkie nieba, Hayley, ty nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

15

Roz odłożyła spotkanie z Mitchem na drugi dzień, a potem na następny. Chciała najpierw uporządkować myśli i stłumić złość, a to zawsze wymagało czasu. Poza tym musiała spotkać się ze swoim prawnikiem, a także Williamem Rollsem.

Nienawidziła, szczerze nienawidziła, kiedy coś odrywało ją od pracy - szczególnie u progu nowego sezonu. Mogła jedynie dziękować Bogu za Harpera oraz Stellę i Hayley, bo przynajmniej miała pewność, że pozostawia firmę w jak najlepszych rękach.

Niemniej wolałaby sama nad wszystkim czuwać, a nie tracić czas na sprzątanie bałaganu po Brysie Clerku.

Kiedy już miała za sobą te nieprzyjemne sprawy, w gęstym deszczu, ciężkim krokiem skierowała się w stronę cieplarni.

Wreszcie będzie mogła przynajmniej przez parę godzin zająć się przygotowaniem do wiosennej premiery. A przy okazji zaszyć się ze swoim bólem głowy i zwarzonym nastrojem w odosobnionym miejscu i pozwolić, by ulubiona praca działała cuda - przywróciła jej siły i dobry humor.

Kiedy skończy, poszuka Mitcha. Jeżeli nie zastanie go w bibliotece, złapie pod którymś z telefonów. Stęskniła się za jego towarzystwem - a przynajmniej miała nadzieję, że do wieczora się stęskni.

Chciała porozmawiać o czymś innym niż jej obecne problemy. A jakże miło byłoby rozsiąść się z Mitchem w saloniku, przy ogniu płonącym w kominku - szczególnie jeśli nadal utrzyma się deszczowa pogoda - i pławić w zachwycie, z jakim na nią patrzył?

Kobieta szybko przywiązuje się do mężczyzny, który posyła jej takie spojrzenia, jakby była najpiękniejszą, najbardziej godną pożądania istotą na świecie. A w pewnym momencie może nawet uwierzyć, że jest tą jedną jedyną. Jaka to wielka różnica, pomyślała Roz, czuć tylko pociąg do mężczyzny, a mieć przeświadczenie, że można mu także ufać. Otworzyła drzwi do cieplarni. I nagle znalazła się we własnej sypialni.

Jedynym źródłem światła w pokoju był przygasający ogień w kominku, rozjaśniający mrok złotoczerwonymi błyskami. Roz najpierw ich usłyszała - przyspieszone oddechy, zduszony śmiech, szelest zdejmowanych ubrań.

A potem ujrzała Bryce'a, swojego męża, oraz kobiecie* która była gościem w jej domu. Obejmowali się. Chociaż nic... raczej gorączkowo obłapiali, jak by nie mogli się już doczekać, kiedy dotkną swoich nagich ciał, posmakują się nawzajem. Roz niemal fizycznie czuła ich wzajemne pożądanie, dreszcz emocji, jakiego dostarczają potajemne schadzki. I zrozumiała w mgnieniu oka, że nie dzieje się tak pierwszy raz.

Stała w bezruchu, podczas gdy odgłosy toczącego się na dole przyjęcia zdawały się zamierać w jej uszach, i chłonęła obrazy zdrady, przełykając gorycz upokorzenia.

Tak jak kiedyś, obróciła się na pięcie i zaczęła wycofywać, żeby ich zostawić samych, nie ujawnić swojej obecności, ale gdy położyła dłoń na gałce drzwi, Bryce odwrócił się w jej stronę, nie odrywając dłoni od piersi siedzącej obok niego kobiety.

Po czym uśmiechnął się radosnym, czarującym, łobuzerskim uśmiechem.

- Nigdy nie byłem ci wierny, głupia suko. Nikt z nas nie jest.

Ledwo wypowiedział te słowa, a na jego twarzy zatańczył cień i rysy przemieniły się w rysy Mitcha.

- I czemu mielibyśmy być? Kobiety są po to, żeby je wykorzystywać. Czy doprawdy ci się zdaje, że różnicie się jedna od drugiej? - W jego pięknym, ciepłym głosie pobrzmiwała pogarda, a jednocześnie Mitch ani na moment nie przestawał pieścić kobiety, którą trzymał w ramionach. - Wszyscy kłamujemy, bo możemy sobie na to pozwolić.

Cień zatańczył raz jeszcze i Roz ujrzała twarz Johna. Jej męża, jej wielkiej miłości. Ojca jej dzieci.

- Czy doprawdy wierzysz, że byłem ci wierny, ty żałosna idiotko?

- John. - Ból i rozpacz niemal zwały ją z nóg. Był tak młody, tak pełen życia.

- O, Boże, John!

- O, Boże, John! - sparodiował ją zjadliwie, tak gorąco pieszcząc przy tym obejmowaną kobietę, że aż zaczęła jęczeć z rozkoszy. - Potrzebowałem synów. A ty byłaś dla mnie jedynie rozplodową klaczą. Gdybym miał więcej szczęścia i nie zginął, porzuciłbym cię, zostawił i zabrał ze sobą dzieci.

- Kłamiesz.

- Wszyscy mężczyźni kłamią.

Kiedy wybuchnął śmiechem, musiała przycisnąć dłonie do uszu. Kiedy się zaśmiewał, miała wrażenie, że okładają ją niewidzialne pięści - wściekle, boleśnie - aż w końcu opadła na kolana.

Z jej ust wyrwał się szloch - głośny, nieopanowany, gorzki.

Nie słyszała szcęknięcia otwieranych drzwi. Nie słyszała krzyku. Poczula, że nagle obejmują ją mocno czyjeś silne ramiona. I poznała zapach swojego syna.

- Mamo, co się stało? Ktoś zrobił ci krzywdę? Coś cię boli? Mamo!
- Nie, nie. - Przywarła do niego z całej siły, wtuliła twarz w jego pierś i próbowała powstrzymać płynące łzy. - Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Nie martw się. Ja tylko...
- Nic nie jest w porządku i przestań mi mówić, żebym się nie martwił. Powiedz natychmiast, co się wydarzyło.
- Za chwilę. Daj mi minutę, l'ozwolila, by ją kołysał w ramionach i z przyjemnością chłoneła ciepło przenikające jej zlodowaciałe ciało. - Och, Harperze, sama nie wiem, kiedy stałeś się takim dużym, silnym mężczyzną. Jeszcze niedawno byłeś moim małym chłopcem.
- Cała drżysz. Ty nie jesteś chora, ale przerażona.
- Nie jestem przerażona. - Odetchnęła głęboko. - Tylko trochę wstrząśnięta, jak sądzę.
- Zabieram cię do domu. Opowiesz mi wszystko na miejscu.
- Ja... Och, dobrze, rzeczywiście, tak chyba będzie najlepiej. - Odsunęła się odrobinę od syna i otarła twarz. - Nie chcę się teraz z nikim widzieć. I nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył w takim stanie. Jestem przekonana, że wyglądam jak wrak człowieka.
- Niczym się nie przejmuj. Chcesz, żebym cię zaniósł do samochodu?
- Och... - Z oczu znowu zaczęły jej płynąć łzy, teraz już wzruszenia. - Mój kochany chłopiec. Nie, dziękuję. Pójdę o własnych siłach. Ale najpierw musisz

mi coś powiedzieć. Czy tutaj, w cieplarni, wszystko jest w porządku? Tak jak zazwyczaj?

Ponieważ wyczuł w jej głosie wielkie napięcie, posłusznie rozejrzał się wokół.

- Oczywiście. W jak najlepszym porządku.
- To dobrze. Jedźmy do domu.

W siekącym deszczu Harper zaprowadził ją do auta. Dopiero gdy opadła na siedzenie, wydała z siebie westchnienie ulgi.

- Nie ruszaj się. Postaraj zrelaksować. - Nachylił się i własnoręcznie zapiął jej pas. - Już za moment pojedziemy do domu. Przede wszystkim musisz się jak najszybciej rozgrzać.
- Będiesz kiedyś dobrym ojcem.
- Co takiego?
- Masz w sobie tyle troskliwości - może dlatego, że jesteś ogrodnikiem; nie tylko wiesz, jak się opiekować innymi, ale bez słowa zabierasz się do działania. Chryste, dwa ostatnie dni były po prostu parszywe.
- Pokłóciłaś się z Mitchem czy coś w tym stylu?
- Nie. - Roz siedziała z zamkniętymi oczami, nie mogła jednak powstrzymać się od uśmiechu. - Nie mam zwyczaju wpadać w histerię z powodu jakiejś sprzeczki. Chwalić Boga, trzeba o wiele więcej, by doprowadzić mnie do takiego stanu.
- Od czasu śmierci taty nie widziałem, żebyś się zanosila takim szlochem.
- Bo nigdy potem już tak nie płakałam. - Poczula, że skręcają, otworzyła oczy i ujrzała Harper House. - Czy kiedykolwiek chciałeś, żebym porzuciła to miejsce, pozbyła się domu?
- Skądże. - Spojrzał na nią osłupiały. - Oczywiście, że nie.
- Dobrze to wiedzieć. Mieć pewność. Bo chyba nie byłabym w stanie tego zrobić - nawet dla ciebie.
- To nasze miejsce na ziemi, zawsze tak było i będzie.

Wyskoczył z samochodu i znalazł się obok niej, zanim zdążyła się na dobre ruszyć.

- Harperze, jesieni tylko trochę roztrzęsiona, a nie śmiertelnie ranna.
- Natychmiast pójdziesz na górę. Przebierzesz się w suche rzeczy, a ja tymczasem przyniosę ci brandy.
- Słuchaj, to pewnie zabrzmiało głupio, jednak na razie wolałabym nie iść do siebie.
- W takim razie sam ci przyniosę świeże ubranie. Przebierzesz się na parterze.
- Dzięki.

Nie zadawał zbędnych pytań - nie dociekał dlaczego. Nie wahał się ani przez moment. Wychowała go na fantastycznego faceta.

- Idź do Davida - zarządził. - Powiedz, żeby dał ci brandy i zaparzył świeżą herbatę.

Zanim jednak ruszyła w stronę kuchni, z biblioteki wyszedł Mitch.

- Tak mi się zdawało, że dobiegają stąd głosy - od jakiegoś czasu już nad słuchuję... - Urwał, gdy podszedł bliżej, po czym przyspieszył kroku. - Co się stało? Miałaś wypadek? Jesteś chora?
- Nie. A wyglądam na chorą?
- Jesteś blada jak płótno i widzę, że płakałaś. - Spojrzał ponad ramieniem Roz na Harpera. - Co z nią?
- W tej chwili mama nie ma ochoty z kimkolwiek rozmawiać.
- W porządku, kochanie. - Roz ścisnęła dłoń syna. - Rzeczywiście tak powiedziałam - wyjaśniła Mitchowi. - Ale gdy tylko trochę się ogarnę, chcę wam obu - a właściwie całej trójce, bo zapewne David krząta się po kuchni - wszystko opowiedzieć.
- Ona musi się przebrać w coś suchego - oświadczył Harper. - Bądź tak miły, zabierz mamę do Davida i wlej w nią kieliszek brandy. Ja pójde po ubranie.

- Na Boga, do czego dochodzi, gdy mała kobietka znajdzie się w domu pełnym dużych, władczych mężczyzn. Mnie nie trzeba nigdzie zabierać, poza tym wciąż jeszcze jestem zdolna sama wlać w siebie nieco alkoholu.
- Dochodzi do siebie. - Harper skinął głową w stronę Mitcha. - Zajmij się nią, proszę. Za minutę jestem z powrotem.
- Przestraszyłam go - odezwała się Roz, gdy szybkie kroki Harpera zadudniły na schodach. - I zmartwiłam. Nienawidzę, kiedy się martwi.
- Mnie też przestraszyłaś.
- Trudno, teraz już nic nie mogę na to poradzić. Chętnie jednak napiję się tej brandy.

Gdy tylko przekroczyła próg kuchni, David rzucił się w jej stronę ze ściągniętą niepokojem twarzą. Roz szybko uniosła dłoń.

- Nie jestem chora, nie miałam wypadku, nic mi nie dolega, nie ma więc powodu do zamieszania. Chcę jedynie wypić porządny kieliszek brandy i włożyć suche ubranie, które za chwilę przyniesie tu Harper. Mogę się przebrać u ciebie?
- Jasne. Ale teraz siadaj. - David skierował się do kredensu, wyciągając po drodze ścierkę zatkniętą za pasek spodni i ocierając dłonie z mąki. - Co ją doprowadziło do płaczu?

Ponieważ w Jego pytaniu zabrzmiała oskarżycielska nuta, Mitch szybko wzniosł ręce w pokojowym geście.

- Ja cały czas siedziałem w domu, jak wiesz. Harper przywiózł ją tutaj już w takim stanie.
- Chciałabym zauważyć, że wciąż tu siedzę, mogę więc mówić sama za siebie. Dziękuję, skarbie. - Uniosła kieliszek i pociągnęła spory łyk. - Nigdy nie lubiłam tego świństwa, ale muszę przyznać, że jest skuteczne.

Kiedy Harper pojawił się z dżinsami, bawełnianą bluzą i wełnianymi skarpetami, zdobyła się nawet na uśmiech.

- Mój bohater. Dajcie mi trochę czasu, za chwilę opowiem wam, co się stało.

Harper czekał cierpliwie, aż Roz weszła do pokoju Davida i zamknęła za sobą drzwi.

- Znalazłem ją, jak siedziała na posadzce w cieplarni i zanosila się rozdzierającym szlochem. A przecież mama nigdy nie płacze. Rozkleja się czasami, kiedy jest szczęśliwa lub popada w sentymentalny nastrój, ale gdy dzieje się coś złego - nic nie daje po sobie poznać.
- Co się działo przez ostatnie dwa dni? - spytał ostro Mitch i zauważył, że David i Harper wymieniają znaczące spojrzenia. - Dobrze wiem, że musiało zajść coś przykrego, bo Roz starannie unikała mojego towarzystwa.
- Najlepiej będzie, jak sama ci opowie. Davidzie, mama powinna napić się gorącej herbaty, nie sądzisz?
- Włączę czajnik. A ty wyjmij te karmelowe pralinki z lodówki. Czekolada szybko poprawi jej nastrój. Mitch, może tymczasem napalisz w kominku? Jakoś nie zwracałem sobie dziś tym głowy.

Kiedy Roz stanęła w drzwiach, David właśnie parzył herbatę, Harper układał na talerzyku wytworne czekoladki, a Mitch kończył rozniecać ogień.

- Gdybym wiedziała, że wystarczy kilka łez, by wokół mnie zaczęło się krzątać trzech zabójczo przystojnych facetów, co kilka dni zanosilabym się płaczem. Zanim usiądziemy, Mitch, sądzę, że przyda się magnetofon.
- Już idę.

Na dobre odzyskała zimną krew i rzeczowym tonem zrelacjonowała, co ją spotkało. Chociaż w trakcie opowieści ręce jej zlodowaciały, szybko ogrzała je o filiżankę pełną gorącego naparu.

- Zawsze miałem słabość do Oblubienicy - oznajmił David, gdy Roz skończyła - teraz jednak zaczynam skłaniać się ku opinii, że jest jedynie zimną, bezzwłędną zdziwą.
- Trudno się z tobą nie zgodzić. - Roz sięgnęła po kolejną czekoladkę. -Z drugiej strony, odnoszę wrażenie, że ona szczerze wierzy w to, co usiłuje mi przekazać. Wszyscy mężczyźni są oszustami, dziwkarczami i łajdakami. Chce

mnie o tym przekonać, żebym już nigdy nie pozwoliła się wykorzystać i skrzywdzić.

- Mamo... - Harper ostentacyjnie wbił wzrok w swoją filiżankę - ... czy wierzysz, że tata cię zdradzał?
- Absolutnie w to nie wierzę. Co więcej, kochanie, ja mam pewność, że był mi wierny.
- Ale ona pokazała ci coś innego.
- Pokazała mi go w takiej postaci, w jakiej znałam go za życia. I to doprowadziło mnie do łez. Młody, kipiący energią i taki realny. A jednocześnie całkowicie poza moim zasięgiem. Nie mogłam go dotknąć, chociaż nagle powróciły wszystkie uczucia - z pełną mocą, takie same jak wtedy. Chociaż wiedziałam, że to złudzenie, wiedziałam od razu. I te okrutne słowa, które włożyła w jego usta.... John nigdy nie był okrutny.
- Wykorzystała twoje doświadczenia z Bryce'em, ten wyjątkowo przykry incydent - wtrącił Mitch. - I przeniosła na mężczyznę, który był przed nim. Na Johna. A potem na tego, który był po Clerku, czyli na mnie. Woli ci sprawiać ból, niż pozwolić, żebyś się ze mną związała.
- Już trochę na to za późno.
- Doprawdy?
- Czy sądzisz, że jestem tak słaba, tak pozbawiona woli, by podobne sztuczki mogły mieć wpływ na moje decyzje?
- Osobiście uważam, że jesteś silna i bezkompromisowa - niemal do bólu. Nie jestem natomiast pewien, w jakim stopniu podzielasz poglądy naszej zjawy.
- Rozumiem. No cóż, myślę, że już wszystko wam opowiedziałam. Teraz pójde na górę, bo mam trochę papierkowej roboty. Harperze, poczułabym się dużo lepiej, gdybyś pojechał do „Edenu” i sprawdził, czy wszystko jest pod kontrolą. Davidzie, twoja herbata działała cuda. Dziękuję. - Roz wstała i wymaszerowała z kuchni, nie oglądając się za siebie.

- Dobrze, że ją wkurzyłeś, Mitch. Od razu wróciły jej kolory - zauważył David.
- W takim razie mam nadzieję, że będzie się już rumienić do końca życia. Przepraszam, panowie.
- Bohater, prawdziwy bohater - westchnął David, gdy Mitch zniknął za drzwiami.
- Albo skończony idiota - wtrącił Harper. - Tak czy owak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest w niej zakochany po uszy. Jeżeli okaże się głupcem, mama go zniszczy, nie bacząc na uczucia ich obojga; jeżeli natomiast okaże się twardy, dopnie swego. Mam nadzieję, że mu się uda.

Mitch dogonił ją, gdy wchodziła do sypialni. Roz odwróciła się ku niemu powoli, z rozmysłem.

- Nie przypominam sobie, że bym cię zapraszała.
- Nie przypominam sobie, że bym oczekiwał zaproszenia.

Z równie chłodną pewnością siebie zamknął drzwi. I, ku jej osłupieniu, przekręcił klucz w zamku.

- Natychmiast otwórz i wyjdź stąd albo, wierz mi, gniew tej astralnej paranoiczki okaże się dziecinną igraszką w porównaniu z moją furją.
- Masz ochotę się na mnie wyładować, proszę bardzo. Ale najpierw chcę się dowiedzieć dlaczego.
- Już ci powiedziałam. Nie życzę sobie, żeby ktoś naruszał moją prywatność, uzurpując sobie...
- Daruj sobie te bzdury. Co spowodowało twoją reakcję? Zbywasz mnie byle czym i unikasz od paru dni. Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, leżeliśmy w łóżku i naprawdę byliśmy razem. Chcę wiedzieć, co się zmieniło, Rosalind.
- Nic. Każde z nas ma własne życie - ja swoje, ty swoje. - Podeszła do tarasowych drzwi i otworzyła je na oścież. - Byłam bardzo zapracowana.

Mitch bez słowa przeszedł przez pokój i zamknął z trzaskiem szklane drzwi. A potem i w nich przekręcił klucz.

Nie była pewna, czy przez wzbierającą w jej gardle wściekłość zdoła się przebić choćby jedno słowo.

- Jeżeli sądzisz, że dłużej będę tolerować... - wykrztusiła w końcu.
- Och, zamilcz wreszcie - rzucił ostro. Mimo że zalewał ją niepohamowany gniew, Roz zdołała nagle ujrzeć tego mężczyznę w zupełnie nowym świetle.
- Chociaż nie, jeszcze nie milcz. Bo właśnie dotarło do mnie, że muszę bez zwłoki usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie. Powiedziałem ci, że się w tobie zakochałem. Czy to był z mojej strony błąd?
- Powiedzenie mi o tym? Nie. Zakochanie? Pewnie tak. Trudno ze mną wytrzymać.
- Nie uznałbym tego za szczególne odkrycie.
- Mitchell, jestem bardzo zmęczona, wściekła, rozhuśtana emocjonalnie... och, do cholery, tak naprawdę nie wiem, co dokładnie się ze mną dzieje, ale nie chcę się z tobą w tej chwili kłócić, bo wiem, że mogę użyć chwytów poniżej pasa - a tego będę potem żałować. Nie chcę więc z tobą rozmawiać.
- Nie zamierzam wychodzić stąd tylko dlatego, że jesteś zmęczona, wściekła i nie panujesz nad emocjami. Nie chcesz rozmawiać czy się kłócić - doskonale. W takim razie połóż się. Zdrzemnij. Poczekam, aż poczujesz się lepiej.
- Niech to szlag! A niech to szlag! - Okręciła się na pięcie, podbiegła do tarasu i otworzyła drzwi na całą szerokość, nie zwracając uwagi na zacinający deszcz. - Muszę zaczerpnąć powietrza. Muszę zaczerpnąć cholernego świeżego powietrza.
- Bardzo proszę. Czerp do woli. To jednak, Rosalind, nie uchroni cię od
- rozmowy.
- Co mam ci powiedzieć? Co właściwie chcesz usłyszeć?
- Zadowolę się prawdą.
- Dobrze. A więc usłyszysz prawdę. Ona mnie zraniła. Głęboko - wyrzuciła z siebie Roz drżącym głosem i przycisnęła rękę do piersi. - Gdy zobaczyłam Johna takiego, jakiego go pokazała... Wprost nie mam słów, żeby to opisać.

Odwróciła się w jego stronę i wówczas ujrzał, że w jej oczach maluje się rozpacz. Łzy nie płynęły i Mitch mógł sobie tylko wyobrazić, jak żelaznej siły woli trzeba, żeby je powstrzymać.

- Jakby wyrwała mi wszystkie wnętrzności, a potem zwała mnie z nóg. A ja nic nie mogłam zrobić. Bo jak można walczyć z czymś, co tak naprawdę nie istnieje? I chociaż rozumiałam, czemu to robi, wiedziałam, że to tylko złudzenie, miałam wrażenie, że za chwilę pęknie mi serce. - Niecierpliwym ruchem otarła zbierające się w kącikach oczu łzy. - Nie zasługiwał, żeby lak haniebnie go wykorzystać. Czy pojmujesz? John na to nie zasługiwał. Był dobrym człowiekiem, Mitchell. Dobrym człowiekiem, mężem i ojcem. Zakochałam się w nim, gdy miałam czternaście lat. Czternaście! - możesz to sobie wyobrazić? To John uczynił ze mnie kobietę, matkę, a potem - na Boga! - także wdowę. A ja go kochałam. Kochałam bezgranicznie.
- Bez względu na to, co zrobi, Amelia nie zdoła zniszczyć twojego uczucia. Nie znałam Johna, ale gdy na ciebie patrzę, Rosalind, jestem tego absolutnie pewien.
- Masz rację. Masz rację - westchnęła drżącym głosem. - Oparła się o framugę i zapatrzyła w deszcz. - Ty też nie zasłużyłeś na to, by cię tak podle potraktować. Nie miała prawa przedstawiać ciebie w takim świetle. Nie uwierzyłam jej, gdy chodziło o Johna. Nie wierzę też, gdy tak paskudnie oczernia ciebie. Ale to mi sprawia ból. Mimo wszystko rani. - Westchnęła głęboko raz jeszcze, spojrzała mu w oczy. - Nie przypuszczam, byś miał w sobie cokolwiek z Bryce'a. Mam nadzieję, że o tym wiesz.
- Wołałbym się raczej dowiedzieć, co tak naprawdę czujesz. Dlaczego nie chciałaś się ze mną widzieć?
- To nie miało nic wspólnego z tobą, a jedynie ze mną samą. Czy nie dostałbyś szału, słysząc takie słowa?
- Owszem i z trudem się powstrzymuję, by nie wytrząsnąć z ciebie wszystkich kości. Nie tylko ty nosisz w sobie solidne pokłady gniewu.

- Z pewnością. Ale częściej do nich sięgam. Jedną z rzeczy, które podobają mi się w tobie najbardziej, jest samokontrola. Ja tymczasem jestem tak potwornie impulsywna, że mnie samą niekiedy to przeraża. Dlatego tak cenię opanowanie.
- Grunt, że oboje jesteśmy odpowiedzialnymi, dojrzałymi ludźmi - rzucił sarkastycznie.
- Widzę, że wciąż jesteś na mnie wkurzony. - Roześmiała się cicho, po czym postanowiła dać mu to, o co prosił: prawdę. - Ta ostatnia noc, którą spędziliśmy razem, była cudowna i pod wieloma względami bardzo wiele dla mnie znaczyła. Przez cały następny dzień nieustannie myślałam o tobie i po przyjeździe do domu zamierzałam do ciebie zadzwonić. Na sekretarce czekała na mnie twoja wiadomość.
- Roz, już od dawna byłem umówiony z Joshem na ten wieczór. Mój syn...
- Przecież wiem. Na Boga, chyba nie sądzisz, że należę do tych zaborczych pijawek, które żądają od mężczyzny pełnej uwagi w każdej minucie każdego dnia tygodnia? Do białej gorączki doprowadziło mnie następne nagranie. Dotyczyło członkostwa w country klubie, z którego rzekomo zrezygnowałam w liście pełnym grubiańskich uwag i nedorzecznych zażaleń. Liście, którego oczywiście nigdy nie napisałam.
- Clerk.
- Bez wątpienia. Sprawę, samą w sobie, łatwo załagodzić... Chociaż nie.. – Roz potrząsnęła stanowczo głową, Miałam mówić prawdę. A prawda jest taka, że byłam wyjątkowo zdenerwowana i zawstydzona, gdy musiałam przez telefon wyjaśniać sytuację. Więc kiedy odłożyłam słuchawkę, po prostu wpadłam w szał. Już miałam wyskoczyć z domu, czując żądzę mordy, by spaść na tego drania niczym jastrząb, gdy pojawiła się Hayley z maleństwem. Powstrzymała mnie, za co jestem jej niewymownie wdzięczna. Aż boję się myśleć, do czego mogłabym się posunąć w takim stanie.
- Założę się, że miejsce na widowni byłoby warte każdej ceny.

- Z pewnością wylądowałabym w areszcie - w najlepszym wypadku za czynną napaść. Miotalam się tak okropnie, że aż przeraziłam dziecko, a na dodatek rzuciłam dość ordynarnym słowem.
- Biorąc pod uwagę fakt, że Lily nie skończyła jeszcze roku, nie przypuszczam, by zrobiło to na niej większe wrażenie.
- W każdym razie nawet gdy już opadła ze mnie najgorsza furia, złość wciąż kipiała pod powierzchnią. Musiałam się uspokoić. A potem spotkać z adwokatem i jeszcze raz wykonać kurtuazyjny telefon do zarządu klubu. Aby wszystkich ugłaskać.
- Może następnym razem przyjdzie ci do głowy, że ja w takim wypadku chętnie bym cię ugłaskał.
- Kiedy wpadam w szal, przeistaczam się w najwredniejszą sukę.
- Nie wątpię. Ale wracając do sprawy, uważam, że powinnaś poinformować o tym incydencie policję, Rosalind.
- Już to zrobiłam. Denerwujące, żenujące przeżycie. I nie mów mi, że nie miałam żadnych powodów do wstydu, bo dobrze o tym wiem, jednak gdy muszę publicznie roztrząsać osobiste sprawy, nie mogę się uwolnić od poczucia upokorzenia. Policja, oczywiście, jest na razie bezradna, ale przynajmniej poinformowałam ich o faktach, przedstawiłam dokumenty. Jeżeli uda się udowodnić, że za tym wszystkim stoi Bryce, będzie odpowiadał za wyłudzenie i fałszerstwo, a ja dodatkowo mogę wnieść oskarżenie z powództwa cywilnego. I zaręczam ci, Mitch, jeśli tylko dostanę szansę, żeby mu dopiec, skorzystam z niej bez wahania.

Podszedł i kucnął naprzeciwko jej fotela.

- Doskonale. A ja pomogę ci rozgrzać do czerwoności szczypce. Roz położyła dłoń na jego policzku.
- Nie zamierzałam cię odtrącać. Zanim dopadł mnie ten senny koszmar na jawie, myślałam o tobie - chciałam się z tobą skontaktować, aby zapytać, czy nie spędzisz ze mną wieczoru.

- Tak się przypadkiem składa, że ja też o tobie myślałem i zastanawiałem się, czy uda mi się spędzić dzisiejszy wieczór w twoim towarzystwie. Miałabyś może ochotę gdzieś iść? Pobyć kilka godzin poza domem?
- Nie. Szczerze mówiąc ani trochę.
- W takim razie zostaniemy.
- Mitch, chciałabym cię o coś poprosić.
- Proś bez wahania.
- Niedługo w klubie odbędzie się wielka feta. Doroczny wiosenny bal, na który miałam iść z Davidem. Nawet po tym, co między nami zaszło, nie zamierzałam zmieniać planów, by uniknąć gadania i plotek, od których by się lam aż zatrzęsło, gdybym się pokazała razem z tobą. Ale teraz mam to gdzieś. Bardzo bym chciała, żebyś mi towarzyszył.
- Bał. Czyli musiałbym się wbić w smoking?
- Obawiam się, że tak.
- Jakoś to przeżyję. A więc mam rozumieć, że między nami wszystko w porządku?
- A jak ci się wydaje?
- Miałabyś ochotę teraz odpocząć?
- Nie. - Uśmiechnęła się i ucałowała go w oba policzki. - Teraz miałabym ochotę na długą, gorącą kąpiel. I nie odmówiłabym miłego towarzystwa w wannie.
- To propozycja nie do odrzucenia. - Wstał i wyciągnął ją z fotela. - To idealne miejsce, żeby ci opowiedzieć o mojej wizycie u Clarise Harper.
- U kuzynki Rissy? Tego muszę wysłuchać.

Czuła się dekadenccko i błogo, gdy leżała w wypełnionej pianistym płynem staroświeckiej, głębokiej wannie, opierając się plecami o pierś Mitcha.

Proszę, proszę! Jeszcze nawet nie zapadł zmierzch, a ona już zażywa kąpieli z seksownym mężczyzną, przy świecach i dźwiękach muzyki.

- Clarise z każdym rokiem staje się bardziej zasuszone i zjadliwa - skomentowała relację Mitcha Roz. - Jeżeli kiedykolwiek umrze, a prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy łaskawie pozwoli zabrać się śmierci, chyba nie będzie nawet potrzebna trumna. Po prostu połamię ją na kawałki jak spróchniałą gałąź i po krzyku.
- Ona darzy cię równie wielką sympatią.
- Nienawidzi mnie z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że ja mam ten dom, a nie ona.
- Ten powód rzeczywiście zajmuje wysokie miejsce na jej liście.
- Kłamie w żywe oczy, gdy twierdzi, że nigdy nie widziała lub nie czuła obecności Oblubienicy. Wyraźnie przypominam sobie, że moja babcia coś wspominała na ten temat. Clarise zawsze pamięta jedynie to, co jej wygodnie pamiętać. Nie toleruje żadnych niedorzeczności, a duchy należą według niej do takiej właśnie kategorii.
- Powiedziała „duby smalone”. Roz zaniósła się głośnym śmiechem.
- Cała ona. Już nawet to słyszę. Oczywiście może sobie rzucać do woli smalonymi dubami, nie zmienia to jednak faktu, że łąże. Poza tym wiem, że ma listy, a najprawdopodobniej nawet pamiętniki. I mnóstwo rodzinnych fotografii. Po śmierci mojego ojca zabrała stąd sporo rzeczy. Ilekroć przychodziła, zawsze coś ukradkiem zabierała, choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznała. Do jednej z pierwszych naszych słynnych batalii doszło tuż po tym, jak przyłapałam ją na chowaniu do torby dwóch srebrnych świeczników z malej bawialni i to podczas rodzinnego czuwania przy zwłokach mojego ojca. Podła, stara jędza.
- Nie wierzę, że udało jej się wynieść te srebra.
- W każdym razie nie owego dnia. Miałam gdzieś te cholerne świeczniki - i tak były paskudne - ale mój ojciec jeszcze nawet nie spoczął na cmentarzu! Wciąż dostaję szału, gdy sobie to przypominam. Powiedziała, że to ona podarowała je mojemu ojcu - co było ewidentnym kłamstwem - i chciała je

zabrać na pamiątkę z powodów sentymentalnych. Kolejna piramidalna bzdu-
ra, bo ta zasuszone mumia nie ma ani krzty uczucia.

Mitch zaczął gładzić jej włosy, jakby chciał ją uspokoić, ale Roz poczuła, że
tak naprawdę trzęsie się ze śmiechu.

- No już, powiedz, co myślisz. Dobrze wiem, jak to wszystko brzmi.
- Brzmi doskonale. Ale wracając do Clarise, rozumiem, że mogła zabrać z Harper House wiele innych rzeczy bez twojej wiedzy.
- Och, nie mam najmniejszych wątpliwości, że ta chciwa wampirzyca tak robiła. Zdjęcie mojego dziadka jako chłopca oprawione w srebrną, edwardiańską ramkę, kryształowa kompotiera z Waterford, co najmniej dwie pasterki z dreздеńskiej porcelany - to tylko niektóre z rozlicznych drobiazgów, które wyparowały po jej wizytach.
- Mm... - mruknął i zaczął powoli namydlać jej ramię. - A co wiesz o tej Jane Paulson?
- Niewiele. Parę razy spotykałam tę dziewczynę na czyichś ślubach i pogrzebach, ale prawdę mówiąc, tylko jak przez mgłę pamiętam jej słodką dziecięcą buzię. O ile się nie pomyliłam w obliczeniach, jest co najmniej dwadzieścia pięć lat ode mnie młodsza.
- Zrobiła na mnie wrażenie psiaka, którego tak hojnie częstowano kopniakami, że już ciągle chodzi z podkulonym ogonem.
- Trudno się dziwić, skoro mieszka z kuzynką Rissy. Biedactwo.
- To biedactwo jednak wie coś, co mogłoby nas zainteresować. Roz spojrzała na Mitcha zdumiona.
- Czemu tak sądzisz?
- Miała szczególny wyraz twarzy, gdy Clarise oznajmiła, że nie dysponuje żadnymi pamiątkami. Jakby zamierzała usłużnie podsunąć: „A co z tymi, które leżą...”, mniej więcej w tym duchu. Jednak szybko się zreflektowała i przygryzła usta. Jeżeli odkryłbym w sobie żyłkę hazardzisty, założyłbym się o duże pieniądze, że zawzięta Rissy usiłuje coś przed nami ukryć.

- Jeżeli jej zależy, żebyśmy nigdy nie dobrali się do zagarniętych przez nią dokumentów, szybciej je spali, niż pozwoli nam je zobaczyć.
- Nie robi tego, jeśli się nie zorientuje, że wiemy o ich istnieniu - i jeżeli w dodatku uda nam się namówić Jane do współpracy.
- Co zamierzasz zrobić? Uwieść to nieszczęsne stworzenie?
- Nie. - Cmoknął Roz w mokre ramię. - To ty ją uwiedziesz. Kiedy na nią patrzyłem, pomyślałem, że przydałaby jej się przyjaciółka - i może perspektywa lepszej pracy. Gdybyś mogła się z nią skontaktować bez wiedzy Clarise, przedstawić korzystną ofertę...
- I zwerbować ją przy okazji? - Roz przez chwilę dumiała nad przedstawionym planem. - To wyjątkowo przemyślnie posunięcie, hardzi, perfidne. I cholernie mi się podoba.
- Miałem nadzieję, że przypadnie ci do gustu.
- Nie mam nic przeciwko perfidii i perwersji. Może więc od razu zaczniemy się wprawiać?

16

Im było bliżej do rozpoczęcia wiosennego sezonu, tym większy stres zazwyczaj dopadał Roz. Czy wyselekcjonowała dostatecznie dużo nasion? Czy nastawiła się na odpowiednie gatunki, czy nie zabraknie roślin wieloletnich?

Czy kwiatostany będą wystarczająco dorodne i okazałe, by przyciągnąć klientów? A same rośliny - czy okażą się zdrowe i silne, tak by nadal mogła szczycić się najwyższą jakością oferowanego towaru?

Czy nie mają na składzie za mało doniczek, skrzynek i koszy? A może właśnie za dużo?

A co z krzewami i drzewami? Czy akcesoria i dodatki okażą się efektywnym dopełnieniem dla roślin, czy może staną się dla nich niepożądaną konkurencją?

Czy włączenie do oferty barwników do ściółki okaże się genialnym posunięciem czy też fatalną pomyłką?

Z większością tego typu problemów musiała się zmagać Stella - ostatecznie po to Roz zatrudniła menedżera. Ale „Eden” nadal był jej ukochanym dzieckiem i Rosalind doświadczała wszelkich trosk i radości, jakich doświadcza opiekuńcza matka.

Cieszył ją widok tłumu klientów, którzy pchali pełne wózki wokół stołów i wzdłuż szutrowych alejek, wybierając rośliny do swoich ogrodów i na tarasy. Lubiła udzielać porad i konsultacji, co równoważyło drobny ucisk w sercu, którego zawsze doświadczała na początku sezonu, gdy musiała się pożegnać z wyhodowanymi przez siebie sadzonkami i flancami.

Wówczas często karciała się w duchu za sentymentalizm. Ale nie umiała traktować swoich roślin jedynie jak towaru na sprzedaż. Tygodnie, miesiące, a niekiedy nawet lata spędzone na troskliwej opiece nad różnymi okazami, przekładały się na silną, bardzo osobistą więź.

Przez pierwszych kilka dni pozwalala więc sobie na drobną melancholię. A potem przeistaczała się w chłodną kobietę interesu.

Akurat siedziała w cieplarni i zastanawiała się, które z roślin w następnej kolejności przenieść do punktu sprzedaży, gdy do środka wparowała Cissy.

- Roz, jestem w skrajnej rozpacz.

Rosalind uniosła w zdumieniu brwi. Zazwyczaj idealnie ułożone włosy Cissy były teraz w sporym nieładzie, a w jej oczach malowała się najczystsza panika.

- Właśnie widzę, Czyżby iwoj fryzjer rzuci! prace? A może masażyslku zwiąła z muzykiem rockowym?
- Och, nie żartuj, to poważna sprawa. - Pospieszyła do stołu, przy którym pracowała Roz. - Moi teściowie przyjeżdżają z wizytą.
- Aha...
- Bomba wybuchła dziś rano. Zjawią się za dwa dni. Po prostu szlag mnie trafia, gdy ludziom się wydaje, że są mile widzianymi gośćmi.
- Przecież mówimy o rodzinie.
- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to tylko pogarsza sprawę. Dobrze wiesz, że teściowa się mnie czepia. Wbija mi szpile od dwudziestu sześciu lat. Gdyby się nie przeniosła do Tamy, od dawna już siedziałabym w domu wariatów lub w więzieniu, skazana za morderstwo. Roz, potrzebuję twojej pomocy.
- Nie zamierzam mordować twojej teściowej, Cissy. Nawet przyjaźń ma swoje granice.
- Założę się, że w tym też mogłabyś mi pomóc. - Rozejrzała się uważnie po cieplarni. - Z pewnością jest tu mnóstwo interesujących trucizn, których mogłabym niepostrzeżenie dosypać lub dolać jej do martini i wyrwać się z tego piekła. To rozwiązanie zachowam jednak w rezerwie. Czy wiesz, co ona mi palnęła?
- Nie, ale zapewne zaraz się dowiem.
- Że, o ile mnie zna, jeszcze nie raczyłam wymienić wykładziny w jadalni, więc gdy przyjedzie, sama wybierze coś odpowiedniego. Zapewne straci na poszukiwania wiele dni, ale tym nie muszę się martwić, ponieważ teraz, gdy Dan przeszedł na emeryturę, mają aż nadto wolnego czasu. I że wkrótce sama zrozumie, co to znaczy, bo przecież ostatecznie też zbliżam się już do wieku emerytalnego. Do wieku emerytalnego! Wyobrażasz to sobie?
- Ponieważ jesteśmy z jednego rocznika, może rzeczywiście rozejrzę się za jakąś skuteczną trucizną.

- A to dopiero drobna cząstka tego, co usłyszałam. Zrelacjonowanie wszystkiego zajęłoby cały dzień, a czas mnie goni. Oczywiście teściowa weszła też na temat mojego ogrodu. Oznajmiła, że nie rozumie, czemu nie poświęcam jego pielęgnacji więcej starań i czemu w ogóle z większym sercem nie zajmuję się posiadłością, którą za duże pieniądze kupił dla mnie jej syn.
- Przecież masz ładny ogród.

Roz uważała, że potencjał tej przestrzeni nie jest ani w połowie wykorzystany, ale musiała też przyznać, że teren wokół domu Cissy był przyjemny dla oka i starannie utrzymany.

- Słyszając to, nie wytrzymałam - ta kobieta wzbudza we mnie najgorsze instynkty - i warknęłam, że ostatnio pracowałam jak wyrobница: posadziłam nowe oryginalne rośliny, pozakładałam klomby i kwietniki. Chlapnęłam bez zastanowienia, Roz, a teraz ona będzie miała okazję przekonać się na własne oczy, że kłamałam jak najęta.
- Jeżeli chcesz zatrudnić Logana, możemy sprawdzić u Stelli, jak wygląda jego grafik...
- Już z nią rozmawiałam. Wpadłyśmy na siebie przypadkiem. Przez następna dwa tygodnie Logan jest zavalony robotą. Cissy złożyła ręce jak do modlitwy. - Błagam cię, Roz. Błagam, /ubierz go od kogoś i przyślij do mnie. Chociaż na dwa dni.
- W żadnym wypadku nie mogę go zabrać innym klientom... Ale spokojnie - dorzuciła, gdy w oczach Cissy pojawiły się łzy. - Jakoś sobie poradzimy. Dwa dni... To będzie cię słono kosztować.
- Nieważne. Pieniądze są teraz najmniejszym z moich zmartwień. Jeżeli mi nie pomożesz, będę musiała w sekrecie i przebraniu lecieć dziś na Florydę, by zamordować we śnie matkę mojego męża.
- W takim razie zabierajmy się do ratowania twojego życia, i życia twojej teściowej przy okazji.

Roz już miała ogólną wizję, a gdy wędrowała przez centrum, w myślach dopracowywała szczegóły. Cissy nawet nie mrugnęła okiem, gdy Rosalind pakowała na wózki rozmaite rośliny wieloletnie, jednoroczne, zielne i kwiatowe, krzewy, drzewka ozdobne, donice i skrzynki.

- Harper, chciałabym, żebyś pojechał do domu i przyprowadził mojego pikapa. Załadujemy to wszystko, a potem oboje bierzemy się do roboty. Stello, powiedz Loganowi, żeby do nas przyjechał, gdy tylko skończy pracę. Czeka ją go nadgodziny. Niech załaduje wszystko, co wybrałam, i zjawi się pod tym adresem. - Naskrobała adres Cissy na skrawku papieru. - Ty też przyjedź. Będę potrzebowała twojego zmysłu estetycznego i dodatkowej pary rąk do pomocy.

- Myślisz, że uda ci się skończyć w niecałe dwa dni?

- Skończę w niecałe dwa dni, ponieważ tylko tyle czasu mam do dyspozycji.

Roz uwielbiała ambitne wyzwania. A na dodatek nic tak nie odrywało jej myśli od przykrych spraw, jak zajmowanie się ogrodami.

Z zapalem więc wymierzała, znakowała, kopała, spulchniała, rozrzucała torf i grabiła.

- W normalnej sytuacji poświęciłabym dużo więcej czasu na przygotowanie gleby. Zakładanie nowych rabat i klombów to poważne przedsięwzięcie.

Cissy przygryzła nerwowo wargę i drżącymi palcami zaczęła obracać sznur pereł.

- Ale dasz radę?

- Z ziemią i roślinami jestem w stanie zrobić niemal wszystko. Mam ten szczególny dar. - Skinęła głową w stronę Harpera, który właśnie montował ozdobną metalową kratę. - On zresztą też. Ty natomiast, Cissy, dostałaś od losu niepowtarzalną okazję, żeby się dzisiaj nauczyć czegoś pożytecznego. Wkładaj rękawice. Zostaniesz naszą niewykwalifikowaną siłą roboczą i dzięki temu nie będziesz miała na sumieniu szkaradnego grzechu kłamstwa. Popracujesz niczym wyrobница, jak powiedziałaś teściowej.

- Akurat ten grzech nigdy nie spędzał mi snu z powiek - mruknęła Cissy, ale posłusznie wciągnęła rękawiczki.

Roz pokrótce objaśniła, że stworzą ogród, który można by nazwać „ogrodem czterech pór roku”, ponieważ będzie wyglądał pięknie i okazale, kiedykolwiek teściowie przyjadą z wizytą. Irysy, wszelkie możliwe odmiany goździków, kampanule, orliki, seruszki. A do tego strategicznie rozmieszczone cebulkowate i bogate w listowie o różnej formie i barwie rośliny późno kwitnące.

A gdy już wielkie pojemniki eksplodują kwiatami, nawet najbardziej wymagająca teściowa nie będzie miała do czego się przyczepić.

Roz powierzyła Cissy sadzenie celozji i cynerarii, sama zaś zajęła się pozostałymi rabatami.

Po upływie kolejnej godziny zorientowała się, że nie tylko wykorzysta wszystkie przywiezione rośliny, ale będzie ich potrzebować jeszcze znacznie więcej.

- Harper - otarła pot z czoła wierzchem dłoni - masz przy sobie komórkę? Oderwał się od obsadzania jednej z krat winoroślą i poklepał po kieszeniach.
- Chyba zostawiłem w samochodzie.

Nieodrodny syn swojej matki, pomyślała Roz i poszła do auta, żeby znaleźć telefon. Zadzwoiła do Stelli i podyktowała kolejną listę - z błogim przeświadczeniem, że wszystkie jej wytyczne zostaną skrupulatnie zanotowane, a zamówione rośliny usunięte z komputerowej bazy, zafakturowane i dostarczone na miejsce.

Roz wróciła do pracy i zabrała się do obsadzania ogrodu kannami, błękitną szałwią i wielobarwnymi, afrykańskimi margerytkami. Chwilę później dołączyła do niej Cissy z wysoką szklanką w dłoni.

- Zrobiłam lemoniadę, własnoręcznie, od początku do końca. Żeby odpokutować za grzechy - oznajmiła, wręczając napój Roz. - Mój manikiur diabli wzięli, a poza tym odczuwam ból w miejscach, o których istnieniu już dawno zdążyłam zapomnieć. Nie mam pojęcia, jak możesz lubić taką pracę.

- A ja nie mam pojęcia, jak ty możesz grywać godzinami w brydża.
 - Cóż, każdemu według potrzeb, jak sądzę. Słuchaj, jestem ci winna wiele więcej niż ten czek.
 - Zanim skończymy, będziesz musiała wypisać ich jeszcze kilka. Cissy zacisnęła powieki.
 - Hank mnie zamorduje. Weźmie swój największy kij golfowy i przerobi mnie na krwawą miazgę.
 - Nie zrobi nic podobnego. - Roz wstała z klęczek, oddała Cissy pustą szklanę i porządnie się przeciągnęła. - Myślę, że będzie dumny, zachwycony i do głębi wzruszony, że zadałaś sobie tyle trudu i nawet zrujnowałaś maniur, byle tylko upiększyć ogrody przed wizytą jego matki. By pokazać i jemu, i teściowej, jak bardzo kochasz i cenisz sobie posiadłość, za którą wybulił kupę forsy.
 - Rany! - Na ustach Cissy pojawił się leniwy uśmiech. - Ależ ty jesteś mądra, Rosalind.
 - To, że nie mam męża, nie znaczy, iż nie wiem, jak oni funkcjonują. Ostrzegam cię jednak, że jeżeli nie będziesz należycie dbać o ten ogród, to sama stłukę cię na krwawą miazgę największym kijem golfowym Hanka.
- Cissy powiodła wzrokiem po rozgrzebanej ziemi, na wpół obsadzonych klombach, szpadlach, grabiach, torbach ze ściółką i nawozami.
- Jesteś pewna, że jak skończycie, wszystko będzie wyglądać pięknie?
 - Możesz mi zaufać.
 - Ufam ci. W całej rozciągłości. I pewnie to nie jest najlepszy moment, ale chciałam ci powiedzieć, że ten twój syn to kawał przystojnego faceta. Przysięgam, serce omal mi nie wyskoczyło, gdy błysnął uśmiechem, dziękując za lemoniadę. Wielki Boże, stada kobiet muszą leżeć u jego stóp.
 - W każdym razie nie ma problemu z ich znalezieniem. Chociaż jakoś do tej pory żadna nie zagrzała miejsca u jego boku.
 - Ma czas, jest jeszcze bardzo młody.

Kiedy Roz dotarła do domu, na dworze było już ciemno. Zgrzana i lekko obolała, przed pójściem do swojego skrzydła zajrzała do biblioteki. Wcześniej dostrzegła samochód Mitcha na podjeździe.

- Pracujesz do późna?
- Ty też, jak widzę, zaaplikowałaś sobie nadgodziny.
- Przeżyłam fantastyczny dzień. Bawiłam się, jak nigdy. Zamierzam natychmiast biec na górę, zdrapać z siebie kilka warstw brudu, a potem rzucić się na kolację niczym wygłodniały wilk na jagnię.
- A miałabyś przy tym ochotę na towarzystwo? Chciałbym omówić z tobą
- kilka spraw.
- Jasne. Chodź ze mną.
- Czyżbyś nie na żarty grzebała w ziemi?
- Przez większość czasu. Nagła interwencja. Sprawa życia lub śmierci. - Wchodząc po schodach, posłała Mitchowi przez ramię promienny uśmiech. - Stara znajoma, niespodziewana wizyta teściów, osobowość biernoagresywna, wysoki poziom kompetywności plus odwieczna walka podjazdowa z teściową. Dzięki temu nasze centrum zarobiło dziś cholernie dużo pieniędzy, a ja przeżyłam jeden z najlepszych dni w życiu.

Wmaszerowała prosto do łazienki i szybko zrzuciła z siebie koszulę.

- Od bardzo dawna nie zajmowałam się projektowaniem i zakładaniem ogrodów. I niemal już zapomniałam, jak wielką sprawia mi to przyjemność.

Rozebrała się szybko i wrzuciła ubranie do kosza na brudną bieliznę. Potem odkręciła wodę w prysznicu i starannie sprawdziła temperaturę. Mitch tymczasem stał oparty o framugę i pilnie przysłuchiwał się monologowi Roz.

- Większa część posesji była niczym dziewiczy łąd - aż kłuła w oczy niewykorzystanym potencjałem. Prawdę mówiąc, powinnam mieć wyrzuty sumienia, że zainkasowałam aż tyle forsy za tę pracę, gdy przy okazji tak świetnie się bawiłam - ale wcale nie mam. Ostatecznie zasłużyliśmy sobie na pokaźne wynagrodzenie.

- My?
- Musiałam ściągnąć odwody. - Roz z przyjemnością weszła pod strumień wody. - Zabrałam ze sobą Harpera, a po południu dołączyli Logan ze Stellą. Stworzyliśmy przepiękny całoroczny ogród. Już teraz zapiera dech w piersiach, a będzie zachwycający, gdy dosłownie za parę tygodni zakwitną liliowce i dzikie indygo, a wkrótce potem tawula i dzwonniki, szałwia polna i naparstnica. Harper puścił po metalowej kracie wyjątkowo dorodny powojnik i obsadził go okazałymi hortensjami dębolistnymi. Potem zjawił się Logan...
 - Urwała i wystawiła głowę za kabinę. - Zdaje się, że zanudzam cię na śmierć.
- Ani trochę. Co prawda nie mam pojęcia o tych wszystkich roślinach, ale się nie nudzę. Ty natomiast jesteś jak w transie.
- Fakt - odparła ze śmiechem Roz. - Jutro z samego rana też tam jadę. Muszę dokonać paru kosmetycznych, wieńczących dzieło zabiegów i przedstawić Cissy ostateczne rozliczenie. Niewykluczone, że zemdleje z przerażenia, ale za to teściowie wpadną w zachwyt.
- Nigdy nie wróciliśmy do mojej prośby o roślinę. Pamiętasz? Fen shui?
- Pamiętam.

Odczekał cierpliwie kilka sekund, ale gdy nadal dobiegał go jedynie szum płynącej wody, parsknął zduszonym śmiechem.
- Rozumiem, że ma mi to wystarczyć za odpowiedź. Chciałbym jednak z mocą podkreślić, że jestem dorosłym, w miarę inteligentnym człowiekiem, a więc zdolnym się wyuczyć, jak pielęgnować coś zielonego.
- Niewykluczone, Mitch, ale sęk w tym, że masz wyjątkowo zabagnioną kartotekę. Może rozważę zastosowanie okresu próbnego. Musisz jednak pamiętać o konsekwencjach. Wiedz, że zagroziłam Cissy ciężkim uszkodzeniem ciała, jeżeli nie będzie należycie dbała o to, co dla niej stworzyliśmy. I ona teraz chce zatrudnić Logana, żeby przychodził co dwa tygodnie zajmować się roślinami. Osobiście nie mam nic przeciwko temu,

uważam nawet, że to rozsądne rozwiązanie. Dorośli ludzie powinni być świadomi własnych ograniczeń.

- Lejesz wodę do doniczki. Stawiasz kwiatek na słońcu. To jestem w stanie opanować.
- Gdyby tylko to wystarczyło! Podasz mi ręcznik? Zakręciła wodę i zaczęła się wycierać.
- Ostatnio jesteśmy tak zapracowani, że nie mam czasu choćby dwóch myśli poświęcić czemu innemu. A tymczasem wielkimi krokami zbliża się ślub Stelli, także wymagający mojego zaangażowania.

Mitch przyglądał się zafascynowany, jak Roz wciera w ciało emulsję nawilżającą, której łagodna woń miło mieszała się z zapachem mydła.

- Ze wszystkim sobie poradzimy - zapewnił.
- Odkąd założyłam firmę, nawet nie wiem, kiedy mijają zimy. W tym czasie mamy dużo więcej pracy, niż ktokolwiek jest sobie w stanie wyobrazić. Wprost nie mogę uwierzyć, że już nadeszła kolejna wiosna, a na dodatek...

Umilkła i lekko zmarszczyła brwi, aż ukazała się między nimi cieniutka kreska. Po czym z przesadną starannością zaczęła zakręcać korek od butelki z emulsją.

- Ciebie też to uderzyło, prawda?
- Co mianowicie?
- Że w takiej chwili stoimy tu, obok siebie. - Nic ruszył się z miejsca, gdy Wyminęła go i weszła do sypialni, by z szuflady komody wyjąć świeże ubranie. - Koniec pracowitego dnia, swobodna rozmowa w łazience. Jak dobre stare małżeństwo, czyż nie?

Wciągnęła szare spodnie od dresu z odciętymi ściągaczami nogawek i miękki t-shirt.

- I jak się z tym czujesz? - spytała po chwili.
- Nie jestem pewien. Na zewnątrz nieco roztrzęsiony i zdumiewająco spokojny w środku. A ty?

Roz suszyła włosy ręcznikiem, jednocześnie studiując w lustrze swoją twarz.

- Ponowne wyjście za mąż nie tylko nie należało do moich priorytetów, ale na liście preferencji plasowało się mniej więcej na tej samej pozycji, co jadowite węże, wirus HIV czy jedna z siedmiu plag egipskich.

Mitch uśmiechnął się i ponownie oparł o futrynę.

- Użyłaś czasu przeszłego.
- Masz dobre ucho. Kiedyś się zakochałam, jako bardzo młoda dziewczyna. A gdy się zakochałam, wzięłam ślub. Nasze małżeństwo należało do wyjątkowo udanych i do końca swoich dni będę kochać Johna Ashby'ego całym sercem. Widzę jego cząstkę w każdym z moich synów i wiem, że nie mielibyśmy ich, gdyby nasza miłość nie była tak gorąca i głęboka.
- Ludzie, którym dane jest doświadczyć podobnej miłości, należą do prawdziwych wybrańców losu.
- My nimi byliśmy. Ale gdy zabrakło Johna, w pewnym momencie dopadła mnie samotność. Chłopcy dorośli i zajęli się budowaniem własnej przyszłości. Dom stał się przeraźliwie pusty i cichy. A pod powłóczką dumy, że udało mi się wychować takich wspaniałych facetów, krył się smutek. Dojmujący smutek.

Weszła z powrotem do łazienki, by odwiesić mokry ręcznik, i wzięła słoiczek z kremem do twarzy.

- Potrzebowałam czegoś, co wyrwałoby mnie z tego stanu. A przynajmniej tak mi się wydawało. Chciałam spotkać kogoś, z kim mogłabym spędzić resztę życia. Wybrałam mężczyznę, który z pozoru wydawał się odpowiedni. Ta pomyłka słono mnie kosztowała. Emocjonalnie i finansowo.
- I dlatego dwa razy się zastanowisz, zanim zdecydujesz się na kolejne małżeństwo.
- Owszem. Chociaż nie ukrywam, że jestem w tobie zakochana, Mitchellu Carnegie.

Dojrzała wzruszenie w jego oczach i od razu poczuła się lepiej.

Ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się w pół kroku. Zorientował się, że Roz potrzebuje dystansu. I może to właśnie było w nim takie pociągające - doskonale ją rozumiał,

- Dawno temu przestałam wierzyć, że jeszcze kiedyś się zakocham - prawdziwie i całym sercem. I to przede wszystkim leżało u podstaw katastrofalnego błędu pod tytułem „Bryce”. Nigdy nie powinnam była wychodzić za kogoś, kogo nie kochałam. Bo małżeństwo to bardzo poważny krok. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli ci powiem, że nie chcę rozmawiać na ten temat, dopóki nie będę gotowa go wykonać.
- Przyjmuję twoją decyzję bez zastrzeżeń, bo cię kocham, Roz. Błędy, jakie popełniłem w życiu, kosztowały wiele bólu i cierpienia ludzi, którzy byli mi najdrożsi. Nie zamierzam popełniać ich raz jeszcze.
- Podeszła do niego powolnym krokiem.
- Obawiam się, że w przyszłości żadne z nas nie uchroni się od kolejnych pomyłek.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi.

- To normalna kolej rzeczy. Nie ma się czym przejmować.
- Tak. Zapewne masz rację. Teraz może jednak zejdziemy na dół i sprawdzimy, co dziś upichcił David? A potem wreszcie mi opowiesz o swoim dniu. Zrobiło się późno, więc dzieci od dawna były po kolacji i szykowały się do snu pod czujnym okiem matek.
- Czasami aż trudno uwierzyć, że ten dom jest pełen ludzi. - Roz wbiła widelec w spaghetti polane sosem z mięsnymi kulkami. - Innym razem zaś można odnieść wrażenie, że się mieszka w małym gaju.
- A tobie podoba się i jedno, i drugie.
- Rzeczywiście. Tkwi we mnie wiele sprzeczności. Potrzebuję czasem niczym niezmałconej samotności, bo inaczej przeistaczam się w zjadliwą wiedźmę. Ale jeżeli zbyt długo przebywam sama ze sobą, popadam w ponury nastrój. Ciężko ze mną wytrzymać na co dzień. Niekiedy jestem jak bolesny wrzód

na tyłku. Myślę, że powinieneś to wiedzieć i uwzględnić w swoich założeniach.

- Już to zrobiłem.

Roz zatrzymała się w pół gestu, a chwilę potem wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, sama się o to prosiłam.

- Ze mną też nie ma lekko. Jestem bałaganiarzem i często nie przywiązuję najmniejszej wagi do szczegółów, jeżeli nie dotyczą aktualnego tematu mojej pracy. Na dodatek nie mam wcale zamiaru tego zmieniać. Musiałabyś się więc z tym pogodzić.

- W porządku. A teraz powiedz, o czym chciałeś ze mną porozmawiać.

- Lista tematów, które chciałbym z tobą poruszyć, Roz, jest niewyczerpana.

- Świeżo zakochani mężczyźni przez pierwszych parę tygodni mówią więcej niż w ciągu następnych dwudziestu lat.

- Aha! - Skinął w jej stronę widelcem, na który zaraz zaczął nawijać kolejną porcję makaronu. -To jeszcze jedno dobrodzieństwo łączenia się w dojrzałym wieku. Oboje dobrze wiemy, jak funkcjonują związki. Ale teraz przede wszystkim chciałbym z tobą porozmawiać na temat Clarise Harper.

- Na sam dźwięk jej imienia tracę apetyt, a tymczasem spaghetti z Mopsikami to jedna z moich ulubionych potraw.

- Dzisiejszego ranka, gdy ty przerzucałaś tony ziemi, złożyłem jej następną wizytę.

- I znalazłeś się w trzecim czy już może czwartym kręgu piekła?

- Nie było aż tak źle. Ona mnie lubi. Do pewnego stopnia, oczywiście. Uznała, że jestem w miarę godny uwagi, a poza tym doskonale się bawi, karmiąc mnie historyjkami, którymi chce mnie karmić, zatajając zaś - w jej mniemaniu bardzo przebiegle - to, co chce koniecznie ukryć.

Przełamał na pół skibkę czosnkowego chleba, by podzielić się z Roz.

- Nagrałem jej opowieści. Jeżeli chcesz, udostępnię ci kasetę. Usłyszałem od Clarise interesującą anegdotę dotyczącą twojego dziadka. Ponoć, jako małe

dziecko, zasnął w szafie razem ze szczeniakiem z miotu podwórzowej suki. Bardzo chciał mieć psa, ale spotkało się to z ostrym i kategorycznym sprzeciwem matki. „Żadnych zwierząt w domu” - tak zdaje się głosiła żelazna zasada. Ukrywał tego psiaka przez tydzień w swoim pokoju, w szafie, podbierając dla niego jedzenie z kuchni.

- Ile miał wtedy lat?
- Według Clarise nie więcej niż dziesięć. Cała sprawa wyszła na jaw, gdy pewnego dnia wszedł do szafy, by dotrzymać zwierzakowi towarzystwa, i tam zasnął. Nikt nie mógł go znaleźć i cały dom został postawiony na równe nogi. Aż w końcu ktoś ze służby usłyszał z szafy pisk i zguba się znalazła.
- Czy pozwolono mu zatrzymać psa?
- Owszem. Ojciec uchylił zakaz matki. Pies mieszkał w rezydencji, mimo że był najzwyklejszym kundlem i podobno nigdy nie nabrał odpowiednich manier. O ile pamięć nie zawodzi Clarise, twój dziadek miał go przez niemal osiemnaście lat. Pochował go tuż za stajniami, a przy grobie posadził drzewo.
- Pies nazywał się Spot. Dziadek nawet kiedyś sam pokazał mi jego grób. Jest oznaczony specjalnym kamieniem. Babcia doskonale wiedziała, że dziadek pogrzebał tam ukochanego psa, ale z pewnością nie miała pojęcia, jak wszedł w jego posiadanie, boby mi o tym opowiedziała.
- Mam wrażenie, że Clarise uraczyła mnie tą dykteryjką tylko dlatego, żeby mi uświadomić, jak karygodnie rozpuszczany przez ojca był mały braciszek jej matki.
- To rzeczywiście bardzo w jej stylu - zgodziła się Roz.
- Przy okazji dowiedziałem się jeszcze czegoś interesującego. Jane ma wychodne w co drugą środę. W każdym razie jest wtedy wolna po południu. Lubi chodzić do księgarni Davis-Kidd, je lunch w tamtejszej kafejce i buszuje w książkach.
- Doprawdy?

- Każdy, kto chciałby porozmawiać z Jane na osobności, miałby okazję tam się z nią spotkać. A tak się składa, że jutrzejsza środa należy do tych wolnych.
- Od bardzo dawna nie byłam w żadnej księgarni.
- A więc najwyższy czas, żebyś nadrobiła zaległości.

Gdyby nie szczegółowy opis Mitcha, Roz zapewne nie rozpoznałaby Jane Paulson. Dziewczyna o mysich włosach, w szaroburym ubraniu i z surowym wyrazem twarzy, po wejściu do kafejki od razu podeszła do bufetu.

Szybko i bez zastanowienia złożyła zamówienie, jak ktoś, kto niemal ni gdy nie zmienia utartych zwyczajów, po czym usiadła przy stoliku w rogu i wyjęła z torebki książkę w tanim kieszonkowym wydaniu.

Roz odczekała dobrą minutę, po czym powolnym krokiem podeszła do narożnego stolika.

- Jane? Jane Paulson? - spytała radośnie, z lekkim zdumieniem w głosie. Dziewczyna drgnęła gwałtownie, po czym podniosła głowę. - A to dopiero spotkanie!

Nie czekając na zaproszenie, Roz przysiadła się do stolika.

- Musiało minąć co najmniej... och, nawet nie chcę liczyć, ile to już lat. Jestem twoją kuzynką Rosalind. Rosalind Harper.
- Tak... Tak, wiem. Dzień dobry.
- Witaj. - Roz przyjaźnie poklepała dziewczynę po dłoni, po czym rozsiadła się wygodniej i pociągnęła łyk kawy. - Co u ciebie? Na jak długo przyjechałaś do Memphis? Musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.
- U mnie... doskonale. I teraz mieszkam tu na stałe.
- Niemożliwe! Tutaj? W Memphis? A jak się miewa twoja rodzina?
- Bardzo dobrze. Wszyscy mają się jak najlepiej.
- Miło to słyszeć. Pozdrów ode mnie rodziców, gdy będziesz z nimi rozmawiać. A co porabiasz w naszym mieście?
- Ja... mm... - Jane urwała, bo akurat kelnerka przyniosła filiżankę z zupą i małego sandwicza. - Oh... kuzynko Rosalind, czy coś dla ciebie zamówić?

- Nie, dziękuję. Kawa mi wystarczy.

W tym samym momencie Roz doszła do wniosku, że nie zdoła przeprowadzić swojego pierwotnego planu. Po prostu nie mogła patrzeć na tę nieszczęśliwą, ściągniętą lękami twarz i nadal kłamać w żywe oczy.

- Jane, będę z tobą szczerą. Przyszłam tu dzisiaj tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nie bardzo rozumiem.

- Wiem, że mieszkasz u kuzynki Rissy. Że u niej pracujesz.

- Tak. Owszem. Ja... ja właśnie sobie przypomniałam, że mam jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia. Zupełnie nie wiem, jak mogłam o nich zapomnieć. Doprawdy, powinnam natychmiast się zbierać i...

- Skarbie - Roz położyła rękę na dłoni dziewczyny w uspokajającym geście - doskonale wiem, co Clarise myśli na mój temat, więc nie musisz się denerwować. Nigdy nie wspomnę jej słowem o naszej rozmowie. W żadnym razie nie chciałabym ci przysporzyć kłopotów. Możesz mi wierzyć.

- Czego więc ode mnie chcesz?

- Po pierwsze, chcę cię zapewnić, że cokolwiek mi powiesz, nigdy nie dotrze do uszu Rissy. Dobrze wiesz, jak serdecznie mnie nie znosi i zapewniam cię, że to uczucie jest wzajemne. Tak więc nie ma mowy, byśmy kiedykolwiek pogawędziły z Clarise na temat dzisiejszego spotkania. Na początek powiedz mi jednak, czy jesteś u niej szczęśliwa?

- Potrzebowałam pracy, a kuzynka Clarise mi ją zaproponowała. A teraz już doprawdy nie powinnam...

- Uhm. A gdybyś miała szansę na inną posadę?

- Ja... W tej chwili nie stać mnie na wynajęcie samodzielnego mieszkania. - Jane wpatrywała się w swoją zupę, jakby ta filiżanka była początkiem i końcem świata, świata wyjątkowo wrogiego i groźnego. - I nie mam żadnych kwalifikacji. Żadnych zawodowych kwalifikacji.

- Nie bardzo mogę w to uwierzyć, ale na razie odłożmy ten temat. Gdybym ci pomogła znaleźć inną posadę i własny ką, czy wolałabyś takie rozwiązanie od mieszkania i pracy u Clarise?
- A czemu miałabyś tak wiele dla mnie zrobić?
- Częściowo dlatego, żeby solidnie dopiec Rissy, a częściowo dlatego, że nie chcę, by ktokolwiek z mojej rodziny był nieszczęśliwy, jeżeli absolutnie nie musi. Ale przede wszystkim w nadziei, że może zechciałabyś mi pomóc.
- A cóż ja mogłabym dla ciebie zrobić?
- Clarise ma wiele rzeczy, które ukradkiem zabrała z mojego domu, z Harper House. - Roz kiwnęła głową, widząc w oczach Jane przerażenie potwierdzające prawdziwość jej słów. - Ty o tym wiesz i ja także. Nie obchodzą mnie - a w każdym razie postanowiłam, że nie będą obchodzić - różne kryształy, srebra czy bibeloty z porcelany. Ale zależy mi na dokumentach, listach i pamiątnikach. Szczerze mówiąc, Jane, zamierzałam cię przekupić, żebyś je dla mnie wyniosła. Załatwić ci pracę, mieszkanie i podarować pewną sumę pieniędzy na początek. W zamian za te dokumenty. Teraz jednak postanowiłam, że i tak to zrobię, bez względu na twoją decyzję.
- Dlaczego?

Roz nachyliła się konfidencjonalnie.

- Bo Clarise Harper, gdyby tylko mogła, zrujnowałaby mi życie. Manipulowałaby mną, arbitralnie decydowała o moim losie, deptała moją godność i wolę. Gdyby tylko mogła. Ja jednak nigdy jej na to nie pozwoliłam. I nie zamierzam pozwolić, by tobie wyrządziła taką krzywdę.
- To nie ona. To ja sama zawiniłam. Nie chcę jednak o tym rozmawiać.
- W takim razie nie będziemy. Nie zamierzam przypierać cię do muru. -Roz widziała, że mogłaby to zrobić bez najmniejszego wysiłku. I właśnie dlatego nie chciała się do tego posuwać. - Posłuchaj, dam ci wszystkie numery moich telefonów - do domu, do pracy i na komórkę. Schowaj je w takie miejsce,

żeby Clarise nie mogła ich znaleźć. Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że gdy tylko wychodzisz, ona przeszukuje wszystkie twoje rzeczy?

Dziewczyna skinęła głową.

- Ale to bez znaczenia - rzuciła szybko. - Ja i tak nie mam nic własnego.
- Postępuj tak dalej, a nigdy nie będziesz miała. Zastanów się dobrze, czego chcesz od życia. A potem, jeśli uznasz, że przydałaby ci się moja pomoc, po prostu zadzwoń.
- Pomożesz mi, nawet jeżeli ja ci nie pomogę?
- Owszem. Sama też jestem w stanie poradzić sobie z Rissy. Ona ma coś, co należy do mnie i co bardzo chcę odzyskać. Więc to odzyskam - w taki czy inny sposób. Jeżeli natomiast ty chcesz się od niej uwolnić, chętnie ci pomogę. Bez żadnych zobowiązań.

Jane otworzyła usta, szybko przygryzła wargę, po czym podniosła się z krzesła.

- Kuzynko Rosalind, czy mogłybyśmy pójść w jakieś inne miejsce? Ona wie, że zazwyczaj tu przychodzę, więc niewykluczone...
- Że ktoś zda jej relację z dzisiejszych wydarzeń? Tak, to rzeczywiście możliwe. A więc chodźmy gdzie indziej. Mój samochód stoi przed księgarnią.

Pojechały do niewielkiego bistro położonego na uboczu, gdzie istniało znikome prawdopodobieństwo spotkania kogoś ze znajomych Clarise. Wewnątrz pachniało potrawami z rusztu i dobrą mocną kawą.

Roz zajęła się zamówieniem, by dać Jane czas na ochłonięcie.

- Czy w swoim rodzinnym mieście miałaś jakąś pracę?
- Pomagałam w biurze, w firmie ojca. Jak zapewne wiesz, handluje drewnem podłogowym.
- Odpowiada ci praca biurowa?
- Nie. Nie lubiłam jej i zapewne nie wykonywałam najlepiej.
- A co chciałabyś robić?

- Pracować w księgarni albo w galerii. Uwielbiam książki, a także interesuję się sztuką. Nawet dość sporo wiem na ten temat.
- To już coś na dobry początek. - Żeby zachęcić dziewczynę do jedzenia, a nie jedynie skubania drżącymi palcami kawałków pieczywa z sezamem, Roz rozkroiła na pół ogromną kanapkę i odgryzła spory kęs. - Czy masz jakieś własne pieniądze?
- Udało mi się zaoszczędzić dwa tysiące.
- Kolejna dobra wiadomość.
- Zaszłam w ciążę - nieoczekiwanie wyrzuciła z siebie Jane.
- Och, skarbie. - Roz odłożyła sandwicza i serdecznie uścisnęła dłoń dziewczyny. - A więc spodziewasz się dziecka?
- Już nie. - Po szczupłych policzkach Jane potoczyły się łzy. - To się wydarzyło w zeszłym roku. On... on był żonaty. Powiedział, że mnie kocha i że odejdzie od żony. Byłam taką straszną idiotką. Taką głupią gęsią.
- Przestań, proszę. - Roz podała Jane papierową serwetkę. - Nie opowiadaj bzdur.
- Miał żonę i ja o tym wiedziałam. Ale kompletnie straciłam dla niego głowę. Cudownie się czułam ze świadomością, że komuś na mnie naprawdę zależy, a utrzymywanie romansu w sekrecie tylko dodawało całej sprawie emocjonującego dreszczyku. Wierzyłam w każde jego słowo, kuzynko Rosalind!
- Po prostu mów mi Roz. To naturalne, że mu ufałaś. Przecież byłaś zakochana.

Tylko że on wcale mnie nie kochał. - Jane potrząsnęła głową i zaczęła drzeć serwetkę na drobne strzępy. - Kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży, natychmiast mu powiedziałam. Podszedł do tego bardzo spokojnie i chłodno. Nie był wściekły, jedynie zdegustowany. Jakby spotkała go drobna przykreść. Chciał, żebym jak najszybciej pozbyła się dziecka. Byłam zaszokowana.

Oznajmił, że pewnego dnia na pewno się pobierzemy, ale że teraz mam usunąć ciążę.

- To musiały być bardzo ciężkie chwile. Serdecznie ci współczuję, Jane.
- Oczywiście obiecałam, że tak zrobię. Ogarnął mnie straszny smutek, ale postanowiłam podporządkować się jego woli. Tak naprawdę nie widziałam innego wyjścia. Jednak wciąż odkładałam wizytę u lekarza, bo po prostu bałam się zabiegu. Aż pewnego dnia wybrałam się z matką na lunch i wtedy złapały mnie okropne skurcze brzucha. Dostałam krwotoku. Przy stoliku, na środku restauracji!

Łzy płynęły już nieprzerwanie. Roz wyciągnęła rękę z kolejną serwetką.

- Poroniłam. Wcześniej słowem nie wspomniałam o ciąży, a teraz straciłam dziecko właściwie na oczach matki. I ona, i tato okropnie się zdenerwowali. W szpitalu podano mi różne środki, po których byłam kompletnie oszołomiona. Nie do końca wiedziałam, co robię, i właśnie wtedy powiedziałam im, kto był ojcem. Jeden z bliskich znajomych taty, często grywali razem w golfa.

Teraz już zakryła twarz serwetką i zaczęła głośno szlochać. Natychmiast ruszyła w ich stronę kelnerka, ale Roz stanowczo pokręciła głową, przesiadła się na przeciwległą kanapę i otoczyła Jane ramieniem.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam - wyszeptała dziewczyna.
- W żadnym razie nie masz za co przepraszać. Wypłacz się. To zazwyczaj pomaga.
- Między mną a rodzicami doszło do gwałtownej sceny. Czułam się podle i okropnie. Zawiodłam ich i naraziłam na straszny wstyd.
- Biorąc po uwagę okoliczności, powinni byli murem stanąć po twojej stronie i okazać ci całą swoją miłość.
- Zhańbiłam ich. - Jane powoli osuszała twarz serwetką. -1 to z mężczyzną, którego tak naprawdę wcale nie obchodziłam. Do tego straciłam dziecko -

może dlatego, że bardzo nie chciałam go urodzić. Prosiłam Boga, żeby go nie było, i Bóg mnie wysłuchał.

- Pobożnymi życzeniami nie sposób się pozbyć dziecka, skarbie. Możesz mieć do siebie pewne pretensje, że w ogóle zostało poczęte - chociaż ostatecznie do tego trzeba dwojga - ale nie możesz się winić za to, że je straciłaś.
- Nigdy wcześniej nie zrobiłam niczego na własną rękę, zawsze tylko posłusznie wypełniałam polecenia. A kiedy ten jeden, jedyny raz pokierowałam się swoją wolą, skończyło się katastrofą.
- Przykro mi, że przeszłaś przez tak drastyczne doświadczenia. Ale wszyscy popełniamy błędy, Jane, i niekiedy przychodzi nam za nie słono płacić. Tyle że nie musimy płacić po wsze czasy.

Uścisnęła dziewczynę raz jeszcze, po czym przesiadła się z powrotem na swoje miejsce, żeby mogły patrzeć sobie w oczy.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie. Czy ten mężczyzna, który cię tak paskudnie wykorzystał, już na zawsze zniknął z twojego życia?

Potaknęła skinieniem głowy.

- To dobrze. Jesteś więc wolna. I teraz przed tobą ważny wybór. Albo zaczniesz budować dla siebie nową, lepszą przyszłość, albo na zawsze pozostaniesz nieszczęsną ofiarą losu.
- Naprawdę byłabyś skłonna pomóc mi w znalezieniu pracy, kuzynko?
- Naprawdę. Jednak to, czy ją utrzymasz, będzie już zależało wyłącznie od ciebie.
- Ona... ona ma mnóstwo starych pamiątek. Trzyma je w sypialni, zamknięte szufladzie. Ale wiem, gdzie chowa klucz.

Roz uśmiechnęła się promiennie.

- - Tylko popatrz, jaka potrafisz być dzielna. .

Chyba nie jest tak do gruntu zła? - Hayley podrzuciła Lily na biodrze i znów przeniosła wzrok na Harpera, sadzącego fłance portulaki w pobliżu kuchennych drzwi swojego domku. - To znaczy wiem, że jest złośliwa i wredna, ale nie przeżarta nikczemnością do szpiku kości?

- Według mamy to diablica z piekła rodem.
- Jeżeli to prawda, może miała coś wspólnego ze śmiercią Amelii. Może nawet własnoręcznie ją ukatrupiła.
- Kiedy Amelia umarła, Clarise jeszcze nie było na świecie.
- No, tak - przyznała niechętnie Hayley, zaraz jednak ściągnęła w zamyśleniu brwi. - Ale pod warunkiem, że nie kropnęliśmy się w datach. W innym wypadku to wcale niewykluczone.
- Zakładając, że Amelia w ogóle została zamordowana.
- Prawda. Ale jakkolwiek było, ta kuzynka Clarise musiała mieć konkretne powody, żeby zabrać pamiątki i trzymać w ukryciu, nie sądzisz?
- Inne niż to, że jest egoistyczną, nadętą starą wariatką?
- Właśnie... Już dobrze, skarbie. - Lily kręciła się bardzo niespokojnie, więc Hayley postawiła ją na ziemi i trzymając za obie rączki, zaczęła prowadzić tam i z powrotem wzdłuż werandy. - Może w tych pamiątkach są niewygodne dla niej informacje?
- Czemu więc z mety ich nie spaliła?
- Nie mam pojęcia. To z mojej strony tylko czyste spekulacje. Ale żeby dojść do właściwych wniosków, zawsze trzeba najpierw budować hipotezy, no nie?
- Jeżeli tak twierdzisz. W mojej opinii jednak kuzynka Rissy jest po prostu egotyczną, zgorzkniałą jędzą o lepkich palcach... Popatrz na mnie, słodki skarbie. - Zerwał dorodny kwiat wielkokwiatowej portulaki i pokazał Lily. -

Czyż ten kwiatek nie jest śliczny? Nie miałabyś ochoty dostać go w swoje łapki?

Uśmiechając się od ucha do ucha, mała puściła dłoń matki i wyciągnęła przed siebie rączkę.

- Cudnie. Ale jeżeli naprawdę go chcesz, musisz się do mnie pofatygować. Przesunął kwiat, żeby znalazł się poza zasięgiem małych paluszków, i wówczas Lily, kołysząc się na boki, ruszyła naprzód.

- O, mój Boże! Wielki Boże! Widziałeś? Szła sama! Zupełnie sama! Widziałeś?

- Jasne.-Harper podtrzymał dziewczynie-, gdy z całej siły zacisnęła dłoń na kwiatku. - Popatrz tylko na siebie, maleńka. Ależ jesteś dzielna!

- Postawiła swoje pierwsze samodzielne kroki! - Hayley pociągnęła nosem i otarła łzę z policzka. - Podeszła do ciebie... właśnie do ciebie.

Harper, zmieszany jak zwykle, gdy któraś z kobiet ronila w jego obecności łzy, podniósł wzrok na dziewczynę.

- Przepraszam. Powinienem był ci oddać ten kwiatek.

- Nie, nie, nie w tym rzecz! Ona właśnie postawiła swoje pierwsze samodzielne kroki, Harperze. Moja słodka, mała córeczka. Musimy natychmiast wszystkim zademonstrować ten cud. - Podniosła Lily i zaczęła wirować z nią w kółko. Musimy pokazać, jaka jesteś mądra.

Chwilę później zatrzymała się gwałtownie, pochyliła i cmoknęła Harpera w policzek.

- Podeszła akurat do ciebie - rzuciła raz jeszcze dziwnym tonem i szybkim krokiem ruszyła w stronę rezydencji.

Roz uwielbiała wiosną popijać popołudniową kawę na tarasie, by móc spoglądać po budzącym się do życia ogrodzie. Z oddali dobiegały śmiechy i pokrzykiwania chłopców Stelli i Rosalind natychmiast powróciła pamięcią do czasów, gdy wśród krzewów i drzew rozbrzmiewały krzyki i chichoty jej własnych synów.

Przyjemnie było siedzieć w łagodnym świetle zapadającego wieczoru, wdychać zapach młodych liści i wilgotnej ziemi, a do tego cieszyć się towarzystwem Mitcha i Davida, Stelli i Logana.

Do szczęścia brakowało tylko Harpera i Hayley. Ale syn nie odbierał telefonu - co w jego wypadku należało uznać za normę - natomiast Hayley i Lily jakby zapadły się pod ziemię.

- Mąż Cissy tak bardzo się zachwycił nowym ogrodem, że przywiózł ją do naszego centrum, aby jeszcze kupiła jakieś eleganckie meble na patio. - Stella wysączyła do końca swoją mrożoną herbatę. - Rzadko można spotkać równie usatysfakcjonowaną klientkę. Ale też mało komu udało się w równie szaleńczym tempie dokonać takich cudów, jakich ty dokonałaś, Roz. Logan musi cię mieć na oku - wyrastasz na groźną konkurencję.
- Znałam teren i jego właścicielkę, i to na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jakie zmiany można szybko wprowadzić i zachwycić przy tym Cissy. No i poniekąd zmusiłam ją, żeby zatrudniła Logana do pielęgnacji ogrodu.
- Chybabym oszalała, gdybym tak musiała drzeć przed teściową - powiedziała Stella i uśmiechnęła się promiennie do narzeczonego. - Widzę, że trafił mi się prawdziwy skarb.
- Moja matka myśli dokładnie to samo o tobie, co cholernie ułatwi mi małżeńskie życie. - Uniósł w stronę Stelli puszkę z piwem. - Twoje dni są już policzone, Rudzielcu.
- Zaledwie dwa tygodnie, a wciąż mam jeszcze mnóstwo do zrobienia. Ilekroć nabieram przekonania, że wreszcie nad wszystkim zapanowałam, pojawia się nowy problem. Okazuje się, że zaplanowanie skromnego, prostego ślubu jest wyjątkowo skomplikowane.
- Wystarczy powiedzieć „tak”, a potem zabrać się do krojenia tortu - stwierdził Logan i natychmiast został spiorunowany wzrokiem przez przyszłą pannę młodą.

- Jolene wychodzi ze skóry, żeby mi pomóc - podjęła Stella po chwili. -Mama i siostra Logana też próbują pomagać na odległość. Ale zupełnie nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie, Davidzie.
- Rzucisz mi bukiet i będziemy kwita.
- A gdy już o twojej macosze mowa, Stello - wtrąciła Roz - odbyłam z nią dzisiaj długą, owocną rozmowę.
- Tak?
- Jeżeli ktokolwiek może powiedzieć, że zna niemal wszystkich w hrabstwie Shelby, to właśnie Jolene Dooley. Przypomniałam sobie, że któraś z jej przyjaciółek jest właścicielką małej galerii i sklepu z pamiątkami w centrum miasta. Umówiłam Jane na rozmowę kwalifikacyjną na następne środowe popołudnie.
- Nie zasypiasz gruszek w popiele - zauważył Mitch.
- Ta dziewczyna zasługuje na nową szansę. Pytanie, jak ją wykorzysta. W każdym razie dowiedziałam się przy okazji, że inna przyjaciółka Jolene ma siostrę pracującą w biurze wynajmu nieruchomości. Okazało się, że akurat zwalnia się małe mieszkanie zaledwie sześć przecznic od galerii. Ktoś, kto miał się tam wprowadzić, wpadł w jakieś kłopoty finansowe.
- Powinienem być raczej powiedzieć, że jesteś cudotwórczynią.
- Złożyłam więc ofertę w biurze.
- Sądzisz, że ta dziewczyna zbierze się na odwagę? - spytał Logan. - Wyprowadzi się od tej starej wiedźmy i przyniesie ci pamiątki? Z twojej opowieści wywnioskowałem, że raczej brakuje jej charakteru.
- Niektórzy ludzie potrzebują czasu i specyficznych okoliczności, żeby nabrać wiary w siebie. Jane jest młoda i zapewne brak jej tego, co ty nazwałbyś werwą czy inicjatywą. Chociaż jasno jej powiedziałam, że nie oczekuję niczego w zamian za pomoc, z pewnością będzie się czuła wobec mnie zobowiązana, gdy przyjmie pracę i mieszkanie. A czy starczy jej odwagi, by spłacić dług - to już zupełnie inna sprawa.

- A jeżeli nie starczy? - zainteresował się Mitch.
- Wówczas będę zmuszona odbyć z kuzynką Rissy długą, szczerą do bólu rozmowę. Chowam kilka asów w rękawie i nie zawaham się ich użyć, jeżeli zostanę do tego zmuszona.

David pochylił się ku niej z błyskiem w oku.

- Rodzinne sekrety? Skandale? Jakie na przykład?
- Rozmaite grzeszki, które ona z pewnością wolałaby zachować w ukryciu, a ja bez mrugnięcia okiem wywlekę na światło dzienne i bardzo spektakularnie nagłośnię, jeżeli nie zwróci mi tego, co zabrała z Harper House. -Roz poklepała Davida po policzku. - Ale na razie niech owe grzeszki pozostaną moją słodką tajemnicą.
- No wiesz! Zepsułaś mi dzień.

Roz jednak już go nie słuchała, ponieważ – jak wszyscy pozostali – skupiła uwagę na Hayley, pędzącej bez tchu przez trawnik.

- Zaczęła sama chodzić! Podeszła do Harpera! Zrobiła całe trzy kroki!

Natychmiast każdy zapragnął, żeby Lily zademonstrowała nowo nabytą umiejętność. Ilekroć jednak Hayley puszczała rączki córki i próbowała nakłonić ją do postawienia samodzielnych kroków, dziewczynka ugięła kolana i siadała na ziemi. O wiele bardziej odpowiadało jej raczkowanie po tarasie i wspinięcie się na nogę fotela Roz.

- Przysięgam, że chodziła. Możecie spytać Harpera.
- Ależ wierzymy ci, Hayley. – Roz pochwyciła dziecko i zaczęła huśtać w ramionach. – Drażnisz się z mamą, co, mały urwisie?

Wstała od stołu z Lily na rękę, chwyciła krakersa i podała Hayley.

- Czas, żebyś zaznajomiła się z najskuteczniejszą rodzicielską sztuczką. Nazywa się przekupstwo. Pochyl się i wyciągnij w jej stronę ciasteczko. Sama Roz przykucnęła i pomogła małej złapać porządnie równowagę.
- Harper podał jej kwiatek.

- Ten chłopak wie, jak oczarować kobiety. No już, skarbie. Idź po tę pyszności.

Przy entuzjastycznym aplauzie wszystkich zgromadzonych Lily spisała się na medal. Chwilę później klapnęła na pupę i zaczęła żuć krakersa.

Gdy zmierzch zdecydowanie zgęstniał, większość towarzystwa weszła do domu i na werandzie zostali tylko Roz z Mitchem.

- Czy poczujesz się bardzo urażona, gdy powiem, że cudownie odgrywasz rolę honorowej babci?
- Słowo „babcia” wciąż jest dla mnie pewnym wstrząsem, ale nie mogłabym kochać tego dziecka bardziej, gdyby było moją własną wnuczką, więc nie warto się obrażać. Swoje pierwsze samodzielne kroki skierowała w stronę Harpera. To ma dla mnie określoną wymowę.
- Czy ona się z kimś spotyka? Mam na myśli Hayley.
- Na razie koncentruje się jedynie na Lily. Ale jest młoda i pełna życia. Wcześniej czy później pojawi się jakiś mężczyzna. Harper natomiast zmienia kobiety niczym rękawiczki – już nawet nie próbuje za tym nadążyć. Jednak dotąd jeszcze żadnej z tych kobiet nie przyprowadził do domu, żadnej mi nie przedstawił – co również jest bardzo wymowne.
- Gdy już o synach i kobietach mowa, mój ma teraz nową dziewczynę. I tak się składa, że jej rodzice są członkami twojego country klubu. Więc Josh także przyjdzie na jutrzejszy ba. Bardzo chciałbym ci go przedstawić.
- Poznam go z największą przyjemnością. A jak nazywa się jego sympatia?
- Ma na imię Shelby, na część hrabstwa, jak sądzę. Shelby Forrester.
- Jakież ten świat jest mały. Owszem, dobrze znam Jan i Quilla, rodziców Shelby. Podobnie jak ją samą – to miła i śliczna dziewczyna. Natomiast moje stosunki z jej rodzicami uległy ostatnio... pewnemu nadwężeniu. Quill prowadzi jakieś interesy z Bryce’em, więc siłą rzeczy znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady.

- Gdy chodzi o skomplikowane relacje rodzinne i towarzyskie, nie ma jak nasze głębokie Południe.
- Zapewne. Ale wspomniałam ci o tym tylko dlatego, żebyś wiedział, o co chodzi, gdyby atmosfera stała się chłodna i napięta. Osobiście jednak zamierzam być uprzedzająco miła, więc nie musisz się przejmować.
- Wcale nie zamierzam. Słuchaj, może się przejdziemy po ogrodzie? W ten sposób będę mógł bezkarnie trzymać cię za rękę. A może nawet uda nam się znaleźć jakiś zaciszny zakątek wiosennych aromatów, gdzie dasz mi się pocałować.
- Brzmi obiecująco.
- To, co robisz dla Jane Paulson, jest wspaniałe.
- Być może. Jednak kryją się za tym dość nieczne motywy.
Mitch roześmiał się i uniósł jej dłoń do ust.
- Gdyby motywy twoich działań zawsze były szlachetne, wątpię, czy fascynowałabyś mnie aż tak bardzo.
- Nie ma to jak celne pochlebstwo. Przejdźmy się do stajen. Pokażę ci grób Spota.
- Chętnie go zobaczę. I może to będzie najwłaściwsze miejsce, żeby przedstawić ci moją najnowszą teorię, a raczej pewne podejrzenie, nękające mnie uporczywie od jakiegoś czasu.
Kiedy szli wzdłuż ścieżki, Roz przyglądała się uważnie swoim kwiatom i, niczym jastrząb ofiary, wypatrywała najmniejszych chwastów.
- Więc najlepiej od razu wyrzucić z siebie to podejrzenie, żeby już dłużej nie mogło cię nękać.
- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, jak przyjmiesz to, co mam do powiedzenia. Baczenie przyglądam się wszystkim datom, wydarzeniom, przełomowym chwilom w życiu rodziny, wszystkim osobom dramatu i próbuję w jakiś sposób powiązać je z Amelią.

- Aha... Tylko spójrz! Uwielbiam te zrujnowane stajnie. Wyglądają niezwykle romantycznie.

Z rękami na biodrach i zawadiacko przekrzywioną głową Roz wodziła wzrokiem po zwietrzałych kamieniach i drewnie wybielonym przez słońce i deszcz.

- Pewnie mogłabym je odrestaurować. Może nawet tak zrobię, jeżeli będę miała wnuki zainteresowane jeździectwem. Żaden z moich chłopców nigdy nie połknął tego bakcyła. Ale to chyba dziewczynki częściej przechodzą fazę zachwyty koźmi.

W gasnącym świetle przyglądała się starej budowli z zapadającym się dachem o wyblakłych trzymowaniach, otoczonej winoroślą, bluszczem i ozdobnymi trawami, które tu wysiali, żeby nadać całości nieco zdziczały wygląd.

- Obrazek jakby żywcem wyjęty z bajki – mruknął Mitch.
- Dlatego mnie tak zachwyca. O ile wiem, to mój ojciec pozwolić, by stajnie całkiem popadły w ruinę, albo raczej nic nie zrobił, żeby zachować budynek w dobrym stanie. W pewnym momencie chciał go nawet zrównać z ziemią, ale w końcu tego nie zrobił na prośbę babci. Ona utrzymywała, że Stajnie są integralnym elementem posiadłości i lubi na nie patrzeć. Grób Spota jest z drugiej strony - wyjaśniła rzeczowo. - Ach... i przepraszam, że chwilę wcześniej tak obcesowo ci przerwałam - dorzuciła szybko. - Jestem dziś nieco rozkojarzona. A więc przedstaw mi swoją teorię.
- Obawiam się, że może ci się nie spodobać.
- Sumak jadowity! - Zdecydowanym ruchem odsunęła Mitcha, zanim zdążył się o niego otrzeć. - Muszę tu jutro przyjść i się z nim rozprawić. Jesteśmy na miejscu.

Kucnęła i gołymi rękami zaczęła wyrywać chwasty i odgarniać ziemię, aż ukazał się kamień z nieporadnie wyrytym imieniem psa.

- To wzruszające, że pochował w ogrodzie swojego ulubieńca i sam wykuł te litery na kamieniu, prawda? Myślę, że mój dziadek był uroczym człowiekiem - zresztą inaczej babcia nie kochałaby go tak gorąco.
- Rzeczywiście musiała go bardzo kochać - zgodził się Mitch. - To wyraźnie widać na ich wspólnych zdjęciach.
- Na fotografiach dziadek wygląda na chłodnego i zdystansowanego, chociaż wcale taki nie był. Zagadnęłam kiedyś babcię na ten temat i powiedziała, że dziadek nie znosił się fotografować. Wstydził się obiektywu. Dziwnie jest myśleć o własnym dziadku jako o nieśmiałym chłopcu, który kochał swojego psa.
- Babcia była bardziej otwarta?
- O, nieporównanie. Uwielbiała imprezy towarzyskie niemal tak samo, jak uwielbiała swój ogród. Z wielkim zamięłowaniem urządzała eleganckie lunche, a w szczególności popołudniowe herbatki. Zawsze wówczas bardzo elegancko się ubierała - wkładała kapelusz, rękawiczki i jedwabne, powiewne suknie.
- Widziałem jej zdjęcia. Była wyjątkowo szykowna.
- A jednocześnie równie chętnie wskakiwała w stare spodnie i godzinami grzebała w ziemi.
- Podobnie jak ktoś inny, kogo dobrze znamy. - Mitch pogładził Roz delikatnie po włosach. - Twój dziadek urodził się wiele lat po najmłodszej z siostr.
- Uhm. Podejrzewam, że między ich narodzinami było wiele ciąż, które zakończyły się katastrofą. Moja babcia sama dwukrotnie poroniła i kiedyś wspominała, że jej teściowa miała takie same problemy.
- A potem nagle urodził się syn - mniej więcej w tym samym czasie, kiedy, zgodnie z naszą teorią, umarła Amelia. Amelia, która nawiedza twój dom, chociaż najprawdopodobniej nigdy tu nie mieszkała i nie była także spokrewniona z Harperami. Amelia, która śpiewa dzieciom, uwielbia dzieci -

i to w szczególności chłopców - ale gardzi mężczyznami, a wręcz ich nienawidzi.

Zmrok szybko przechodził w ciemność, a wraz z nią nadciągał chłód.

- Więc?
- Więc może chłopiec urodzony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku tak naprawdę był jej dzieckiem? Jej dzieckiem, Roz. Amelii, nie Beatrice Harper.
- To bardzo daleko idąca hipoteza, Mitchell.
- Daleko idąca? Być może. I to w zasadzie nawet nie hipoteza, tylko czysta spekulacja, zresztą oparta na dość karkołomnych założeniach. Nie byłby to jednak wcale niezwykły czy odosobniony przypadek.
- Ale przecież musiałabym coś słyszeć na ten temat. Bez wątplenia krążyłyby jakieś pogłoski czy też szeptane po kątach aluzje.
- Nie, jeżeli główne osoby dramatu dołożyły wszelkich starań, żeby dochować sekretu. Bogaty, niezwykle wpływowy mężczyzna chce mieć syna, więc go sobie kupuje. Do diabła, takie historie nadal się zdarzają.
- Ależ... - Roz zerwała się na równe nogi. - Jakim cudem udałoby im się zaaranżować i utrzymać w tajemnicy podobną mistyfikację? Bo rozumiem, że nie mówimy o legalnej adopcji.
- Rosalind, zastanów się przez chwilę. A jeżeli Harper wynajduje młodą kobietę, zapewne obytą towarzysko i dość inteligentną, która znalazła się w kłopotcie? Płaci za nią rachunki, zapewnia wygodne, dyskretne lokum, a ona w zamian zgadza się, że jeżeli powije chłopca, Reginald zabierze dziecko.
- A jeżeli urodziłaby się dziewczynka? Cała inwestycja poszłaby na marne.
- Zagrał pokerowo. Niewykluczone zresztą, że sam był ojcem tego dziecka.
- I jego żona bez szemrania uznała bastarda za własnego syna, a na dodatek zgodziła się, żeby został dziedzicem fortuny?
- Nie miała wiele do powiedzenia. Ostatecznie to Reginald i tylko on trzymał rękę na pieniądzach.

Mitch zaczął delikatnie gładzić Roz po ramionach. ? - To by świadczyło o przerażającym wyrachowaniu i bezwzględności -mruknęła.

- Niekoniecznie. Możliwe przecież, że twój pradziadek kochał Amelię, chciał rozwieść się z żoną i poślubić kochankę. A tymczasem ona umarła w czasie porodu. Mógł być to również układ stricte handlowy - lub jeszcze jakaś inna kombinacja. Jeżeli jednak ten chłopczyk, Reginald Harper junior, był dzieckiem Amelii, wówczas wiele rzeczy znalazłoby logiczne uzasadnienie.
- Na przykład?
- Na przykład to, że Oblubienica ma bardzo szczególny stosunek do ciebie i twoich najbliższych. Może dlatego, że się od niej wywodzisz? Jesteś jej prawnuczką.

Roz odeszła kilka kroków od grobu psa.

- Ale dlaczego w takim razie pokazuje się w Harper House i na terenie posiadłości? Sądziś, że urodziła swoje dziecko w tym domu?
- Niewykluczone. Albo przebywała tu przez krótki czas, została przyjęta jako mamka do dziecka. To również byłoby zgodne z duchem czasów. Natomiast z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością możemy założyć, że gdzieś na terenie posiadłości straciła życie. W taki czy inny sposób.
- W taki czy...

Grób, który w tym momencie ujrzała, wcale nie był mały i nie widniał na nim żaden kamień z nieporadnie wyrytym napisem. Ten grób zdawał się głęboką, zionącą czernią dziurą.

Roz stała tuż nad jego krawędzią i widziała trupa. Zwłoki w poszarpanej, brudnej sukni. Gnijące ciało odchodziło od kości, a wokół unosił się straszny odór rozkładu. Drażnił nos, oczy, wnętrzności.

W miejscu, gdzie stała, grunt był mokry i śliski. Tuż nad ziemią natomiast snuł się smrodliwy opar, szarymi jęzorami liżący żdźbła trawy.

Roz wbiła ostrze łopaty w splątane kępy zielska. Nabrała pełną szufłę ziemi, po czym wrzuciła do grobu.

W tym samym momencie oczy trupa rozwarły się szeroko. Wyzierał z nich obłęd i mściwy gniew. Trup uniósł w górę rękę - kości obrzydliwie przebiły gnijące ciało - po czym zaczął podnosić się z grobu.

Roz rzuciła się gwałtownie do tyłu i zaczęła odpychać chwytające ją ręce.

- Już w porządku. Spokojnie. Oddychaj głęboko.
- Co się stało? - Roz raz jeszcze odepchnęła dłonie Mitcha, po chwili jednak zorientowała się, że siedzi na ziemi w jego ramionach.
- Zemdlałaś.
- To absolutnie wykluczone. Jeszcze nigdy w życiu nie straciłam przytomności.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. Zbladłaś jak płótno, oczy ci się zapadły w głąb. Pochwyciłem cię, kiedy zaczęłaś się osuwać na ziemię. Byłaś nieprzytomna zaledwie przez minutę. To jednak najdłuższa minuta w moim życiu.
- Co za cholerna sprawa.
- Nie przypuszczałem, że aż tak bardzo poruszy cię ta opowiadka. Ostatecznie snułem jakieś wydumane teorie. A teraz pozwól, że zabiorę cię do domu.
- Chyba nie sądzisz, że zemdlałam, ponieważ mój dziadek mógł pochodzić z nieprawego łoża? Chryste! Za kogo ty mnie bierzesz? Nie jestem jakąś egzaltowaną panienką, wpadającą w histerię tylko dlatego, że jej przodkowie mogli mieć na sumieniu paskudne sprawki. Wiem, do cholery, kim jestem i doskonale znam swoją wartość.

Na twarzy Roz znów pojawiły się rumieńce, a w pięknych podłużnych oczach błyskał gniew.

- Może więc zechcesz mi powiedzieć dlaczego... - Mitch urwał i tym razem sam poszarzał na twarzy. - Boże, Roz, ty chyba nie jesteś w ciąży?
- Weź się w garść i przestań opowiadać nonsensy. Jeszcze kilka minut temu widziałeś we mnie babcię, teraz natomiast podejrzewasz, że mogłabym się spodziewać dziecka. Opamiętaj się. Zapewniam, że nie mam najmniejszego

zamiaru fundować ani sobie, ani tobie podobnej przyjemności. Nie w naszym wieku, na Boga, więc możesz spać spokojnie. Przez chwilę po prostu dostałam się we władanie jakiejś dziwnej mocy.

- Zechcesz dorzucić garść szczegółów?
- W jednej chwili rozmawiałam z tobą, a w następnej stałam... nie wiem dokładnie w jakim miejscu, ale nad otwartym grobem. Ona tam leżała. Amelia. I nic był to najpiękniejszy widok.

Wzdrygnęła się i oparta głowę na ramieniu Milcha. Na jego silnym, muskularnym ramieniu.

- Powiedzieć, że widziałam ją martwą, to mało. Ona się rozkładała. Widziałam to, czułam ten potworny odór. I najprawdopodobniej zemdlałam właśnie z powodu tego smrodu. Zdaje się, że zamierzałam ją zakopać. A wówczas Amelia otworzyła oczy i zaczęła wychodzić z grobu.
- Może poprawi ci się trochę humor, gdy przyznam, że gdyby mnie pokazało się coś podobnego, też bym zemdlał.
- Nie wiem, czy ten grób był tutaj - to znaczy w tym konkretnym miejscu. Osobiście nie sędzę, ale nie jestem pewna. Tysiące razy przesiadywałam w tym zakątku. Przecież sadziłam tu tę rumiankę i krzewy osmanthusa, ale nigdy nie poczułam nic nadzwyczajnego.
- Zaryzykuję kolejną teorię i powiem, że być może nigdy przedtem nie byłaś tak bliska odkrycia jej tożsamości.
- Pewnie masz rację. Musimy przekopać to miejsce. - Roz dźwignęła się na nogi. - Musimy je przekopać i sprawdzić, czy jej tu nie ma.

Pozapalali wszystkie reflektory ogrodowe i kopali jeszcze długo po północy. Każdy z mężczyzn cały czas machał łopatą, natomiast Roz, Stella i Hayley wymieniały się przy pracy, żeby dwie z nich mogły zawsze czuwać przy dzieciach.

Jednak wszystko, co znaleźli, to szkielet wiernego psa.

- To mogła być metaforyczna wizja - odezwał się nieoczekiwanie Harper, gdy nazajutrz wraz z Roz wracali pieszo do domu przez zagajnik.

Rosalind zerknęła bacznie na syna. Doskonale wiedziała, czemu Harper, obejmujący ją teraz z pozorną beztrąską ramieniem, przez cały dzień w pracy nie odstępował jej nawet na krok. Mitch powiedział mu, że zemdląca.

Od wczorajszego incydentu niemal cały czas ktoś przy niej sterczał. To musi się skończyć, zdecydowała. Pozwoli jeszcze synowi i swojej przybranej rodzinie cudować do końca dnia, a potem delikatnie, ale stanowczo ich od siebie odsunie.

- Jaka wizja?

- Ta... no wiesz... którą miałaś w ogrodzie. Kiedy wydawało ci się, że stoisz nad otwartym grobem Amelii, a ona... - Harper szybko ugryzł się w język. - Przepraszam, nie chciałem cię przerażać.

- Nie przeraziłeś. Natomiast, o ile mnie pamięć nie myli, to komuś innemu śniły się swego czasu koszmary po pewnym przedpołudniowym, sobotnim serialu. Jak on się nazywał? „The Land of the Lost”?

- Jeeezu, te jaszczury z kuszami! - Wzdrygnął się żartobliwie. - Do tej pory prześladują mnie w snach. Ale wracając do tematu. Przecież tak naprawdę ty nigdy nie stałaś nad jej grobem ani jej nie grzebałaś. Amelia zmarła bardzo dawno temu. Jeżeli jednak przyjmujemy twoją wizję za skonstruowaną przez podświadomość metaforę, możemy zinterpretować ją następująco: robisz wszystko, żeby się dowiedzieć, kim była, ale umyka ci jakiś istotny szczegół albo nie chcesz przyjąć jakichś faktów i przez to jeszcze bardziej spychasz ją w nicość.

- Więc tak naprawdę to jedynie wytwór mojego umysłu.

- Niewykluczone, że Amelia podsuwa ci te obrazy. Roz zadumała się na moment.

- Mitch ma pewną teorię. Dyskutowaliśmy o niej, zanim zemdląca.

Przedstawiła synowi usłyszaną wczoraj hipotezę, a gdy skończyła, akurat znaleźli się na skraju zagajnika, skąd jak na dłoni było widać rezydencję.

- To wcale nie wydaje mi się takie znowu nieprawdopodobne - oświadczył Harper. - Zawsze miałem wrażenie, że Amelia jest jedną z nas.
- Obawiam się, że ta teoria tylko zrodzi wiele kolejnych pytań, natomiast w żaden sposób nie przybliży nas do odkrycia jej tożsamości. Za to jedno jest teraz pewne. Muszę zdobyć te pamiętniki. I jeżeli Jane nam nie pomoże, zamierzam przypuścić frontalny atak na Clarise.
- Weźmiesz mnie na adiutanta?
- Może. W każdym razie jeżeli Amelia ma coś wspólnego z rodem Harperów, trzeba przywrócić należne jej miejsce. Czego bym nigdy nie powiedziała o Clarise - w mojej opinii zawsze chciała więcej, niż jej się należało. Nie rozumiem, czemu mam tyle ciepłych uczuć do dawno zmarłej kobiety, która może nawet nie była naszą krewną, a nie mogę ich wykrzesać w stosunku do osoby, która niewątpliwie jest z nami spokrewniona.
- Ona spuściła mi lanie. Roz aż zeszywniała.
- Co takiego?
- Pewnego dnia nieźle mi przyłożyła, kiedy przyszła do nas z wizytą. Przyłapała mnie, jak wlażłem na kredens, żeby dobrać się do słoja z ciastkami. O ile się nie mylę, miałem wtedy jakieś sześć lat. Ściągnęła mnie z tego kredensu, zbiła i nazwała zachłannym, rozpaskudzonym bachorem.
- Czemu mi o tym od razu nie powiedziałeś? Nie miała prawa tknąć cię palcem. Natychmiast obdarłabym ją żywcem ze skóry.
- A mnie zaraz potem - zauważył rezolutnie Harper. - Zawsze powtarzałaś, że nie wolno mi wlażyć na kredens ani wyjadać ciastek bez pytania. Pokornie przyjąłem więc klapsy i chyłkiem wyniosłem się z kuchni.
- Jeżeli ktoś powinien ci wymierzyć te klapsy, to tylko ja. Nikt inny nie miał prawa karcić moich dzieci. Pogwałcenie tej zasady to poważna zbrodnia, nigdy nieulegająca przedawnieniu w tym domu. To dopiero wredna suka.
- Już dobrze. W porządku. - Lekko ścisnął jej ramię. - Choć trochę ci ulżyło?

- Jak z nią skończę, będzie gorzko żałowała, że kiedykolwiek stanęła na mojej drodze. - Roz stanowczym krokiem ruszyła w stronę domu. - A ty, Harperze Jonathanie Ashby, zastanów się porządnie, zanim następnym razem wsadzisz rękę do tego słoja.
- Tak jest, proszę pani.

Wymierzyła mu lekkiego kuksańca.

- I przestań ze mnie kpić.
- Jakżebym śmiał. Po prostu przypomniałaś mi, że w tym słoju nadal są ciastka.
- Zapewne.
- Ciasteczka i mleko to świetny pomysł, nie sądzisz?
- Owszem. Chodźmy więc do kuchni. Będziemy dopóty nagabywać Davida, dopóki nas nimi nie uraczy. Ale musimy się solidnie pospieszyć. Jestem umówiona na dzisiejszy wieczór.

Roz doskonale wiedziała, w jakich fasonach i kolorach wygląda najefektowniej. Dlatego na dzisiejszy bal wybrała prostą kreację Diora w odcieniu starego, matowego złota. Suknia na cieniutkich ramiączkach odkrywała ramiona i większą część pleców.

A ramiona i plecy Roz miała jędrne i gładkie. Od lat bardzo tego pilnowała, nie widziała więc powodu, by ich nie pokazywać światu. Stroju dopełnił komplet brylantowej biżuterii, odziedziczonej po babci Elizabeth: długie, wiszące kolczyki i złożony z kilku rzędów kamieni naszyjnik.

Chociaż wiedziała, że wkrótce będzie tego gorzko żałować, włożyła sandały na wysokiej, cienkiej szpilce, stanowiące piękną oprawę dla jej smukłych stóp, których paznokcie pomalowała na ten wieczór lakierem w kolorze sukni.

Stojąc przed lustrem, odwróciła się przez ramię, żeby sprawdzić, jak wygląda z tyłu. W tym samym momencie usłyszała pukanie do drzwi i machinalnie rzuciła:

- Proszę.

- Roz, chciałam jedynie... - Stelli na chwilę odebrało mowę z wrażenia. -Rany boskie! Wyglądasz wprost zjawiskowo.

Rosalind zwróciła się w jej stronę i skinęła głową.

- Rzeczywiście - zgodziła się nieskromnie. - Od czasu do czasu bierze mnie pokusa, żeby wszystkich zwalić z nóg. Dzisiaj była wyjątkowo silna.
- Po prostu... po prostu stój tu i się nie ruszaj.

Stella wypadła z pokoju i już w korytarzu zaczęła przywoływać Hayley.

Roz, mocno rozbawiona, wzięła torebkę - co też ją opętało, żeby wydać tak ciężkie pieniądze na równie bzdurną rzecz? - i zaczęła wkładać do niej drobiazgi, które, według jej przekonania, powinna mieć przy sobie każda kobieta spędzająca wieczór poza domem.

- Bezwzględnie musisz to zobaczyć! - wykrzyknęła Stella i wciągnęła Hayley do pokoju.

Dziewczyna z wrażenia zamrugła kilka razy oczami.

- Musimy cię obejrzeć ze wszystkich stron. Obróć się szybko dookoła - zarządziła.

Roz posłusznie wypełniła polecenie, a wówczas Hayley skrzyżowała dłonie na piersiach i skłoniła się głęboko.

- Pani, nie jesteśmy godne takiego widoku. Czy to prawdziwe brylanty? Wiem, że podobne pytania są niestosowne i prostackie, ale najzwyczajniej w świecie nie mogę się powstrzymać. Te kamienie... rozsiewają niesamowity blask.
- Odziedziczyłam je po babci i dlatego mają dla mnie szczególną wartość. Ale coś mi się w związku z tym przypomniało. Stello, pomyślałam, że może zechciałabyś włożyć na swój ślub pewien należący do mnie drobiazg. Za jednym zamachem załatwiłby sprawę czegoś starego, pożyczonego i niebieskiego.

Wręczyła Stelli wcześniej wyjęte z sejfu puzderko.

- O mój Boże!

- Dostałam je od Johna na dwudzieste pierwsze urodziny. - Uśmiechnęła się, spoglądając na szafirowe kolczyki. - Pomyślałam, że będą idealnie pasować do twojej sukni, ale jeżeli uważasz inaczej, nie poczuję się urażona.
- One pasowałyby do wszystkiego - wyszeptała Stella i wyjęła z etui jeden wiszący kolczyk, oszlifowany w kształcie serca. - Są przepiękne. Ja...

Wzruszenie odebrało jej głos. Zamachała kilka razy dłonią i opadła na łóżko.

- Przepraszam, ale jestem... Jezu, że też postanowiłaś pożyczyć mi coś tak wyjątkowego i cennego.
- Doszłam do wniosku, że gdybym miała siostrę, to obie zapewne bardzo byśmy chciały, żeby na ślub włożyła coś mojego.
- Jestem taka zaszczyczona i ogromnie wzruszona. Więc... posiedzę tu sobie kilka minut i trochę popłaczę. Dobra?
- Bardzo proszę. Czuj się jak u siebie.
- Wiecie, że coś starego w tej tradycji ma symbolizować więź łączącą pannę młodą z jej dawną rodziną? - odezwała się Hayley, też już podejrzanie przeciągająca nosem.

Roz poklepała ją po policzku.

- W tych sprawach zawsze można na tobie polegać, skarbie. Jeżeli o mnie chodzi, możecie tu sobie siedzieć i płakać do woli.
- A gdzie ty się wybierasz? - spytała ostro Hayley.
- Jak to gdzie? Na dół. Wkrótce zjawi się Mitch.
- Nie wolno ci!

Nie bardzo wiedząc, czy w tej sytuacji powinna solidarnie chlipać u boku Stelli czy też natychmiast zapobiec katastrofie, Hayley zaczęła wymachiwać rękami, jak oszalała kobieta, usiłująca zatrzymać rozpędzony pociąg.

- Musisz poczekać, aż Mitch znajdzie się w holu, a potem niczym bogini spłynąć w dół po schodach. Te schody są wprost do tego stworzone. Musisz mieć wielkie wejście!

- W żadnym razie. Poza tym chcę ci uświadomić, że w tej chwili zachowujesz się kropka w kropkę jak moja matka: kazała mi odstawić podobną szopkę, kiedy szłam na bal debiutantek, w który zresztą też mnie wrobiła wbrew mojej, woli. Na szczęście towarzyszył mi John, więc mieliśmy się z czego nabijać przez cały wieczór. Wierz mi, Hayley, świat się nie zawali, Jeżeli powitam Mitcha przy drzwiach.

Roz zdecydowanym ruchem zatrzasnęła maleńką torebkę i po raz ostatni zerknęła w lustro.

- Ale przede wszystkim chcę zadośćuczynić ważnej tradycji tego domu. Jeżeli nie pokażę się Davidowi i nie zapytam, co sądzi o moim stroju, poważnie zranię jego uczucia. A tak przy okazji - w szufladzie nocnego stolika znajdziecie chusteczki higieniczne.

I z tymi słowami wymaszerowała z pokoju.

Ledwo skończyła się okręcać przed Davidem, a już Mitch znalazł się przy drzwiach.

Na jej widok szeroko otworzył oczy i aż gwizdnął pod nosem, co sprawiło jej niekłamana przyjemność.

- Czym sobie zasłużyłem na takie szczęście? - spytał.

Roz roześmiała się i pochwyciła etolę.

- W tym smokingu wygląda pan tak zniewalająco, doktorze, że zanim noc dobiegnie końca, może uczynię pana jeszcze większym szczęściarzem.

Jadąc tu, właśnie usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miałem na sobie smoking. Po długich rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że było to na ślubie jednego z moich przyjaciół. Zaraz też uświadomiłem sobie, że jego najstarsza latorośl akurat w tym roku rozpoczęła studia.

- Wielka szkoda. Bo jesteś wprost stworzony do smokingu.
- Nachyl się do mnie jeszcze ten jeden raz, dobrze? - Gdy to zrobiła, przycisnęła usta do jej warg. - Tak... smakujesz równie wspaniale, jak wyglądasz - zdecydował.

Włączył silnik i ruszył przez podjazd.

- Powinniśmy sobie podarować ten bal, uciec do Vegas i natychmiast wziąć ślub. Akurat dziś mamy na sobie odpowiednie stroje.

Roz posłała mu długie spojrzenie spod oka.

- Niech pan tak lekko nie szafuje propozycjami małżeńskimi, doktorze Carnegie. Ostatecznie już z dwóch skwapliwie skorzystałam w swoim życiu.
- Daj znać, jak zechcesz skorzystać z trzeciej.
- Czyżby miał pan wobec mnie poważne zamiary?
- Na to wygląda. I chociaż w sprawie smokingów do tej pory zawsze polegałem na wypożyczalniach, to jeżeli zdecydujesz się na ten wielki krok, sprawię sobie jeden na własność. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.
- To rzeczywiście argument mogący przeważać szalę. Mitch przelotnie musnął dłonią jej dłoń.
- Nieźle zarabiam, więc twoje dochody nie mają dla mnie żadnego znaczenia, moje sprawy od dawna są absolutnie uporządkowane, a przez wiele lat jedyną trwale liczącą się osobą w moim życiu był mój syn. Jest już teraz

dorośli mężczyzną i chociaż zawsze pozostanie moją wielką miłością, dojrzałem do innych, trwałych związków.

- A co będzie, gdy Josh przeprowadzi się do Bostonu?
- Poczuję się, jakby mi amputowano jakąś część ciała. Tym razem Roz położyła rękę na jego dłoni.
- Wiem, jakie to uczucie - powiedziała miękko.
- Cóż, nie można myśleć tylko o dzieciach. Poza tym od czasu do czasu z przyjemnością wyskoczę do Bostonu czy też gdzie indziej, jeżeli akurat będą rozgrywać mecz w jakimś atrakcyjnym mieście.
- Bardzo się cieszę, że wreszcie poznam twojego syna.
- Ja też. I mam nadzieję, że nieporozumienia między tobą, a rodzicami dziewczyny Josha nie zepsują ci humoru.
- Mnie nie. Ale Jan z pewnością. To kobieta bez charakteru, która w obecnej sytuacji doszła do wniosku, że bliższa znajomość ze mną jest dla niej bardzo niewygodna. Głupota, oczywiście, ale też Jan nigdy nie należała do szczególnie rozgarniętych. I prawdę powiedziawszy, wprowadzenie jej w solidne zakłopotanie da mi wiele satysfakcji. - Roz przeciągnęła się leniwie jak kotka. - Cóż, nie da się ukryć, że mam także swoje mroczne strony.
- Zawsze mi się to w tobie podobało.
- Doskonale. Bo dzisiejszego wieczoru zamierzam pozwolić, by od czasu do czasu wzięły górę.

Mitch przyglądał się z fascynacją, jak funkcjonuje ten całkiem nowy dla niego świat. Wymyślne kreacje i wyszukane maniery ledwo maskowały fakt, że w tej społeczności dominowała mentalność szkolnych koterii. Goście zbijali się w małe kółka wzajemnej adoracji przy stołach i w rogach sali, a więc w punktach strategicznych, pozwalających na dyskretną lustrację pozostałych grup. Łącznikiem między nimi były barwne motyle, nigdzie niezagrzewające dłużej miejsca, które jedynie spijały słodki nektar plotki, po czym znowu mknące przed siebie.

Jednym z dominujących tematów rozmów były noszone przez kobiety suknie. Mitch nie mógłby zliczyć, ile razy obito mu się o uszy coś w rodzaju: „Musiała być po kilku drinkach, gdy kupowała tę straszną kieckę”.

Przedsmak podobnej atmosfery miał już na przejęciu u Roz, ale teraz przyszedł tu jako jej oficjalny partner, co zdecydowanie zmieniało układ towarzyski.

A na dodatek był tym nowym w szkole.

Bez przerwy więc ktoś chciał wiedzieć, kim jest, co robi w życiu i skąd pochodzi jego rodzina. I chociaż indagacje zawsze były prowadzone w elegancki sposób, Mitch szybko nabrał przekonania, że powinien był wydrukować swoje CV i teraz jedynie wręczać wszystkim zainteresowanym.

Najbardziej zdumiał go fakt, że zebrali się tu przedstawiciele niemal wszystkich pokoleń. Po parkiecie kręciły się pary, które przy wygrywanej przez orkiestrę swingowej muzyce tańczyły wtedy, gdy była to ekscytująca nowinka, oraz takie, dla których stanowiła zupełną nowość przez swoje intrygująco staroświeckie brzmienie.

W pewnym momencie został zaczepiony przez ekscentryczną parę o imionach Bing i Babs, wyjątkowo zainteresowaną jego pracą w Harper House. Kiedy udzielał wymijających odpowiedzi, by przypadkiem nie ujawnić żadnych szczegółów, doszedł do wniosku, że taki bal to nadzwyczaj interesujące doświadczenie dla faceta w wypożyczonym smokingu.

W końcu wreszcie dostrzegł Josha i bezpardonowo wykorzystał jego przyście jako pretekst do wyrwania się ze szponów inkwizycji.

- Proszę wybaczyć, ale właśnie zjawił się mój syn. Muszę zamienić z nim kilka słów.

Najszybciej jak mógł przebił się przez tłum balowych sukien i smokingów.

- Hej, ale się odstawiłeś. - Objął syna ramieniem i obdarzył szybkim uściskiem, po czym uśmiechnął się promiennie do drobnej brunetki. - A to zapewne Shelby.

- Tak jest, proszę pana. Pan natomiast musi być tatą Josha. Jesteście bardzo do siebie podobni.

- No dobra. A więc formalności mamy z głowy - zdecydował Josh i powiódł wzrokiem po sali. - Szpanerska meta, nie powiem.

Salę balową ozdobiono lampionami i mnóstwem wiosennych kwiatów. Kelnerzy dwoili się i troili za trzema barami, a pozostali krążyli po sali z tacami pełnymi kieliszków i maleńkich kanapek. Wszędzie wokół błyszcząły brylanty, szmaragdy i inne szlachetne kamienie.

- Obrazek jakby żywcem wyjęty z „Opowieści filadelfijskiej”.

- Z czego?

Mitch posłał Joshowi pełne politowania spojrzenie.

- Synu, powinienesz wiedzieć, że filmy kręcono na długo przed „Terminatorem”.

- Co ty powiesz, staruszkule! A gdzie dama, dzięki której dzisiaj się tu znalazłeś?

- Wciągnął ją towarzyski wir. Ja natomiast... ach, oto nadchodzi.

- Przepraszam, nie mogłam się wyrwać. Witaj, Shelby. Ależ pięknie dzisiaj wyglądasz.

- Dziękuję, pani Harper. Mnie natomiast od razu zachwyciła pani suknia. Josh nie powiedział, że jego tata będzie towarzyszył właśnie pani.

- Miło cię wreszcie poznać, Josh. Twój ojciec wciąż o tobie opowiada.

- Przy mnie zaś mówi tylko o pani. Musimy więc zaszyć się w jakimś cichym kącie i wymienić notatki.

- Z największą ochotą.

- O, tam siedzą moi rodzice. - Shelby skinęła głową w stronę stołów. - Josh, bardzo bym chciała przedstawić im ciebie i twojego tatę. A gdy już odbędziemy obowiązki, będziesz mógł mnie porwać na parkiet.

- Świetny plan. Pani Harper, tata mówił, że zajmuje się pani ogrodnictwem.

- To prawda. I, proszę, mów mi Roz.

- W takim razie musisz wiedzieć, Roz, że ojciec morduje wszystkie rośliny.
- Miałam okazję się o tym przekonać - odparła, gdy ruszyli przez salę.
- Już na sam jego widok zazwyczaj popełniają harakiri, żeby oszczędzić sobie długich mąk.
- Zamknij się, Josh.
- Po prostu nie chcę, żebyś mydlił Roz oczy, staruszk. - Josh wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Shelby mówiła mi, że mieszkasz w tym pięknym domu, który mijaliśmy po drodze.
- Jest własnością mojej rodziny od wielu pokoleń.
- Olbrzymi i odjazdowy. Josh pochylił się i łypnął na ojca okiem. -Tata Ostatnio wysiaduje tam całymi godzinami.
- Koncentruję się na pracy. - Dzięki wieloletniej praktyce Mitch zdołał niepostrzeżenie, acz boleśnie dźgnąć syna łokciem w żebra.
- Mam nadzieję, że i ty wkrótce zechcesz spędzić tam nieco czasu, Josh -Roz uśmiechnęła się do chłopaka.

Chwilę później wszyscy przystanęli przy stoliku, przy którym siedzieli Jan i Quill, w owej chwili pochłonięci rozmową z innymi znajomymi.

- Witajcie. - Zgodnie z oczekiwaniami Jan zeszywniała i gwałtownie pobladła, a tymczasem Roz z pełną premedytacją pochyliła się i cmoknęła ją w policzek. - Ależ jesteście wszyscy elegancy.
- Mamo, tato. - Shelby podeszła do rodziców. - Oto Joshua Carnegie oraz jego ojciec, doktor Mitchell Carnegie. Moi rodzice, Jan i Quill Forrester oraz państwo Renthow.

Quill, jowialny, zwalisty mężczyzna, zaczesujący na jedną stronę wszystkie włosy, aby dyskretnie zamaskować łysinę, poderwał się i zaczął wylewnie ścisnąć dłoń Mitcha, a potem Josha. W końcu skierował się w stronę Roz.

- Rosalind, co u ciebie?
- Wszystko w najlepszym porządku, Quill. A jak tam interesy? Nabzdyczył się lekko, ale kurtuazyjnie skinął głową.

- Jakoś leci.
- Miło to słyszeć. Jan, muszę przyznać, że Shelby wyrosła na prawdziwą piękność. Z pewnością jesteś z niej bardzo dumna.
- Oczywiście. A tak na marginesie, nie wiedziałam, że znasz towarzyszącego jej młodego człowieka.
- Blisko przyjaźnię się z jego ojcem. - Z promiennym uśmiechem Roz wsunęła rękę pod ramię Mitcha. - Mitch właśnie zajął się spisywaniem historii rodu Harperów. Tropi wszelkie sekrety i skandale. - Z przemyślną afekcją odchyliła głowę i zaśmiała się perliście. - My tutaj, w hrabstwie Shelby, jesteśmy niezwykle rozmiłowani w naszych lokalnych skandalach, prawda?
- To dlatego nazwisko wydało mi się znajome! - nieoczekiwanie wtrącił Renthow. - Czytałem jedną z pańskich książek. Jestem kimś w rodzaju genealoga-amatora. Fascynujące zajęcie.
- W rzeczy samej - zgodził się Mitch. - Ale najważniejsze, że dzięki przodkom Roz miałem okazję poznać ją osobiście. - Płynnym ruchem uniósł jej dłoń do ust i ucałował. - Będę za to wdzięczny losowi do końca moich dni.
- Czy wie pan - ciągnął tymczasem Renthow - że udało mi się prześledzić losy mojej rodziny aż do Fife'ów ze Szkocji.
- Doprawdy? - ożywił się Mitch. - Czy jest pan spokrewniony z Dunca-nem Phyfe? O ile mnie pamięć nie myli, to właśnie on zmienił pisownię nazwiska.
- Tak jest. - Wyraźnie zachwycony, Renthow przesunął się na krześle, zwracając się w stronę Mitcha. - Bardzo by mi jednak zależało na odkryciu różnych mało znanych szczegółów. Czy mógłby mi pan podrzucić kilka praktycznych wskazówek, jak się do tego zabrać?
- Z największą przyjemnością.
- Może więc wszyscy usiądziemy? - zaproponowała Shelby. - W ten sposób lepiej się poznamy i...
- Czekamy na innych przyjaciół - przerwała jej bezceremonialnie Jan. -Tutaj nie będzie już wolnych miejsc. Ale jestem pewna, że Rosalind i doktor

Carnegie szybko znajdą dla siebie inny stolik, gdzie poczują się wygodniej i swobodniej.

- Ależ mamoo...! - szepnęła wstrząśnięta Shelby i Roz natychmiast ruszyła jej na pomoc.
- Już zarezerwowaliśmy miejsca gdzie indziej, dzięki. I prawdę mówiąc, z największą chęcią porwiemy wam tę piękną, młodą parę. Shelby, chodź, usiądziemy sobie wygodnie, a tymczasem Josh i Mitch przyniosą nam drinki.
- Roz wzięła dziewczynę pod ramię i odciągnęła od rodziców.
- Pani Harper... tak... tak bardzo mi przykro. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Nie rozumiem, o co chodzi.
- Nie przejmuj się, skarbie. A oto i nasz stolik. Siadajmy. I szybko, zanim wrócą panowie, opowiedz mi, jak poznałaś tego szalonego chłopaka. I koniecznie mów mi Roz. Przecież poniekąd znalazłyśmy się na podwójnej randce.

Po chwili dowcipnej, swobodnej rozmowy dziewczyna się rozluźniła, a gdy Mitchell z synem przynieśli drinki oraz kanapki, była już w całkiem dobrym nastroju. Roz poczekała, aż Josh zabrał Shelby na parkiet i dopiero wtedy dała upust swemu oburzeniu.

- Nie musiała tak zawstydząć tego biednego dziecka. Gdyby miała choć odrobinę oleju w głowie, wiedziałaby, że za żadne skarby nie usiadłabym razem z nimi. A Shelby to takie słodkie stworzenie. Cóż, jedno jest pewne, nie wyssała tego z mlekiem matki.
- Na szczęście bardzo pięknie załagodziłaś sytuację. Wiesz, jedną z głównych przyczyn opuszczenia przeze mnie uczelni była chęć całkowitego odseparowania się od małoszkolnych wojen podjazdowych. A tymczasem okazuje się, że nie można od nich uciec. Zawsze gdzieś cię dopadną.
- To fakt. Dlatego ja zazwyczaj trzymam się od tego towarzystwa z daleka. Niekiedy jednak czuję się w obowiązku pokazać światu.

- Nie ty jedna - rzucił Mitch i pod stołem chwycił ją mocno za rękę. - Czy bardzo się zdenerwujesz, gdy ci powiem, że właśnie wkroczył do sali Bryce Clerk, a wraz z nim ta sama kobieta, która przyprowadziła go na twoje przyjęcie?

W pierwszej chwili Roz zeszywniała, ale szybko wzięła się w garść.

- Podejrzewałam, że tu przyjdzie. Więc nie zamierzam się tym przejmować. Jednak teraz wymknę się na moment do toalety, żeby przemówić sobie porządnie do rozsądku i przy okazji poprawić makijaż. I, Mitch, zapewniam cię, że nie zamierzam się angażować w kolejną publiczną scenę.
- Jeżeli o mnie chodzi, możesz iść na całość.
- Dobrze wiedzieć, na wypadek gdyby przemawianie do rozsądku na niewiele się zdało.

Podniosła się z krzesła i powolnym krokiem wyszła z sali.

Kiedy znalazła się w toalecie, przeciągnęła szminką po ustach, po czym zaczęła intensywnie pouczać samą siebie.

Nie znijysz się do poziomu Bryce'a, upominała się w duchu. Bez względu na to, jak bardzo będzie cię prowokował. Nie dopuścisz do tego, żeby ta głupia gęś wciągnęła cię w idiotyczną konfrontację, choć wiesz, że mogłabyś tę idiotkę posłać na deski jednym ciosem, nawet nie psując sobie przy tym manikiuru.

Nie...

Roz urwała to napominanie, bo obok niej pojawiła się nagle Cissy.

- Jezu, musiałam użyć piły łańcuchowej, żeby się uwolnić od Justine Lukes. Ta kobieta jest w stanie każdego zagadać na śmierć, nie wypowiadając przy tym ani jednego interesującego zdania. Roz, na Boga, jakim cudem udaje ci się wyglądać tak oszałamiająco?
- Rzeczywiście, dziś zdołałam się wznieść na wyżyny swoich możliwości. Jak tam odwiedziny teściów?
- Gdybym trzasnęła matkę mojego ślubnego w głowę patelnią, nie byłaby bardziej oszołomiona. Mówię ci, skarbie, nawet ona nie miała się do czego

pryczepić, chociaż gdy zapytała mnie o nazwę jednego z krzewów, musiałam z premedytacją oblać się kawą, byle tylko uniknąć odpowiedzi. Chodziło o to coś z powyginanymi gałęziami i białymi, zniewalająco pachnącymi kwiatami.

- Tak, wiem, który krzew masz na myśli.
- W każdym razie uratowałaś mi życie. A wracając do rzeczywistości, czy mi się wydaje, czy przy twoim stoliku siedzi córka Jan?

Cissy stanęła przy lustrze obok, by poprawić idealnie ułożone włosy.

- Owszem. Przyjaźni się z synem towarzyszącego mi mężczyzny.
- Już nie mogę się doczekać, żeby ich obu poznać. Zawsze z przyjemnością powiększam kontyngent znajomych o superprzystojnych facetów. Zapewne spostrzegłaś, że przywiało tu Bryce'a? - Cissy przeniosła wzrok na sąsiednie lustro i spojrzała Roz prosto w oczy. - Szybko uciekłam z sali, żebym nie musiała się silić wobec niego na żadne uprzejmości. Nie wiem, czy słyszałaś najświeższe nowiny, ale podobno... - Urwała gwałtownie, bo w tym momencie w drzwiach toalety pojawiły się Jan i Mandy.

Jan sprawiała takie wrażenie, jakby miała ochotę od razu się wycofać, natomiast Mandy ruszyła wojowniczo przed siebie i wycelowwała palec w stronę Roz.

- Jeżeli natychmiast nie zaprzestaniesz tego nękania, postaram się, by aresztowano cię na mocy nakazu sądowego!

Szczerze rozbawiona, Roz wyjęła z torebki puderniczkę.

- Nie sądzę, żeby pojawienie się na balu w country klubie można było uznać za nękanie, ale poproszę mojego prawnika, by dokładnie zbadał sprawę.
- Cholernie dobrze wiesz, co mam na myśli! Zadzwońska do salonu piękności i podając się za mnie, odwołała wszystkie zabiegi. Poza tym wydzwaniasz do mojego domu dniami i nocami, po czym bez słowa odkładasz słuchawkę.

Roz, zupełnie niewzruszona, zaczęła pudrować nos.

- A niby czemu miałabym to robić?

- Bo nie możesz się pogodzić z myślą, że wkrótce zostanę żoną Bryce'a!
- To już do tego doszło? - Roz zatrzasnęła wieczko kompaktu, a gorsza strona jej duszy nie posiadała się z radości. Jeżeli Bryce złapie kolejną bogatą żonę, to może wreszcie zostawi ją i jej rodzinę w spokoju. - Cóż, mimo że zachowujesz się wyjątkowo grubiańsko, Mandy, współczuję ci szczerze i z całego serca.
- Dobrze wiem, co zrobiłaś Bryce'owi, a także Jan - i to tylko dlatego, że jest moją przyjaciółką.
- Nie zrobiłam niczego ani jemu, ani jej. I w żadnym razie nie interesują mnie ich sprawy.
- Ktoś, podszywając się pode mnie, zadzwonił do najlepszego klienta Quilla - wtrąciła Jan. - Wyjątkowo zjadliwy telefon od kompletnie pijanej kobiety, który kosztował mojego męża utratę lukratywnego kontraktu.
- Przykro mi to słyszeć, Jan. Lecz jeżeli naprawdę wierzysz, że mogłabym się do czegoś podobnego posunąć, nie zamierzam tracić ani swojego, ani twojego czasu na przekonywanie cię, że jest inaczej. A teraz wybaczenie.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, usłyszała jeszcze, jak Cissy rzuca z irytacją:

- Jan, jak możesz być tak tępa!

Roz tymczasem ruszyła korytarzem i niemal natychmiast zatrzymała się w pół kroku, ponieważ tuż przed nią, oparty o ścianę, stał Bryce. Żeby nie dopuścić do kolejnej sceny, odwróciła się na pięcie i skierowała w przeciwną stronę.

- Umykasz z placu boju? - W jego głosie zabrzmiała kpina i chwilę później był już u jej boku. - Zaskakujesz mnie.

Przystanęła i odwróciła się w jego stronę. Ostatecznie z powodu nagłego wtargnięcia Cissy nie skończyła przemawiać sobie do rozsądku.

- Ty natomiast niczym nie jesteś w stanie mnie zaskoczyć.

- Myślę, że już mi się udało i jeszcze nieraz uda. Nie byłem pewien, czy spotkam cię tutaj dzisiejszego wieczoru. - Przybrał przebiegły wyraz twarzy. - Doszły mnie bowiem pogłoski, że zrezygnowałaś z członkostwa w klubie.
- Pogłoski mają to do siebie, że często okazują się fałszywe. Powiedz mi, Bryce, czemu zadajesz sobie tak wiele trudu? Wypisujesz listy, wydzwaniasz w różne miejsca, ryzykujesz aresztowanie za wyłudzenie kart kredytowych?
- Zupełnie nie wiem, o czym mówisz.
- Nie ma tu w tej chwili nikogo prócz nas. - Wskazała ręką na opustoszały korytarz, - Zagrajmy wice w otwarte karty. Co chcesz na tym zyskać?
- Wszystko, co się tylko da. Nigdy nie zdołasz dowieść, że napisałem jakieś listy, dzwoniłem do kogoś czy korzystałem z jakichś kart. Jestem wyjątkowo inteligentny i ostrożny.
- I jak długo zamierzasz ciągnąć tę zabawę?
- Póki mi się nie znudzi. Niegdyś zainwestowałem w ciebie sporo czasu i energii, Roz, a ty bezceremonialnie usunęłaś mnie ze swojego życia. Bardzo nie lubię takiego traktowania. Więc teraz, gdy znowu jestem w Memphis, zamierzam ci o tym przypominać każdego dnia. Oczywiście, jeżeli zdecydowałabyś się na jakieś finansowe zadośćuczynienie...
- Nigdy w życiu.
- Twój wybór. - Wzruszył ramionami. - Ale w takim razie będę uprzykrzał ci życie na rozmaite sposoby, więc w końcu i tak nabierzesz rozumu. Nie zapomnij, że wiem, jak bardzo cenisz sobie swoją reputację i pozycję w społeczności hrabstwa Shelby.
- Obawiam się, że nie wiesz. - Nie odrywała oczu od jego twarzy, choć właśnie w tej sekundzie, zaledwie kilka kroków za jego plecami otworzyły się drzwi toalety. - Nigdy nie zdołasz zniszczyć niczego, co dla mnie liczy się najbardziej, bez względu na to, ile wymyślisz kłamstw i ilu ludzi nakłonisz, by w nie uwierzyli. Weź też pod uwagę, że Quill nie jest kompletnym idiotą i wkrótce się zorientuje, jak ordynarnie go naciągasz. I to na spore pieniądze.

- Masz o nim zbyt wysokie mniemanie. Jego jedyną siłą napędową jest chciwość. A ja dobrze wiem, jak pogrywać na cudzej chciwości.
- Zapewne, biorąc pod uwagę, jak sam jesteś pazerny. Powiedz mi, Bryce, ile do tej pory zdołałeś wyłudzić od biednej małej Mandy?
- Stać ją, by trwonić duże sumy. Od ciebie zresztą też nie chciałem nic ponad to, na co mogłaś sobie pozwolić, Roz. - Zaczął wodzić palcem po jej policzku, ale postanowiła nie reagować. - No, a w zamian za swoje pieniądze mogłaś liczyć na najwyższą jakość usług z mojej strony. Gdybyś nie była taka ciasna umysłowo, zapewne do tej pory bylibyśmy razem.
- Gdybyś mnie nie okradał i nie zdradzał z inną kobietą w moim własnym domu, to rzeczywiście mogłoby się tak zdarzyć. Więc właściwie winna ci jestem podziękowania. Ale teraz bardzo chciałabym się dowiedzieć, Bryce, co tak naprawdę pociąga cię w Mandy?
- Jest bogata... chociaż ty też byłaś. Poza tym młoda, czego już nie można powiedzieć o tobie. A do tego przerażająco głupia. Tego też nie można o tobie powiedzieć. Może jesteś nieco ociężała w myśleniu, ale w żadnym razie nie głupia.
- I naprawdę zamierzasz się z nią ożenić?
- Jej się tak zdaje. - Wyjął z kieszeni złotą zapalniczkę i zaczął obracać w palcach. - Zresztą, kto wie? Ma młodość, pieniądze i daje sobą swobodnie manipulować. Może okazać się dla mnie idealną żoną.
- Nie uważasz jednak, że to dość niskie i podłe z twojej strony, te głuche telefony i komplikowanie jej życia? A do tego jeszcze Quill i Jan - on przez ciebie stracił poważnego klienta. Myślałam, że raczej gustujesz w konstruktywnym działaniu.
- Piekłem dwie pieczenie na jednym ogniu. Podtrzymywałem w nich współczucie dla mnie i podsyciałem coraz większą nienawiść do ciebie.
- A jak sądzisz, co się stanie, gdy odkryją prawdę?

- To niemożliwe. Już ci mówiłem, że jestem bardzo ostrożny. A ty w żadnym razie nie zdołasz mi niczego udowodnić.
- Zdaje się, że nie będę musiała, Bryce. Nigdy nie umiałeś okiełznać pychy i arogancji. - Tym razem ona poklepała go protekcyjnie po policzku. -To jedna z twoich licznych słabości.

Wskazała gestem na drzwi toalety, przed którymi tkwiły, niczym kamienne posągi, zaszokowane Jan i Mandy.

Stojąca za ich plecami Cissy zaczęła z wolna klaskać w dłonie. Roz ukloniła się lekko i ruszyła przed siebie.

Chwilę później sama przeżyła chwilę zdumienia, gdy ujrzała Mitcha na końcu korytarza.

- Zdążyłem na początek przedstawienia - rzucił lekkim tonem i objął ją ramieniem. - Uważam, że aktorka obsadzona w głównej roli kobiecej zasłużyła na Oscara.
- Dzięki.
- Wszystko w porządku?
- Tak mi się wydaje, ale chętnie zaczerpnęłabym świeżego powietrza. Mitch poprowadził ją na taras.
- Doprawdy świetnie wyreżyserowana scena.
- Raczej improwizacja - odrzekła Roz i dopiero w tym momencie poczuła ściskanie w dołku. - Ale stał tam taki pewny siebie, nie mogąc się już doczekać, żeby mi dotkliwie przyciąć, a za jego plecami pojawiły się te żaloszne kobiety. Doskonale, że była tam również Cissy. Już ona się postara, by całe miasto poznało szczegóły przedstawienia jeszcze przed upływem nocy.

Jakby na zawołanie z sali balowej dobiegły kobiece krzyki, trzask przewracanych krzeseł i histeryczne łkanie.

- Masz ochotę na drugi akt?
- Niespecjalnie. Wolałabym raczej, żebyś tu i teraz poprosił mnie do tańca.

- A więc tak zrobię. - Wziął ją w ramiona. - Piękna noc - mruknął, nie zważając na scenę, która rozgrywała się za oszklonymi drzwiami.
- To prawda. - Roz westchnęła głęboko. - Czujesz, jak upojnie pachnie glicynia? Mitch... chciałam ci podziękować, że tam, w korytarzu, nie ruszyłeś mi na odsiecz.
- Byłem tego bliski. - Musnął ustami jej włosy. - Szybko jednak zorientowałem się, że całkowicie panujesz nad sytuacją, więc ograniczyłem się do podziwiania twojego występu.
- Boże, tylko posłuchaj, jak nieludzko wyje ta kobieta. Czy doprawdy nie pozostały jej choćby resztki godności? Obawiam się, że w jednym Bryce miał absolutnie racje. Mandy, biedactwo, jest przerażająco głupia. Ciemna jak tabaka w rogu.
- Tato! - Na taras wypadł zaaferowany Josh. - Musicie koniecznie to zobaczyć! Mitch, jak gdyby nigdy nic, nadal wirował z Roz w objęciach, chociaż muzyka już dawno umilkła, a zastąpiły ją krzyki i gwałtowny tupot stóp.
- Jestem zajęty - odparł.
- Ale ojciec Shelby właśnie trzasnął w szczękę pewnego faceta. Zwalił go z nóg. A potem rzuciła się na niego jakaś kobieta, to znaczy na tego znokautowanego, nie na ojca Shelby. Z zębami i pazurami. Nie wiesz, co tracisz.
- Wracaj, synu, do Shelby. Później zdasz mi szczegółową relację z przebiegu wydarzeń. W tej chwili zamierzam pocałować Roz.
- Kurczę, ale odjazd. Będę musiał częściej wpadać do country klubów - odrzekł Josh i pospieszył do sali.

A chwilę później Mitch przywarł ustami do ust Roz.

Musiła odreagować. Ostatecznie przez cały wieczór bardzo dzielnie się trzymała. Gdy odkładała biżuterię do kasetki, doszła do wniosku, że dzięki dzisiejszemu posunięciu będzie wreszcie miała z głowy swojego mściwego eksmęża.

Niestety kosztem kolejnej publicznej sceny.

A Roz miała już serdecznie dosyć wywlekania jej prywatnych spraw w obecności złąknionego sensacji tłumu.

Cóż, jakoś jednak będzie musiała to przeżyć.

Szybko się rozebrała i owinęła w ciepły, flanelowy szlafrok.

Dobrze, że tak szybko wyszli z klubu. W zasadzie nie było już po co tam zostawać, pomyślała ze zjadliwym uśmieszkiem. Sala balowa, jeszcze do niedawna tak elegancka, przedstawiała teraz obraz nędzy i rozpacz - powywracane stoły, porozlewane drinki, walające się po podłodze wystawne dania, przerażeni goście i miotająca się wokół, całkowicie zdezorientowana ochrona.

Niewątpliwie wydarzenia tego wieczoru jeszcze przez wiele tygodni będą tematem krążących po mieście plotek, z nią, Rosalind, jako jedną z głównych postaci dramatu.

Trudno, tego należało się spodziewać, pocieszała się w duchu, napszczając wody do wanny. Spokojnie przetrwa jeszcze i tę burzę. W końcu przecież wszystko wróci do normy, bo takie właśnie jest życie.

By poprawić sobie humor, zaszalała i wlała do kąpieli podwójną porcję aromatycznego płynu, chcąc poleżeć dłużej w masie wonnej piany. A kiedy zaróżowiona i pachnąca wyjdzie w końcu z wody, być może zajrzy na dół do biblioteki i zaprosi Mitcha do siebie na górę.

Dzięki Bogu, Mitch sam pojął w lot, że potrzebowała chwili samotności. Z westchnieniem rozkoszy weszła do wanny i zanurzyła się po sama brodę, Mężczyzna, który bezbłędnie wyczuwa nastroje kobiety i do tego bez słowa je akceptuje, to wyjątkowo rzadki i cenny okaz.

John też był taki, przypomniała sobie. Stanowili cudownie zestrojoną parę. Cieszyli się każdą wspólnie spędzaną chwilą, z radością i zapałem planowali przyszłość. Nic dziwnego więc, że kiedy zginął, poczuła się, jakby jej odrąbano prawą rękę.

A mimo to cholernie dobrze sobie poradziła w życiu. Wychowała synów na mężczyzn, z których z Johnem mogliby być dumni, zachowała posiadłość w nienaruszonym stanie, zbudowała własny, kwitnący interes. Całkiem nieźle jak na samotną wdowę.

Mimowolnie napięła mięśnie karku, gdy pomyślała o kolejnej fazie w swoim życiu - fazie pod tytułem „Bryce”. Idiotyczna, popełniona pod wpływem chwili pomyłka. I choć każdy człowiek ma prawo do błędów, ten spowodował wiele zamętu w jej życiu i potężne wypalenie emocjonalne. No i wywołał falę spekulacji oraz plotek, które bardziej niż cokolwiek innego zraniły dumę i poczucie miłości własnej Roz.

I chociaż zawsze należała do osób pewnych własnej wartości, w trakcie małżeństwa z Bryce'em często przeżywała chwile zwątpienia w siebie. Umiał perfidnie przemycać przykre uwagi, kryjąc się za maską fałszywego uroku. Ilekroć uświadomiła sobie, że swego czasu tak zgłupiała - i to dla mężczyzny - czuła w gardle gorzką pigułkę upokorzenia.

Dzisiaj jednak sownie mu odpłaciła za te wszystkie nerwy, wstyd i cierpienie. Sam się wyłożył - był niczym pieczony indyk na półmisku, więc bez najmniejszego wysiłku nadziała go na widelec.

To już koniec Bryce'a Clerka.

Może więc teraz nadszedł czas, żeby otworzyć kolejny rozdział książki „Życie Rosalind”. Tylko czy aby na pewno jest już na to gotowa? Gotowa, aby uczynić ten wzbudzający strach krok, zbliżający ją ku mężczyźnie, który kochał ją taką, jaka była w istocie? Zbliżała się do pięćdziesiątki, a tymczasem myślała o miłości i małżeństwie - już trzecim w swoim życiu. Czy to przypadkiem nie zakrawa na szaleństwo?

A może powinna spojrzeć na Mitcha jak na cudowny prezent, rzucony jej przez los wprost na kolana?

Zakochała się. Znowu się zakochała. Uśmiechnęła się leciutko, przymknęła powieki i poczuła wielkie odprężenie. Zakochała się w interesującym, atrak-

cyjnym, troskliwym mężczyźnie. Dobrym człowieku. Niepozabawionym drobnymi wadami i dziwactwami, gwarantującymi, że nigdy nie będzie się przy nim nudzić. Westchnęła z zadowoleniem, a w tym samym momencie cienkie jęzory szarego oparu zaczęły pełznąć po posadzce.

A seks? Dzięki losowi za ten seks! Na samą myśl przeciągnęła się lekko i zamruczała jak kotka. Gorący i zmysłowy, namiętny i wyrafinowany. Pobudzający do życia. Ależ ten mężczyzna potrafił ją rozpalić. Miała wrażenie, że w jej ciele zaczęły krążyć nowe soki.

Może więc udałoby im się zbudować dobry związek. Może miłość lubi przychodzić w najmniej oczekiwanych chwilach, Może rzeczywiście do trzech razy sztuka. Musiała się nad tym wszystkim poważnie zastanowić.

Małżeństwo. Sennie, leniwie Roz wodziła palcem po pierzynie z piany, a tymczasem opar gęstniał coraz bardziej i unosił się z podłogi na podobieństwo fali powodziowej.

Wszystko sprowadza się do miłości i zaufania. A Mitch należał do ludzi, którym można zaufać. Na których można polegać w najcięższych chwilach.

Niewykluczone więc, że spodobałoby jej się to małżeństwo. Że cieszyłby ją widok ubrań Mitcha w jej szafie i jego książek na półkach. On co prawda nie należał do osób szczególnie kochających porządek, ale ona już by sobie jakoś z tym ...

Pienista woda zlodowaciała w jednej chwili. Roz usiadła gwałtownie, instynktownie obejmując rękami ramiona. I natychmiast zamarła na widok mgły tak gęstej, tak szczelnie wypełniającej łazienkę, że nie było można dostrzec drzwi ani ścian.

Nagle zdała też sobie sprawę, że nie jest to wcale para wodna, tylko ohydny szary opar, równie lodowaty jak pienista woda, w której ciągle siedziała.

Poderwała się, by wyskoczyć z kąpieli, jednak w tym samym momencie jakaś niewidzialna siła wciągnęła ją raptownie do wanny.

Najpierw przyszedł szok, a dopiero potem strach.

Ponowne zetknięcie z lodowatą wodą, świadomość, że coś jej nie pozwala wydobyć się na powierzchnię, tak sparaliżowały Roz, że nie podjęła walki. Dopiero po chwili, krztusząc się, parskając i wierzgając nogami, zaczęła wrywać się z wody. Czuła, że jakieś ręce przyciskają jej głowę, ostre paznokcie wbijają się w ramiona, ale nie widziała nic poza spienioną wodą i wirującym oparem.

Przestań!, wykrzyknęła w myślach. Z całą energią, na jaką mogła się zdobyć, napięła mięśnie i rozpaczliwie rzuciła się w górę. Poczowała na twarzy lepka mgłę i zdołała zaczerpnąć haust powietrza, zanim siła napierająca na jej ramiona ponownie wepchnęła ją pod powierzchnię.

Woda chlusnęła na wszystkie strony, Roz poczuła w gardle piekący smak piany. Docierały do niej jej własne zduszone krzyki, gdy próbowała odepchnąć niewidzialnego wroga. Podczas tych zmagania uderzyła łokciem o brzeg wanny i przez rękę przebiegł ostry, rwący ból.

Dla twojego dobra. Dla twojego własnego dobra. Musisz dostać nauczkę.

Przez dudniące w jej uszach tętno przedarł się gniewny syk. I wówczas Roz ujrzała unoszącą się ponad wodą twarz Amelii, z zębami wyszczerzonymi w grymasie furii. Spostrzegła też w oczach zjawy najczystszy obłąd.

On niczym nie różni się od innych. A wszyscy oni są oszustami. Czyż nie powtarzałam ci już tego wiele razy? Zmuszę cię, żebyś wreszcie mnie posłuchała. Nie dopuszczę do żadnego szaleństwa. Skazona krew. Jego krew płynie w twoich żyłach. I to cię zniszczy.

Roz umierała. Serce waliło jej nieprzytomnie, a jakaś wielka siła powoli rozrywała płuca. Za chwilę eksplodują, a ona zakończy życie w tej zimnej, pachnącej wodzie. Ale nie podda się tak łatwo, nie bez walki. A z Amelia mogła walczyć tylko w myślach.

Puść mnie! Puszczaj natychmiast! Gdy umrę, niczego już mnie nie nauczysz. Ty mnie zabijasz. A gdy umrę, będziesz zgubiona na wieki. Staniesz się morderczynią. Nigdy nie wyzwolisz się z piekła!

Raz jeszcze zebrała się w sobie i w ostatecznej desperacji wystrzeliła w górę.

Woda zabulgotała, przebiła szarą mgłę i chlusnęła na ściany na podobieństwo tsunami. Rosalind kurczowo chwyciła dłońmi za brzeg wanny, zgięła się w pół i dławiąc się oraz rzeżąc, wykrztuszała z siebie pianę.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty wredna istoto!

Ciężko dysząc, Roz wygramoliła się z wanny i bez sił opadła na przemoczoną matę. Zaczęły wstrząsać nią dreszcze, więc objęła z całej siły kolana rękami i siedziała tak skulona, czekając, aż odzyska normalny oddech. W uszach jej huczało, a serce tłukło się szaleńczo, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

I nagle usłyszała szloch.

- Twoje łzy jakoś mnie nie wzruszają.

Bojąc się, że nie zdoła stanąć na nogach, Roz powlokła się na czworakach do wieszaka, drżącą ręką ściągnęła ręcznik i okryła się nim, by choć odrobinę ogrzać przemarznięte ciało.

- Mieszkam z tobą bez mała przez całe życie. Robię wszystko, żeby ci jakoś pomóc, a ty w zamian próbujesz mnie utopić. I to w mojej własnej wannie! Ostrzegałam cię, że znajdę sposób, aby cię stąd przepędzić. I widzę, że rzeczywiście będę musiała to zrobić.

Jej słowa nie zabrzmiały tak gniewnie i stanowczo, jak tego chciała. Ale trudno zdobyć się na władczy ton, gdy człowiekowi dzwonią zęby - i z zimna, i ze strachu.

Roz wzdrygnęła się, gdy flanelowy szlafrok spłynął niespodziewanie z haczyka na drzwiach, poszybował w powietrzu i otulił jej ramiona.

- Wielkie dzięki! - rzuciła ironicznie. - Cóż za godna podziwu troska. W jednej chwili usiłujesz mnie utopić, a w następnej starasz się uchronić od kataru. Tego już doprawdy za wiele.

Wcisnęła ręce w rękawy, owinęła się szczelnie szlafrokiem, po czym niepewnie wstała z podłogi.

I wówczas znowu ujrzała Amelię w rzednącej mgle. Tym razem jednak nie furiatkę z rozwichrzonymi włosami, która unosiła się nad wodą, gdy Roz walczyła o życie, ale zapłakaną, przerażoną kobietę z rękami złożonymi jak do modlitwy.

Gdy zaczęła znikać wraz z blednącym oparem, zostawiła na lustrze kolejną wiadomość.

I znowu tylko dwa słowa:

Wybacz mi.

- Mogła cię zabić.

Mitch spacerował nerwowo po sypialni. Bił od niego tak wielki gniew, że wokół niemal trzaskało powietrze.

- Jakiś czas temu Roz zeszła na dół, żeby zaparzyć kawę i wówczas poprosiła go, by przyszedł na górę. Chciała mieć pewność, że nikt nie usłyszy ich rozmowy.

- Ale na szczęście nie zabiła.

Gorąca kawa trochę pomogła, jednak Roz marzyła teraz tylko o tym, by zwinąć się w kłębek pod grubym, kaszmirowym pledem.

- Mogłaś umrzeć, podczas gdy ja na dole siedziałem z nosem w książkach i dokumentach. Ty tu samotnie walczyłaś o życie, a tymczasem ja...

- Przestań, proszę. - Powiedziała to jednak miękkim, ciepłym głosem. Kobieta, która wychowała trzech synów, doskonale rozumie, co to męskie ego. - Nie ponosisz winy za to, co się stało, co mogło się stać czy do czego nie doszło. Podobnie jak ja, gdy już o tym mowa. Pretensje należy kierować pod adresem rozchwianej emocjonalnie zjawy. Bez względu na to, jak absurdalnie brzmią moje słowa.

- Rosalind. - Mitch uklęknął naprzeciw fotela i chwycił jej ręce w swoje dłonie, tak silne i rozkosznie ciepłe. - Dobrze wiem, jaki jest twój stosunek do tego domu, ale...
- Zdaje się - weszła mu w słowo - że zamierzasz mnie namawiać, abym wyprowadziła się stąd na jakiś czas. I niewątpliwie to rozsądna sugestia, Mitch. Ale ja tego nie zrobię. Możesz uznać, że z powodu uporu i cholernej zawziętości.
- I tak właśnie myślę.
- Jednak, pomijając mój charakter oraz fakt, że nikomu nie dam się przegnać z własnego domu, moja ucieczka nie rozwiąże problemu. Mój syn mieszka nieopodal, a Harper House jest także domem innych osób bardzo bliskich mojemu sercu. Na terenie posiadłości znajduje się moja firma. Czy mam wszystkim powiedzieć, żeby na jakiś czas znaleźli sobie nowe lokum? Albo też zamknąć centrum ogrodnicze, ryzykując, że stracę wszystko, o co tak walczyłam? Czy może raczej powinnam zmierzyć się z sytuacją i nadal próbować rozwiązać tę tajemnicę?
- Mamy do czynienia z wyraźną eskalacją, Roz. Przez lata Amelia jedynie śpiewała dzieciom - była kuriozalną, ale skądinąd miłą rezydentką w tym domu. Od czasu do czasu zdarzały jej się drobne wybryki, nigdy jednak nie zagrażały nikomu ani niczemu. W ciągu ostatniego roku natomiast jej zachowanie staje się coraz bardziej nieprzewidywalne i niepokojąco agresywne.
- To prawda, A wiesz, czego to dowodzi? Że najprawdopodobniej dochodzimy do jakiegoś ważnego odkrycia. A im szybciej się do niego zbliżamy, tym bardziej ona staje się niecierpliwa, traci nad sobą panowanie. To, co robimy, jest dla niej ważne. Podobnie jak dla mnie ważne są moje myśli i uczucia, bez względu na to, czy spotykają się z jej akceptacją czy też wręcz przeciwnie.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

Najprawdopodobniej nie przyjmie Tego najlepiej, pomyślała Roz, Ale obiecała, że będzie wobec niego szczerą, a zawsze dotrzymywała słowa.

- Siedząc w wannie, myślałam o tobie. O nas. Kiedy przesiałam irytować się wydarzeniami w klubie, na spokojnie zaczęłam analizować, co do ciebie czuję i co ty czujesz do mnie.
- Próbowала cię zabić, bo się kochamy - rzucił lodowatym tonem Mitch i poderwał się na nogi. - A więc to ja powinienem zniknąć z tego domu, trzymać się z dala od ciebie i tego miejsca, dopóki nie znajdziemy odpowiedzi na nurtujące nas pytania!

- Czy tak właśnie zachowujesz się wobec ludzi, którzy próbują cię zastraszyć? Ulegasz ich żądaniom?

Odwrócił się ku niej gwałtownie, z gniewem w oczach.

- Roz, nie mówimy tu o małym łobuzie z podwórka, który groźbami wyciąga od innego dzieciaka parę dolców przeznaczonych na lunch. Mówimy teraz o twoim bezpieczeństwie. Twoim zagrożonym życiu!
- Nie poddam się jej woli. Nie ustąpię. Dzięki temu właśnie zdołałam dzisiaj przetrwać. Bo mimo wszystko pozostałam panią sytuacji. Podjęłam wyzwanie. Czy myślisz, że ja nie jestem wściekła i przerażona? Jeżeli tak, to się grubo mylisz.
- Zauważyłem, że wściekłość bierze górę.
- Ponieważ wbrew pozorom to pozytywne uczucie - a na pewno bardziej konstruktywne od strachu. A właśnie strach ujrzałam na koniec w jej oczach.

Roz odrzuciła pled i podeszła do Mitcha.

- Była przerażona, zaszokowana i tak żałośnie pełna skruchy. Kiedyś powiedziałeś, że ona nigdy nie chciałaby mnie skrzywdzić, i myślę, że to prawda.
- Powiedziałem również, że to nie jest wykluczone, a wypadki dzisiejszego wieczoru dowiodły, że miałem rację. - Ujął jej twarz w dłonie, a potem

zaczął głaskać Roz po ramionach. - Nie wiem, jak mam cię ochronić. Wiem jednak, że nie mogę cię stracić.

- Będę mniej przerażona, jeżeli zostaniesz przy mnie. Niewiele brakowało, a Mitch by się uśmiechnął.
- To bardzo podstępne zagranie.
- Bo ze mnie już takie przemyślne stworzenie. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Ale tak się przy okazji składa, że to najszczerza prawda. Mitch, ona błagała, żebym jej wybaczyła. Nie wiem, czy będę mogła i chciała to zrobić, teraz jednak, jak nigdy przedtem, czuję, że muszę znaleźć odpowiedź na wiele pytań. I, do diabła, Mitch, bardzo cię potrzebuję, choć te słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.
- Mam nadzieję, że wkrótce zaczną ci przechodzić dużo łatwiej, bo chciałbym je słyszeć jak najczęściej. Dobrze więc, na razie nie wprowadzimy żadnych radykalnych zmian.
- Dziękuję. Kiedy stamtąd wyszłam... - skinęła głową w stronę łazienki - ...kiedy wyszłam i w końcu byłam w stanie zebrać myśli, poczułam wielką ulgę, że jesteś zaledwie piętro niżej, że mogę ci natychmiast o wszystkim opowiedzieć. Że nic zostanę sama dzisiejszej nocy.
- Nie zostałabyś sama, nawet gdybyś bardzo chciała. A teraz... - wziął ją na rękę - ...najwyższy czas, żebyś znalazła się w łóżku.
- A ty...? '
- Ja przyjrę się uważnie miejscu zbrodni, a potem powycieram wodę z podłogi.
- Ja mogę się tym zająć. Mam na myśli wycieranie.
- Nie. - Stanowczo i starannie otulił ją kołdrą. - Niekiedy, Roz, trzeba pozwolić, by ktoś inny przejął inicjatywę. Bądź więc grzeczną dziewczynką i leż tu sobie spokojnie. Miałaś dziś bardzo długi i męczący dzień.

- Rzeczywiście. - Jakże cudownie było zwinąć się w kłębek ze świadomością, że nie trzeba się zajmować uciążliwymi drobiazgami. - Mitch, wiem, że zrobiłeś już bardzo dużo, ale miałabym do ciebie jeszcze jedną małą prośbę.
- Ugotować ci zupę? Przynieść coś gorącego do picia? Herbaty? Myślę, że w tej chwili herbata byłaby lepsza od kawy.

No, no, mruknęła w duchu. Oto doktor Przystojniak, w rozwiązanej muszce i z podwiniętymi rękawami smokingowej koszuli, chce dla niej po północy gotować zupę!

Chwyła go za rękę i lekko pociągnęła, by przysiadł przy niej na łóżku.

- Nie, dziękuję, ale nie. Chcę cię natomiast prosić, żebyś nikomu nie mówił o tym, co się tu dzisiaj stało.
- Boże, co z ciebie za kobieta? -W jego głosie zabrzmiała taka frustracja, że Roz mimowolnie się uśmiechnęła. - Przed chwilą omal nie zostałam utopiona we własnej wannie przez rezydującą w twoim domu zjawę i nie życzysz sobie, bym komukolwiek o tym wspominała?
- Nie o to chodzi. Opowiemy o tym, udokumentujemy wszystko na piśmie, a jeśli trzeba, szczegółowo przedyskutujemy całą tę sprawę ze wszystkimi domownikami. Ale zrobmy to dopiero po ślubie Stelli. Potrzebuję teraz odrobiny spokoju. Kiedy Harper o tym usłyszy... Cóż, nie przyjmie tego najlepiej.
- Co ty powiesz?

Teraz już parsknęła śmiechem.

- Ale na poważnie, Mitch. Wszyscy będą przygnębieni, przerażeni i zatroskani. A przecież to niczego nie zmieni. Było, minęło. A mnie i tak czeka niezłe maglowanie w związku z aferą w klubie. Zapewniam cię, że będzie to główny temat rozmowy już w trakcie jutrzejszego śniadania.
- I to cię niepokoi.
- Nie. Prawdę mówiąc, sędzę, że się ubawię za wszystkie czasy. Jestem na tyle małostkowa, by z rozkoszą opowiadać o dzisiejszym triumfie. A z przykrymi

sprawami zaczekajmy. Po ślubie Stelli wyjawimy wszystkim, co się stało, i stawimy czoło konsekwencjom. Ale na razie cieszymy się jeszcze przez chwilę atmosferą niczym niezmaconego szczęścia.

- No dobrze. Jeżeli ci na tym zależy.
- Dzięki. I wiesz co, Mitch? Już nie jestem taka wściekła i przerażona - wyznała, opadając na poduszkę. - Powstrzymałam ją. Zwyciężyłam. Mogę to zrobić jeszcze raz.

Mitch pochylił się i pocałował Roz w policzek.

- Jesteś wspaniałą, zachwycającą kobietą.

19

Następnego ranka Hayley z płonącymi oczami i w krzywo zapiętej piżamie wpadła jak burza do kuchni.

- Właśnie rozmawiałam z opiekunką Lily - oznajmiła wszem wobec, po czym podrzuciła córeczkę wyżej na biodrze. - Jej ciotka, która należy do country klubu, mówi, że Roz brała wczoraj udział w niezłej rozróbie.
- Nic podobnego. - Rozsmarowując cienko dżem na trójkątnej grzance, Roz z rozbawieniem doszła do wniosku, że życie jednak potrafi być przyjemnie przewidywalne.
- W jakiej rozróbie? - zainteresował się natychmiast Gavin. - Takiej z biciem na pięści?
- Nie brałam udziału w żadnej rozróbie i z nikim się nie biłam, ani na pięści, ani też w inny sposób. - Roz podała Gavinowi grzanekę. - Ludzie często grubo przesadzają w swoich opowieściach, młody człowieku. Tak już urządzone jest ten świat.
- To może chociaż skopałaś komuś twarz? - Z nadzieją w głosie spytał Luke.

- Oczywiście, że nie. - Roz zwróciła się w jego stronę. - Chociaż, metaforycznie rzecz ujmując, można by powiedzieć, że skopałam komuś tyłek.
- Co to znaczy „meta...“?
- Metafora to taki wymyślny sposób powiedzenia, że coś jest podobne do czegoś innego. Mogę na przykład powiedzieć, że dziś jestem jak kot, który się dobrał do śmietanki. - Mrugnęła łobuzersko do Luke'a. - Co oznacza, że jestem bardzo zadowolona z siebie. Natomiast w żadnym razie nie podniosłam na niego ręki.
- Na kogo? - spytała ostro Stella.
- Na Bryce'a Clerka - odpowiedział David, dolewając jej kawy do kubka. - Moja siatka szpiegowska oplata mackami całe Memphis i przekazuje informacje z prędkością światła. Usłyszałem o tym już wczorajszego wieczoru, tuż przed jedenastą czasu miejscowego.
- I nikomu nie pisałeś ani słowa? - Hayley, przypinająca Lily do wysokiego krzeselka, spiorunowała go wzrokiem.
- - Czekałem, żeby wszyscy się stawili w kuchni. A! Oto i Harper. Poinformowałem go, że obowiązkowo ma się zameldować na dzisiejszym śniadaniu.
- Och, doprawdy, Davidzie, to zupełna drobnostka, o której nie ma sensu wspominać - oświadczyła Roz. - Poza tym muszę się już zbierać do pracy.
- Wręcz przeciwnie. - Mitch potrząsnął głową i powiódł wzrokiem po zgromadzonych przy stole. - To było fantastyczne. A ta kobieta... - spojrzał znacząco na Roz - ... jest absolutnie niesamowita.

Roz pod stołem ścisnęła jego dłoń w niemym podziękowaniu za humor i lekki ton, doskonale maskujące fakt, że poprzedniego wieczoru nastąpiły również wydarzenia jakby żywcem wyjęte z mrocznego horroru.

- Co się dzieje? - spytał od progu Harper. - Dlaczego są dziś omlety na śniadanie? Czy to jakieś święto, o którym nic nie wiem?

- Dziś mamy omlety, ponieważ twoja mama bardzo je lubi, a poza tym musi doładować się energetycznie po tym, jak wczoraj przerobiła na szaro pewnego frajera.
- Nie bądź śmieszny - rzuciła Roz z kamienną twarzą, chociaż tak naprawdę z trudem powstrzymywała się od śmiechu.
- Co się stało wczoraj wieczorem? I jakiego frajera?
- Widzisz, ile tracisz, nie chodząc na bale do country klubu - odparował David.
- Jeżeli ktoś natychmiast nie wyjaśni, o co chodzi, to chyba zwariuję. -Hayley podała Lily kubeczek z sokiem, po czym klapnęła na najbliższe krzesło. - Chcę wreszcie usłyszeć całą historię z wszystkimi szczegółami.
- W gruncie rzeczy nie ma wiele do wyjaśniania... - zaczęła Roz.
- Ja opowiem - przerwał jej Mitch - bo ona pominie co smakowitsze szczegóły. Osobiście byłem świadkiem tylko części wydarzeń, ale inne znam z relacji syna, no i pewne fakty udało mi się też wyciągnąć od Roz. Przedstawię wam sytuację w porządku chronologicznym, bo tak będzie najwygodniej.

Zaczął od scysji z Forresterami, potem przeszedł do incydentu w toalecie, a w końcu plastycznie opisał konfrontację Bryce'a i Rosalind w korytarzu.

- O mój Boże, one naprawdę wyszły akurat w tym momencie, gdy rozmawiałaś z tym skur... - Hayley zaczęła szybko kasłać i chrząkać, bo właśnie sobie uświadomiła, że przy stole siedzą też dzieci. - Z tym człowiekiem.
- Stał odwrócony do nich plecami - wyjaśnił Mitch. - Najlepszy reżyser nie ustawiłby lepiej tej sceny.

Hayley, karmiąc Lily jajkiem, posłała Roz pełne podziwu spojrzenie.

- Ale odjazd. Jak by to określić? Cóż za makiaweliczna zasadzka!
- Idealne zgranie w czasie - dorzucił Mitch. - Żałuj, że nie widziałeś swojej matki, Harper. Była gładka i zimna niczym góra lodowa - i tak samo śmiertelnie niebezpieczna.

- Rety, dzisiejszego ranka w naszej kuchni aż gęsto od metafor - zauważyła Roz. - Czy nikt nie wybiera się do pracy?
- Widywałem ją już w takim stanie. - Harper ze stoickim spokojem odkroi! kawałek omleta. - Przerażający obrazek.
- Z miejsca, w którym się znajdowałam, widziałem wyraźnie twarze stojących przy toalecie dam ciągną - Mitch. • Niezapomniany widok. Ten drań chełpliwie chlapie jęzorem, opowiada, jak to uprzykrza różnym ludziom życie, wydzwania tu i ówdzie, wyludza karty kredytowe i przechwala się przy tym, że nikt nigdy niczego mu nie udowodni. Obraża Quilla, nazywa Mandy idiotką. Wprost pęka z dumy, a tymczasem Roz stoi przed nim kompletnie niewzruszona, a temu żalosnemu kretynowi nawet nie przychodzi do głowy, że właśnie szykuje topór na jego szyję. Rosalind podpuszcza go coraz bardziej, aż w końcu ten skur... - Mitch w ostatniej chwili też przypomniał sobie o dzieciach - ...ten skurczybyk nie ma już drogi odwrotu. I wówczas Roz wskazała ręką przed siebie. On dopiero wtedy się odwrócił i zobaczył, kto stoi za jego plecami. A Roz po prostu zakręciła się na pięcie i ruszyła przed siebie spacerowym krokiem. Cudowna scena.
- Mam nadzieję, że obie rozszarpały go na strzępy - odezwała się Stella.
- Niewiele brakowało. On, oczywiście, próbował się ze wszystkiego wykręcić, wmówić im, że to nieporozumienie, ale blondynka zdążyła już wpaść w histerię. Wrzeszczała, płakała, okładała go pięściami. Druga z dam natomiast niezwłocznie pomaszerowała do męża i poinformowała go, że to z powodu mściwości Bryce'a utracił swojego najlepszego klienta. Mąż - według relacji mojego syna - wpadł w furję, doskoczył do tego gada i huknął go pięścią w szczękę. Zgromadzeni w sali goście zaczęli pierzchać na wszystkie strony, ze stołów poleciała na podłogę zastawa, a tymczasem blondynka rzuciła się na leżącego Clerka z pazurami i zębami.
- Ale odjazd! - wyszeptał oszołomiony Gavin.

- Musieli ją odciągać w kilka osób, a gdy wreszcie im się to udało, Bryce^ ponownie zaatakował Quill, a więc musieli odciągać i jego.
- Żałuję, że tego nie widziałem - mruknął Harper i podniósł się, by zaaplikować sobie poranną dawkę kofeiny. Jednak w odróżnieniu od pozostałych nie zadowolił się kawą, tylko sięgnął po colę.
- Jedni goście zaczęli w popłochu uciekać - ciągnął tymczasem Mitch -inni zaś przepychali się do przodu, żeby być bliżej akcji. Podłoga była śliska od musu z łososia i oliwek z martini, więc co rusz ludzie się przewracali, wpadali na krzesła i stoły. Ktoś zamierzał już nawet zadzwonić na policję, ale w końcu ochrona opanowała sytuację.
- A gdzie ty wówczas byłeś? - zainteresowała się Hayley.
- Tańczyłem z Roz na tarasie. - Mrugnął szelmowsko do dziewczyny. - Mogliśmy jednak obserwować rozwój wydarzeń przez okna i oszklone drzwi.
- Przez kilka najbliższych tygodni nikt o niczym innym nie będzie mówić - włączyła się Roz. - Jeżeli o mnie chodzi, to oni wszyscy dostali dokładnie to, na co zasługiwali. Najedli się mnóstwa wstydu. No dobrze, nie wiem jak wy, ale ja już się zbieram do pracy.
- Czeka! Jeszcze chwilę! A co z Bryce'em? - Hayley nabiła na widelec kawałek omleta. - Nie możesz pozostawić nas w niepewności.
- Nie mam pojęcia, mogę tylko podejrzewać, że z podkulonym ogonem wyniesie się chyłkiem z naszego hrabstwa. I zapewne więcej się tu nie pokaże.
- I to wszystko? - zdumiała się Hayley. - Nie zamierzasz... - urwała, po czym wytarła Lily buzię. - To dobrze - zdecydowała po chwili. - Dobrze, że już go nie ma.

Roz zwichrzyła chłopcom włosy, a potem pochyliła się i ucałowała Lily w czubek głowy.

- Dzisiaj po południu policja spisze moje zeznania w związku z ewentualnym oskarżeniem go o oszustwa. Mitch także będzie zeznawał, ponieważ słyszał

każde słowo Bryce'a. Najprawdopodobniej zostaną również przesłuchane inne osoby, które były świadkami jego wystąpienia. A potem zobaczymy, co się stanie.

- To jeszcze lepiej - Hayley uśmiechnęła się szeroko. - Dużo, dużo lepiej.
- Ja nie rzucam się na ludzi z pięściami ani nie walę ich w twarz, przynajmniej do tej pory mi się to nie zdarzyło. Ale nikomu nie pozwolę zbyt długo uprzykrzać mi życia.

Powiedziawszy to, wymaszerowała z kuchni, bardzo zadowolona, że ten dzień zaczął się od śmiechu i radości, a nie od smutku i trosk.

Roz stała na łagodnym zboczu, na skraju zagajnika i patrzyła na rozciągający się przed jej oczami „Eden”. Tryskał wielością kolorów: delikatną, wiosenną zielenią, jaskrawymi różami, egzotycznymi błękitami, radosnymi żółcieniami i gorącymi, krwistymi czerwieniami flanc ustawionych na starych, wyblakłych od słońca i deszczu stołach, oraz kwiatów zappełniających rabaty - swoimi kielichami entuzjastycznie świętujących nadejście wiosny.

Proste drewniane budynki wabiły do zakupów skrzynkami oraz koszami pełnymi kolorowych roślin.

Z miejsca, w którym stała, widziała także fragment sektora z krzewami i ozdobnymi drzewkami, a także pole z równymi grzędami, na którego końcu stał ciężki sprzęt.

Wszędzie wokół roilo się od klientów buszujących wśród towaru, pchających czerwone wózki wokół stołów, wzdłuż szutrowych alejek, a także betonowym podjazdem prowadzącym na parking, gdzie ładowali zakupione rośliny do swoich samochodów i półciężarówek.

Widziała także sterty ściółki - luzem oraz w workach, sagi różnej grubości desek i bali, a także ustawione w wysokie kolumny różnorodne płyty na ścieżki. Ale z największą przyjemnością patrzyła na rzeczy przydające „Edenowi” ciepłego, domowego uroku: na pachnący powój wijący się po pergolach, kamienną ławkę strategicznie ustawioną obok szemrzającej fontanny, czerwone

karmniki dla kolibrów zwisające z gałęzi. Lekka bryza niosła hen w dal słodką muzykę powietrznych dzwonków.

Oczywiście, ona teraz powinna być właśnie tam, na dole - pielęgnować swoje rośliny, sprawdzać asortyment towarów. Zatrudnienie menedżera - nawet tak idealnego jak Stella – nie oznaczało, że mogła się całkiem zwolnić ze swoich obowiązków.

Chciała jednak przez chwile pooddychać świeżym, wiosennym powietrzem po wielu godzinach spędzonych w gęstej, wilgotnej atmosferze cieplarni. I chciała popatrzeć na stworzone przez siebie królestwo.

Dzisiaj, pod niebem tak intensywnie niebieskim, jakby ktoś wymalował je farbą na szkle, centrum ogrodnicze prezentowało się przepięknie. W takich chwilach dochodziła do wniosku, że efekt końcowy był wart tych wszystkich lat ciężkiej pracy, trosk i nieustannych kalkulacji.

„Eden” okazał się sukcesem pod każdym względem - przynosił znaczne dochody, ale przede wszystkim był tym, co sobie wymarzyła - rozległym, wabiącym różnorodnością ogrodem. Interes? Owszem, lecz przede wszystkim źródło inspiracji dla wielu osób i piękny element krajobrazu. Miejsce uosabiające jej styl i wizję.

Jeżeli ludzie upierali się, by traktować „Eden” jako luksusowe hobby bogatej dziedziczki - ich wola. Jeżeli postrzegali ją jedynie jako kobietę, która w złotej sukni i brylantach sunie przez sale country klubu - nie miała nic przeciwko temu. W istocie, od czasu do czasu lubiła zabłysnąć w towarzystwie. Ale najprawdziwsza Rosalind to ta stojąca na zboczu, w starych dzinsach, spłowiałej bluzie i w znoszonych butach oraz baseballówce naciągniętej głęboko na oczy.

Roz Harper z country klubu wykonywała jedynie obowiązki przynależne jej nazwisku. A tylko to, co działo się tutaj, było jej pasją, jej prawdziwym życiem.

Westchnęła głęboko, zebrała się w sobie i z premedytacją skierowała myśli w niebezpieczne rejony. Chciała się przekonać, co się stanie - jak zareaguje Amelia.

A zaczęła tak.

Jeżeli to jej własne życie, czemu raz jeszcze nie miałyby podjąć ryzyka? Połączyć się na dobre i złe z mężczyzną, który ją podniecał, a w trudnych chwilach był prawdziwą podporą? Który ją intrygował i umiał rozśmieszyć? Z mężczyzną, który jakimś cudem przedarł się przez labirynt, jaki wzniosła wokół swego serca ze smutku, rozczarowania, poczucia obowiązku i dumy.

Z mężczyzną, którego kochała.

Mogła przeżyć resztę życia w samotności, ale czego miałyby tym niby dowieść? Że jest niezależna, samowystarczalna, silna i przedsiębiorcza. Ale o tym wiedziała już od dawna - taka była od lat i taka już na zawsze pozostanie.

A przecież stać ją także na odwagę.

I czyż nie większej odwagi wymagało wejście w związek z innym człowiekiem, dzielenie się radościami i smutkami, uprawianie trudnej sztuki kompromisu od samotnej wędrowni ku kresowi dni?

Czyż wspólne życie nie wymagało ciężkiej, codziennej pracy?

A Roz nigdy nie miała zwyczaju uchylać się od pracy.

Na tym etapie życia małżeństwo jest czymś całkiem innym niż we wczesnej młodości. Nie będą mieli wspólnych dzieci. Choć któregoś dnia zapewne pojawią się wnuki. Roz i Mitch co prawda nie dojrzewali razem, ale za to mogli wspólnie się zestarzeć.

I dać sobie nawzajem wiele szczęścia.

Oni zawsze tylko kłamią. Nigdy nie są szczerzy.

Roz stała nieporuszona w tym samym miejscu, na zboczach, u wylotu zagajnika. Ale „Eden” nagle zniknął przed jej oczu. Na jego miejscu pojawiły się natomiast puste zimowe pola i drzewa całkowicie ogołoczone z liści. W powietrzu powiało mrozem.

- Nie wszyscy mężczyźni - powiedziała cicho Roz. - I nie zawsze. *Ja znalazłam ich o wiele więcej.*

Amelia sunęła przez ponury krajobraz, bardziej niematerialna od szarej mgły, która zaczęła się ścielić po czarnej, jałowej ziemi. Jej biała suknia była powalana błotem, podobnie jak gołe stopy. Włosy zwisały w zmierzwionych lokach dookoła jej twarzy, a z oczu wyzierało szaleństwo.

Roz poczuła paniczne przerażenie. Jednak nie zamierzała ustępować pola.

Nagle, nie wiadomo skąd, napłynęły ciemne chmury, pokrywając świetlisty błękit matową czernią - gdzieniegdzie przetykaną jaskrawą zielenią.

- Ja za to żyję dłużej od ciebie - odparła Roz i chociaż nie mogła opanować drżenia na widok zbliżającej się Amelii, nie ruszała się z miejsca.

I tak niewiele się przez ten czas nauczyłaś. A przecież masz wszystko, czego potrzeba do szczęścia. Dom, dzieci, pracę dającą wiele satysfakcji. Na co ci więc mężczyzna?

- Miłość to wielkie i ważne uczucie. Rozległo się ironiczne parsknięcie.

Miłość to największe kłamstwo na świecie. Będzie się z tobą gził, wykorzystywał cię, oszukiwał i kłamał. Zadawał cierpienia, aż się wypalisz, zasuszysz, stracisz blask i urodę. I będziesz martwa.

Przez strach Roz zdołało się przebić współczucie.

- Kto cię tak strasznie skrzywdził? Kto doprowadził do takiego stanu?

Wszyscy. Oni wszyscy. To oni są niczym sprzedajne dziwki, choć nam przydają takie miano. Przychodzili do mnie, wpychali we mnie swoje członki, podczas gdy ich żony sypiały samotnie w uświęconych małżeńskich łóżach.

- Czy cię niewolili? Zmuszali...

A potem zabrali wszystko, co miałam. Co było tylko moje!

Amelia uderzyła się pięściami w brzuch z wielką siłą zrodzoną z rozpacz i gniewu.

W tym samym momencie nadciągnęła nawałnica. Przebiła się przez mgłę i napełniła wilgocią cuchnące powietrze. Roz miała wrażenie, że coś zatyka jej płuca, że ustami i nosem wdziera się jej do gardła błoto.

Słyszała też głośnie wrzaski.

Zabić ich wszystkich! Zabić we śnie! Wymordować! Porąbać na kawałki! Skapać się w ich krwi. Odebrać, co moje! Niech będą przeklęci! Przeklęci na wieki!

- Przecież od wielu lat już nie stąpają po tej ziemi. Dawno temu obrócili się w proch! – Roz próbowała przekrzyknąć nawałnicę, choć z ledwością mogła wyrzucić z siebie jakiegokolwiek słowa. - Czy ja jestem tym, co po nich pozostało?
- *Ty jesteś moja. Z mojej krwi. Amelia wyciągnęła przed siebie dłoń, która szybko napełniła się szkarłatem. Z mojej krwi, z mojej kości. Z mojego serca i łona. Porwana, zagrabiona podstępem. Odszukaj mnie. Jestem taka zagubiona.*

Powietrze zawirowało gwałtownie i nagle Roz znowu była sama - stała na soczystej, wiosennej trawie, na skraju zagajnika, a przed jej oczami rozciągał się „Eden”.

Szybko wróciła do swoich zajęć, ponieważ praca zawsze pozwalała jej odzyskać równowagę.

Wiedziała, że jeżeli zajmie się tym, co kocha, zdoła powoli zrozumieć, co właściwie wydarzyło się na skraju zagajnika.

Zamknęła się w cieplarni, bo potrzebowała samotności.

A potem przez całe popołudnie pobierała odnóżki z roślin matecznych.

Podlewała, dokarmiała i znakowała młode sadzonki.

Kiedy skończyła, przez zagajnik wróciła do Harper House, ale nie weszła do domu, tylko zatrzymała się w ogrodzie. W miejscu, któremu chciała nadać dramatyczny wyraz, posadziła kanny, nieopodal - dla równowagi - ostróżki

polne i prymule. W zacienionym kącie natomiast łagodny bodzisek i strojny dzwonecznik.

Tutaj zawsze znajdzie spokój i ukojenie, doszła do wniosku Roz - w tych ogrodach, w cieniu Harper House. Uklękła na ziemi pod czystym błękitnym niebem i zapatrzyła się w to, co było najbliższe jej sercu.

Jakże piękny widok przedstawiała rezydencja ze swoimi jasnożółtymi kamiennymi ścianami, licznymi oknami rzucającymi pogodne błyski i białym, dziewiczym trymowaniem.

Jakie sekrety kryły się w tych ścianach, w tych pokojach? Co zostało pogrzebane w tej ziemi, w której od lat zanurzała ręce?

Dorastała tutaj - podobnie jak jej ojciec, jego ojciec i wiele pokoleń przed nimi. Ta sama krew, kontynuacja historii. Wychowała w Harper House swoich synów i ciężko pracowała, żeby zachować spuściznę w nienaruszonym stanie - żeby dzieci jej dzieci nadal mogły mieszkać w tym domu.

Musi koniecznie odkryć, jakie ponure wydarzenia doprowadziły do tego, że posiadłość znalazła się właśnie w jej rękach. A potem zaakceptować fakty.

Podniosła się z ziemi i tarasowymi drzwiami weszła prosto do swojej sypialni, żeby wziąć gorący prysznic.

Następnie zeszła na dół i znalazła Mitcha pracującego w bibliotece.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- Świetnie się składa. Bo ja też chciałbym zamienić z tobą kilka słów. - Oderwał się od laptopa i zaczął czegoś szukać w plikach dokumentów leżących na biurku.
- Ty pierwszy - powiedziała Roz.
- Hm? Ach, tak. Dobrze.

Przejechał dłonią po włosach, powolnym ruchem zdjął okulary. Te gesty zazwyczaj oznaczały, że Mitch intensywnie zbiera myśli.

- Zrobiłem tu już wszystko, co w mojej mocy - zaczął po chwili. - Mogę jeszcze strawić kilka miesięcy na badaniu historii twojej rodziny, tropieniu

drobnych szczegółów, studiowaniu dziejów odległych pokoleń i, prawdę mówiąc, zamierzam to zrobić. Ale gdy chodzi o zleconą przez ciebie pracę, znalazłem się w impasie. Ona nie należała do rodziny, Roz. Nie łączyły ją z Harperami żadne więzy krwi czy koligacje małżeńskie. Starannie prześledziłem wszystkie dokumenty, przeprowadziłem analizy porównawcze - nazwisk, dat, narodzin, zgonów, ślubów - i jednego jestem pewien: w Harper House nigdy nie mieszkała żadna Amelia i nie łączyły jej z rodziną żadne formalne związki. Poza tym żadna kobieta mniej więcej w jej wieku nie zmarła w tej rezydencji w interesującym nas okresie.

- Rozumiem. - Roz usiadła w fotelu, żałując, że przed przyjściem tutaj nie pomyślała o zaparzeniu kawy.
- Jeżeli natomiast Stella pomyliła jej imię...
- Nie pomyliła. - Roz stanowczo pokręciła głową. - Oblubienica ma na imię Amelia.
- Przychyłam się do twojej opinii. Nie zmienia to jednak faktu, że w rodzinie Harperów nie było żadnej Amelii. Co dziwniejsze - biorąc pod uwagę, jak dawno temu zbudowano tę rezydencję - w Harper House nigdy nie zmarła żadna kobieta mająca od dwudziestu do trzydziestu kilku lat. Młodsze czy starsze - owszem. Nawet kilka.

Przełożył kolejny plik dokumentów.

- A! Natomiast najbardziej groteskowy zgon nastąpił w tym domu w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy to jeden z twoich przodków, niejaki Beauregard Harper, spadł z tarasu pierwszego piętra, łamiąc sobie przy tym kark i kilka innych kości na dodatek. Z rodzinnej korespondencji, w której opisano to zdarzenie, wynika, że wdał się w orgiastyczne swawole z jedną z dam - bynajmniej nie z własną żoną - i sprawy wymknęły się spod kontroli. W ferworze uniesień przeleciał przez barierkę, pociągając za sobą nieszczęsną wybrankę. Nie żył już, gdy dopadła do niego rodzina i służba, ale ponieważ był zwałistym mężczyzną, swoim ciałem zamortyzował upadek

goszczącej w domu damy, której obrażenia ograniczyły się jedynie do złamanej nogi.

- I strasznej plamy na honorze, jak przypuszczam.
- Zapewne. Ale wracając do tematu. Sporządziłem dla ciebie listę kobiet z rodziny Harperów, które zakończyły żywot w tym domu. Zmarło tu także kilka służących, ale żadna z nich nie odpowiadała wiekiem Amelii. Poza tym odezwała się prawniczka z Bostonu, o której ci kiedyś wspominałem - wywodząca się w prostej linii od ochmistrzyni zatrudnionej w Harper House za rządów Reginalda seniora.

Zaczął szukać kolejnych dokumentów.

- Udało jej się ustalić, że w istocie aż troje jej przodków pracowało w posiadłości - owa ochmistrzyni, jej wuj, który był jednym z ogrodników, oraz młodzieńca kuzynka, zatrudniona jako podkuchenna. Dzięki temu odtworzyłem dla ciebie historię także i tej rodziny. Chociaż nie ma to żadnego związku z Amelią, pomyślałem, że chciałabyś mieć podobny dokument.
- Owszem. Bardzo ci dziękuję.
- Nasza pani prawnik w wolnych chwilach nadal pilnie bada przeszłość. Bardzo ją to wciągnęło, więc może szczęśliwie trafi na coś dla nas interesującego.
- Wykonałeś olbrzymią pracę.
- Teraz wystarczy, że spojrzysz na drzewo genealogiczne i dołączony opis, a będziesz w stanie zlokalizować kuzyna w drugim stopniu od strony matki twojego praprawuja i dowiedzieć się sporo o jego życiu. Ale to ci w niczym nie pomoże.
- Mylisz się. - Powiodła wzrokiem po piętrzących się stosach papierów, a potem po korkowej tablicy, wypełnionej fotografiami, portretami i odręcznymi notatkami Mitcha. - To dla mnie bardzo wiele znaczy. Powinnam była się zająć udokumentowaniem dziejów rodziny już dawno temu. Cieszę się, że mogę wreszcie poznać rozpustnego, nieszczęsnego Beau, Lucybelle - właś-

cicielkę domu uciech, i wiele innych osób, które wskrzesiłeś dla mnie do życia.

Podeszła do tablicy i wpatrzyła uważnie w imiona i nazwiska. Niektóre postaci były jej doskonale znane, inne zdawały się kompletnie obce.

- Mój ojciec, jak mogę to ocenić z perspektywy czasu, był o wiele bardziej zainteresowany teraźniejszością niż przeszłością. Dziadek zmarł, kiedy jeszcze byłam stosunkowo mała i nie pamiętam, żeby kiedykolwiek opowiadał mi jakieś rodzinne historie. Większość mojej wiedzy pochodziła od babci, która przecież nie wywodziła się z Harperów, oraz od starszego kuzynostwa. Zawsze obiecywałam sobie, że przejrzę stare dokumenty, żeby lepiej poznać swoją rodzinę. Ale tak naprawdę nigdy się do tego porządnie nie zabrałam. - W zamyśleniu odeszła od tablicy. - Dzieje rodu, losy każdego z przodków są cenną wartością. A ja do niedawna nie okazywałam im należnego szacunku.
- W pełni zgadzam się z pierwszą częścią wypowiedzi, ale stanowczo protestuję przeciwko drugiej. Miłość i staranność, z jaką sprawujesz pieczę nad Harper House, jest tego jawnym zaprzeczeniem. Rosalind, cała ta rozmowa w założeniu sprowadza się do jednego: osobiście jestem przekonany, że łączy cię jakieś pokrewieństwo z Amelią. Ale ona nigdy nie należała do rodziny Harperów. Nie znajdziemy jej imienia w żadnych oficjalnych czy rodzinnych dokumentach. Co więcej, jestem przeświadczony, że nie była tu służącą.
- Jesteś przeświadczony?
- Pomyśl, o jakich mówimy czasach - pomyśl o ówczesnej mieszczańskiej, podwójnej moralności. Gdyby była tu na służbie, to oczywiście mogłaby zostać uwiedziona przez jakiegoś Harpera, ale wykluczone, żeby wówczas pozwolono jej pozostać w domu. Odprawiono by ją - możliwe też, że zaoferowano by pewną rekompensatę finansową, lecz w wypadku Amelii nie ma o tym mowy.

Roz ponownie opadła na fotel.

- A to czemu?
- W owym czasie rządził w tym domu Reginald. Wszystkie dostępne materiały jasno wskazują, że był człowiekiem nadzwyczaj dumnym, wręcz wyniosłym, świadomym swojej bardzo wysokiej pozycji w tutejszym hrabstwie, a nawet na całym Południu. Pozycji politycznej, finansowej, towarzyskiej. Jeśli mam być szczery, Roz, nie wyobrażam sobie, by cudzołożył z pierwszą lepszą pokojówką. Niewątpliwie był o wiele bardziej wybredny. Oczywiście owo cudzołóstwo ze służącą mogło się przydarzyć jakiemuś jego kuzynowi, wujowi czy szwagrowi. Ale przeczucie podpowiada mi, że związek Harpera z Amelią był innej natury - nie pana i dziewczki służebnej wykorzystanej przez któregoś z jego krewnych.
- Co dokładnie masz na myśli?
- Kochankę. Kobieta, która w wyrafinowany sposób zaspokajałaby jego żądze. Metresę.

Roz na dłuższą chwilę pograżyła się w milczeniu.

- Wiesz, co jest w tej sprawie zaskakujące, Mitchell? - podjęła w końcu. - Że oboje, na podstawie zupełnie różnych przesłanek, doszliśmy do tych samych wniosków. Ty przedarłeś się przez takie stosy dokumentów, że na samą myśl o ich ogromie kręci mi się w głowie. Ślęczałeś nad komputerem, odwiedzałeś sądy i urzędy. Sporządziłeś zestawienia graficzne, tabele, wykreśliłeś drzewa genealogiczne i Bóg wie co jeszcze. Dzięki twojej pracy mogę ujrzeć swoją rodzinę w całkiem innym świetle, poznać jej członków, o których istnieniu nie miałam pojęcia, a którzy przecież zaważyli na kształcie mojego życia. Drogą żmudnej eliminacji doszedłeś do przekonania, kim nie była nasza Oblubienica, co na swój sposób też zbliża nas do odkrycia tajemnicy. Jak sądzisz, czy jeżeli nam się to uda, Amelia odnajdzie spokój?
- Nie umiem odpowiedzieć na takie pytanie. Natomiast bardzo chciałbym się dowiedzieć, czemu ty jesteś tak bardzo smutna.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Ale oto, co dziś mi się przydarzyło. Opowiedziała mu w szczegółach o spotkaniu z Amelią.
- Byłam taka przerażona. - Odetchnęła głęboko. - Bałam się owego wieczoru, gdy nie chciała nas wpuścić do dzieci, a także wtedy, gdy razem weszliśmy przez taras do sypialni, a ona wpadła w szał i zaczęła miotać różnymi przedmiotami. Przeżyłam chwile panicznego strachu, kiedy topiła mnie w wannie. Nabrałam więc przekonania, że już niczym więcej nie zdoła mnie przerazić. A tymczasem dzisiaj, dzisiaj, jak szła ku mnie w tumanie mgły, po prostu skamieniałam. Widziałam jej twarz, obłęd w oczach, jakąś szaleńczą determinację. Determinację i wściekłość zdolne przewyciężyć śmierć.

Wzdrygnęła lit mimo woli.

- Wiem, jak to absurdalnie brzmi, ale mam wrażenie, że tego właśnie jakimś cudem dokonała. Jej gniew okazał się silniejszy od śmierci i ona teraz nie może się wyrwać z zaklętego kręgu.
- Ale tym razem cię nie tknęła? Nie próbowała skrzywdzić?
- Nie, nawet w apogeum szału. Co prawda w pewnym momencie nie mogłam oddychać - miałam wrażenie, że zamiast powietrza wciągam do płuc popiół, ale niewykluczone, że było to spowodowane atakiem paniki. Mówiła o zabijaniu - o bestialskim mordzie i rozlewie krwi. Na Boga, Mitchell, nigdy nie słyszałam, żeby w tym domu została popełniona zbrodnia, ale teraz budzą się we mnie najgorsze podejrzenia. Jezu słodki, czy mogła zostać zamordowana? I to przez kogoś z mojej rodziny?
- Mówiła o chęci popełnienia morderstwa, a nie o tym, że padła jego ofiarą - przypomniał jej Mitch.
- Prawda, ale kobiecie ogarniętej obłędem mogą się przecież mieszać fakty. Powiedziała, że jestem krwią z jej krwi. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, lecz ona z pewnością w to wierzy. - Po raz kolejny Roz odetchnęła głęboko. - I ty też, jak mi się zdaje.

Wstał, podszedł bliżej, pociągnął ją za rękę i chwycił mocno w objęcia.

- A w co ty wierzysz? - spytał cicho.

Ukojenie, pomyślała i położyła głowę na jego ramieniu. Kochający mężczyzna może być zdumiewająco potężnym źródłem ukojenia.

- Amelia ma oczy mojego ojca. Wreszcie to dzisiaj zauważyłam. Może wcześniej nie umiałam, a może nie chciałam tego spostrzec. Czy to możliwe, Mitch, że mój pradziad zabrał jej dziecko? Czy mógł być aż tak okrutny?

- Jeżeli twoje wnioski są słuszne, niewykluczone, że oddała je dobrowolnie. Mogła przystać na warunki określonej umowy, a potem tego żałować. W obecnej chwili otwiera się przed nami całe pole nowych możliwości.

- W obecnej chwili też, jak nigdy przedtem, chcę się dowiedzieć prawdy. Muszę ją poznać, bez względu na konsekwencje.

Odsunęła się od Mitcha na krok i zmusiła do uśmiechu.

- Tylko jak, do diabła, zdołamy odkryć tożsamość kobiety, która mogła być kochanką mojego pradziadka?

- Znamy jej imię, jesteśmy w stanie w przybliżeniu określić wiek i możemy śmiało założyć, że pochodziła z okolic Memphis. To nie najgorszy punkt wyjściowy do dalszych poszukiwań.

- Czy przemawia przez ciebie wrodzony optymizm, czy usiłujesz poprawić mi humor?

- I jedno, i drugie po trochu.

- No dobrze, a teraz pójde sobie nalać porządny kieliszek wina. Czy tobie też przynieść coś do picia?

- Powinienem wypić co najmniej galon wody, żeby zrównoważyć pięć galonów kawy, które już dzisiaj w siebie wlałem. Pójde z tobą.

Objął ją ramieniem i razem ruszyli do kuchni.

- Wrócimy do sprawy Amelii dopiero po ślubie Stelli - zdecydowała Roz.

- Uważam, że żywi powinni mieć pierwszeństwo przed umarłymi. - Wyjęła z szafki butelkę wody i nierozkrojoną jeszcze cytrynę. - Wprost nie mogę uwierzyć, że za kilka dni nie będę już tu miała na co dzień chłopców. - Po-

kroiła cytrynę na cienkie plasterki, wlała wodę do szklanki i wręczyła Mitchowi. - Dzięki. Ale coś mi się zdaje, że będą tu urzędować na tyle często, że nie odczujesz boleśnie ich braku.

- Mam taką nadzieję. - Roz naląła sobie wina, ale zanim zdążyła wziąć do ust pierwszy łyk, rozdzwonił się telefon. - Gdzie też podziewa się David? - spytała z irytacją i sama podniosła słuchawkę.

Przez chwilę słuchała w skupieniu, a potem uśmiechnęła się promiennie do Mitcha.

- Och, jakże miło cię słyszeć, Jane! - rzuciła entuzjastycznie.

- To takie podniecające. Jakbym nagle znalazła się w środku szpiegowskiego thrillera. - Hayley podskakiwała z wrażenia w windzie wiozącej ją razem ze Stellą i Roz do mieszkania Clarise Harper. - Tylko pomyślcie, cały rano spędziłyśmy na manikiurach i pedikiurach, a po południu niczym wytrawne agentki wywiadu zajmujemy się tropieniem starych pamiętników. To absolutnie odjazdowe.

- Ciekawe, co powiesz, gdy nas aresztują i wtrącą do więzienia - odparła Stella. - Jeżeli będę zmuszona brać jutro ślub z Loganem z za krat, to cholernie się wkurzę.

- Mówiłam ci, żebyś nie szła z nami - przypomniała jej Roz.

- Miała mnie ominąć taka zabawa? - Stella odetchnęła głęboko i wymaszerowała z windy. - Może przesadnie przejmuję się różnymi sprawami, ale z pewnością nie jestem tchórzem. Poza tym Hayley ma rację. To niebywale podniecające.

- Wejście do zagraconego mieszkania starej zrzędy, żeby zabrać to, co do mnie należy - plus jedną przerażoną trusią - nie wydaje mi się szczególnie podniecające. Jane mogła sama wynieść te pamiętniki i oszczędzić nam zachodu. Z racji jutrzejszego ślubu już i tak mamy dość na głowie.

- Wiem i bardzo ci dziękuję, że dałaś mnie i Hayley wolny dzień, abyśmy mogły go spędzić w salonie piękności. - Stella impulsywnie pocałowała Roz w policzek. - Po przyjęciu weselnym zabierzemy się do pracy ze zdwojoną energią, żeby ci wszystko wynagrodzić.
- Niewykluczone, że będziecie musiały. A teraz módlcie się, żeby ta stara wampirzyca naprawdę polazła zrobić sobie trwałą, jak to miała na dzisiaj w planach. Bo inaczej sprawy mogą przybrać bardzo nieprzyjemny obrót.
- A jesteś pewna, że nie wolałabyś, aby właśnie doszło do konfrontacji? - spytała Hayley, jednak nie doczekała się odpowiedzi, bo w tym samym momencie uchyliły się drzwi mieszkania i w wąskiej szparze ukazała się wystraszona twarz Jane.
- Nic... im- spodziewałam się nikogo poza tobą, kuzynko Roitlind, Nic jesieni pewna, czy powinnyśmy
- To moje przyjaciółki i współpracowniczki. - Bez dalszych wyjaśnień Roz energicznie pchnęła drzwi i weszła do środka. - Jane, oto Stella i Hayley. Czy spakowałaś już swoje rzeczy?
- Tak, zresztą nie miałam wiele do pakowania. Ale dużo o wszystkim myślałam i doszłam do wniosku, że ciotka bardzo się zdenerwuje, kiedy mnie nie będzie, jak wróci. Nie wiem więc, czy naprawdę powinnam...
- To miejsce jest równie obrzydliwe jak dawniej - weszła jej w słowo Roz. - Od tego intensywnego zapachu lawendy robi mi się niedobrze. Jak ty jesteś w stanie znieść taki smród? No, proszę. A oto jedna z moich dreźnieńskich pasterek, a także miśnieński kot i... ach, pieprzyć to. Gdzie są pamiątniki?
- Nie wyjęłam ich jeszcze. Doszłam do wniosku, że...
- Doskonale, w takim razie daj mi klucz i powiedz, gdzie ich szukać. Nie traćmy czasu, Jane - dorzuciła, gdy dziewczyna nadal tkwiła w bezruchu, nerwowo przygryzając wargę. - Słuchaj, czekają na ciebie nowe mieszkanie i świetna praca już od poniedziałku. Możesz wykorzystać tę szansę lub nie - twoja sprawa. Ale nie wyjdę z tego cuchnącego mieszkania bez dokumentów,

które do mnie należą. Więc albo dasz mi klucz, albo zacznę wszystko przewracać do góry nogami i nie przestanę, póki nie znajdę tego, co do mnie należy.

- O, Boże. Słabo mi. - Jane sięgnęła do kieszeni i wyjęła ozdobny kluczyk z brązu. - Biurko w jej sypialni, górna szuflada. - Błada jak płótno, skinęła ręką w stronę pobliskiego pokoju. - Kręci mi się w głowie.
- Powinnaś szybko wziąć się w garść - zasugerowała praktycznie Roz. -Stello, pomożesz Jane zebrać bagaże?
- Jasne. Chodź, Jane.

Pewna, że Stella idealnie poradzi sobie z sytuacją, Roz przeniosła wzrok na Hayley.

- Pilnuj drzwi - zarządziła.
- Ale super! Stoję na czatach.

Hayley była tak rozbijająca, że Roz cały czas podśmiewała się w duchu, idąc do pokoju Clarise. Tutaj zapach lawendy był jeszcze intensywniejszy, pomieszany na dodatek z zapachem fiołków. Na łóżku, o zagłówku tapicerowanym złotym jedwabiem, leżała kosztowna, wiekowa kapa, która oczywiście została wyniesiona z Harper House. Podobnie jak małeńki stolik przy oknie i secesyjna lampa.

- Wredna suka o lepkich łapach - mruknęła gniewnie Roz i szybko podeszła do biurka. Przekręciła kluczyk w zamku i aż zakrztusiła się z wrażenia, gdy ujrzała leżące w kilku rzędach, oprawne w skórę pamiętniki.

To będzie dla ciebie wyjątkowo bolesny cios, pomyślała, zdejmując z ramienia plecak i starannie pakując wszystkie tomy.

Aby się upewnić, że nie zostały żadne inne dokumenty, pootwierala także pozostałe szuflady, a potem przeszukała nocny stolik, sekreterę i komodę.

Chociaż miała wrażenie, że zachowuje się głupio, staranie wytarła wszystko, czego dotykała. Clarise może się posunąć do zgłoszenia na policję kradzieży z włamaniem. Kiedy skończyła wycierać meble, ostentacyjnie położyła kluczyk na samym wierzchu - na blacie biurka.

- Stella zabrała Jane na dół - oznajmiła Hayley na widok Roz. - Ta biedna dziewczyna okropnie się trzęsła i bałyśmy się, że dostanie jakiegoś ataku, jeśli będzie musiała tu pozostać jeszcze chwilę. Roz, to nieszczęsne stworzenie ma tylko jedną niewielką walizkę. To cały jej dobytek.
- Jest młoda. Ma przed sobą mnóstwo czasu, żeby się dorobić. Czy dotykałaś czegoś w tym pokoju?
- Nie. Pomyślałam... no wiesz, o odciskach palców.
- Inteligentne dziecko. Zbierajmy się stąd.
- Masz pamiętniki?

Roz delikatnie poklepała plecak.

- To było równie proste, jak odebranie cukierka bezbronnemu dziecku - z czego, notabene, ponoć słynie Clarise.

Zainstalowały Jane w nowym mieszkaniu i przejechały niemal całą drogę do domu, zanim Roz spostrzegła, że Hayley jest nienaturalnie milcząca.

- Nie mów mi, że opadły cię jakieś wątpliwości czy - nie daj Boże - wyrzuty sumienia.
- Słucham? Och, nie. Skąd. Przecież te pamiętniki należą do ciebie. Gdybym była na twoim miejscu, zabrałabym również inne rzeczy skradzione z Harper House. Nie. Po prostu myślę o Jane. Wiem, że jest ode mnie młodsza, ale przecież niezbyt wiele. A wydaje się taka... bo ja wiem? ... krucha i wszystkim przerażona. Więc uważam, że zdobyła się dziś na heroiczną odwagę.
- Jest bardzo do ciebie niepodobna - odparła Roz. - Nie ma tyle rozsądku, inicjatywy, a także szczęścia w życiu. A przede wszystkim nie miała takiego

ojca jak ty - kochającego i wspierającego. Nie uważa się za silną i atrakcyjną - ty natomiast owszem.

- Wszystko, czego jej potrzeba, to nowa fryzura i lepsze ciuchy. Hej, Stella, może zajmujemy się zmianą jej image'u?
- Zejdź na ziemię, dziewczyno.
- Mówię zupełnie poważnie. Oczywiście później, kiedy będziemy miały więcej wolnego czasu. Tylko przypomnijcie sobie, jak wyglądała, gdy weszła do tego malutkiego mieszkania. Była taka zdumiona i taka ci wdzięczna, Roz, że przysłałaś z Harper House kilka podstawowych mebli - łóżko, stolik, sofę - a do tego jeszcze zapełniłaś lodówkę. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że nikt jeszcze nigdy nie okazał jej tyle serdeczności. Było mi jej bardzo szkoda, a jednocześnie cieszyłam się jej szczęściem, gdy rozglądała się wokół taka oszołomiona i wzruszona do łez.
- Zobaczymy, co z tym wszystkim zrobi.
- Dałaś jej wielką szansę, Roz. Tak samo jak mnie i Stelli.
- Proszę, tylko nie zaczynaj od nowa.
- A właśnie że zacznę. Wszystkie stanęłyśmy na rozdrożu, a ty podałaś nam rękę i wskazałaś właściwą drogę. Teraz Jane ma własny kąt i nową pracę. Ja mam słodką córeczkę, która mieszka w przepięknym domu. A Stella już jutro wychodzi za mąż.

Hayley zaczęła pociągać nosem i Roi przewróciła oczami ze zniecierpliwienia.

- Mówiłam ci, żebyś nie zaczynała.
- Nie mogę się powstrzymać. Czuję się taka szczęśliwa. A wy obie jesteście moimi najlepszymi przyjaciółkami na świecie.

Stella wyciągnęła chusteczki i kilka podała Hayley na tylne siedzenie, ale parę, na wszelki wypadek, zachowała dla siebie.

W sumie było szesnaście pamiątek - pięć jej babki Elizabeth Harper i dziewięć prababki Beatrice. A każdy z tomów zapełniony od pierwszej do ostatniej strony.

Roz, pobieżnie przerzucając kartki, dostrzegła w pamiętnikach babci wiele szkiców. To obudziło nostalgiczne, ciepłe wspomnienia.

Nawet bez konsultacji z Mitchem doskonale zdawała sobie sprawę, że przeczytanie tego wszystkiego i odnalezienie jakichkolwiek informacji mogących naprowadzić na trop Amelii będzie żmudnym i czasochłonnym zajęciem.

- Nie ma w nich dat. - Pocierając oczy, Stella opadła na oparcie sofy. -O ile zdążyłam się zorientować, tak na pierwszy rzut oka, pamiętniki Beatrice Harper nie są rocznikami. Brała nowy, gdy zapisała do końca stary, więc być może w jednym zawiera się okres zaledwie paru miesięcy, a w innym kilku lat.
- Postaramy się jakoś je uporządkować - zapewnił ją Mitch. - A potem podzielimy między siebie i każde z nas zacznie uważnie czytać.
- Mam nadzieję, że trafi mi się tom pełen pikantnych kawałków - powiedział David.

By uczcić tę szczególną okazję, przygotował bardzo wymyślny podwieczorek i teraz właśnie sięgał po świeżo upieczoną, biszkoptową babeczkę.

- Zobaczymy - odrzekła Roz. - Ale przede wszystkim nie wolno nam zapominać o jutrzejszym ślubie. Stello, podaruj sobie dzisiaj jakiegokolwiek czytanie po nocy. Nie chcę, żebyś z mojego powodu wychodziła za mąż z podkrążonymi oczami... A któż to może być o takiej porze? - zdziwiła się, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. - Przecież wszyscy jesteśmy na miejscu. Nie, nie wstawaj, Davidzie. Sama otworzę.

Ruszyła przez hol, a za nią w podskokach Parker, poszczekując, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że nie zapomina o swoich obowiązkach stróża domowego ogniska.

Roz otworzyła drzwi i uniosła brwi ze zdziwienia, po czym natychmiast uśmiechnęła się lodowato.

- Proszę, proszę, kuzynka Rissy! Cóż za niemiła niespodzianka.

- Gdzie ta nic niewarta dziewczyna i należące do mnie przedmioty?
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz i, prawdę mówiąc, nie obchodzą mnie twoje problemy. – Kątem oka spostrzegła, że Clarise wynajęła samochód z kierowcą, żeby przyjechać tu z miasta. - Niestety, dobre maniery nakazują mi zaprosić cię do środka, ostrzegam jednak, że przed twoim wyjściem nie zawaham się posunąć do rewizji osobistej - co byłoby zapewne przykrym przeżyciem dla wszystkich zainteresowanych stron - więc niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy znowu coś podkradać.
- Zawsze byłaś aroganckim, odpychającym stworzeniem.
- Czyż to nie zabawne? - Roz odsunęła się na bok, by Clarise, postukując laską, mogła wmaszerować do holu. - Ja myślę dokładnie to samo o tobie. Wszyscy siedzimy w bawialni, przy podwieczorku.

Rosalind stanęła w progu saloniku i oznajmiła:

- Kuzynka Rissy przyszła do nas z wizytą. Czyż to nie prawdziwy pech? -Po czym zwróciła się do gościa. - Być może pamiętasz mojego syna, Harpera. Kiedy jeszcze bywałeś w moim domu, z lubością i nieustannie krytykowałeś jego zachowanie. A to David, przyjaciel Harpera z lat dzieciństwa, który obecnie zarządza Harper House, więc zanim wyjdiesz, to właśnie on starannie przeliczy srebra.
- Nie zamierzam wysłuchiwać twoich grubiańskich uwag.
- Fatalnie się składa, bo nie mam ci wiele więcej do zaoferowania. O ile mi wiadomo, poznałeś już wcześniej doktora Carnegie.
- Owszem i zamierzam w jego sprawie skontaktować się z moim prawnikiem.
- Mitch uśmiechnął się czarująco.
- Niech kieruje korespondencję do Mitchella Carnegie. Przez dwa „1” w imieniu.
- Oto Logan Kitridge, mój przyjaciel, sąsiad i współpracownik, a także narzeczony siedzącej obok pani Stelli Rothchild, która jest menedżerem mojego centrum ogrodniczego.

- Nie obchodzą mnie nazwiska twojego personelu, choć ubolewam nad pożałowania godnym obyczajem zaludniania Harper House podobnymi osobami.
- Tutaj natomiast mamy synów Stelli - Gavina i Luke'a - oraz ich psa, Parkera - ciągnęła niewzruszenie Roz, lekceważąc słowa Clarise. - A także moją młodziutką kuzynkę ze strony Ashbych, którą również zatrudniam w swoim przedsiębiorstwie, Hayley Phillips, wraz z jej śliczną córeczką, Lily. Zdaje się, że szczęśliwie udało mi się nikogo nie pominąć. Davidzie, może nalejesz Clarise filiżankę herbaty.
- Nie chcę herbaty, szczególnie gdy jest parzona i podawana przez homoseksualistę.
- To nie jest zaraźliwe - usłużnie poinformował ją David.
- Rety, to ty jesteś homoseksualistą? - Roz udała wielkie zdumienie. - Nigdy bym na to nie wpadła.
- Staram się być subtelny.
- Gdzie jest Jane? - zapytała ostro Clarise. - Żądam natychmiastowej rozmowy z tą dziewczyną.

Roz wzięła z talerzyka małe ciastko i podała zachwyconej Liily.

- A Jane to...?
- Doskonale wiesz, o kogo chodzi. Jane Paulson.
- Ach, oczywiście. Kuzynka Jane. Obawiam się, że jej tu nie ma.
- Nie zamierzam tolerować podobnych kłamstw! - Ton jej głosu sprawił, że Parker natychmiast zaczął ostrzegawczo warczeć. - I trzymaj z dala ode mnie tego obrzydliwego kundla.
- On wcale nie jest obrzydliwy! - Gavin zerwał się na równe nogi, ale tym razem Stella wykazała się podziwu godnym refleksem i natychmiast pociągnęła go z powrotem na sofę. - To pani jest obrzydliwa.
- I jeżeli dalej będzie pani taka niedobra, on panią ugryzie - pisnął Luke. - Bo to bardzo mądry pies.

- Gavin, Lukę, wyprowadźcie Parkera na spacer. No już! - Stella ścisnęła starszego syna za ramię w ponagląjącym geście.
- I weźcie ze sobą frisbee. - Logan mrugnął do chłopców. - Za parę minut do was przyjdę.

Gavin chwycił psa na ręce, posłał Clarise mordercze spojrzenie i wyszedł z saloniku, natomiast Lukę odwrócił się jeszcze w progu.

- Nie lubimy pani - oświadczył i na swoich krótkich muskularnych nóżkach wymaszerował za bratem.
- Widzę, że twój personel jest równie niezdolny do porządnego wychowania dzieci, jak i ty, Rosalind.
- Najwyraźniej. I jestem z tego powodu bardzo dumna. No cóż, skoro nie chcesz herbaty, a ja nie mogę ci pomóc w sprawie Jane, to z pewnością zechcesz już stąd wyjść.
- Gdzie są pamiętniki?
- Pamiętniki? Masz na myśli pamiętniki pisane przez moją babkę i prababkę, które wyniosłaś z tego domu bez mojej wiedzy i zgody?
- Twoja zgoda nie była konieczna. Jestem najstarszym żyjącym członkiem rodziny Harperów i te pamiętniki właśnie mnie się należą.
- W tej sprawie zapewne pozostaniemy przy rozbieżnych zdaniach, natomiast mogę ci wyjawić, gdzie się znajdują owe dokumenty: w miejscu, do którego przynależą - z etycznego, prawnego i moralnego punktu widzenia.
- Każę cię aresztować.
- - Och, zrób to koniecznie, bardzo proszę. To dopiero będzie zabawa! - Roz przysiadła na poręczy fotela i nonszalancko skrzyżowała nogi. - Ty zapewne też bardzo się ucieszysz, gdy twoje nazwisko, nazwisko Harper, będzie szargane po wszystkich gazetach i przez dłuższy czas nie przestanie schodzić z ust dobrych mieszkańców naszego hrabstwa. - Oczy Roz płonęły wprost proporcjonalnie do chłodu w jej głosie. - Bo już ja zadbam, żeby tak się właśnie stało. Udzielę wszystkim chętnym pikantnych wywiadów i przy każdej

nadarzającej się okazji będę opowiadać o twoim zachowaniu i innych rodzinnych skandalach na rozmaitych przyjęciach i koktajlach. Ja nie dbam o takie drobnostki.

Urwała, by z wyciągniętej rączki Lily odebrać ciastko, bardzo wielkodusznie oddane przez małą.

- Och, dziękuję, mój skarbie. Ale ty? - ponownie zwróciła się w stronę Clarise.
- Nie jestem pewna, czy spodoba ci się rola głównej heroiny zjadliwych plotek, kpin i żartów. Szczególnie że nic nie dostaniesz w zamian. To, co zabrałam, prawnie należy do mnie.

Podniosła Lily, posadziła sobie na kolanie i ponownie wręczyła jej ciasteczko. W pokoju panowała niemal idealna cisza, przerywana jedynie oburzoną sapaniem Clarise. Roz nagle złapała się na myśli, że oto pierwszy raz w życiu ma przed sobą osobę, o której bez żadnej przesady i afektacji mogłaby powiedzieć: „pierś jej falowała”.

To była przepiękna scena.

- Jeżeli rzeczywiście zjawi się tu policja, chętnie opowiem, w jaki sposób odzyskałam swoją własność. I mam nadzieję, że ty z równą ochotą im wyjaśnisz, jakim cudem należące do mnie dokumenty znalazły się w szufladzie biurka w twoim domu. Podobnie jak kilka innych cennych przedmiotów, skatalogowanych jako własność Harper House.
- Chcesz skalać dobre imię rodziny! - Clarise postąpiła w jej stronę. Twarz miała ciemnoczerwoną z gniewu. - Nie masz do tego prawa! Nie wolno ci tego robić! Tak jak nie wolno ci rozgrzebywać spraw, które na zawsze powinny zostać pogrzebane.

Rosalind ze stoickim spokojem oddała dziecko Mitchowi, a Lily natychmiast zapragnęła się z nim podzielić swoim już mocno obślinionym ciastkiem. W tej samej chwili Roz usłyszała, jak Mitch mruczy pod nosem:

- Przyciśnij ją do muru, kochanie. Wstała więc i podeszła bliżej Clarise.

- Czego ty się tak panicznie boisz? Co oni takiego straszego jej zrobili? Kim właściwie była Amelia?
- Najzwyklejszą ulicznicą, tanią dziwką z plebsu, która dostała to, na co zasłużyła. Gdy tylko się urodziłaś, od razu wiedziałam, że w tobie odezwie się jej krew. I, jak widać, miałam rację.
- A więc jestem z nią spokrewniona - powiedziała Roz cicho.
- Słowa więcej nie powiem na ten temat. Natomiast to zbrodnia i grzech, że taka kobieta jak ty jest panią w Harper House. Nie masz prawa do tego miejsca - i nigdy nie miałaś. Jesteś zakałą rodu, plamą na naszym honorze. Moja babka szybciej poszczułaby cię psami, niż pozwoliła, by osoba twojej proweniencji przekroczyła próg tego domu.
- No, tego już za wiele. - Zanim Roz zdążyła się odezwać (a miała bardzo wiele do powiedzenia), Harper zerwał się z fotela i doskoczył do Clarise. - Dzisiejsza wizyta właśnie dobiegła końca, kuzynko, a twoja noga już nigdy tutaj nie postanie.
- Więcej szacunku, chłopaku.
- Ja nie mam już sześciu lat, a ty nie jesteś mile widzianym gościem. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że będziesz w naszym domu bezkarnie obrażała moją matkę? Kobieta, która ma więcej klasy w małym paznokciu niż ty w całym swoim zasuszonym ciele. Mogę cię stąd wyprowadzić albo wykopać. Wybór należy do ciebie.
- Jesteś taki tam jak ona.
- To pierwsze prawdziwe słowa wypowiedziane przez ciebie od chwili, gdy weszłaś do Harper House. Tędy proszę, kuzynko Rissy.

Chwył Clarise mocno pod ramię i choć próbowała się uwolnić, stanowczo wyprowadził ją z pokoju.

W saloniku zapanowało milczenie, chwilę później przerwane przez Hayley, która gwizdnęła cicho pod nosem, po czym wyszeptała:

- Brawo, Harper.

W bawialni na górze Mitch położył sobie na kolanach stopy Roz i zaczął masować.

- To był dla ciebie długi dzień.
- Rzeczywiście.
- Zadałaś kilka bardzo celnych ciosów.
- To prawda, ale na deski posłał ją ostatecznie Harper.
- Piękna bokserska analogia. Kobieta sypiąca sportowymi określeniami w pełni zasługuje na moją miłość. - Uniósł wyżej stopę Roz i pocałował ją w kostkę. - Zabiorę dziś swoją część pamiątek. Jeszcze tej nocy się do nich zabiorę.
- Dla ciebie to też był długi dzień. Pamiątki mogą poczekać, zabierzemy się do nich po ślubie Stelli. - Zamknęła oczy i odchyliła głowę, gdy zaczął ugniatać podbicie jej stopy. - Poza tym jeśli sobie pójdiesz, nie skończysz masażu.
- Miałem nadzieję, że cię tym przekupię.
- Nie musiałeś odwoływać się do przekupstwa. Miałam nadzieję, że zostaniesz.
- Przypadkiem tak się składa, że mam w samochodzie garnitur na jutrzejszy ślub.

Uśmiechnęła się czarująco.

- Lubię przewidyjących mężczyzn.
- Nie byłem pewien, czy dzisiaj znajdzie się w tym domu miejsce dla mężczyzny. Panieński wieczór, kobiece rytuały...

- Zaczęłyśmy odprawiać nasze rytuały rano, w salonie piękności, i jutro podejmiemy je na nowo. Logan, Stella i jej synowie będą cudowną rodziną, nie sądzisz?
- Już są. A tak a propos, z prawdziwą przyjemnością patrzyłem, jak ci dwaj mali chłopcy rzucili wyzwanie tej starej jędzy. Niemal z taką samą przyjemnością, jak gdy ty wyprowadzałaś celne ciosy, a Harper doprawił lewym prostym.
- Wszyscy byliśmy rozkosznie arogancy, nie sądzisz? Oczywiście Clarise więcej nie zamieni z tobą słowa. Nie uzyskasz od niej żadnych materiałów do swojej publikacji.
- Zupełnie się tym nie przejmuję. Natomiast obawiam się, że nie będzie specjalnie zachwycona, kiedy przeczyta o sobie w mojej książce.
- Ale ja będę. Słuchaj, Mitch, Clarise zna prawdę. Wie, kim była Amelia i co się z nią stało. Zapewne wiedziała od zawsze. Niewykluczone, że zniszczyła te pamiętniki, w których znajdowały się istotne wzmianki. Jest to raczej mało prawdopodobne - ostatecznie wszystko, co pochodzi z Harper House traktuje jak świętą relikwię - ale nie możemy tego wykluczyć.
- Wystarczy, że wyłuskamy kilka drobnych nasionek, a już ja się postaram, żeby wydały dorodne owoce.

Roz szeroko otworzyła oczy.

- Piękna ogrodnicza analogia. Mężczyzna dość bystry, by mnie nią uraczyć, w pełni zasługuje na moją miłość.
- Rosalind, jeszcze nie powiedziałem ci jednej ważnej rzeczy... Uwiodły mnie twoje stopy.
- Moje stopy?
- Szaleję za nimi. Tyle że nigdy nie wiem... - powoli ściągnął jedną grubą skarpetę - ...co tutaj zastanę. Aha! - Pociągnął palcem po paznokciach pomalowanych blad różowym, lekko perłowym lakierem. - Kolejna niespodzianka.

- To jeden z moich sekretów. Powiódł ustami po jej stopie.
- Uwielbiam sekrety - mruknął.

Było coś niezmiernie podniecającego w świadomości, że można mieć taką władzę nad silną, niezależną kobietą, która nie ulega nikomu, a tak ochoczo poddaje się jego pieścizotom. Każde westchnienie czy drobne drzenie nabierały szczególnej, erotycznej wymowy.

Od zauroczenia do namiętności. Od namiętności do miłości. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś odbędzie tę drogę. A tymczasem stało się to za sprawą tej kobiety. Za każdym razem, gdy jej dotykał, nabierał pewności, że właśnie z nią chce spędzić resztę życia. Zupełnie nie pojmował, jak do tej pory mógł egzystować bez jej zapachu, bez dźwięku jej głosu, aksamitu skóry.

Kiedy objęła go ramionami i przycisnęła usta do jego ust, poczuł, jak zamiera w nim serce.

- Widzę cię, ilekroć zamknę oczy - powiedział. - Słyszę, nawet gdy jesteś daleko ode mnie.

Położyła głowę na jego ramieniu i przywarła doń z całej siły. Jakim cudem miłość mogła oznaczać tak wiele różnych rzeczy? Nie miała pojęcia. Pozostało jej jedynie dziękować losowi, że w tym wieku znalazła prawdziwe uczucie.

Będzie je pielęgnować. Chuchać na nie i dmuchać.

Odsunęła się od Mitcha i ujęła w dłonie jego twarz.

- Jest trudniej, kiedy się wie więcej, przeżyło szmat życia. Ale jednocześnie związek staje się bogatszy i pełniejszy - bardziej prawdziwy. Czuję się przy tobie cudownie.
- Mam wrażenie, że nie mógłbym już bez ciebie żyć, Rosalind.
- To dobrze - powiedziała i musnęła wargami jego usta. - To bardzo dobrze - powtórzyła, a jej pocałunek stał się teraz dużo bardziej namiętny.

Gorączkowo zaczęła rozpinać guziki jego koszuli, a palem uniosła ramiona, by ściągnął jej bluzkę i by wreszcie mogli dotknąć swoich nagich ciał.

Wodził ustami po jej piersiach, szyi, ramionach, a potem przesuwał się coraz niżej.

Roz gładziła go po plecach, a potem leniwym ruchem sięgnęła w dół i powoli rozpięła mu spodnie. Był twardy i gotowy. Usiadła na nim, spojrzała długo w intensywnie zielone oczy, a potem pozwoliła, żeby w nią wszedł.

- Ach! - Kurczowo złapała za oparcie sofy i zaczęła się poruszać wolnym, bardzo wolnym rytmem, z całej siły obejmując jego biodra udami.

Czuła na sobie jego dłonie - gładziły jej pośladki, plecy, ramiona. Poszukała ustami jego ust, a potem odrzuciła głowę, wydała długi jęk rozkoszy i zamknęła oczy.

Roz obudziła się o czwartej. Było jeszcze zbyt wcześnie na bieganie, a jednocześnie zbyt późno, żeby zasnąć ponownie. Leżała chwilę bez ruchu w ciemności. Nie mogła się nadziwić, że tak szybko przywykła do obecności Mitcha w swoim łóżku.

Czuła się u jego boku bardziej swobodnie i naturalnie, niż się spodziewała - nie potrzebowała żadnego okresu adaptacji, po prostu niemal od razu wiedziała, że tak ma być już zawsze.

Zastanawiając się nad dziwnymi zrządeniami losu, wysunęła się z łóżka delikatnie i po cichu. To była kolejna zmiana. Już od bardzo wielu lat nie musiała się przejmować, że swoją poranną aktywnością zakłóci komuś sen.

Na palcach przeszła do bawialni, by wziąć jeden z pamiętników. Przesunęła powoli dłonią po grubym tomie zapisanym przez jej babcię. Te zachowa na później - będzie czytać je dla przyjemności i z nostalgią.

Teraz natomiast powinna się skoncentrować na obowiązkach.

Nie minęło piętnaście minut, a już nabrała przekonania, że nigdy nie znalazłaby wspólnego języka ze swoją prababką Beatrice.

Pogoda nadal dopisuje. Interesy zatrzymały Reginalda w Nowym Orleanie. Nie mogę znaleźć jedwabiu w tym odcieniu błękitu, na którym tak bardzo mi zależy. Tutejsze magazyny po prostu nie są au courant. Zapewne więc będziemy musieli wybrać się do Paryża. Ale przedtem koniecznie trzeba znaleźć inną guwernantkę dla dziewczynek. Ta obecna jest zdecydowanie zbyt niezależna. Kiedy myślę o pieniądzach, jakie wydajemy na jej uposażenie oraz utrzymanie, dochodzę do wniosku, że jej usługi są wysoce niesatysfakcjonujące. Ostatnio dałam jej bardzo ładną dzienną suknię (nie było mi w niej do twarzy). Przyjęła ją bez mrugnięcia okiem, ale gdy proszę ją o jakieś drobne przysługi, wypełnia moje polecenia bardzo niechętnie. Z pewnością dysponuje wystarczającą ilością wolnego czasu, żeby czasem załatwić dla mnie kilka spraw w mieście - ostatecznie nie ma nic na głowie poza opieką nad dziewczynkami i przeprowadzeniem kilku lekcji dziennie.

Roz wyciągnęła przed siebie nogi i przerzuciła kilka następnych kartek. Wszystkie wpisy wyglądały podobnie. Skargi, utyskiwania, to i owo na temat zakupów, opis przygotowań do proszonego przyjęcia, wrażenia z przyjęć w innych domach, i prawie ładnych wzmianek na temat dzieci.

Odłożyła więc ten pamiętnik i Sięgnęła po kolejny. Kartkując strony, natknęła się na wzmiankę o odprawieniu służącej za chichotanie w holu oraz relację z wielkiego balu. Następny wpis przykuł jednak jej uwagę.

Znowu poroniłam. Czemu wydanie na świat martwego dziecka przysparza tyle samo bólu i cierpienia, co urodzenie żywego? Jestem wyczerpana. Nie mam pojęcia, jak uda mi się kolejny raz przejść przez tę gehennę. Ale przecież muszę dać Reginaldowi syna i dziedzica, którego tak bardzo pragnie. Więc kiedy tylko dojdę do siebie, znowu zacznie mnie odwiedzać w sypialni i ten koszmar będzie się ciągnął dopóty, dopóki znowu nie będę przy nadziei.

Nie znajduję w tym żadnej przyjemności. Córki też nie są dla mnie najmniejszą pociechą, a jedynie nieustannym przypomnieniem, że jeszcze nie dopełniłam swojej powinności.

Przynajmniej kiedy znowu będę nosiła jego dziecko, Reginald zostawi mnie w spokoju na kilka miesięcy. Moim obowiązkiem jest wydać na świat synów. Nie chcę się od tego obowiązku uchylać, ale zaczynam nabierać przekonania, że z mojego łona mogą się rodzić tylko nic niewarte dziewczęta.

Teraz jedynie marzę o tym, aby zasnąć i zapomnieć, że po raz kolejny zawiodłam oczekiwania mojego męża - że nadal nie ma on następcy i tak potrzebnego spadkobiercy Harper House.

Dzieci jako obowiązek. Jakże to smutne, westchnęła w duchu Roz. Aż strach pomyśleć, co czuły te małe dziewczynki, gdy na każdym kroku im przypominano, że nie są wiele warte, bo nie urodziły się chłopcami. Ciekawe, czy w okresie rządów Beatrice w tym domu kiedykolwiek zdarzały się chwile szczęścia i radości, czy życie było jedynie pasmem ponurych obowiązków przeplatanych starannie inscenizowanymi pokazami na użytek socjety.

Roz wpadła w takie przygnębienie, że już chciała wziąć jeden z pamiętników babci, ale w końcu się zmusiła, by przejrzeć jeszcze kilka stron.

Ostatnio aż słabo mi się robi na sam widok tej wścibskiej Mary Louise Berker. Mogłoby się wydawać, że skoro urodziła czterech synów i znów jest tłusta jak świnia, bo nosi kolejne dziecko, to powinna wszystko wiedzieć na temat poczęcia i wychowania dzieci. A tymczasem nic mylniejszego. Jej synowie biegają po domu niczym banda dzikich Indian i bezkarnie obmacują lepkimi od brudu paluchami wszystkie meble w salonie. Co gorsza, Mary Louise tylko się śmieje i mówi, że „chłopcy to jedynie chłopcy”, gdy wszyscy naraz, łącznie ze swoimi sparszywiałymi psami - trzema! - wpadają jak burza na pokoje.

I to ona właśnie miała czelność mi powiedzieć, że powinnam udać się do jej doktora, a także do pewnej kobiety uprawiającej wudu. Klnie się na wszystko, że tym razem urodzi wymarzoną córkę, poszła bowiem do tej odrażającej czarownicy i kupiła jakiś amulet, który zawiesiła nad łóżkiem.

Już sam fakt, że okazuje tak niestosowną Czulość tym swoim matom nicponiom nawet - o, zgrozo! - publicznie, jest wysoce oburzający. Ale to wręcz niestłuchane, by podobna osoba udzielała mi porad na temat zachodzenia w ciążę i wychowywania dzieci - na dodatek pod płaszczykiem przyjaźni i szczerzej troski.

Wyszłam od niej najszybciej, jak mogłam.

Roz natychmiast doszła do wniosku, że szczerze polubiłaby Mary Louise i zaczęła się zastanawiać, czy niejaki Bobby Lee Berker, z którym chodziła do liceum, nie był przypadkiem jednym z jej potomków.

A chwilę później zobaczyła kolejny zapis i od razu serce podeszło jej do gardła.

Zamknęłam się w swoim pokoju. Nie chcę nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Upokorzenie, jakie mnie dziś spotkało, jest nie do zniesienia. Przez te wszystkie lata wypełniałam sumiennie powinności żony i byłam istnym wzorem idealnej pani domu. Bez słowa skargi nadzorowałam służbę i sama pracowałam niestrudzenie, by godnie podejmować w Harper House naszych sąsiadów oraz partnerów Reginalda w interesach.

Jak na dobrą żonę przystało, pomijałam milczeniem jego życie intymne, wdzięczna losowi, że zawsze zachowywał dyskrecję.

A teraz nagle coś podobnego!

Kiedy zjawił się w domu dzisiejszego wieczoru, polecił, abym przyszła do biblioteki, życzył sobie bowiem porozmawiać ze mną na osobności. Oznajmił, że uczynił brzemienną jedną ze swoich kochanek. Odparłam, że podobna rozmowa

nigdy nie powinna mieć miejsca pomiędzy mężem a żoną, on jednak całkowicie zlekceważył moje słowa.

Zlekceważył mnie, swoją żonę! Jakbym była nikim.

Zażądał, bym udawała, że ponownie oczekuję potomstwa. Powiedział, że jeżeli owa kobieta powije syna, otrzyma on nazwisko Harper i będzie wychowywany w tym domu jako nasze dziecko.

Jeżeli natomiast urodzi się dziewczynka, wszystko zostanie po staremu. Przytrafi mi się kolejne „poronienie” i na tym sprawa się zakończy.

Odmówiłam. Oczywiście, że odmówiłam. Jakże mogłabym przyjąć pod swój dach dziecko najzwyczajniejszej ladacznicy!

Wówczas postawił mi ultimatum: albo zaakceptuję jego decyzję, albo się ze mną rozwiedzie. Tak czy inaczej będzie w końcu miał upragnionego syna. Wolalby, żebym pozostała jego żoną, ponieważ zapewne każde z nas chętnie oszczędziłoby sobie skandalu związanego z rozwodem. Obiecał też, że hojnie mnie wynagrodzi za przystanie na przedstawione warunki. Jeżeli natomiast odmówię, dojdzie do rozwodu i skandalu, a ja zostanę oddalona z domu, o który przez lata dbałam z takim poświęceniem, i będę musiała zrezygnować ze stylu życia, do jakiego przywykłam.

A więc tak naprawdę nie pozostawił mi wyboru.

Modłę się, by ta ladacznica urodziła dziewczynkę. Modłę się, by dziecko umarło. By ona umarła. By oni wszyscy szczęśli w piekle.

Roz spostrzegła, że trzęsą jej się ręce. Chociaż bardzo chciała poznać ciąg dalszy, wstała i podeszła do tarasowych drzwi. Potrzebowała świeżego powietrza. Z pamiętnikiem pod pachą wyszła na taras i zaczęła głęboko wdychać rześkie powietrze wczesnego poranka.

Jakimi trzeba być bezwzględny, bezdusznym człowiekiem! Żeby zmuszać żonę do wychowywania swojego nieślubnego syna. Nawet jeżeli nigdy jej nie kochał, winien jej był choć odrobinę szacunku.

I jak trzeba być pozbawionym uczuć w stosunku do tego dziecka, jeżeli oddaje się je kobiecie, która nigdy, przenigdy nie zdoła okazać mu miłości i ciepła? Która zawsze będzie go nienawidzić? I na dodatek nim gardzić?

A wszystko tylko po to, by przekazać potomnym swoje nazwisko.

- Roz?

Nie odwróciła się na dźwięk głosu Mitcha, tylko nadal stała zapatrzona w ogród.

- A więc cię obudziłam. A wydawało mi się, że tak cicho się zachowuje.

- Zachowywałaś się cicho. Obudziła mnie twoja nieobecność.

- Znalazłam coś, Mitch. Przeglądałam stare pamiętniki i znalazłam i *ot* ważnego.

- Cokolwiek to było, wprawiło cię w wielkie przygnębienie.

- Przygnębienie i wściekłość zarazem. I zdumienie - że w gruncie rzeczy wcale mnie to wszystko nie zdziwiło. Znalazłam zapis... Nie, musisz sam to przeczytać. - Otworzyła pamiętnik w odpowiednim miejscu i podała Mitchowi - Ale idź z tym do saloniku, dobrze? Ja potrzebuję kilku chwil samotności.

- Oczywiście.

Wziął od niej gruby tom, a potem - ponieważ wyraz oczu Roz chwycił go za serce - ujął ją pod brodę i czule pocałował.

Kiedy wyszedł, Roz znowu zaczęła wpatrywać się w ogrody - zielonosrebrzyste w bladym świetle świtu. Ten dom, ta posiadłość znajdowały się w rękach jej rodziny od wielu pokoleń. Czy były warte tak bezwzględnych uczynków? Czy były warte cierpień, które jeden człowiek sprawił innym tylko po to, by wciąż mieszkali tu jego potomkowie, noszący to samo nazwisko?

Po dłuższej chwili przeszła do saloniku i usiadła naprzeciwko Mitcha.

- Właśnie na tej stronie przerwałaś lekturę? - zapytał.

- Potrzebowałam paru minut, żeby przetrawić fakty. Z jakim strasznym okrucieństwem potraktował własną żonę! Nie należała do kobiet godnych

podziwu, co jasno wynika z jej własnych zapisków. Była egoistyczna, egocentryczna i małostkowa. Ale nie zasługiwała na takie potraktowanie. Nie dałaś mi syna, to da mi go kto inny. Zaakceptujesz moją wolę albo znikniesz z mojego życia. Przyjęła jego warunki.

- Jeszcze tego nie wiemy.
- Wiemy. - Zdecydowanie pokiwała głową. - Naturalnie przeczytamy całość, ale i bez tego oboje doskonale wiemy, jak potoczyły się wydarzenia.
- Mogę sam przeczytać ten pamiętnik. Zajmę się nim później.
- Nie. Zróbmy to teraz. Ostatecznie to przecież moje dziedzictwo. Sprawdź, co się tam jeszcze kryje, dobrze? Ja tymczasem pójde zaparzyć kawę.

Kiedy wróciła, Mitch w swoich rogowych okularach i bez koszuli, w niedopiętych dżinsach oraz z rozwichrzonymi włosami znowu wyglądał na roztargnionego naukowca.

Na ten widok Roz ogarnęła czułość, która była niczym balsam na jej zbolące serce.

- Cieszę się, że miałam cię tak blisko, gdy to odkryłam. - Postawiła tacę na stoliku, a potem pochyliła się i cmoknęła go w czubek głowy. - Cieszę się, że jesteś przy mnie.
- Znalazłem tu więcej wzmianek na interesujący nas temat. Chcesz, żebym ci je streścił?
- Nie. Chciałabym usłyszeć jej własne słowa.
- Tu i ówdzie wtrąca jakieś uwagi - właściwie nie ma dnia, by nie poświęcała sprawie kilku myśli. W każdym zdaniu widać furję i poczucie upokorzenia. Ukarła męża w jedyny sposób, w jaki mogła to zrobić - bez umiaru wydawała jego pieniądze, odseparowała go od swojej sypialni, wyjeżdżała w dalekie podróże.
- Kobieta silniejszego charakteru uniosłaby się honorem - stwierdziła Roz, nalewając do filizanek kawę. - Zabrała dzieci i odeszła. Jej jednak nie było na to stać.

- To prawda. Ale życie kobiet w tamtych czasach wyglądało zupełnie inaczej.
- Może czasy rzeczywiście były inne, ale kryteria dobra i zła pozostały takie same.

Postawiła przed nim filiżankę i tym razem usiadła obok niego na kanapie.

- Przeczytaj to, Mitch. Chcę wiedzieć.

Przyniósł bękartą do domu, a także sprowadził dla niego mamkę z jednej ze swoich wiejskich posiadłości - w mojej opinii dziewczkę zdecydowanie podejrzaną konduity. To nie jest matka tego bastarda, jak mnie poinformował. Tamta pozostaje w domu, który dla niej wynajmuje w mieście. A więc wreszcie ma upragnionego syna - kwilący, owinięty kocem tłumok. Nawet na niego nie spojrzalam i nie zamierzam tego robić.

Podobno lekarz został sownie wynagrodzony za milczenie. Usłyszałam, że przez najbliższe dni mam nie wychodzić z domu ani nie przyjmować żadnych wizyt.

Przyniósł ten pomiot w środku nocy, żeby służba uwierzyła, że ja go powiłam. A przynajmniej, żeby mogła udawać, że w to wierzy.

Już nawet nadał bękartowi imię: Reginald Edward Harper junior.

- Mój dziadek - szepnęła Roz. - Biedne dziecko. Wyrósł na cudownego, dobrego człowieka. Co należy uznać za cud, biorąc pod uwagę powyższe okoliczności. Czy znalazłeś cokolwiek na temat matki?
- Nie ma nic w tym tomie, choć, oczywiście, będę musiał przejrzeć go staranniej.
- W którymś z pamiętników na pewno natkniemy się na wzmiankę o Amelii. Ona zmarła w tym domu albo gdzieś na terenie posiadłości, A więc w jakimś momencie Beatrice musiała ją spotkać lub nawet z nią rozmawiać.
- Od razu zabiorę się do poszukiwań.

- Nie. - Zmęczona Roz zaczęła przecierać oczy. - Dzisiaj jest dzień ślubu Stelli. Mamy się cieszyć i celebrować początek nowego życia, a nie zajmować się ponurymi sekretami z przeszłości.
- Rosalind, nasze odkrycie w żadnym stopniu nie zmienia tego, kim jesteś.
- Oczywiście, że nie zmienia. Natomiast bardzo jasno sobie właśnie uświadomiłam, że dla ludzi takich jak Reginald i Beatrice małżeństwo było jedynie praktycznym rozwiązaniem życiowym. Zapewniało pozycję społeczną i dawało nadzieję na przetrwanie rodziny. Może od czasu do czasu pojawiały się cieplejsze uczucia, ale w gruncie rzeczy była to tylko określona transakcja handlowa. Dzieci były jedynie potrzebne do zachowania ciągłości nazwiska i pomnażania majątku w przyszłości. Jakże to smutne... Dzisiaj natomiast...

Westchnęła głęboko.

- Dzisiaj natomiast zobaczymy, że małżeństwo może też nieść ze sobą zupełnie inne wartości. Będziemy świadkami, jak dwoje gorąco kochających się ludzi wypowie słowa przysięgi, która ma przede wszystkim scementować i wzmocnić ich uczucia. Cieszę się, Mitch, że jesteś ze mną w takim dniu i że właśnie dzisiaj znalazłam te zapiski. Dzisiejszy ślub jest tym, czego mi teraz najbardziej potrzeba.

Dzień był wprost wymarzony na podobną uroczystość - bezchmurne cukierkowo niebieskie niebo i balsamiczny wietrzyk niosący ze sobą zapach wiosennych kwiatów. Ogród stworzony przez Logana i Stellę eksplodował ferią barw oraz zachwycał różnorodnością form i kształtów.

Krześla, pokryte jasnobrzoskwiniowym materiałem, ustawiono na trawniku w dwóch oddalonych od siebie rzędach, by tworzyły coś na podobieństwo nawy, którą panna młoda, prowadzona przez ojca, miała dojść do czekających na nią Logana i chłopców.

Roz odwróciła się od okna. Właśnie w tym momencie Jolene wpinała Stelli kwiaty we włosy.

- Jak pięknie wyglądacie razem.

- Jeszcze chwila, a znowu się rozplaczę. - Jolene zamachała kilka razy ręką przed oczami. - Już nawet nie potrafiłbym zliczyć, ile razy musiałam poprawiać makijaż. Za chwilę będę z powrotem, skarbie. Muszę sprawdzić, jak sobie radzi twój tata.
- Oczywiście. - Stella milczała, dopóki macocha nie znikła za drzwiami, po czym zwróciła się do Roz: - Myślałam, że będę wściekła i przygnębiona, bo moja matka odmówiła przyjazdu. Zbyt dużo zachodu z podróżą - a ostatecznie to nie jest mój pierwszy ślub - a poza tym nie do pomyślenia dla niej, żeby mogła przebywać w jednym miejscu z „tą kobietą” - jak uparcie nazywa Jolene po ponad dwudziestu latach małżeństwa z tatą.
- Jej strata, nie sądzisz?
- Owszem - i mój zysk. Tak naprawdę to właśnie Jolene, a nie ją chciałam mieć dzisiaj przy sobie. A także ciebie i Hayley. - Stella uniosła rękę i dotknęła szafirowych kolczyków w uszach. - Są doskonałe.
- Wyglądasz cudownie. Tylko spójrz na siebie.

Suknia była na cienkich ramiączkach, prosta, lekko rozkloszowana dołem, w kolorze bardzo bladego błękitu. W swoje rude kręcone włosy Stella miała wpięte dwie dalie - ciemnobłękitną i białą. Jej twarz wprost promieniała - jak na pannę młodą przystało.

- I czuję się cudownie.
- Powinnaś. Tak bardzo się cieszę twoim szczęściem.
- I całkiem przestałam się już denerwować - nie czuję nawet najlżejszego ściskania w dołku. - Zamrugła gwałtownie, by powstrzymać napływające do oczu łzy. - Myślę też w tej chwili o Kevinie, o naszym wspólnym życiu i naszych synach. I wiesz co, w głębi serca jestem przekonana, że Kevin nie miałby nic przeciwko mojemu nowemu małżeństwu. Logan to dobry człowiek.
- Jeden na milion.

- Kazałam mu czekać niemal rok. - Stella zaśmiała się cicho. - Ale mój czas dobiegł końca. Roz, tak gorąco ci dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłaś.
- Bardzo proszę, skarbie. Gotowa do wyjścia?
- Całkowicie.

Ceremonia była piękna i wzruszająca. Przystojny mężczyzna i urzekająca kobieta oraz dwóch małych chłopców w ogrodach domu, który od dziś miał się stać ich wspólnym. Logan - wysoki i silny, Stella - zachwycająca w swojej sukni - i dzieci - uśmiechnięte szeroko na widok pana młodego całującego swoją wybrankę.

Logan uniósł Stellę jak piórko i okręcił nią dookoła, co wywołało głośny aplauz zgromadzonych gości. Chwilę później, dla uczczenia chwili, Harper otworzył z hukiem pierwszą butelkę szampana.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem równie szczęśliwą parę - powiedział Mitch, stukając delikatnie kieliszkiem o kieliszek Roz. - Czy piękniejszą rodzinę. Odwaliłaś kawał dobrej roboty.
- Nie zrobiłam nic szczególnego.
- Ty sama jesteś jak silne drzewo, Rosalind. Tych dwoje wystrzeliło z twojego pnia. Może nie łączy was pokrewieństwo, ale efekt jest ten sam. Oni spotkali się tutaj tylko dlatego, że najpierw związali swoje losy z tobą.
- To naprawdę urocza myśl. - Roz wypła niewielki łyk szampana. - Jest jeszcze coś, o czym muszę z tobą w najbliższym czasie porozmawiać. Nie chciałam podnosić tego tematu w dniu ślubu Stelli. Ten dzień należy tylko do panny młodej.
- A czego ma dotyczyć nasza rozmowa?
- Powiedzmy, że związków łączących ludzi. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Wszystkiego się dowiesz, kiedy wieczorem wrócimy do domu. Prawdę mówiąc, muszę już teraz tam pojechać. W tym całym zamieszaniu zapomniałam zabrać butelkę wyjątkowego szampana, którą przeznaczyłam dla państwa młodych na noc poślubną.

- Ja mogę po nią jechać.
- Nie, ja to załatwię szybciej - dokładnie wiem, gdzie szukać. Za mniej więcej kwadrans będę z powrotem.

Kiedy szła do samochodu, usłyszała wołanie Hayley.

- Roz! Poczekaj. Czy mogę się z tobą przejechać? - Lekko zasapana, zatrzymała się przy samochodzie z zapłakaną Lily w ramionach. - Córku bardzo marudzi i koniecznie musi się przespać, a tutaj nie chce się położyć. W samochodzie zaraz odpłynie - ta sztuczka działa za każdym razem. Pojedziemy moim, bo tam jest fotelik, dobrze?
- Jasne. Ale przejażdżka nie będzie długa.
- Nie szkodzi. - Mimo usilnych protestów Lily Hayley udało się przypiąć ją do fotelika. - Jak zaśnie, posiedzę z nią w samochodzie, a po zdrowej drzemce obie o wiele lepiej będziemy się bawić na przyjęciu.

Zgodnie z przewidywaniami płacz szybko ucichł, a Lily zaczęła przysypiać, jeszcze zanim wyjechały na główną drogę.

- Działa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.
- Z moimi chłopcami było tak samo. Nasz skarb w tej różowej sukieneczce wygląda jak z obrazka.
- Cudna uroczystość, prawda? Jeżeli kiedykolwiek będę wychodzić za mąż, to właśnie w takim miejscu i o takiej porze. Wiosna, mnóstwo kwiatów i grono najbliższych przyjaciół. Swego czasu wydawało mi się, że szczytem marzeń jest wielka kościelna feta, ale taki ślub jest o wiele bardziej romantyczny.
- Wprost wymarzony dla Logana i Stelli. Cieszę się więc, że... Zwolnij, Hayley. Zatrzymaj natychmiast!
- Co?! Co do... O, mój Boże!

Właśnie przejeżdżały obok „Edenu”. Roz postanowiła, że tego dnia centrum będzie zamknięte, by wszyscy współpracownicy mogli przyjść na ślub. Ktoś jednak dostał się do środka. I najprawdopodobniej nadal tam się znajdował.

Kilka ekspozycji wystawionych przed wejściem zostało roztrzaskanych w drobny mak, a nieopodal punktu sprzedaży jakiś samochód rozorał jedną z rabat.

- Zadzwoń na policję - poleciła Roz, wyskakując z auta. -1 natychmiast zabierz stąd Lily. W tej chwili wracaj do domu Logana.
- Roz, nie! Nie idź tam!
- To mój teren - odparła i puściła się biegiem przed siebie.

Jej kwiaty. Jej rośliny, które wyhodowała od nasionka lub małej odnóżki, a potem pielęgnowała z poświęceniem i miłością. Zniszczone, zmiażdżone, poszarpane na strzępy.

Bezmyślnie unicestwione piękno w czystej postaci.

Usłyszała brzęk roztrzaskiwanego szkła i skręciła za róg głównego budynku. Zobaczyła Bryce'a, który uderzał kijem baseballowym w kolejną szybę.

- Ty nędzny sukinsynu!

Odwrócił się gwałtownie. Najpierw na jego twarzy pojawiło się zdumienie, a zaraz potem wściekłość.

- Miałaś być dzisiaj bardzo zajęta. Sądziłem, że zdążę, zanim wrócisz.
- A więc się pomyliłeś.
- To nie ma najmniejszego znaczenia. - Walnął kijem w następne okno. - Najwyższy czas dać ci porządną nauczkę. Co ty właściwie sobie wyobrażasz? Myślisz, że możesz publicznie mnie upokarzać? Nasyłać na mnie gliny?
- Sam do tego doprowadziłeś i jeżeli natychmiast nie odłożysz kija i nie znikniesz z mojej posiadłości, na nasłaniu glin się nie skończy.
- A co mi zrobisz? Nie ma tutaj nikogo prócz nas, czyż nie? - Postąpił krok w jej stronę, uderzając kijem o dłoń. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, ile mnie kosztował ten incydent w klubie?
- Mam niejakie pojęcie i zapewniam cię, że to nie koniec kosztów. Do obecnych oskarżeń dojdzie jeszcze bezprawne wtargnięcie na teren prywatny i zniszczenie cudzej własności.

Nie użył kija, chociaż widziała w jego oczach, że poważnie rozważał taką możliwość. W końcu jednak zamachnął się pięścią i trafił Roz w policzek.

To wystarczyło. Rzuciła się na niego niczym lwica. Nie używała paznokci i zębów jak Mandy, ale pięści. Tak zaskoczyła go swoim atakiem, że padł na kolana, zanim zdołał zablokować cios. Szybko jednak ponownie uniósł ramię. Ale nie zdążył już jej uderzyć.

Lodowaty podmuch był tak gwałtowny, tak potężny, że odrzucił Roz na ścianę budynku. Tak mocno walnęła przy tym głową o drewno, że aż musiała kilka razy nią potrząsnąć, żeby w pełni oprzytomnieć.

Kiedy odzyskała ostrość widzenia, ujrzała sunącą przez pole Amelię, w brudnej rozwianej sukni, z wyciągniętymi rękami o palcach wygiętych niczym szpony. Z jej oczu biła mordercza furia.

Bryce też to zobaczył.

Wrzasnął przeraźliwie, a potem konwulsyjnie chwycił się za gardło, usiłując łapać ustami powietrze.

- Nie! Błagam, na Boga, nie! - Roz próbowała się poruszyć, jednak zatrzymał ją pęd zimnego powietrza. - Nie zabijaj go. Już wystarczy! Wystarczy. W tym stanie nie zdoła mnie skrzywdzić. Nie może.

Żwir ostro wyprysnął na wszystkie strony, Amelia uniosła się w powietrze i niczym sęp zaczęła krążyć nad leżącym na ziemi Bryce'em, szarpiącym teraz paznokciami własną szyję do krwi.

- Przestań, Amelio. Proszę, przestań. Wiem, że jestem krwią z twojej krwi i kością z twojej kości. Twoją prawnuczką.

Zjawa odwróciła się gwałtownie i spojrzała wprost w oczy Roz.

- Odkryłam łączące nas pokrewieństwo. I zrozumiałam, że przez całe moje życie próbujesz mnie chronić. Ale on mi już teraz nic nie robi. Proszę cię, nie zabijaj. - Z wielkim trudem udało jej się postąpić dwa kroki naprzód, chociaż wicher nie pozwalał jej złapać tchu - On jest niczym! -

wykrzyknęła. - Zaledwie nędznym robakiem. Ale czegoś się od niego nauczyłam. Chcę żeby przeżył i u wszystko zapłacił.

Udało jej się zrobić następny krok.

- Nadejdzie czas zapłaty, przysięgam, przysięgam ci na naszą krew, że odpłacę i za ciebie, jeżeli tylko będę mogła.

Bryce w końcu zdołał złapać oddech, a z jego zsiniałych ust wydobyło lię krótkie, urywane rzezenie. Roz przykucnęła i rzuciła do niego chłodnym, opanowanym głosem:

- A więc jednak był tu jeszcze ktoś oprócz nas.

Wicher zaczął cichnąć i przez jego słabnące podmuchy przedarły się krzyki i dudniący tupot nóg. Kiedy Roz się podniosła, Amelii już nie było.

Zachwiała się lekko, a w tym samym momencie z za rogu wypadł Harper. Parę kroków za nim gnał Mitch.

- Wszystko w porządku. Nic mi nie jest! - krzyknęła, chociaż nadal po tęźnie kręciło jej się w głowie. - Ten tutaj może jednak potrzebować lekarza.
- Pieprzyć go! - Harper chwycił matkę w ramiona i zaczął delikatnie przesuwac palcami po jej twarzy.-Jezu Chryste! Czy ten śmieć cię uderzył?
- Sukinsyn trzasnął mnie pięścią, ale wierz mi, dostał za swoje. A reszty dokonała Amelia. Nic mi nie jest, kochanie. Naprawdę.
- Policja już jedzie. - W głosie Mitcha slychać było zarówno strach jak i furie.
- Hayley zadzwoniła do nich z komórki, zanim jeszcze do nas dotarła
- To dobrze. Doskonale. - Roz powiedziała sobie w duchu, że tym razem nie zemdleje, choćby nie wiadomo ile miało ją to kosztować. - Oprócz zarzutów karnych wniesiemy wszelkie możliwe oskarżenia z powództwa cywilnego. - Przesunęła dłonią po włosach, a potem wygładziła suknię i wówczas zauważyła, że ma rozdartą spódnice. - A niech to szlag! Kupiłam tę sukienkę specjalnie na dzisiejszy dzień. O tym też nie zapomnę w pozwie.

Odetchnęła głęboko, by opanować mdłości i nieco uspokoić nerwy.

- Harper, skarbie, bądź tak miły, zabierz tego łajdaka przed wejście i razem z Mitchem poczekajcie tam na przyjazd policji. Nie chcę go oglądać ani chwili dłużej, bo mogę skończyć to, co zaczęła Amelia.
- Pozwól, że ja się nim najpierw zajmę. - Mitch schylił się i pociągnął w górę słaniającego się Bryce'a, a potem, z błyskiem w zielonych oczach, spojrzał na Roz.
- Wybacz - rzucił, po czym celnym ciosem w szczękę ponownie posłał Clerka na ziemię. - Chyba nie masz nic przeciwko temu?
- W żadnym razie. - Pomimo ciągłych mdłości Roz uśmiechnęła się szeroko. - Ani trochę. Harper, mógłbyś go stąd zabrać, synku? Chciałabym zamienić słowo z Mitchem.
- Jasne. - Harper zaczął ciągnąć Bryce'a po ziemi, po chwili jednak odwrócił się przez ramię. - Mamo, ty to potrafisz dowalić.
- Dzięki, skarbie. - Przez chwilę spoglądała za oddalającym się synem, a potem westchnęła głęboko. - Mitch, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym przez moment tu posiedzieć. To dowalanie kosztowało mnie nieco siły i nerwów.
- Oczywiście, ale poczekaj chwilę. - Zdjął szybko marynarkę i rzucił na żwir ścieżki. - Nie ma sensu, żebyś jeszcze bardziej zniszczyła sobie suknię. Usiadł koło niej, a Roz oparła głowę na jego ramieniu.
- Mój bohater - wyszeptwała.

Epilog

Siedziała bez ruchu, póki nie opadła z niej wściekłość.

W słońcu połyskiwały odłamki szkła. Szyby można łatwo wymienić na nowe, zdecydowała w duchu. Gorzej z roślinami. Część mniej połamanych zdoła jednak ocalić, a poza tym szybko wyhoduje dużo więcej.

Dużo, dużo więcej.

- Jak twoja ręka? - spytała Mitcha.
- W porządku - rzucił krótko. - Ten facet ma szczękę miękką niczym gąbka.
- Mój groźny, silny mężczyzna. - Zarzuciła mu ręce na szyję, udając, że nie dostrzega zadrapań na kostkach jego palców.
- Musiało mu kompletnie odbić, jeśli wierzył, że ujdzie mu to na sucho.
- Zapewne sądził, że zdąży zniszczyć całe centrum, zanim przyjęcie weselne dobiegnie końca. Uznał, że wina spadnie na okolicznych łobuziaków. Sprawców nie uda się wykryć, a ja zostanę z kompletną ruiną. Mężczyźni jego pokroju nie mają żadnego szacunku dla kobiet, więc nie mieści im się w głowie, że któraś z nich mogłaby go pokonać.
- Jednej właśnie się to udało.
- Prawdę mówiąc dwóm - jednej żyjącej, drugiej martwej. Nudności i zawroty głowy minęły już bezpowrotnie, więc Roz podniosła się z ziemi i wyciągnęła dłoń do Mitcha.
- Była uosobieniem furii, Mitch. Leciała przez rabaty, ponad roślinami z prędkością błyskawicy. Kiedy Bryce ją ujrzał, wrzasnął jak oszalały. A ona zaczęła go dusić. Czy raczej - jak sądzę - zablokowała mu coś w mózgu. Nie dotknęła go, a jednak nie mógł złapać oddechu.

Zaczęła pocierać pokryte gęsią skórką ręce, a chwilę później otuliła się marynarką, którą Mitch zarzucił jej na ramiona, i posłała mu pełne wdzięczności

spojrzenie. W tym momencie miała niemiłe uczucie, że już nigdy w życiu nie zdoła się rozgrzać.

- W zasadzie nie umiem tego opisać słowami. Wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie, wprost nie wierzyłam własnym oczom.
- Usłyszeliśmy twój krzyk - wyjaśnił Mitch. -Twoja brawura będzie kosztowała mnie i twojego syna kilka lat życia. I na tę okoliczność mam ci coś do powiedzenia. Wysłuchaj mnie uważnie, Rosalind, bo powiem to tylko raz.

Chwycił za poły marynarki, którą Roz się okryła, i odwrócił ją, by spojrzała mu prosto w twarz.

- Szanuję i podziwiam twoją żelazną wolę, zachwyca mnie twój temperament i chęć do działania. Ale jeżeli jeszcze kiedykolwiek w życiu choćby pomyślisz o konfrontacji sam na sam z jakimś szaleńcem trzymającym kij baseballowy w dłoni, to ja zabiorę się do rękoczynów, a potem przez kilka dni nie będziesz mogła usiąść na tym swoim pięknym tyłeczku.

Spojrzała mu uważnie w oczy i zrozumiała, że wcale nie żartował. Stanowczy facet!

- Jakże mogłabym się oprzeć mężczyźnie, który pozwala mi toczyć walkę według własnych reguł, a następnie, w decydującym momencie wkracza do akcji i definitywnie kończy sprawę? I gdy już opada pył bitewny, bez ogródek uświadamia mi, że zachowałam się jak ostatnia idiotka. A ja muszę się zgodzić z jego opinią - bez dwóch zdań.
- Cieszę się, że w tej sprawie doszliśmy do porozumienia. Po raz kolejny zarzuciła mu ręce na szyję.
- Kocham cię, Mitch.
- Ja też cię kocham, Rosalind.
- Zapewne więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby się ze mną ożenić. Poczula, że lekko zadrżał, delikatnie, tylko raz, a potem przywarł do niej całym ciałem.
- Zupełnie nic. Ale czy jesteś pewna, że tego właśnie pragniesz?

- Absolutnie pewna. Chcę się co wieczór kłaść u twojego boku i u twojego boku budzić się każdego rana. Chcę razem z tobą zasiadać do popołudniowej kawy. Chcę mieć pewność, że zawsze będziesz mnie wspierać i chcę dać ci to samo. Chcę być z tobą, Mitch. Do końca naszych dni.
- Podoba mi się taka perspektywa. - Pocałował ją w zasiniony policzek, a potem w usta. - I zamierzam się szybko nauczyć, jak pielęgnować i dbać przynajmniej o jedną roślinę. O różę. Moją piękną czarną różę.

Mitch jest mężczyzną, na którym można polegać, któremu można zaufać. Roz poczuła, jak oblewa ją fala wielkiego spokoju, mimo że przed oczami wciąż miała obraz zniszczenia, mściwej destrukcji. Ale przecież szybko przywróci „Eden” do dawnego stanu, uratuje, co można jeszcze uratować, i pogodzi się ze stratami.

Mając u boku ukochanego mężczyznę, ponownie doprowadzi do rozkwitu i swoje królestwo, i swoje życie.

Podczas gdy Rosalind snuła te rozważania, po ogrodach w cieniu Harper House wędrowała istota wstrząsana gniewem i rozpaczą, wznosząc przepęłnione łzami oczy ku cukierkowo niebieskiemu niebu.

Drogi Czytelniku

Kiedy wiosna zmierza w stronę lata i barwne azalie już blakną, a ciężkie peonie robią miejsce do tańca liliowcom, moje rabatki osiągają pełnię.

Lubię wszystkie typy ogrodów: mieszane, wiejskie, ziołowe, zacienione i nasłonecznione. Nie hoduję u siebie sztywnych, napuszonych roślin - nie

pasowałyby do mnie ani do mojej ziemi. Mieszkam na skalistym i surowym zboczu, jednak miłość zawsze sobie poradzi, a ja przecież kocham kwiaty.

Za domem na wzniesieniu ciągną się długie, bardzo długie rabaty, a jeszcze więcej grządek opada po przedniej stronie stoku. Przysparzają mi dużo pracy, ale dają również dużo radości. Latem zachwycają mnie niebieskie chabry, pierzaste czerwone pysznogłówki, radosne żółte płatki nacylka, zalew szaławii i oceany rudbekii. Orlik i żurawka już przekwitają, jednak zawsze znajdzie się coś, co wypuszcza pąki lub rozkwita. Przetacznik, jeżówka, werbena, floksy, nasturcje. W czasie ostatniej wyprawy do centrum ogrodniczego mój syn zauważył, że chyba mam już to wszystko w ogrodzie.

Ponieważ rzadko się zdarza, żebym odmówiła prawa do życia jakiejś roślinie, zawsze coś kiełkuje, wypuszcza pędy i płoży się wokół. Tak jest również z chwastami, z którymi prowadzę nieustanną wojnę niczym najbardziej zdeterminowany żołnierz.

Patrzę z zachwytem, jak rosące w cieniu tawułki wachlują się swoimi pióropuszcami. Zielone wysepki funkii działają na mnie kojąco. Jelonki uwielbiają funkę, a ja uwielbiam jelonki, co wszakże nie powstrzymuje mnie przed odpędzaniem łakomczuchów. Co roku zużywam całe tony preparatu ze sproszkowanej krwi i śmierdzącego środka odstrasającego jelenie. Bardzo często zdarza się też, że nagle wybiegam z domu, machając rykami jak szalona, gdy zobaczę jelonka podjadające go moje goździki lub powój. Mam wprowadzić psy, ale one raczej nie są zainteresowane bronieniem moich kwiatów przed atakiem Bambi.

Czytelniku, przespaceruj się, proszę, po moim ogrodzie. Wyrwij chwast, powąchaj kwiat. Może uda mi się wywołać uśmiech na Twojej twarzy...

Nora Roberts